ZIEMIA NINOWAJCÓW

Ziemia Winowajców
Anna Strzelczyk-Cichosz

Wydawca
STREFA CichoSZA

© Anna Strzelczyk-Cichosz, 2022
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja i korekta
Julia Diduch-Stachura
(www.slownosc.com)

Korekta
Pracownia Muz
Alicja Szalska-Radomska
(alicja@pracowniamuz.pl)

Skład e-booka
Anna Strzelczyk-Cichosz

Projekt okładki
Katarzyna Druszcz
(druszczkatarzyna@gmail.com)

Druk i oprawa
Drukarnia WDS Sandomierz
(www.drukarnia.wds.com.pl)

Wydanie drugie, poprawione.

ISBN
978-83-962089-3-4

Mojemu kochanemu mężowi,
najwierniejszemu kibicowi mojej twórczości.

Pełna wersja mapy na stronie
STREFA-CICHOSZA.PL

SPIS TREŚCI

PROLOG....6
ROZDZIAŁ PIERWSZY....26
ROZDZIAŁ DRUGI....71
ROZDZIAŁ TRZECI....133
ROZDZIAŁ CZWARTY....186
ROZDZIAŁ PIĄTY....231
ROZDZIAŁ SZÓSTY....281
ROZDZIAŁ SIÓDMY....330
ROZDZIAŁ ÓSMY....373
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY....437
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY....517
ROZDZIAŁ JEDENASTY....560
ROZDZIAŁ DWUNASTY....645
ROZDZIAŁ TRZYNASTY....722
ROZDZIAŁ CZTERNASTY....786
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY....840
ROZDZIAŁ SZESNASTY....897
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY....945
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY....1006
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY....1085
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY....1171
EPILOG....1221

PROLOG

– Nalej mi ostatniego – wybełkotał pijak, bezskutecznie tłumiąc czknięcie. Jedną ręką kurczowo trzymał się blatu, a drugą z hukiem odstawił drewniany kufel.

Karczmarz znał swojego klienta na tyle, by wiedzieć, że w jego przypadku wszystkie kolejki tylko w teorii były ostatnie. W praktyce jednak mężczyzna prawie zamieszkał w jego karczmie. Ale skoro starzec był wypłacalny, Henrick bez słowa sprzeciwu wykonał polecenie.

Odstawiwszy gąsiorek z piwem na miejsce, karczmarz wrócił do zamiatania podłogi. Robił to codziennie o tej porze, oczekując nadejścia robotników po pracy. Wiedział, że jego klientela nie zwracała szczególnej uwagi na higienę, ale wieczorne sprzątanie było już jego rutyną. A Henrick bardzo lubił te wszystkie rytuały, które sobie wypracował przez lata. Codziennie wykonywał porządki w tej samej kolejności. Takie czynności jak szorowanie garnków, pozbywanie się zepsutych resztek, czy płukanie kraników w beczkach z piwem i miodem wykonywał już bez zastanowienia. To mu dawało sposobność do myślenia o innych sprawach, znacznie dla niego istotniejszych.

Zwłaszcza w ostatnich dniach mocno frasowała go sytuacja, w jakiej znalazła się jego jedyna córka – Lidia. Miała niespełna siedemnaście lat i od zawsze była jego oczkiem w głowie. Na każdym kroku jej ulegał, nawet gdy chodziło o najgłupsze zachcianki. Jedną z takowych była chęć nauki. Nie stać go było na prywatne lekcje śpiewu, gry na instrumentach czy malowania, ale udało mu się posłać córkę do domu Skylla. Czterdziestoletni mędrzec przyjmował kupieckich chłopców na naukę czytania, pisania i rachunkowości, opowiadał o świecie i zasadach rządzących naturą. Na szczęście Henricka Skyll miał ogromną słabość do gorzałki i właśnie nieograniczoną gościną w swojej tawernie karczmarz opłacał naukę Lidii.

Z racji tego, że nauczyciel miał niepohamowany apetyt i naprawdę mocną głowę, lekcje córki kosztowały rodzinę całkiem sporo.

Henrick wytarł blat szynkwasu i po raz kolejny zaklął pod nosem na wspomnienie swojej głupoty. Nieliczni goście pochyleni nad kuflami nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

Na swoją zgubę posłał córkę na naukę. Wiedział to, choć było za późno, by to odwrócić.

Od początku nie podobało mu się, że zamiast szydełkować lub grać na instrumencie – w czym miały w zwyczaju kształcić się inne panny – Lidka przyswajała sobie męskie dziedziny. Jednak była tak szczęśliwa, że Henrick nie miał serca odbierać jej tej przyjemności. Jego żona podsunęła niegłupi pomysł, że ich jedynaczka nie tyle rwała się do nauki, co do młodych chłopaków, z którymi przesiadywała na zajęciach. Henrick, który całe życie troszczył się o swoją kochaną małżonkę i bardzo długo wyczekiwane dziecko, z marszu zaczął bać się o to, czy zdoła uzbierać na posag warty ślubu z kupcem. Nie chciał, by jego oczko w głowie musiało rezygnować z dobrego zamążpójścia z powodu niedostatniego majątku swojego ojca.

Do karczmy weszło czterech robotników z portu. Henrick dobrze ich znał. Zajmowali się przerzucaniem ryb na kutrach, żeby handlarze nie musieli babrać się w glonach. Całą wypłatę zostawiali w tawernach, a dokładniej w jednej z nich. Henrick wiedział, że przychodzili do niego tylko ze względu na niskie ceny. Nie mógł sobie pozwolić na ich podniesienie, bo jego lokalik znajdował się spory kawałek od głównych dróg miasta.

Przybysze machnęli na niego i zażądali piwa, pokazując przytroczone do pasków małe mieszki. Gospodarz wykonywał swoją pracę wciąż pogrążony w ponurych myślach.

Z czasem przypuszczenia jego żony zdały się potwierdzać. Lidia przykładała się do nauki i bez wątpienia wynosiła z zajęć sporo wiedzy. Nie dało się jednak nie zauważyć, że nie tylko chęć rozwijania umiejętności ciągnęła ją do domu Skylla na coraz dłużej. W końcu matka wzięła córkę na rozmowę, by do-

wiedzieć się szczegółów i w razie czego rozmówić się z ojcem wybranka, jeśli faktycznie afekt Lidki byłby odwzajemniony.

Henrick postawił pełny kufel na szynkwasie zamaszystym ruchem, przez co rozlał nieco trunku. Zaklął cicho i sięgnął po ścierkę. Wciąż nie mógł myśleć o tym wszystkim spokojnie.

Mądra żona szybko zorientowała się, że Lidka coś ukrywa, i umiejętnie wywiedziała się prawdy. Wiadomość była szokiem dla obojga rodziców. Córka, nauczona, że mogła im zaufać i że zawsze stawali w jej obronie, w końcu wyznała, że rzeczywiście zakochała się bez pamięci, ale nie w żadnym z uczniów, a w samym nauczycielu.

To był pierwszy i jedyny raz, kiedy Henrick uderzył swoją córkę rzemieniem. Trzy smagnięcia. Z każdym kolejnym złość z niego ulatywała. W końcu się opanował i odrzucił skórzane narzędzie. Wstydził się swojego wybuchu. A zaraz potem zaczął się wstydzić tego, że się wstydził.

Ileż to razy wysłuchiwał od wszystkich, że rozpieszczał dziecko, że z latoroślami trzeba surowo, że lanie dobrze robi na głupie pomysły i nieposłuszeństwo. A jednak Henrick nie umiał być stanowczy. Może z powodu łagodnego charakteru, a może dlatego, że najpierw długo walczył o żonę, która była niezwykle chorowita, a potem o córkę, na którą czekali wiele lat, chowając kolejne obumarłe płody. Jaka by przyczyna nie była, Henrick nie umiał poddać się złości do tego stopnia, by siłą wybijać głupoty z głów swoich kobiet. Był w tym podejściu odosobniony i niezrozumiany.

Jednak ten jeden raz sięgnął po narzędzie władzy rodzicielskiej i użył go z pełną siłą. Od tamtego momentu zastanawiał się, czy uniknęliby problemu z dziewczyną, gdyby wychowywał ją twardszą ręką.

Nie miał wyjścia. Musiał po fakcie nadrobić wszystkie zaległości. Lidka została zamknięta w swoim małym pokoiku na stryszku. Henrick za to nieustannie zastanawiał się, co zrobić z faktem, że jego niespełna siedemnastoletnia córka została zhańbiona przez podstarzałego gołodupca, którego jedynym zarobkiem za uczenie była darmowa wódka w karczmie. Wiadomo było bowiem, że ów czterdziestolatek z ojcami in-

nych swoich wychowanków również umawiał się na zapłatę w żywności i podstawowych materiałach, więc groszem nie śmierdział.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do karczmy wkroczyło trzech mężczyzn. Od razu zwrócili na siebie uwagę wszystkich obecnych. Henrick przerwał wycieranie metalowego kubka i popatrzył badawczo na przybyszów. Nieraz gościł u siebie strażników z miasta, ale ci wyglądali na żołnierzy z kontynentu. Plotkowano o tym, że wojsko królewskie napływało do Port Cidis, ale nikt z mieszczan nie wiedział do końca, z jakiego powodu.

Henrick skinął głową na przywitanie.

– Pozdrowienia w imię Faira! – rzucił najwyższy z żołnierzy. – Znajdzie się tu nieco zimnej gorzałki, gospodarzu? – dodał, podchodząc do szynkwasu i zdejmując skórzaną rękawicę.

– A co ma się nie znaleźć? – Karczmarz wzruszył ramionami, odstawiając czyszczony kubek. – Siadajcie, panowie.

Z rozmysłem wskazał stolik, który znajdował się najbliżej niego. Wiedział, że to karczmarze pierwsi dowiadywali się o wszystkich tajemniczych sprawach w mieście. Wyczuł szansę, by wypytać co nieco nowo przybyłych.

Mężczyźni z gardłowymi westchnieniami usadzili się przy stole, zdejmując kolejne elementy ubioru. Byli młodzi. Z całą pewnością żaden nie miał jeszcze trzydziestu lat.

– Dopiero co wyciągnięta z piwniczki – poinformował Henrick, stawiając przed żołnierzami bukłaczek gorzałki i trzy blaszane kubki.

Nie wracał za szynkwas, tylko czekał na reakcję gości. Pierwszy łyknął szczupły chłopak o rudych włosach, który zdawał się być najmłodszy z trójki. Skrzywił się i zakasłał.

– Cholera – wydyszał. – Jak ze studni.

Najwyższy z żołnierzy położył przed Henrickiem pięć miedzianych monet i odezwał się poważnie:

– Przynieś coś do pogryzienia. Widzę, że porządny z ciebie gospodarz, więc nie muszę dodawać, że ma być więcej mięsa niż kości?

Henrick skłonił się lekko i zgarnął zapłatę do kieszeni fartucha. Wróciwszy za kontuar, zajrzał do kuchni i powiedział żonie, żeby odgrzała zagrychy.

– Zacni żołnierze chyba nie stąd?

Najbardziej zarośnięty z ekipy pokiwał głową i polał kolegom.

– A i owszem! – zachrypiał. – Z kontynentu.

– Tak żem myślał – odparł Henrick. Nie tylko on zwrócił uwagę na przybyszów. Widział, że pozostali goście też nadstawili uszu. – Sporo ostatnio was napłynęło do Port Cidis. Zaszczyt chyba jakiś spadł na nasze miasto. Ale choćby mnie pokroili, to nie zgadnę, z jakiej przyczyny.

Rudy oraz zarośnięty spojrzeli na wysokiego, jakby szukając przyzwolenia na odpowiedź. Zgody jednak nie dostali. Wysoki uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały uprzejmie chłodne.

– Tajemnica wojskowa – rzekł krótko. – Ale nie martwcie się, gospodarzu. Niedługo wszystko będzie jasne.

Henrick podrapał się po głowie.

– Ano pewnikiem tak – mruknął. – Ale zawsze to jakiś niepokój, kiedy się wojsk namnoży.

Rudy wzruszył ramionami.

– Nam gadać nie wolno – stwierdził. – Nam słuchać rozkazów, a rozkaz był taki, że pary z gęby puścić nie możem.

Karczmarz przywołał na twarz szczery uśmiech. Wiedział, że gorzałka rozwiązywała wcześniej czy później każdy język. Mógł poczekać.

Do pomieszczenia weszła żona Henricka. Karczmarz spojrzał na nią i uśmiechnął się czule. Obserwował, jak jej wątłe ciałko poruszało się przy chodzeniu.

Kobieta podeszła do męża i postawiła koło niego miskę z kiszonymi ogórkami.

– Golonki dochodzą – oznajmiła spokojnie.

Henrick podrapał się po obfitym brzuchu, a następnie po dorodnej brodzie.

– Dziękuję, rybeńko – mruknął do niej.

Wzrok kobiety padł na żołnierzy. Odwrócony w jej stronę rudzielec skłonił lekko głowę.

Grzeczny – pomyślał karczmarz.

– Jak Lidka? – zapytał, nie mogąc się powstrzymać. – Bardzo się tłucze po pokoju?

– Uspokoiła się – odparła kobieta i nieco spochmurniała. – Przestała płakać i prosi o książki do czytania, bo jej się nudzi.

Henrick zamyślił się. Tęskno mu było za córką krzątającą się po kuchni.

– Wołaj ją tu – zakomenderował. – Niech się uczesze i ubierze ładnie. Pomoże mi w obsłudze.

Mądra żona ponownie spojrzała na żołnierzy, a potem na męża i pokręciła sceptycznie głową.

– Głupie chłopy. – Uśmiechnęła się z politowaniem. – Myślą, że dziewczęce serce tak łatwo wywietrzeje i pokocha znowu.

Henrick schylił się do niej, wdychając ukochany zapach mydła, którego używała.

– Nie na miłości mi zależy. – Machnął ręką. – Tylko na dobrym mężu dla Lidki. Nie ma co czekać. Zara brzuch urośnie i nic już nie zdziałam. Na zawsze zhańbiona będzie i na niełasce u ludzi.

Żona nie od razu pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Gdyby Skyll przyszedł...

Henrick machnął ręką z jeszcze większą złością.

– Odstaw złudzenia, rybeńko. Ja jużem to zrobił. Teraz tylko sensowne działanie pozostało.

Lidka zeszła po kilku minutach. Widać faktycznie znudziło jej się na stryszku.

– Tatko mnie potrzebuje? – zapytała, siląc się na spokojny ton. Oczy wciąż jej lśniły i wyglądało, jakby w każdej chwili mogła się rozpłakać, ale w tęczówkach pobłyskiwały też iskierki buntu. Ojciec wiedział, że pojawiły się one, dopiero kiedy dziewczyna podjęła naukę. Zaczęła się

częściej stawiać i wyrażać swoje zdanie. Bał się, że okoliczni wezmą ją za pyskatą. – Mamuś powiedziała, że mam pomóc.

Henrick powstrzymał ucisk w gardle i sercu. Musiał być twardy. Nie zamierzał jednak stać się nienaturalnie oschły, dlatego przybrał swój normalny, ciepły ton.

– Kolano mi się dziś odzywa – wyjaśnił. – Dużo gości nie ma, ale i tak trudno usłużyć. Zanieś wpierw te ogórki panom żołnierzom.

Kiwnęła jasną główką i sięgnęła po zgrabny fartuszek przewieszony na krześle.

– Podziękować – mruknął z zadowoleniem najbardziej zarośnięty z trójki i posłał dziewczynie trochę zbyt śmiały uśmiech. – Z takich rączek to i truciznę można wypić.

Lidka zachowała powagę. Mruknęła, że zaraz będą golonki i wróciła do ojca, odprowadzana wzrokiem brodacza i rudego. Najwyższy z mężczyzn jako jedyny zdawał się nie zwracać uwagi na kelnerkę, sięgając po gorzałkę.

– Cieszę się, żeś zmądrzała – powiedział Henrick, kiedy córka nalewała piwa dla robotników w kącie.

– Nie mam już czym płakać – mruknęła spokojniej niż wcześniej. – Ale serce boli nadal.

Karczmarz zmarszczył czoło.

– Serce goi się szybciej niż reputacja – rzucił. – O to się lepiej martw.

– Kiedy ja nie mogę – westchnęła. – Bo wszystkie myśli ku...

– Jeśli ci choć krzynę na starym ojcu zależy, to nie wypowiadaj jego imienia przy mnie – warknął. – Gdzie on teraz? Kiedy tak go tu potrzeba? – Splunął cicho na podłogę. – Jakem całe życie spokojny, tak na wspomnienie jego mnie trzęsie. Jakie ci życie zgotował? Przecież na ciebie cała nienawiść ludzka pójdzie, nie na niego.

Lidka odstawiła kufel i nie patrząc na ojca, szepnęła:

– Nawet nie wiesz, tatku, jak mnie boli, że ci przysporzyłam nieszczęść – przyznała. – Ale... ja nie jestem głupią sierotą życiową, żeby mnie miało obchodzić, co ludzie myślą.

Henrick westchnął przeciągle.

– Ano, głupia to ty nie jesteś – powiedział cicho. – I to właśnie cała tragedia nasza.

Henrick, choć był nieoczytany i na żadne nauki nie uczęszczał, to swój rozum miał. Wiedział, że nic tak nie ciągnęło chłopaka do dziewczyny jak niedostępność.

Panienkę w karczmie niejeden zaczepi, w tyłek uszczypnie, do kanciapki na rozpustę chętnie pociągnie – myślał. – Ale nijak nie zechce się z taką ożenić.

Dlatego Lidce stanowczo przykazywał z klientami tego wieczoru nie flirtować. Dziewczyna bez problemu na to przystała, bo i tak marzyła o kimś innym. Ale wychodzić jej z karczmy też zabronił. Mało zajęcia było, więc pozwolił jej szydełkować w kącie. Prosiła o książkę, ale się nie zgodził. Nie chciał, żeby ją wzięto za jakieś dziwadło.

Zimna gorzałka szybko działała, a przyjemna atmosfera i kolejni goście tylko przyspieszyli rozluźnienie wojskowych. Po dwóch godzinach nawet wysoki żołnierz pochylał się nad kuflem bez dawnej sprężystości. Nadal jednak nie patrzył na Lidkę, która w spokoju oddawała się robótkom ręcznym.

– Spokojnie tu u was, gospodarzu – rzucił w pewnym momencie brodacz. – Czemu to nie zachodzą do was gęściej?

Henrick wzruszył ramionami.

– Ano jakoś nie po drodze nikomu chyba. Daleko od głównej drogi.

Wysoki kiwnął głową.

– Faktycznie – przyznał. – My już tydzień jesteśmy w Port Cidis, a pierwszy raz do tej części miasta zaszliśmy.

– A szkoda, bo ceny u was wcale przyjemniejsze jak w porcie – powiedział ze śmiechem brodacz.

Rudy, który odzywał się najmniej, pokiwał głową, ale wysoki prychnął i popatrzył na towarzyszy z politowaniem.

– Nie narzekajcie. Na wyspach i tak jest taniej niż na kontynencie.

Henrick wzruszył ramionami.

– Ano – westchnął. – Bieda na archipelagu, nie ma co. Ale narzekać też nie wypada – powiedział stanowczo. – Prawda, że u nas nie Vellura i wielkich bogactw nie mamy. Ale i tacy najpodlejsi też nie jesteśmy.

Brodacz wyprostował się.

– Vellura bogata, bo dziurawa jako i ser, który na niej wyrabiają.

Wysoki popatrzył na kolegę z lekkim rozbawieniem.

– Czerwone Jeziora chyba masz na myśli – zgadł.

Brodacz zaklął i machnął ręką ze złością.

– Dla mnie to mokre dziury w ziemi. Czym to się różni od zwykłych jezior tu czy na kontynencie? – warknął. – Dół i woda w dole. Ot! Za co to wydawać krocie na wycieczki?

Od stolika nieopodal dało się słyszeć nagłe prychnięcie. Brodacz, Rudy oraz Henrick spojrzeli w tamtym kierunku na szydełkującą Lidkę.

– Panienka ma chyba na ten temat inne zdanie – zagaił korpulentny i zarośnięty żołnierz z przymilnym uśmiechem. – Słyszała pewnie o Czerwonych Jeziorach same wspaniałości. Pewnie się marzy zobaczyć słynne rude skały, jako każdej.

Lidka nie odpowiedziała i nie podniosła wzroku, ale na jej twarzy malowała się powstrzymywana złość.

Brodacz uśmiechnął się szerzej, błędnie odczytując jej rumieniec jako wyraz nieśmiałości, a nie rozdrażnienia.

– Jak się zechcesz do mnie uśmiechnąć, to ci poopowiadam więcej o Vellurze.

Lidka nie wytrzymała i odezwała się, wciąż nie podnosząc oczu znad swoich dłoni.

– A co pan mi więcej opowie, poza tym co ja już wiem?

W jej głosie słychać było wyraźną pogardę.

To nie spodobało się Henrickowi. Zanim jednak zdążył przywołać dziewczynę do porządku, znowu odezwał się brodacz.

– A jakież to historie słyszałaś, panienko? – ożywił się. – Założę się, że czymś cię zaskoczę.

Lidia podniosła szare oczy znad robótki. Henrick musiał przyznać, że zrobiło to wrażenie. Jego córeczka, choć dla niego najpiękniejsza, była raczej przeciętnej urody. Miała ładną twarz, ale nieco zbyt szpiczasty nos. To, na co zwracało się uwagę, to wąskie usta, które zdawały się być delikatnie niesymetryczne. Szarobłękitne tęczówki komponowały się z jej długimi, prostymi jak druty włosami w kolorze słomy. Była proporcjonalna i zgrabna, ale dość drobna i miejscami odrobinę zbyt koścista. We wszystkich tych cechach przypominała swoją matkę. Poza kolorem oczu, który odziedziczyła po Henricku.

Mimo tego zupełnie zwykłego wyglądu, dziewczyna potrafiła przykuć uwagę swoim mocnym spojrzeniem. Ojciec wiedział, że pewność siebie dziewczyny wzrosła, a właściwie zrodziła się, odkąd zaczęła tę nieszczęsną naukę.

– Oszczędzę panu upokorzenia i nie podejmę zakładu – powiedziała spokojnym głosem, choć jej oczy płonęły gniewnie.

– Lidka! – warknął ostrzegawczo karczmarz.

Brodacz zaśmiał się wesoło.

– Nie ma co się złościć – zawołał. – Mogę i bez zakładu poopowiadać. Ale jak panienkę jednak zaskoczę, to obieca się uśmiechnąć. – Nie czekając na potwierdzenie, zaczął mówić już mocno podpitym głosem: – Słyszałem ja dużo o Vellurze. Co na początek? O czerwonych skałach, co je krew niewolonych syren plami? Czy może o wielkich kamieniach, które poustawiał sobie jako palisadę olbrzym mieszkający na szczytach? Ach, nie... – Uśmiechnął się jeszcze szerzej i pociągnął zdrowo z kubka. – Wiem, co się spodoba, panienko. O jednorożcach posłuchać byś chciała? A pewno, że tak. Najpiękniejsze konie na świecie, które tylko na Vellurze żyją. Płoche jak żadne inne i tylko z Czerwonych Jezior wodę piją, bo inna im szkodzi. To i nie można ich stamtąd wywieźć, bo na statku by pomarły.

Lidka prychnęła ponownie i spojrzała z pogardą na żołnierza.

– Niech mi pan nie opowiada bajek, bo to wywołuje jedynie śmieszność.

Brodacz spojrzał na nią zaskoczony.

– Słowo daję, to mnie zmieszałaś, panienko. – Upił łyk z kubka, wytarł usta i zakasłał gardłowo. – Tak przedtem parsknęłaś, żem myślał, iż wcale podoba ci się ta cała Vellura.

– Bo podoba – odpowiedziała, wracając do szydełkowania. – Ale nie z powodu plotek, które krążą na jej temat.

– A co tam może być ciekawego dla dziewki?

Lidka zamaszyście odłożyła robótkę na stół i wyprostowała się.

– Myśli pan chyba, że rozmawia z jakąś ciemną gęsią – warknęła. – Ale ja się uczyłam geologii i wiem, że na Vellurze są jedyne na świecie Czerwone Jeziora, które bynajmniej nie krwią syren są zabarwione, a pyłem, który się wytrąca ze skał. – Wzięła powietrze po tym długim zdaniu i od razu kontynuowała. – Nie ma też tam żadnego olbrzyma, bo takowe nie istnieją, podobnie jak jednorożce. Kamienie o niespotykanych kształtach zostały wyżłobione przez wodospad, który niegdyś tam płynął. A najlepsze konie są w Rideadanie. Jakże więc można się dziwić, że mi się marzy zobaczyć te cuda natury? A że dla pana to dziury w ziemi, to znaczy że jest pan nieuczony i tylko współczuć mogę.

Henrick poczuł, że policzki mu poczerwieniały. Rudy żołnierz zachichotał, a brodacz po raz pierwszy stracił pewność siebie. W lekkim zamieszaniu, jakie wywołała przemowa dziewczyny, nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że najwyższy z młodych mężczyzn spojrzał na Lidkę po raz pierwszy, odkąd się pojawiła.

– Zawrzyj usta – rozkazał karczmarz, a córka spojrzała na niego błagalnie.

– Tatku, dlaczego się złościsz? – zapytała rozgoryczona. – Mam udawać głupszą, niż jestem?

– Jeśli już masz udawać, to bardziej uprzejmą – odrzekł, kręcąc głową. – Może ty i oczytana jesteś, ale, widać, stało się to kosztem wychowania. Bo mnie się widzi, córuś, że jedna rzecz być kumatym, a co innego wypominać innym ich niekumatość.

– Podoba mi się twój ojciec. – Wysoki żołnierz zwrócił się do Lidki. – Jest nieoczytany, jak i my trzej, ale, widać, mądrzejszy od niejednego naukowca.

Dziewczyna uniosła lekko głowę, zgarnęła szydełko ze stołu i pobiegła do kuchni.

– Panowie jej wybaczą – zaczął błagalnie Henrick. – Trudne dni ma ten mój nieopierzeniec. Ale ukarzę ją, możecie być pewni.

Brodacz odzyskał nieco rezonu.

– Ano, nie od dziś wiadomo, że rózga wybija z głowy wszystkie złe tendencje.

Henrick zmieszał się, ale z opresji wyratował go wysoki.

– Zawrzyj gębę, Hunbert – burknął. – Prawdę ci powiedziała. A to i trzeba przyznać, że faktycznie córka się trafiła nieprzeciętna, gospodarzu – zauważył łagodniej. – Skąd to ona taka oczytana?

– No i wysłowiona – wtrącił się rudy, który coraz bardziej odpływał z upojenia. – Pięknie wysłowiona córuchna.

Karczmarz podszedł do nich z kolejną butelką.

– Posłałem na nauki do miejscowego mędrca – wymamrotał. – Tam osłuchała się o świecie. Czytać ją nauczył i książki pożyczał, to i sama się dowiedziała co nieco.

Wysoki pokiwał głową.

– Widzę, gospodarzu, że nieszczególnie zachwyceni jesteście tymi naukami?

Henrick uśmiechnął się krzywo.

– Ano, mądre się to porobiło, że głowa mała. Ale poza tym jednym defektem to złota dziewczyna jest. Tylko teraz ma humor zły. Ale przejdzie raz-dwa i zobaczycie, że urokliwszej istotki się nie znajdzie. – Zawahał się. – No... o ile panowie znowu zabłądzą w naszą okolicę, rzecz jasna.

Drzwi do kuchni otworzyły się i wyszła z nich Lidka, niosąc wiadro z odpadkami. Trzymała je oburącz i choć było wyraźnie ciężkie, dawała sobie z nim radę. Podeszła do stołu żołnierzy i odstawiła ciężar obok siebie. Następnie zwróciła się do brodacza:

– Proszę mi wybaczyć. Byłam niegrzeczna, a pan był dla mnie bardzo uprzejmy. – Spojrzała na ojca, który wciąż stał obok. – Niech tatko się nie gniewa, że wyszłam bez pozwolenia.

Mądra żona zawsze wie, jak dotrzeć do tej dziewczyny – pomyślał Henrick i spojrzał na córkę pogodniej.

– Szkoda, że od tej nauki też w mięśniach nie przybywa – zauważył wysoki żołnierz, wskazując na ciężkie wiadro. – Za pozwoleniem, gospodarzu, może pomogę pozbyć się tych odpadków?

Henrick nie wahał się. Wiedział, że w obecnej sytuacji musiał kuć żelazo, póki gorące. Zamierzał spić żołnierzy i położyć któregoś obok córki w łóżku, a rano zrobić efektowną awanturę. Wojskowi podlegali swoim przełożonym, a ci, nie chcąc zatargów z cywilami, zazwyczaj w problemach obyczajowych nakazywali szeregowemu szybki ożenek. To była szansa dla Lidki. Wysoki żołnierz nie upijał się zbyt szybko, więc nie był brany pod uwagę jako przyszły zięć. Ale jego wyjście mogło pomóc w sprawniejszym upiciu jego towarzyszy.

– Bardzo żeście uczynni. – Karczmarz skłonił głowę.

Lidka z powodzeniem ukrywała niezadowolenie, gdy jej pomocnik chwycił za wiadro. Ruszyła jako pierwsza, wskazując drogę.

– Nie martw się, gospodarzu – zaśmiał się brodacz i podstawił kubek do polania. – Coś czuję, że nieraz jeszcze tu zabłądzim. Wódeczka, ach! Zimniutka.

Henrick odwrócił wzrok od drzwi, za którymi zniknęła jego córka.

– A długo planujecie ostać na Aldenie? – zapytał, polewając obu żołdakom. – Zawszem rady takim gościom jak wy, co pogadać lubią ze starym karczmarzem. Reszta to tylko pić przychodzi.

Rudy wyglądał, jakby się ocknął z zamyślenia.

– A, bo my lubimy sobie pogadać – rzekł i przechylił swój kubek. – I powiem ci, gospodarzu kochany, że mi się też podobasz, jako i Tildze.

– Więc tak się on zwie? – zainteresował się karczmarz.

– Ano – przytaknął brodaty Hunbert. – Ramon Tilga. A w czyjej to karczmie się tak dobrze pije? Bo nazwy nie pamiętam.

– U Tzuga – odpowiedział właściciel. – Henrick Tzug to ja.

Hunbert skinął głową i ponownie podstawił kubek.

– Trochę tu zabawimy – powiedział. – Usiądźże z nami, bo straciliśmy towarzysza.

Karczmarz wiedział, że wyrzucanie zlewek powinno zająć młodym tylko kilka minut, ale postanowił wykorzystać sytuację i przysiadł na skraju ławy.

Rudy polał mu, używając kubka Ramona Tilgi.

– Pijmy, póki możem – wymamrotał. – Lada moment skończą się wygody.

Hunbert machnął ręką.

– Nie wiadomo, gdzie nas poślą. Może zostaniemy tutaj. A wtedy każdy wieczorny patrol zakończymy u najlepszego gospodarza w Port Cidis, który nie hańbi lokalu, serwując ciepłą wódkę. Zdrowie!

Wypili wszyscy, krzywiąc się jednakowo długo.

– A gdzie was mają posłać? – Henrick wzruszył ramionami. – Jest co na Aldenie ciekawszego niż Port Cidis?

Brodacz Hunbert spoważniał.

– Ano, zdaje się, że Dolina Kazamy.

Henrick popatrzył na niego zaskoczony, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Czyli król przypomniał sobie o naszej stali?

Rudy pochylił się do karczmarza i ściszył głos.

– Nie rozpowiadajcie o tym na razie, bo to tajemnica – wyjaśnił. – Sami rozumiecie.

– Ano, rozumiem, a jakże – westchnął Henrick i również pochylił się do mężczyzn. – Trudna sprawa z tą doliną, powiem wam. Do stali trudno się dobrać.

Hunbert prychnął.

– To akurat wiemy. Coś tam się usłyszało, ale nie wszystko się kupy trzymało. Prawda to, co mówią? Że tam, w dolinie, same drapieżniki siedzą i zżerają się nawzajem? Czy może to taka sama bajka jak z tymi jednorożcami na Vellurze?

Henrick uśmiechnął się pod nosem.

– Niestety. Sama prawda.

– Opowiedzcie coś niecoś o dolinie – poprosił rudy błagalnie. – Bo nam nic nie chcą zdradzić. Ale ćwiczenia robią, jakby na kolejną wojnę posyłali.

– A bo i może tak być, że to będzie dla was trudniejsze niż bitwa z Darrethańczykami – powiedział karczmarz i polał każdemu. – Dolina została odkryta lata temu... – zastanowił się. – Będzie prawie osiemdziesiąt. Mój dziadunio opowiadał, że cała ekspedycja przybyła z kontynentu. Wojskowych kupa i jeden uczony geolog.

– Diego Kazama – wtrącił rudy, chwaląc się wiedzą.

Henrick przytaknął.

– A jakże. U nas każde dziecko zna jego nazwisko. Po nim nazwano to miejsce. Jak dla mnie, żaden był z niego specjalista. – Machnął ręką. – Uparł się na tę dolinę, bo taka dzika. – Karczmarz prychnął. – Mówią, że to jej odkrywca. Ale przecie wiedział dokąd idzie, bo o tym, że w Górach Srebrnych jest dolina, wiedział każdy. Tylko pójść się tam nie dało, bo bestii co niemiara. To znaczy... Góry Srebrne się wtedy nazywały Północne Skały.

Obaj żołnierze byli coraz bardziej zasłuchani.

– Poszedł Kazama z oddziałem wojska i badał dolinę. No i znalazł jaskinie ze srebrem. – Henrick zaśmiał się z politowaniem. – Tak mu się zdawało. Taki był z niego przezacny geolog, że mu się srebro ze żelazem pomyliło.

– Ja tam mu się nie dziwię. – Rudy wzruszył ramionami. – Widziałem miecz z tej waszej stali i jakem żyw, nie odróżniłbym.

– Boś głupi – machnął ręką brodacz i skinął do karczmarza, dając znać, by ten kontynuował.

– Szybko wyszła pomyłka na jaw – ciągnął Henrick. – Ale i tak nowa nazwa przylgnęła do tego miejsca. I tak mamy Srebrne Góry na Aldenie.

Albo Silviamont, jak mawia moja córka. Tak jej nauczyciel powiedział, że to oryginalna nazwa.

Henrick powstrzymał przekleństwo, które cisnęło mu się na usta, kiedy pomyślał o Skyllu, i postanowił zająć myśli opowieścią.

– Dolina Kazamy nie stała się łagodniejsza. – Wzruszył ramionami. – A kopalnie są bardzo prowizoryczne i niebezpieczne. Mało tam chodzi ludzi, bo gadów się znowu namnożyło, a zbytu na nasze niecodzienne jasne żelastwo nie było.

– Aż do teraz. – Hunbert wypił do dna i sięgnął po ostatnią golonkę, która leżała w misce na środku stołu. – Teraz królowi stal potrzebna.

Karczmarz westchnął.

– Więc może i dla nas przyjdzie czas łaski.

Żołnierze uśmiechnęli się, wymieniając spojrzenia. Rudy prychnął i machnął ręką.

– Czas pokaże, czy to łaska, czy niełaska dla was – westchnął i czknął cicho. – Nam gadać nie wolno.

Hunbert uderzył pięścią w stół.

– A psu w dupę te całe tajemnice! Tilga poszedł. A zresztą... i tak się przecież wszyscy dowiedzą, po co tu jesteśmy.

Rudy nie wyglądał na przekonanego.

– A po co tu jesteście? – podjął karczmarz, bacznie obserwując rozmówców.

Brodacz, który najwyraźniej podczas nieobecności Ramona Tilgi poczuł się, jakby urósł o kilkanaście centymetrów, spojrzał pewnie na gospodarza, pochylił się w jego stronę.

– Ano, na budowę.

Rudy zmarszczył brwi i przechylił swój kubek.

Henrick nie krył zainteresowania. Nie musiał dopytywać. Wyglądało na to, że Hunbert czerpał satysfakcję z udowadniania, jak dobrze był poinformowany.

– Ta cała dolina, jak mówicie, jest w opłakanym stanie – kontynuował, patrząc na karczmarza. – Mądre głowy w stolicy pomyślały, że warto ją trochę urządzić i ogołocić ze żelaza.

Gospodarz wyprostował się i popatrzył na obu przestraszony.

– Musi szykuje się wojna – wymamrotał.

Brodacz uśmiechnął się.

– Prawdę powiedział Tilga, żeście kumaci – mruknął z uznaniem. – Ano, niesnaski z Darrethanem się zaogniły. Na granicy od miesięcy jest niespokojnie.

– Słyszałem. – Henrick pokiwał głową. – Coś tam do nas dociera przez morze.

Rudy westchnął.

– Mała wojna – wyszeptał.

Brodacz przytaknął.

– Tak jest. Mała wojna. Śmieszna wojna. Tak na to wołają... Wołali – poprawił się. – Wygląda na to, że się monarchy nie zgadają i będzie z tego całkiem duża i niezabawna bitka. A jak szykują się walki, to i każdy się zbroi.

Henrick zamyślił się na chwilę.

Nie podobała mu się przedstawiona przez żołnierza perspektywa. Ale nie dało się nie zauważyć, że zainteresowanie złożami żelaza w Dolinie Kazamy mogło przynieść wyspie same korzyści. Port Cidis miało szansę odżyć dzięki wysyłaniu dostaw na kontynent.

– Więc mówicie, że odbudujecie kopalnie? – zagaił ponownie.

Rudy, który wciąż nie uważał rozmowy na ten temat za dobre posunięcie, machnął ręką i zajął się swoim kubkiem.

Hunbert oparł się na łokciu i westchnął.

– Oby to nie na nas spadło przeniesienie w góry. Wolę zostać w mieście, pilnować więźniów i siedzieć w karczmach. Aby nie rzucili nas do czyszczenia doliny z drapieżników. – Wzdrygnął się.

Henrick zmarszczył brwi.

– A to potrzeba jeszcze strażników w Kartzerze? – zdziwił się. – Słyszałem raczej, że niezbyt ciasno jest w celach naszej twierdzy.

Hunbert pociągnął spory łyk i uśmiechnął się tajemniczo.

– Taaa... Słyszeliśmy o tym waszym więzieniu. Niedługo nie tylko nie będzie tam ciasno, ale wręcz całkiem pusto.

Karczmarz podrapał się po bujnej brodzie. Jeszcze za czasów jego ojca przylegająca do murów miasta twierdza służyła jako więzienie. Skazańcy nie pochodzili jedynie z Aldeny czy nawet samego archipelagu. Często słyszało się o tym, że przywożono do Port Cidis więźniów z całej Livii. Powodem było to, że Aldena była nieco ignorowaną, niezbyt bogatą wyspą. Tym samym stanowiła idealne miejsce na zesłanie kogoś, o kim chciano na kontynencie zapomnieć.

– Jeśli mają przenieść naszą Kartzerę gdzie indziej, to nikt po niej płakać nie będzie. – Karczmarz wzruszył potężnymi ramionami i dolał gorzałki do kubków. – Aldeńczykom zawsze nie w smak było ciężkie więzienie pod nosem – wyjaśnił. – Też się ucieszę. Przez bliskość twierdzy nie mam tu klientów.

Hunbert pokręcił głową z politowaniem.

– Jak to mawia Tilga, człowiek powinien uważać, czego sobie życzy – stwierdził. – Bo się może spełnić. W tym przypadku już niedługo. Ale nie wiem, czy się to wam spodoba.

Henrick pokręcił głową z przekonaniem.

– Kartzera nikomu się nie podoba. Poza naczelnikiem może – wyjaśnił. – Za blisko ludzi jest to siedlisko złoczyńców. A i fakt jest taki, że chociaż cholernie trudno to zrobić, byli tacy, co im się udało z twierdzy uciec. A wtedy zawsze blady strach padał na Port Cidis, bo wiadomo, że w Kartzerze same najpodlejsze typy z kontynentu siedzą, a tylko nieliczni to chłystki z okolicy, którzy mieli pecha, że tam trafili.

– Rozumiem. – Nie wytrzymał rudy, odstawiając głośno kubek. – Więc pewnie ucieszycie się, jak wam powiemy, że skazańcy całą bandą będą przeniesieni do doliny?

Henrick wytrzeszczył oczy, ale szybko opanował zdumienie.

– Ano... może to i lepiej, że się na coś przydadzą. – Machnął ręką. – Praca w karnym obozie brzmi lepiej niż siedzenie na tyłku w celi.

– Może i tak. – Hunbert wydawał się zaskoczony. – Ale myślałem, że będziecie woleli, żeby to mieszkańcy Aldeny pracowali w kopalniach. Król zamiast płacić okolicznym, wymyślił sobie znacznie tańszą siłę roboczą, a wam odebrał zarobek.

Henrick zaśmiał się cicho pod nosem i westchnął.

– Nie wiem, czy zrobił to świadomie, ale jeśli tak, to nasz król dobrze wyczuł sytuację. Długo by nie znalazł chętnych na robotę w kopalniach. Za dużo się u nas słyszało o potwornościach tego miejsca. A czy zdołacie pozbyć się wszystkich drapieżników, to jeszcze nie wiadomo. Może by i ktoś zdesperowany poszedł do walącej się kopalni, ale jak się coś stanie, to skazańca mniej szkoda niż młodzika, który zechce dorobić na wyjazd z Aldeny.

Rudy przyglądał się karczmarzowi intensywnie.

– Oby nas tam nie wysłali – mruknął.

Drzwi do karczmy otworzyły się i zamaszystym krokiem weszła Lidka z pustym wiadrem. Bez słowa udała się prosto do kuchni. Za nią nieśpiesznie kroczył Ramon Tilga. Na jego pociągłej twarzy malowało się zamyślenie, jakby analizował to, czego przed chwilą doświadczył.

Henrick ustąpił mu miejsca.

Pogadali sobie – pomyślał. – Trochę ich nie było.

Żołnierz usiadł i spojrzał na gospodarza z zainteresowaniem.

– Słowo daję, nieprzeciętna jest ta wasza córka – stwierdził. – Zdaje się, że macie nie lada problem – dodał nieco ciszej.

Henrick zbladł i popatrzył z przestrachem na rozmówcę.

Czyżby Lidka się wygadała? – kotłowało mu się po głowie.

Ramon Tilga wielkodusznie nie kazał mu się dłużej domyślać.

– Córka wyjaśniła mi, że nie mogę liczyć na żadną uprzejmość z jej strony, bo całą sympatię ofiarowała już komu innemu – powiedział, podnosząc do ust kubek, z którego wcześniej pił karczmarz. – Chyba już do nas

nie wyjdzie – stwierdził spokojnie. – Nie zwykłem niepokoić żadnej dziewczyny zalotami, które są jej ewidentnie niemiłe. Nie musi się mnie obawiać.

Henrick wreszcie odzyskał mowę.

– Mam nadzieję, że nie uchybiła w niczym – mruknął nieśmiało.

Tilga machnął ręką.

– Opowiedzcie lepiej, co z tym jej narzeczonym, którym mnie postraszyła – odparł z lekkim uśmiechem. – Czuję, że to niezła historia.

Karczmarz westchnął i usiadł przy stoliku żołnierzy. Opowiadał, a Ramon Tilga słuchał uważnie. Henrick przeczuwał, że ta trójka zostanie jego stałymi klientami.

W tym momencie nie myślał o przyszłości, jaka czekała twierdzę Kartzerę oraz jej więźniów. Nie martwił się o dolinę w Srebrnych Górach czy też Silviamont, jak mawiała Lidka. Pochłonęły go prywatne problemy. Nie interesował go zbyt mocno los więzienia na wyspie, ale trudno mu było uwierzyć, żeby przeniesienie skazańców mogło w jakikolwiek sposób zaszkodzić okolicznym mieszkańcom. Dopiero miał się przekonać, jak bardzo się mylił.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

16 lat później

Słońce nad Dolnym Velde nabrało pomarańczowego odcienia, zalewając rozległe pola uprawne ciepłym światłem. Dla robotników, którzy od rana gięli karki nad czarną ziemią, oznaczało to, że zbliżał się koniec ich pracy. Większość mężczyzn i kobiet zerkała z ukosa na niebo, licząc chwile, które dzieliły ich od powrotu do domu. Niejeden marzył już o misce ugotowanej przez żonę zupy. Co niektórzy zamiast tego widzieli się w tawernie przy kuflu piwa.

Zesztywniałe karki z każdą minutą stawiały coraz większy opór przy próbie wyprostowania się. Ten dzień był naprawdę trudny dla tych, którzy spędzili go na zewnątrz. Niezacienione połacie pól wystawiały robotników na bezlitosne promienie słońca. Przez to nawet najlżejsza praca po chwili stawała się nieznośna.

– Ja pieprzę – burknął jeden z robotników, siadając na gorącej ziemi. Oparł się o spory głaz, którego nikt nie potrafił usunąć ze środka pola, i otarł spocone czoło. Zamknął oczy i delektował się chwilą odpoczynku. – Co za tydzień – kontynuował narzekanie, choć wyglądało na to, że żaden z pozostałych robotników nie zwraca na niego uwagi. – I pomyśleć, że mogłem zostać kapłanem – mówił coraz głośniej. – Siedziałbym sobie w zacienionej biblioteczce, popijał wino z chłodnej piwniczki i tylko raz na jakiś czas walnąłbym parę ukłonów Fairowi. A tak? Wielki herold nie słucha maluczkich, a kapłanom jakoś nie spieszy się za nami wstawiać.

– Nie bluźnij, Rod! – warknął mężczyzna, który znajdował się najbliżej zmęczonego robotnika.

Roderik spojrzał na towarzysza z poirytowaniem.

– Modlę się! Coś nie tak? – odfuknął wyzywająco.

Olafowi nie trzeba było więcej, wyprostował się więc z westchnieniem bólu i łypnął na towarzysza ze złością, besztając go:

– Nie drwij sobie, smarkaczu!

Kilkoro pracujących w pobliżu robotników uśmiechnęło się na te słowa. Nazywanie Roda smarkaczem było dość zabawne, zważywszy, że był on jednym z najstarszych mieszkańców okolicy. Jednak z racji tego, że Olaf był jeszcze starszy, często używał w kłótniach obelg odnoszących się do wieku towarzysza. A sprzeczki między nimi zdarzały się praktycznie codziennie. Olaf miał ponad osiemdziesiąt lat i na pola przychodził właściwie tylko z nudy. Mógł się utrzymać, wykonując kosze z wikliny, czym zajmował się każdej zimy, ale nade wszystko lubił aktywność fizyczną i wolał spędzić upalny dzień razem z innymi pracownikami na polu, niż pracować samotnie w domu. W swojej filozofii był jednak odosobniony. Większość robotników, którzy zatrudniali się na farmach, miało zupełnie inne podejście. Były to głównie młode osoby, spragnione szybkiego zarobku, by zaraz potem móc wyjechać do miasta. Drugą część stanowili ludzie, którym już zdążyło nie powieść się w mieście i zostało im obrabianie pola u któregoś z właścicieli ziemskich.

Olaf nie należał do najspokojniejszych, ale inni robotnicy darzyli go sympatią, mimo jego uporu i dość częstego ulegania emocjom. Większość współpracowników traktowała go z przymrużeniem oka, a jego nawyki były dla nich raczej powodem do żartów niż nerwów. Znany był ze swojej głębokiej wiary. Choć sam miał niewiele, regularnie wspomagał datkami szkołę i klasztor, które znajdowały się na wyspie. Do kwestii religii podchodził bardzo poważnie. Roderik dobrze o tym wiedział, toteż jego ulubionym zajęciem było prowokowanie staruszka. Nie nudziło mu się to prawie nigdy. Trudno było o bardziej podatnego na zaczepki

człowieka niż Olaf. Wystarczyło niewiele, aby ten rzucał wszystko i stawał w obronie swoich przekonań.

– Wiesz? – zaczął Rod z wyrazem zastanowienia na twarzy. – Chyba oskarżę cię o prześladowanie na tle religijnym.

– Znowu zaczynacie? – za ich plecami padło pytanie wypowiedziane dźwięcznym, żywym głosem.

Obaj mężczyźni zerknęli przez ramię, by spojrzeć na dziewczynę, która włączyła się w ich dyskusję.

– To ty – burknął Rod z jeszcze kwaśniejszą miną niż do tej pory.

Nie lubił jej. Jednak zdawało się, że Rod nie lubił nikogo poza samym sobą, dlatego też jego niechęć niewiele znaczyła dla innych.

Twarz Olafa minimalnie się rozluźniła, ale tylko na chwilę. Wbił wzrok w ziemię i wrócił do pracy. Starał się, aby jego głos zabrzmiał ostro, kiedy zadał pytanie:

– Gdzie ty się podziewałaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i usiadła na kamieniu, o który opierał się Roderik.

– Tam, gdzie zwykle. Pracowałam.

Staruszek zerknął krótko na rozmówczynię i to wystarczyło do stwierdzenia, że wyglądała zupełnie zwyczajnie. Przynajmniej jak na nią. Lnianą koszulę wpuściła w mocno znoszone skórzane spodnie. Widać było, że jej ubranie przeżyło już niejedną naprawę i szycie. Na wysokości klatki piersiowej materiał znaczyło kilka odbarwień. Olaf wiedział, że to ślady po niedopranej zwierzęcej krwi. Najporządniejszą częścią jej garderoby były buty kupione na wiosnę w Port Cidis – proste, ale bardzo solidnie wykonane. Niemal sięgały kolan, miały metalowe sprzączki na wysokości kostek i były stanowczo za ciepłe na panującą pogodę. Idealnie jednak nadawały się na leśne wypady, które z ochotą podejmowała dziewczyna.

– Polowanie się udało? – zapytał, grymasem ostentacyjnie okazując, że niewiele go to obchodziło.

Dziewczyna zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na wrogość, jaką okazywał jej staruszek. Była już przyzwyczajona do tego, jak ją traktował. Wiedziała, że tak naprawdę Olaf ją uwielbiał. Ona natomiast całkowicie odwzajemniała tę sympatię. Miała świadomość, że został wychowany według starej szkoły i okazywanie czułości postrzegał jako słabość i rozpieszczanie. Za bardzo mu na niej zależało, aby mógł przyczynić się do jej i tak zbyt niepoważnego, jak na jego standardy, prowadzenia się.

– Mamy sporo drobnego zwierza, ale trafił nam się piękny jeleń. – Ostatnią informację przekazała z wyraźnym podekscytowaniem. – Benn zaniesie poroże do miasta.

– Jeleń? – wtrącił się Rod, zerkając na siedzącą nad nim postać. – I po to szliście taki kawał na drugą stronę wyspy? Przecież kopytniaki ciągle zostawiają ślady na polach, co niechybnie oznacza, że można je ustrzelić za rogiem.

Dziewczyna spojrzała na niego nieprzyjemnie. Nie lubiła Roda za jego podły charakter i za to, jak traktował Olafa. Nie miał pojęcia o myślistwie, podobnie jak o wielu innych dziedzinach. Nie przeszkadzało mu to jednak w wymądrzaniu się na temat wszystkiego i wszystkich.

– Może zajmij się pracą, zamiast martwić się o moją? – rzuciła, po czym zwróciła się do Olafa znacznie przyjemniejszym głosem. – Szykuj się na jeleninę.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się lekko i po raz pierwszy zatrzymał na niej wzrok nieco dłużej.

Poczuł znajome ukłucie w sercu. Czasem bardzo żałował, że Sheila urodziła się kobietą. Te nie miały łatwo, a staruszek drżał na myśl o tym, że ktoś mógłby źle potraktować jego ulubienicę. Gdyby była mężczyzną, ze swoimi zainteresowaniami potrafiłaby o siebie zadbać i przynosiłaby dumę każdemu ojcu. Za to jej swobodne obycie i brak dobrego matczynego wzoru do naśladowania, prędzej czy później musiały sprowadzić na nią nieszczęście. Był tego pewien. To, że zostanie starą panną, było praktycznie przesądzone. Zastanawiał się, czy Sheili uda się znaleźć

swoje miejsce we wsi, jeśli nie będzie miała męża. Podejrzewał od dawna, że przymus samodzielnego utrzymania się wygoni ją do miasta. Tym samym rozumiał, że pisane mu było rozstanie z nią. Lecz najgorsze było to, że miał pewność, iż w mieście nie mogła być szczęśliwa.

Olaf, który całe życie spędził na wsi, miał głębokie przeświadczenie o tym, że żywot poza nią był zepsuty i ułomny. On sam nie wyobrażał sobie porzucenia znanego kawałka świata, który wystarczał mu aż nadto. Nigdy nie rozumiał, jakie demony kierowały ludźmi, którzy z własnej woli porzucali znany teren. Sporo lat przeżył i wiele się nauczył, ale Sheila wymykała się zrozumiałym dla niego standardom. Dlatego nie wyobrażał sobie, jak mogłaby zaznać spokoju i bezpieczeństwa tak niepoukładana w jego mniemaniu dusza.

– Benn zaprasza? – zapytał po chwili milczenia.

– Odwiedzimy cię, jak skończymy oprawiać zwierzęta – wyjaśniła.

Spojrzał na nią krytycznie.

– Myślisz, że nie dam rady wejść pod tę waszą górkę?

Sheila zaśmiała się ciepło.

– Szczerze?

Nie odpowiedział, tylko znowu się nieco skrzywił. Tym razem z powodu pulsującego bólu, który poczuł w kręgosłupie. Dziewczyna podeszła i położyła mu rękę na wątłym ramieniu.

– Muszę iść. Odprowadziłabym cię do domu, ale Benn nie lubi, kiedy wracam po zmroku. – Przewróciła oczami. – Wyrwałam się, bo chciałam się przywitać.

– Akurat tutaj Benn ma absolutną rację – zareagował szybko staruszek i zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

Ufał myśliwemu w wielu kwestiach. Zgadzali się w sprawach religii, co działało bardzo na korzyść Benna, a także obaj byli przyjaciółmi ojca Sheili. Po śmierci Joahima staruszek chciał wziąć dziewczynę do siebie, do Dolnego Velde. Benn, który mieszkał z Sheilą i jej ojcem przez kilka lat, stanowczo upierał się przy tym, aby jedenastoletnia wtedy

dziewczyna została z nim. Olaf przystał na to, choć nie bez obaw. Właściwie, gdyby mógł, siłą zabrałby ją ze sobą. Jednak Sheila nie wyobrażała sobie opuszczenia leśniczówki.

Nadopiekuńczość wobec córki Joahima nie dawała starcowi spokoju. Gdyby ta nie odwiedzała go dość często, prawdopodobnie urządziłby jednoosobowy szturm na drewniany domek myśliwego, żeby sprowadzić ją do bezpiecznej przystani. Podejrzewał nawet Benna o niestosowne zamiary wobec tej młodziutkiej istoty. Wszystko to jednak okazało się bezpodstawne.

– No to leć – powiedział i machnął niedbale ręką na pożegnanie. – Ale przyjdźcie niedługo, bo zwariuję tu z tym bezbożnikiem.

Rod, który próbował uciąć sobie drzemkę z głową opartą o kamień, poruszył się nagle i spojrzał na towarzysza. Po chwili zastanowienia zrezygnował jednak z dyskusji. Wzruszył ramionami i przekręcił się nieco, by usiąść tyłem do pozostałych. Po chwili rzeczywiście usnął w przyjemnym cieple zachodzącego słońca.

* * *

Sheila mieszkała w leśniczówce na skraju lasu porastającego północną część wyspy. Teren ten znajdował się wyżej i przylegał do Silviamont, zwanego przez wieśniaków Górami Srebrnymi. Żeby wrócić do domu z sąsiadujących z Dolnym Velde pól, dziewczyna musiała pokonać niezbyt długą, ale dość stromą trasę. Wzdłuż niej rozciągały się pola uprawne, rolnicy dbali więc, by droga była szeroka i dokładnie utwardzona. Jednak nawet te wysiłki nie mogły zniwelować różnicy wysokości. Do Górnego Velde szło się więc powoli, bo pod górę. Sąsiadujące ze sobą wsie oddzielał niewielki zagajnik, który stanowił miejsce zabaw okolicznej młodzieży.

Słońce prawie całkiem schowało się za horyzontem. Niebo było fioletowe, a okolica powoli pogrążała się w półmroku. W oddali majaczyło ognisko, które rozpalili wieśniacy po skończonej pracy.

Sheila usłyszała kroki bardzo blisko siebie. Odwróciła się szybko i już trzymała dłoń na łuku, gdy zorientowała się, komu zawdzięcza ten nagły skok adrenaliny.

– Saebe... – mruknęła. – Czemu się skradasz?

Choć chłopak był o rok starszy od Sheili, wyglądał znacznie mniej poważnie niż ona. Był chudy i od razu dało się zauważyć, że nieszczególnie zaprzątał sobie głowę takimi przyziemnymi sprawami jak porządne ubranie czy higiena.

– Wystraszyłem cię? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Dopiero co wróciłam z polowania – usprawiedliwiła się, w głębi ducha czując jednak lekki wstyd, że okazała strach przed kimś tak niepoważnym jak Saebe. – Wzięłam cię za zwierzę.

Chłopak zaśmiał się.

– Trochę jestem zwierzakiem.

Dziewczyna przewróciła oczami. Takie marne teksty były zupełnie w jego stylu. Przyzwyczaiła się do tego, że miała stałego kompana w jego osobie i nie robiło to już na niej wrażenia. Nie uważała go za wybitnie rozsądnego człowieka. Czuła jednak do niego jakiś rodzaj przywiązania, a nawet współczucia. Wiedziała, że głupie zachowanie Saebe, będące powodem do żartów ze strony okolicznych mieszkańców, miało swoje źródło w niezbyt radosnej historii chłopaka. Jego ojciec był zwykłym nierobem i pijaczyną. Tylko ze względu na pracowitość matki chłopaka i miękkie serce sąsiadów rodzina ta mogła mieszkać we wsi i pracować na okolicznych polach. Saebe dostawał regularny łomot od ojca, kiedy ten wracał z tawerny, a więc praktycznie codziennie. Raz, a może kilka razy, pan domu musiał dzieciaka uderzyć w głowę za mocno, bo Saebe nie był zupełnie normalny.

Gehenna skończyła się, dopiero kiedy wracając nocą z gospody, ojciec chłopaka natknął się na stado wilków. Dziecięcy oprawca zakończył swój proceder, ale szkody, jakie wyrządził synowi, były nieodwracalne.

– Co słychać? – zapytała Sheila, kiedy razem ruszyli w stronę zabudowań.

– Przegapiłaś transport – odparł szybko.

Uśmiechnęła się.

– Jakoś to przeżyję.

– Tym razem było mało wozów. Tylko dwa. Chyba dużo butelek wieźli, bo dzwoniło szkło, jak przejeżdżali przez wieś. Prowadzili też jednego więźnia. Krzyczał i prosił, żeby się zlitowali. – Mówiąc to, Saebe wzdrygnął się.

Sheili to nie zdziwiło. Dobrze wiedziała, jakim przerażeniem napawała kolegę myśl o dolinie kryjącej się za pasmem Silviamont. Choć nie lubiła tego przyznawać, sama również odczuwała respekt przed tym miejscem o niezbyt zachęcającej nazwie – Kazamaty – pochodzącej od nazwiska odkrywcy metalu, który można było znaleźć w skałach.

Szli powoli, rozmawiając o tym, co działo się podczas nieobecności Sheili. Dla Saebe zwyczajne rzeczy miały nieproporcjonalnie wielkie znaczenie, ale taki już był. Lubił spędzać czas z ludźmi, choć większości działał na nerwy swoim ograniczeniem umysłowym. Mało kto okazywał mu cierpliwość, ale on sam zdawał się tym nie przejmować. Sheila podejrzewała, że mając od dziecka do czynienia z pogardą dla swojej osoby, chłopak po prostu się przyzwyczaił.

Opowiadał jej o tym, co widział w ostatnim transporcie do doliny, a Sheila patrzyła, jak na ciemniejącym niebie coraz wyraźniej rysował się księżyc. Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań Górnego Velde, zeszli z głównej drogi i ruszyli w stronę lasu. Z tego miejsca było już widać przełęcz i skalny łuk, pod którym znajdowała się jedyna niewymagająca wspinaczki droga do Kazamatów.

Saebe zajął się szczegółowym streszczaniem tego, co wyprawiał jego sąsiad ze swoim nieodłącznym przydupasem, Sheila natomiast słuchała go jedynie pobieżnie, zerkając na skalny łuk w oddali.

Miała sześć lat, kiedy żołnierze z kontynentu zaczęli masowo napływać na Aldenę i urządzać eskapady do doliny w celu oczyszczenia jej z bestii. Było sporo łowczych i myśliwych, których kusił szybki zarobek.

Za głowę każdego potwora leśnego należała się wypłata z królewskiego skarbca. Na jednym ze statków przypłynął też Benniamin Vetts. Młody myśliwy szybko jednak zorientował się, że w dolinie znacznie łatwiej było o śmierć niż sensowny pieniądz. Poprzestał więc na zaopatrywaniu innych śmiałków w strzały, a sam trzymał się bezpiecznego płaskowyżu.

Pomarańczowe chmury na zalesionym horyzoncie ciemniały szybko i po chwili nabrały fioletowego odcienia. Sheila wciągnęła powietrze pełną piersią, ale szybko tego pożałowała, bo mijali właśnie gospodarstwo Dessdertów. Graham Dessdert był jedynym w okolicy hodowcą zwierząt. Reszta Velde już dawno nastawiła się jedynie na uprawę roli, przez co małe, przydomowe gospodarstwa zaczęły podupadać. Graham i Benn lubili się, mimo że w pewien sposób stanowili dla siebie konkurencję. Obaj zaopatrywali okolicę w mięso, choć trochę innego rodzaju. O ile ci dwaj dogadywali się naprawdę dobrze, o tyle Sheila i syn Grahama od lat szczerze się nie znosili.

– Zobacz, tu też już skończyli. – Saebe pokazał palcem wracającą z pola rodzinę.

Dla Sheili nie było to aż tak pasjonujące odkrycie jak dla jej towarzysza, ale nauczyła się traktować go z wyrozumiałością.

Chlew, który mijali, przypomniał jej o Krissie, synu Grahama Dessderta.

– Jak sobie radziłeś, kiedy mnie nie było? – zapytała, marszcząc brwi. – Kriss bardzo się ciebie czepiał?

Saebe wzruszył ramionami.

– Nie – odparł swobodnie. – Nie widywałem go często. A jak był tam, gdzie ja byłem, to mnie jakby nie zauważał.

– Ma szczęście – mruknęła pod nosem i poprawiła łuk na plecach.

Saebe był chłopakiem, w dodatku starszym, ale Sheila wiedziała, że mimo szczerych chęci nie był w stanie jej obronić. Kilka razy oberwał, kiedy chciał odpłacić Krissowi za obelgi na temat podopiecznej Benna. Znacznie skuteczniej za to Sheila broniła się sama. Nieraz używała siły, aby przekazać Krissowi, co o nim myślała. Odkąd jednak skończyli po

dziesięć lat, nie doszło między nimi do typowej bójki. Kiedy byli dziećmi, zostali przyłapani na bijatyce i zarówno ojciec Sheili, jak i Graham bardzo wyraźnie dali do zrozumienia dzieciakom, że taka sytuacja ma się nie powtórzyć. Sheila, choć miała nieco buntowniczą naturę, to z szacunku do Benna więcej nie dała się sprowokować. Sam Kriss również przestał zaczepiać ją fizycznie, dorastając i uznając, że bójka z dziewczyną była wstydem, a nie zaszczytem. Od tamtej pory poprzestawali głównie na potyczkach słownych, chociaż Sheili czasami potrafiło się wymsknąć coś ciężkiego na jego nogę. Nie całkiem przypadkowo, rzecz jasna.

Przed nimi widać już było leśniczówkę na tle zagajnika. Sheila słuchała kolejnej opowieści Saebe, o tym jak jeden z okolicznych dzieciaków zsikał się w spodnie na polu, bo jego ojciec kazał mu dokończyć zbieranie ziemniaków ze swojego rządka. Sheila uśmiechnęła się raz czy dwa. Kiedyś wieśniacy przerażali ją wybuchowością i stanowczością, ale potem uznała, że tylko niektórzy z nich byli durniami przeczulonymi na punkcie swojego autorytetu.

– Benn jest – powiedział Saebe, choć nie było to potrzebne, bo Sheila doskonale widziała swojego opiekuna rozpalającego ognisko przed chatą.

Mężczyzna podniósł na nich wzrok tylko na chwilę, szybko zwracając uwagę z powrotem na stosik drewna przed sobą.

– Cześć – przywitał się Saebe entuzjastycznie.

Nauczył się od Sheili traktować Benna swobodnie. Widocznie nie przyszło mu do głowy, że może to być odczytane jako brak szacunku do starszego. Benn jednak miał jeszcze więcej cierpliwości do młodego dziwaka niż Sheila i nigdy nie zwrócił mu za to uwagi.

– Cześć – odparł z uśmiechem, a potem zwrócił się do Sheili. – Jesteś wreszcie. – W jego głosie nie było zniecierpliwienia. – Myślałem, że sam będę musiał wszystko obrobić.

Dziewczyna rozejrzała się. Po zwierzynie, którą upolowali przez ostatnie kilka dni, zostały tylko plamy krwi w trawie. Najwidoczniej Benn załadował wszystko do komórki.

– Chciałam zobaczyć się z Olafem – powiedziała z przepraszającą miną. – Spieszyłam się. Zamieniłam z nim jedynie kilka zdań.

Benn nie odpowiedział, bo zaczął mocno dmuchać w drewno, które po kilku sekundach zajęło się nieśmiałym ogniem. Saebe jako pierwszy usiadł na trawie i wyciągnął przed siebie spracowane dłonie. Sheila najpierw pomogła Bennowi ustawić rożen z nabitym zającem, a dopiero potem usiadła obok kolegi. Po chwili woń pieczonego mięsa wywołała burczenie w jej brzuchu.

Mijały kolejne minuty. Tym razem to ona opowiadała, a Saebe słuchał z zaciekawieniem. Mówiła o polowaniu. Nie było to dla niej aż tak ekscytujące przeżycie jak na początku, ale wciąż uwielbiała wypady do lasu. Dopiero trzy lata temu Benn zaczął ją ze sobą zabierać. Zanim przekroczyła dwudziestkę, zajmowała się jedynie obrabianiem jego zdobyczy w domu.

– Wtedy uznaliśmy, że lepiej się rozdzielić – mówiła, wyciągając przed siebie nogi. – No i cały dzień siedzieliśmy w krzakach, kilkadziesiąt metrów od siebie. Ale żadne z nas nawet nie zaszeleściło. Myślałam, że mi kręgosłup pęknie. Benn mówi, że źle wyważyłam pozycję.

– Poćwiczymy – powiedział cierpliwie jej opiekun.

Sheila spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

Był niższy od niej i dość korpulentny. Niewiele się odzywał, a kiedy już to robił, mówił dokładnie to, co miał do przekazania. Jego wypowiedzi były klarowne i zwięzłe, nieokraszone zbędnymi szczegółami. Sheila zazdrościła mu nieco tego stylu wypowiedzi.

– W końcu pod wieczór pojawił się jeleń – kontynuowała, obserwując zaciekawione spojrzenie Saebe. – Poroże miał ogromne. Oczami wyobraźni widziałam już stos złota, które byśmy za nie dostali.

– Nigdy nie dziel skóry na niedźwiedziu – wtrącił się Benn, jak zwykle wykorzystując każdą okazję, by nauczyć czegoś swoją podopieczną.

Uśmiechnęła się pod nosem. Znała te zwięzłe sentencje i powiedzenia, którymi ją raczył. Szczególnie często przypominał jej właśnie prze-

strogę o niedźwiedziu, ponieważ uważał, że miała tendencję do zbyt szybkiego wyciągania wniosków i składania nieostrożnych deklaracji.

Musiała przyznać, że coś w tym było. Ale należało oddać jej sprawiedliwość, że choć często żałowała swoich obietnic, to zawsze honorowo ich dotrzymywała.

Zając jednolicie nabierał kolorów i pachniał coraz bardziej intensywnie. Benn był nie tylko dobrym myśliwym, ale i świetnym kucharzem. Nawet w środku lasu potrafił przygotować rewelacyjną zupę z kwiatów dzikiej róży i jagód. Jego popisowym daniem w dziczy były przepiórki natarte aromatycznym korzeniem mitru leśnego, jeżynami i liśćmi pieprzowej pokrzywy. Do tego dorzucał kilka zebranych po drodze ziół i długo opiekał. Jego złota zasada głosiła: minimum ognia, maksimum dymu.

Niestety rzadko mieli możliwość spożywać na polowaniach takie uczty. Jednak Benn potrafił stworzyć przepyszne danie nawet z jaszczurek, węży i ryb, więc w puszczy nigdy nie głodowali.

Jeden z przyklejonych do zająca listków laurowych odpadł i szybko spłonął w ogniu. Sheila podciągnęła kolana pod brodę i w milczeniu patrzyła w ognisko. Benn cierpliwie słuchał o tym, co działo się w Velde pod jego nieobecność. Saebe nie szczędził mu żadnych szczegółów. Dopiero kiedy doszli do tematu Krissa Dessderta, dziewczyna drgnęła i uniosła nieco głowę.

– Stary Parohal mówił, że Kriss podpytywał go o tę łąkę za stawem – tłumaczył Saebe, grzebiąc kijem w ognisku. – Mówią, że ojciec Krissa rozgląda się za ziemią dla swojego bydła, bo już nie ma go gdzie wypasać. Stary Parohal mówi, że jak nic będą kupowali kolejne sztuki do zagrody. – Saebe powtarzał słowo w słowo to, co usłyszał od innych. Sam nie był najlepszy w wyciąganiu wniosków.

Benn pokiwał głową.

– Faktycznie, na to wygląda. Graham rozgląda się teraz i kupi ziemię późną jesienią, kiedy pola nie będą przynosiły urodzaju. Wtedy Parohal sprzeda ją chętniej i za mniejsze pieniądze – wytłumaczył spokojnie.

Sheila wtrąciła się z lekkim przekąsem.

– A na wiosnę będzie miał łąkę dla nowej trzody. Cwany lis – prychnęła.

Benn uśmiechnął się pod nosem. Sam bardzo lubił Grahama Dessderta i obu ich szczerze bawiła niechęć, jaką od dziecka przejawiali ku sobie ich podopieczni.

– To rozsądne podejście – pouczył ją. – Ale istotnie można też to nazwać sprytem. Jeśli Parohal miałby odrobinę oleju w głowie, przetrzymałby kupca do wiosny. Ale to już jego sprawa, że jest w gorącej wodzie kąpany i nie potrafi niczego przewidzieć – wyjaśniał łagodnie, przekręcając ruszt. – Skończyłabyś z tym swoim śmiesznym uprzedzeniem.

Sheila zacisnęła usta. Nie zamierzała się wykłócać, bo tym samym potwierdziłaby diagnozę Benna. Starała się chociaż trochę nie znosić Grahama Dessderta, bo wtedy łatwiej było jej być nieprzyjemną dla jego syna. Pamiętała też, że kiedy Kriss był dzieckiem, to ze swoim przygłupimi koleżkami naprzykrzali się Bennowi, rzucając w leśniczówkę błotem i wzywając Sheilę do stawienia im czoła.

– Wygląda na gotowe – poinformował z zadowoleniem łowczy, sięgając po duży nóż i zatapiając go w pieczonym mięsie.

Jedli niespiesznie w ciemności, którą zakłócał jedynie ogień i blady sierp księżyca nad lasem. I jeszcze jedna rzecz, do której wszyscy z okolicy zdążyli się przyzwyczaić. Była to bijąca z niedalekich Gór Srebrnych poświata: blada, jasnozielona, przypominająca o tym, że obok sielskiego Velde żyją potwory.

* * *

Tydzień, który dzielił Sheilę od kolejnego dłuższego wypadu do lasu, ciągnął się, jakby trwał co najmniej miesiąc. Benn wychodził o świcie polować w okolicy, a Sheila zajmowała się obdzieraniem ze skóry tego, co pochwycił poprzedniego dnia.

Kiedy rano wyszła na zewnątrz, słońce było wystarczająco wysoko na niebie, by myśliwy posłał jej dezaprobujące spojrzenie.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że codziennie wstajesz tak późno? – powiedział na przywitanie.

Przez chwilę była zmieszana, ale szybko wzruszyła ramionami.

– Źle spałam – mruknęła w odpowiedzi. – Myślałam, że jesteś na polowaniu.

Benn westchnął, sięgając po kolejnego królika, którego zamierzał obedrzeć ze skóry.

– Vittos od jakiegoś czasu męczy mnie o dostawę. Kończą mu się zapasy dla robotników – wytłumaczył. – Do tego muszę wreszcie dostarczyć to poroże, które obiecałem Fernandowi. Leży w szopie, zamiast wisieć na jego straganie. – Wskazał na niewielką dobudówkę przy leśniczówce. – Od wczoraj zanosi się na burzę, więc i tak nie pójdę do lasu. To dobry dzień na załatwienie spraw w Dolnym Velde.

Sheila podeszła i usiadła obok opiekuna. Sięgnęła po bażanta z zamiarem wypatroszenia go.

– Powiedziałbym ci to wszystko wczoraj, ale wróciłaś, jak już spałem.

Nie speszyła się, tylko wzruszyła ramionami.

– Wybacz – mruknęła, nie patrząc na niego. – Ognisko na łące się przeciągnęło.

– Więc urodziny Erinn się udały? – dopytał Benn.

Sheila kiwnęła głową.

– Rzeczywiście było was tak dużo, jak zapowiadaliście?

Uśmiechnęła się.

– To urodziny Erinn. Byli wszyscy z okolicy.

Benn spojrzał na podopieczną badawczo.

– Nie zmieniłaś zdania? – zapytał nagle. – Do twoich urodzin jeszcze sporo czasu, więc zdążysz przekonać kogoś poza Saebe, żeby przyszedł.

Dziewczyna posłała mu krzywy uśmiech, a myśliwy zaśmiał się i westchnął.

– I tak mam lepszą imprezę niż ty – rzuciła z przekąsem. – Przynajmniej mam jakiekolwiek ognisko urodzinowe.

Benn wzruszył ramionami.

– To dobre dla dzieciaków – stwierdził.

– Ta, jasne – prychnęła. – Odezwał się dziadek.

Benn miał czterdzieści lat. Jego niewysoki wzrost, dość krępa figura i okrągła twarz bez zarostu sprawiały, że wyglądał znacznie młodziej. Nie miał ani jednego siwego włosa w swojej jasnobrązowej czuprynie. Sheila tłumaczyła to wybitnie cierpliwym i spokojnym charakterem opiekuna, który po prostu nigdy nie martwił się o nic zbytnio.

– Erinn spodobał się prezent? – Benn zmienił temat.

Sheila kiwnęła głową.

– Od razu się domyśliła, że to ty go wybierałeś – mruknęła. – Kazała przekazać podziękowania.

Benn uśmiechnął się nieznacznie i kontynuował pracę przy zającu.

– Jak będę w Dolnym Velde, przyjdzie tu któryś z Dessdertów – podjął po chwili milczenia. – Jadą dziś do Port Cidis ze swoim towarem i obiecali zawieźć poroże dla Fernanda. Jest w szopie na...

– Tak, wiem – przerwała mu. – Ciągle muszę je przekładać z miejsca na miejsce, żeby cokolwiek znaleźć.

Benn wyprostował się na chwilę i spojrzał na niewielką przybudówkę, którą ojciec Sheili wykonał, zanim myśliwy pojawił się w chacie.

– Powinniśmy to w tym roku rozbudować – westchnęła dziewczyna. – Powoli brakuje nam miejsca na trofea.

Benn machnął ręką.

– To przejściowe – stwierdził. – Odkąd polujemy razem, mamy lepszą wydajność, ale przecież to nie będzie trwało wiecznie.

Sheila spuściła wzrok na swoje umazane krwią ręce. Nie lubiła, kiedy jej opiekun poruszał ten temat. Coraz częściej przebąkiwał o tym, że jest już dorosła i lada moment opuści leśniczówkę.

W obliczu jej milczenia Benn postanowił nie ciągnąć tematu. Przez chwilę słychać było tylko śpiew ptaków i jazgot owadów, które coraz leniwiej latały w koniczynie nieopodal. Wszyscy w okolicy przeczuwali, że zbliżał się koniec upałów. Gorące dni szybko dogasały. Ostatnia burza miała być wstępem do fali ochłodzenia, które Olaf odczuwał w kościach, a mama Saebe w kartach, które z lubością rozkładała na stole. Jednak w momencie, w którym wywróżyła Sheili pięknego męża rzekomo „otoczonego zwierzętami", zniechęciła dziewczynę do jakiegokolwiek przepowiadania przyszłości. Tak naprawdę, ku irytacji Sheili, wszyscy znajomi wyczekiwali jej ślubu z Krissem. Zwłaszcza Erinn uważała, że to niezwykle romantyczne, kiedy miłość rodzi się z nienawiści. Sheila puszczała takie uwagi mimo uszu, podobnie jak wymyśloną wróżbę mamy Saebe.

Wiele wskazywało na to, że jedyną wróżbą, która miała się w jej życiu spełnić, była jękliwa przestroga Olafa, który z przekonaniem twierdził, że jeśli Sheila nie przestanie wydziwiać, to z całą pewnością zostanie starą panną.

* * *

Z każdą godziną upał się nasilał, a po południu, tak jak przewidział Benn, zaczęło padać. Sheila nie miała zbyt dużo pracy, więc bez problemu uwinęła się ze wszystkim przed deszczem. W innych okolicznościach wybrałaby się do lasu albo ruszyła za Bennem do Dolnego Velde i odwiedziła Olafa lub Erinn. Ale nie tylko pogoda jej nie sprzyjała. Musiała też czekać na któregoś z Dessdertów, mającego pojawić się w sprawie poroża.

Zamknąwszy dokładnie drzwi i okna, usiadła przy stole i wyciągnęła zestaw do ćwiczenia kaligrafii. Jej ojciec nie przykładał do tego zbyt dużej wagi. Za to Benn, odkąd tylko pojawił się w ich domu, katował ją wykładami o tym, jak ważne jest wykształcenie. Niezbyt podobało jej się gięcie karku nad pergaminami, choć w krzakach na polowaniu nie

miała z tym problemu. Przepisywała bestiariusze i starała się odwzorować ilustracje przedstawiające zwierzęta. O ile pierwsza część wychodziła jej z trudem, o tyle druga nie wychodziła jej w ogóle. W całym swoim życiu Sheila potrafiła narysować jedynie kwiatek, słońce i konia. Z tym że koń ten zawsze miał patykowate nogi i wyłupiaste spojrzenie.

Jak zwykle szybko się zniechęciła i odłożyła pióro. Spojrzała z niezadowoleniem na zalane okno. Krople dudniły o szybę i drewniany dach. Z kąta dobiegało irytujące kapanie wody do przygotowanego wiadra.

Powinniśmy to naprawić – pomyślała i poczuła lekki ucisk w gardle.

Należało wyremontować leśniczówkę. Przede wszystkim rozbudować szopę i dostawić jeden pokój dla niej. Do tej pory sypiała w oddzielonym piecem i szafą kącie, gdzie mieściło się tylko wąskie łóżko i mała skrzynia na jej prywatny dobytek. Ale potrzebowała pokoju. Oboje to czuli. Benn jednak zdawał się wciąż wierzyć, że jego podopieczna lada moment się od niego wyprowadzi. Miała dwadzieścia trzy lata, więc spokojnie mogła wyjść za mąż. Problem w tym, że nie miała na to ochoty.

Spojrzała na swoje odbicie w mokrym oknie. Szczupła twarz wydawała jej się całkiem zwyczajna. Normalne usta, normalny nos. Wyraziste kości policzkowe i duże, bardzo ciemne oczy. Te oczy właściwie jej się podobały. Erinn czasem mówiła, że są nieco zbyt chłodne, cokolwiek to znaczyło. Prawdopodobnie miała na myśli to, że Sheila powinna się częściej śmiać i patrzeć na ludzi łagodniejszym wzrokiem. Uśmiechnęła się do swojego bladego odbicia, ale deszcz zniekształcił ten obraz. Odgarnęła z ramienia ciemnobrązowy warkocz, który też miał chłodny odcień i westchnęła.

Mogła odejść z leśniczówki, ale tylko z Bennem. Czasem marzyło jej się podróżowanie, opuszczenie Aldeny i poszukanie szczęścia na kontynencie. Zwłaszcza odkąd skończyła się druga wojna z Darrethanem, ten pomysł był naprawdę sensowny. Dopóki trwały walki, wyspy były stosunkowo bezpieczne.

Sheila pochyliła się i ułożyła na stole, wtulając głowę w ramiona. Czuła, że zbliżał się dla niej trudny czas. Musiała przetrwać te kilka lat, kiedy wszyscy będą oczekiwać od niej zamążpójścia. A kiedy już oficjalnie uznają ją za starą pannę, odpuszczą i dadzą jej spokój. Wtedy razem z Bennem rozbudują leśniczówkę i szopę.

* * *

Ocknęła się nagle, czując lekkie zesztywnienie karku. Poruszała ostrożnie szyją i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, co ją obudziło. Ponownie rozległo się stukanie do drzwi. Wstała, wciąż nie do końca przytomna podeszła bliżej. Kolejny odgłos był silniejszy. Ktoś zaczął walić z całej siły.

Zniecierpliwiona odryglowała wejście, gotowa wygarnąć Krissowi brak manier. Zanim jednak zdążyła powiedzieć cokolwiek, mężczyzna, który stał na zewnątrz, wysapał z ulgą:

– Bogom niech będą dzięki.

Sheila cofnęła się o krok i spojrzała na nieznajomego. Był szczupły i dobrze ubrany. W znoszonym pomarańczowo-bordowym dublecie wyglądał na mieszczanina. Jasnobrązowe włosy miał związane w koński ogon. Choć już nie padało, na jego ramionach i czole widniały wilgotne plamy od skapujących z dachu kropel.

– Moja siostra jest chora – wytłumaczył i pokazał za siebie, gdzie stał drugi mężczyzna. – Gorączkuje i majaczy.

Odsunął się, żeby pokazać Sheili swoich towarzyszy. Dziewczynka, drobna blondyneczka, na oko ośmioletnia, spoczywała w szerokich ramionach drugiego mężczyzny. Był on starszy, wyższy i zdecydowanie mniej przyjemny od młodzieńca. Patrzył na Sheilę małymi oczkami spod zmarszczonych brwi.

Wszystkie te obserwacje zajęły jej najwyżej dwie sekundy. Wyglądało na to, że tylko na tyle jej rozmówca umiał się powstrzymać od gadania.

– Mamy pieniądze – rzucił, przyglądając się jej błagalnie. – Proszę, nocowaliśmy w lesie. Dostała gorączki, ale dawała radę. Za to dzisiaj jest z nią naprawdę źle. Straciła przytomność i tylko coś mamrocze.

Sheila odsunęła się, żeby ich wpuścić, z czego od razu skorzystali.

– W piecu jeszcze się żarzy – powiedziała, podchodząc do dziewczynki, którą położyli na łóżku Benna.

Była blada i miała zamknięte oczy. Do tego lekko się trzęsła i pojękiwała.

– Spokojnie, mała – powiedziała Sheila najłagodniej, jak potrafiła, czując, że obaj mężczyźni stali nad nią i obserwowali jej ruchy. – Co cię boli?

Dziewczynka skuliła się lekko i złapała za brzuch.

Sheila dotknęła tego samego miejsca i westchnęła.

– Mówiliście, że nocowaliście w lesie? – zapytała młodszego mężczyzny. – Co jedliście?

Pytany nieco się zmieszał.

– Noo... mieliśmy suszone mięso i upolowaliśmy zająca. Ale ona chyba sobie skubała jakieś owoce po drodze.

Większy wtrącił się do rozmowy:

– Widziałem, że miała umazane palce czymś fioletowym.

Sheila ponownie zwróciła się do dziewczynki. Spod jej zaciśniętych powiek wypływały pojedyncze strużki.

– Jak masz na imię, mała?

– Hester – odpowiedział niepytany młodzieniec. – Pomożesz jej?

Sheila spojrzała na niego uspokajająco.

– Myślę, że tak. Musi odpocząć. Mam trochę ziół, które wspomogą trawienie. Kiedy żołądek się zregeneruje, dajcie jej gorący rosół na jakiejś przepiórce czy co tam wam się uda zdobyć.

Wstała i podeszła do pieca, nad którym suszyły się zioła Benna. Zerwała garstkę listków mięty i łodygę mitru leśnego. Wrzuciła to do kubka i dodała kilka kwiatków rumianku. Kiedy nastawiała wodę, mężczyźni pozwolili sobie usiąść. Większy tuż przy łóżku, a młodszy na krześle, które jeszcze niedawno zajmowała Sheila.

– Nie wiem, jak ci dziękować – zaczął bardziej rozgadany nieznajomy, obserwując jej ruchy.

Spojrzała na niego. Miał najwyżej dwadzieścia siedem lat, pryszczatą twarz i charakterystyczny sposób poruszania się. Była w tym dziwna elastyczność i nonszalancja, która sprawiała wrażenie odrobinę bezczelnej.

– Powinniście jej lepiej pilnować – powiedziała pewnym siebie głosem. – Jeżeli te fioletowe owoce są tym, o czym myślę, to będzie z nią dobrze. Ale jakby sięgnęła po bardziej granatowe jagody szymanowca... – ściszyła głos. – Nie byłoby większych szans.

– Ślady były fioletowe – warknął wyższy mężczyzna. – Dobrze pamiętam.

Posłała mu twarde spojrzenie.

– Więc nie macie się o co martwić.

Kiedy woda wylądowała nad ogniem w piecu, Sheila podeszła do dziewczynki i okryła ją wilczą skórą. Hester zadrżała pod niespodziewanym dotykiem.

– Całe szczęście, że okazałaś nam gościnę – zaczął ponownie młodszy mężczyzna. – Że nie bałaś się wpuścić obcych do domu, kiedy jesteś sama.

– Nie jestem sama – odpowiedziała szybko. – Myśliwy, który tu ze mną mieszka, jest niedaleko i lada moment wróci.

Nieznajomy uśmiechnął się lekko.

– Można poznać imię naszej wybawicielki?

Spojrzała na niego z chłodnym spokojem.

– To chyba wy pierwsi powinniście się przedstawić, skoro was ugościłam.

Młodzieniec zmieszał się nieco i natychmiast wstał.

– Oczywiście. Z tego stresu zupełnie zapomniałem o manierach. – Skłonił się lekko. – Jestem Gasthon de Petrack, a to mój druh i towarzysz Kolla Deverop. Moją kochaną Hester już znasz.

Sheila powiedziała swoje imię i zerknęła na gotującą się wodę. Nalała wrzątku do kubka i ostrożnie wymieszała zawartość.

– Co taka piękna, młoda dziewczyna robi w leśniczówce? Myśliwego nie nazwałaś ojcem, a długi warkocz i sukienka w kolanko sugerują, że wciąż jesteś niezamężna. Zachodzę więc w głowę, kim jesteś. – Uśmiechał się do niej.

Sheila pomyślała, że Gasthon bardziej powinien interesować się stanem siostry, ale jak widać, wolał zagadywać obce dziewczyny zamiast sprawować nad nią pieczę. Nie dziwiło jej więc, że Hester pod jego niezbyt czujną opieką najadła się czegoś paskudnego. Zapewne nie przykładał wagi do regularnego karmienia jej.

– Też poluję. Współpracujemy z Bennem – wyjaśniła. – Przejęłam fach po ojcu.

Nie mogła pozbyć się lekkiego ukłucia dumy, kiedy zobaczyła zaskoczenie na twarzy rozmówcy.

– No proszę. Słyszałeś, Kolla, o czymś takim?

Jego kompan zdawał się znacznie bardziej zajmować Hester niż jej rodzony brat. Mężczyzna co chwilę zerkał uważnie, czy dziewczynce się nie pogarszało.

– A wy? Co robiliście z tą małą w lesie?

Gasthon zmieszał się ponownie i zajął swoje poprzednie miejsce.

– No... zabłądziliśmy. Nie jesteśmy stąd.

Sheila wyczuła, że nie mieli ochoty się tłumaczyć. Nie podobał jej się tajemniczo milczący Kolla i nieszczególnie przemawiał do niej swobodny styl, jakim charakteryzował się Gasthon. Należało jednak pomóc małej Hester, bez względu na to, jakich miała opiekunów. A może właśnie dlatego, że jej brat i jego przyjaciel wydawali się nie mieć pojęcia o tym, jak zajmować się swoją podopieczną.

– Kiedy jej przejdzie? – zapytał Kolla trochę za ostro jak na okoliczności.

Sheila wzruszyła ramionami, przykładając chłodny okład do czoła dziewczynki, która wciąż miała zamknięte oczy.

– Myślę, że za jakąś godzinę będzie po gorączce, bo podam jej taką specjalną... papkę z surfilisu. Ale do końca dnia będzie osłabiona. Niech je tylko ciepłe zupy, żadnych surowych roślin.

Mężczyzna kiwnął sztywno głową i ukradkiem rozejrzał się po pomieszczeniu. Gasthon rozparł się wygodnie na krześle i przyglądał się Sheili mieszającej zioła.

Mijały minuty czekania, aż napar przestygnie. Nikt się nie odzywał, choć Sheila miała ochotę wypytać gości o cel ich podróży. Dziwne zmieszanie, jakie powodowała cisza, przerwał tętent kopyt. Kolla poruszył się niespokojnie i wymienił szybkie spojrzenie z towarzyszem.

– Jeżeli to twój przyjaciel myśliwy, powiedz, że zaraz się zmywamy – rzucił wyższy mężczyzna.

Gasthon podrapał się po pryszczatym policzku. Wydawał się nie przejmować, że mógł być niemile widziany przez gospodarza.

– Może się nie obawiać – uspokoił ją. – Zapłacimy za zioła.

Sheila nie zawracała sobie głowy zapewnieniem, że nie ma takiej potrzeby, tylko wyjrzała przez okno i westchnęła.

Nie wyszła do Krissa, który podjechał na swoim ulubionym, gniadym wierzchowcu i zwinnie zeskoczył na mokre błoto. Widziała, jak prężnym krokiem podszedł do drzwi i zapukał donośnie.

Z ociąganiem otworzyła i spojrzała na niego pytająco.

Nie uśmiechnął się i nie przywitał. Założył ręce na piersi i zmrużył oczy.

– Gdyby wzrok mógł zabijać... – powiedział pod nosem.

Sheila oparła się o drzwi i wzruszyła ramionami.

– Poroże jest w szopie – rzuciła niedbale. – Na samym wierzchu. Chyba nie muszę ci pomagać?

Zdawało się, że jej nie słuchał. Zrobił krok w jej stronę i stanął w wejściu. Instynktownie odskoczyła i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Chcę porozma... – urwał, widząc za jej plecami Gasthona, który przyglądał się całej sytuacji z zaciekawieniem. – Masz gościa – zauważył. – Nieźle się bawisz pod nieobecność Benna.

Sheila posłała mu pogardliwe spojrzenie i postukała się w czoło. Odsunęła się, by ukazać Krissowi leżącą na łóżku dziewczynkę i drugiego mężczyznę.

– Rób swoje i spadaj – mruknęła i machnęła ręką. – Jestem zajęta. Nie mam czasu na głupoty.

Kriss zacisnął zęby i widać było, że miał ochotę drążyć temat, z którym przyszedł. Sheila modliła się w duchu, żeby odpuścił i sobie poszedł. Po chwili wahania Kriss faktycznie dał za wygraną.

– W porządku. Pogadamy innym razem.

– Nie mogę się doczekać – odparła z przekąsem, mając świadomość, że nie była to riposta najwyższych lotów.

Chłopak kiwnął głową, ale zanim wyszedł, schylił się do niej z uwagą.

– Nie wywiniesz się – ostrzegł. – Jesteś mi chyba coś winna.

Tym razem to ona zacisnęła zęby. Nie chciała dać się sprowokować przy obcych, ale nienawidziła, kiedy Kriss jej groził.

Chłopak skłonił lekko głowę na pożegnanie obu mężczyznom i wyszedł bez słowa.

– To było... interesujące doświadczenie – skomentował Gasthon po chwili. – Aż iskry leciały, tak na siebie patrzyliście. To taka trudna miłość czy szczera nienawiść?

Sheila spojrzała na niego niezadowolona.

– Ja też nie lubię, kiedy się mnie wypytuje – powiedziała znacząco.

Gasthon uśmiechnął się lekko i uniósł dłonie w obronnym geście.

– Ma rację – stwierdził oschle Kolla. – Nie wtrącaj nochala w nie swoje sprawy – zganił kolegę. – Długo się zejdzie z tymi ziołami?

Sheila podeszła do łóżka i podniosła gorący kubek.

– Mogę je zacząć powoli podawać, ale nadal parzą, więc chwilę to potrwa – wytłumaczyła z lekkim wyrzutem. Uznała, że popędzanie jej było z jego strony nietaktowne.

– Zrób to – rozkazał. – Mamy opóźnienie, a mała musi wyzdrowieć, jeśli mamy iść dalej. Gasthon... chodź, zapalimy.

Gasthon zdawał się być nieco zaskoczony tym pomysłem, ale po chwili wyszedł za towarzyszem, zamykając za sobą drzwi.

Sheila prychnęła i podstawiła parujący kubek pod nos dziewczynki. Domyślała się, że Kolla chciał mieć chwilę na obgadanie strategii, jak wywinąć się od płacenia za zioła. Wiedziała, że Benn nie żałowałby swoich roślin żadnemu choremu i nie wziąłby za to pieniędzy. Ale zachowanie mężczyzn było co najmniej żenujące.

– Pij, mała. To pomoże na ból brzucha.

Hester nie pozwoliła się napoić, ale ostrożnie otworzyła jasne oczy i spojrzała na Sheilę z przestrachem. Wzrok miała zaskakująco przytomny, choć jeszcze chwilę wcześniej wydawała się ledwo żywa.

– Gasthon... – wyszeptała zachrypniętym głosikiem.

Sheila pogłaskała ją po ramieniu.

– Spokojnie. Jest na zewnątrz. Zaraz przyjdzie i...

Dziewczynka nie dała jej skończyć.

– Gasthon... – powiedziała z naciskiem. – On nie jest moim bratem.

Sheila zmarszczyła brwi, a Hester zerknęła na drzwi, za którymi zniknęli jej towarzysze.

– Możesz im powiedzieć, że jestem bardzo chora? – pisnęła mała. – Wtedy mnie nie zabiorą dzisiaj do Kazamatów.

Sheila nagle wstała, o mało nie rozlewając ziół na podłogę. Patrzyła z przestrachem na dziecko, które wlepiało w nią błagalne spojrzenie.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – wyszeptała zdenerwowana.

Hester wytarła dłonią nos.

– Mają mnie zabrać do Kazamatów, bo jestem... eee... taką jakby wariatką – wyjaśniła nieskładnie. – Ale jak zachorowałam, to się zatrzymaliśmy. Mówili, że takiej nie mogą mnie sprzedać. Więc postanowiłam być chora trochę bardziej.

Sheila podeszła nieco bliżej i pochyliła się do dziewczynki.

– Chcesz powiedzieć, że Gasthon i Kolla to geszefciarze?

Hester zrobiła przygnębioną minę.

– Nie wiem, co to znaczy – wyznała.

Sheila zaczęła chodzić po pomieszczeniu, czując narastającą panikę. Mała nie umiała tego nazwać, ale wszystko wskazywało na to, że wpakowała swoją lekarkę w duże kłopoty. Sheila doskonale wiedziała, kim byli geszefciarze. Nie dało się tego nie wiedzieć, mieszkając w Velde. Kopalnie w Dolinie Kazamy, czy jak częściej mawiano: w Kazamatach, interesowały króla, dopóki toczyła się wojna. Ale nawet wtedy poza oficjalnymi dostawami dla wojska, które tam stacjonowało, pojawiało się sporo nielegalnych handlarzy oferujących znacznie ciekawsze towary niż państwowe konwoje. Kiedy natomiast wojna dobiegła końca, król stracił zainteresowanie srebrnym żelazem z Aldeny i nie dbał już o dobre kontakty z wojskiem na wyspie. To spowodowało, że nielegalny handel geszefciarzy rozkwitł w najlepsze. Wszyscy w Dolnym i Górnym Velde o tym wiedzieli, ale nikt nic z tym nie robił. Powód był bardzo prosty. Geszefciarze sprzedawali zrabowany towar. Istniała niepisana umowa, która zakładała, że w zamian za milczenie i nieprzeszkadzanie w interesach, geszefciarze nie okradali Velde, a przede wszystkim nie ruszali mieszkańców okolicznych gospodarstw. Było to o tyle istotne, że niektórzy widywali w ich obozach kobiety.

Zasada była prosta. Jeśli spotkało się geszefciarzy w lesie, zmieniało się kierunek. Nie było odstępstw od tej reguły. Nawet Benn, który był najporządniejszym człowiekiem, jakiego Sheila znała, stanowczo nakazał jej przestrzegać tej zasady i sam również to robił. Geszefciarze bowiem słynęli z tego, że nie znali litości. Liczył się dla nich tylko zysk. Bez mrugnięcia okiem byli w stanie poderżnąć gardło każdemu, kto stanął im na drodze. Kilka krwawych historii musiało się wydarzyć, zanim mieszkańcy Velde to zrozumieli. Od tej zasady nigdy nie było wyjątków. Ale nigdy też Sheila nie spotkała się z tym, żeby geszefciarze chcieli sprzedać dziecko.

Spojrzała z przestrachem na drzwi i zrozumiała, że Kolla wcale nie chciał wymigać się od zapłaty, a raczej ustalić, czy ją zabić.

– Hester, powiedz mi, dlaczego zabierają cię do Kazamatów? – szepnęła, przykucając obok małej.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– We wsi mówili, że jestem obłąkana. Dlatego tato sprzedał mnie panu Kolli – wyjaśniła.

Sheila zniecierpliwiła się.

– Ale dlaczego zabierają cię do Kazamatów? Przecież to więzienie. Nie ma tam małych dziewczynek.

Hester pokręciła głową i opuściła wzrok.

– Fiorella mówiła, że tam jest taki pan, który lubi małe dziewczynki. I on się mną zajmie.

Sheila poczuła, że zaschło jej w gardle, ale zanim zdołała coś powiedzieć, jej rozmówczyni kontynuowała:

– Tak powiedziała Fiorella. Dokładnie: „Już on się tobą zajmie, smarkulo". Uśmiechała się przy tym, ale... to nie był ładny uśmiech. Więc może mnie oszukiwała.

Sheila wiedziała jedno. Jeśli nic by nie zrobiła, najprawdopodobniej ocaliłaby skórę. Pomogła geszefciarzom i mogła nie zdradzać się z tym, że poznała ich tajemnicę. Jeśli jednak zdecydowałaby się zaangażować i pomóc tej niewinnej istocie, która patrzyła na nią błagalnie, naraziłaby siebie i Benna na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Spalą leśniczówkę – pomyślała. – Zabiją nas. Zemszczą się, to pewne. Przepraszam, mała, ale nie mogę... Nie mogę ci pomóc.

Hester znowu wytarła nosek w gołą dłoń i spojrzała na swoją lekarkę.

– Powiesz im, że jestem bardzo chora? Wtedy dziś jeszcze by mnie nie sprzedali – pisnęła cienko. – Albo... – Zawahała się, zawstydzona. – Zrobisz mi odrobineczkę zupy?

Coś w niej pękło. Przygryzła dolną wargę i wzięła głęboki oddech, a potem spojrzała w jasne oczy Hester.

– Mała, umiesz szybko biegać?

* * *

Hester umiała biegać szybko, ale niestety nie cicho. Sheila co rusz przywoływała ją do porządku, ale dziecko było zmęczone, dlatego od razu się zdyszało. Dziewczynka nie umiała poruszać się bezszelestnie pomiędzy krzakami, ale widać było, że bardzo się starała nie zwalniać tempa.

Sheila wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Czuła tępy strach w płucach, który utrzymywał się odkąd wymknęły się przez okno i ruszyły w las. Dopiero kiedy uciekały między drzewami, doszło do niej, jak poważne konsekwencje niosła ze sobą jej decyzja.

Złamała zasadę. Wtrąciła się do spraw geszefciarzy i z całą pewnością nie mogło im się to spodobać. Modliła się w duchu, żeby Benn nie wrócił za wcześnie do domu.

Jej sukienka szybko nasiąknęła wodą, gdy ocierała się o liście i drzewa. Las wciąż był mokry i kapiący po niedawnej burzy. Ale to działało też na ich korzyść, bo wilgotny mech pod nogami lepiej tłumił kroki niż suche patyki.

– Jesteś bardzo dzielna – wysapała Hester, przeskakując nad wystającym korzeniem. – Nigdy nie udawałam dzielnej.

– O czym ty mówisz?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Lubię udawać, że jestem kimś innym. Ale nigdy nie byłam w wyobraźni wojowniczką jak ty.

– Nie jestem wojowniczką. Łuk służy mi do polowania.

Hester rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

– Wyobrażałaś sobie, że jesteś kimś innym?

– Nie przypominam sobie – stwierdziła zniecierpliwiona Sheila. – Zachowuj się ciszej – pouczyła małą.

Hester lekko spuściła głowę.

– Jakbym była tobą, to też nie musiałabym sobie nic wyobrażać – mruknęła półgłosem. – Jak chodziłam w nocy przez las, to udawałam, że zgubiłam

się na jagodach. Że zabrała mnie na nie mama, razem z rodzeństwem. Udawałam, że mam dużo sióstr i braci. Bardziej lubiłam chłopaków. Zawsze chciałam mieć brata, chociaż jednego, żeby się mną opiekował. Wtedy cię nie znałam i nie wiedziałam, że dziewczyny też mogą być dzielne.

– Nie gadaj tyle – szepnęła Sheila, rozglądając się na boki.

– A ty masz brata?

Sheila skrzywiła się, ale nie odpowiedziała. Bała się, co wyniknie z tego wszystkiego, ale jednego była pewna. Nie mogła postąpić inaczej. Każdy, kto spotkał geszefciarzy, odwracał się i szedł w innym kierunku. Ale widocznie nigdy nie widział u nich małej, niewinnej dziewczynki, która nie śmiała marzyć o niczym więcej jak tylko o jednym dniu dłużej na wolności i odrobinie ciepłego jedzenia. Sheila nie wiedziała, czy każdy postąpiłby tak samo na jej miejscu, ale była pewna, że Benn poparłby jej decyzję. Nie wtrącał się w sprawy geszefciarzy tylko dlatego, że taka była wola okolicznych mieszkańców. Szanował to i nie chciał nikogo narażać, dlatego omijał obozy nielegalnych handlarzy. Ale gdyby zobaczył tam zniewolonego człowieka, na pewno nie przeszedłby obojętnie. Był szlachetny. Gdyby był w tym momencie koło niej, wiedziałby gdzie iść i co robić. Sheila natomiast myślała tylko o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od leśniczówki i pościgu, który na pewno wszczęli za nimi mężczyźni. Jedynym rozwiązaniem wydawało się zaszyć gdzieś i przeczekać.

– Tędy. – Hester pobiegła nagle szybciej w bok.

– Czekaj! – syknęła Sheila, ale mała nie zareagowała, gnając przed siebie i zupełnie bagatelizując hałas, jaki robiła.

Zwolniła dopiero po minucie i ostrożnie stawiając kroki, mijała kolejne drzewa.

– Zwariowałaś? – warknęła Sheila, nie kryjąc złości. – Czy ty myślisz, że to zabawa?

Hester wcale tak nie myślała i dało się to odczytać w jej jasnych oczach, kiedy odwróciła na chwilę głowę. Widać było, że traktowała sprawę poważnie. I właśnie dlatego się nie wahała.

– Musimy uciekać na wschód – zaczęła tłumaczyć nieco spokojniej starsza z dziewcząt.

Hester nie zatrzymując się, pokręciła przecząco głową.

– Wiem, dokąd iść – powiedziała pewna siebie. – Umiem to.

– Co takiego umiesz?

Mała wzruszyła ramionami.

– Tato mówił, że jestem przeklęta – wyjaśniła ciszej. – Mówił: „To przeklęte dziecko zawsze znajdzie drogę do domu".

Sheila nie powstrzymała lekkiego uśmiechu.

– To wcale nie znaczy... – próbowała wytłumaczyć. – Tak się czasem mówi. Przeklęty deszcz, przeklęty geszefciarz... przeklęty Kriss – dodała bardziej do siebie. – Ale to nie znaczy, że coś z tobą nie tak. Ludzie tak mówią w złości.

Hester znowu się obejrzała, nie zatrzymując się ani na chwilę.

– Wiem – odparła, ale widać było jej lekkie zmieszanie. – Nie jestem głupia. – Zwolniła kroku jeszcze bardziej i ściszyła głos. – Tato był zły jak to mówił. Nie wiem dlaczego. Zawsze jak mnie gubił w lesie, to wracałam sama, nawet z ciemniutkiego środka puszczy. – W jej głosie po raz pierwszy pojawiła się słaba nutka dumy. – Ale on zawsze był zły, jak wracałam. Ja myślę, że on chyba... no wiesz... Chyba mnie gubił trochę specjalnie. Byłam czasem bardzo niegrzeczna.

Sheila poczuła ścisk w gardle, ale zignorowała to, bo Hester zatrzymała się i przyłożyła palec do ust. Następnie wskazała przed siebie.

– Tam jest Fiorella – szepnęła z przejęciem. – Chodźmy po nią.

Już chciała ruszać, ale Sheila chwyciła ją za chudą rączkę.

– Przyprowadziłaś nas do obozu geszefciarzy? – syknęła ze złością. – Nie mogę pomóc tej Fiorelli. Szybko, idziemy stąd.

Dziewczynka ścisnęła mocno jej dłoń.

– Nie chcę być sama w lesie.

Sheila westchnęła i przykucnęła.

– Nie jesteś sama – powiedziała powoli, patrząc małej w oczy. – Jesteś ze mną.

Hester nie czekała z odpowiedzią.

– A potem? – pisnęła. – Ja... umiem znaleźć drogę w lesie, ale... – spuściła oczy. – Ale...

– Mimo to boisz się lasu – dokończyła za nią Sheila.

Oczy dziewczynki zaszkliły się po raz pierwszy odkąd się poznały.

– Tato gubił mnie w nocy – powiedziała prawie bezgłośnie. – Fiorella spała koło mnie w obozie i przytulała, jak wyły wilki.

Sheila zacisnęła na chwilę zęby.

– Też nie lubię wilków – powiedziała w końcu. – Ale... Nie mogę jej pomóc.

– Masz przecież to. – Hester wskazała na łuk, który Sheila w pośpiechu zabrała z domu. – A tam jest tylko pan Domenik.

– Nie będę zabijać ludzi – odparła stanowczo Sheila, ale do głowy przyszedł jej pewien pomysł. – Mogłabym spróbować go nastraszyć...

Oczy Hester rozbłysły.

– Chodź za mną – rozkazała małej i niepewnie sięgnęła po swoją broń, robiąc krok do przodu. – Nie wolno ci wydać ani jednego odgłosu. Weź z ziemi dwa nieduże kamienie i trzymaj je mocno, dopóki nie powiem, co robić.

Powoli zbliżały się do celu. Sheila przeklinała sukienkę z krótkim rękawkiem, którą miała na sobie tego dnia. Normalnie założyłaby do lasu koszulę i spodnie, żeby gałęzie czy pokrzywy nie drapały jej kolan i ramion. Ale nie miała czasu się przebierać. Jedyne, co wzięła z domu, to łuk, który zrobił dla niej Benn na dwudzieste drugie urodziny. Z satysfakcją pomyślała o tym, że nie słuchała go nigdy, gdy kazał jej chować broń do szopy. Od tego dnia miała niezbity argument, by trzymać łuk w domu, tak jak lubiła.

Zatrzymały się przy gęstych krzakach, zza których dochodziła stłumiona rozmowa. Sheila nie rozumiała słów, ale rozpoznała głos męż-

czyzny i zadziorny kobiecy tembr. Schyliła się do Hester i szepnęła prawie bezgłośnie prosto do jej ucha, tak jak nauczył ją Benn:

– Policz wszystkie palce, a potem rzuć kamieniem w tamtym kierunku najmocniej, jak potrafisz. A potem policz palce tylko u tej ręki. – Dotknęła jej małej dłoni. – I rzuć w tamte krzaki. Rozumiesz?

Dziewczynka kiwnęła głową i spojrzała w skupieniu na swoje ręce.

– Nie wahaj się. – Sheila nie wiedziała, czy powiedziała to bardziej do blondyneczki, czy do siebie.

Ruszyła bezszelestnie i ustawiła się kilka kroków dalej, by mieć lepszy widok. Wyciągnęła dwie strzały. Jedną przytrzymała w zębach, a drugą nałożyła na cięciwę i lekko odchyliła łukiem liście.

Zobaczyła mężczyznę, którym musiał być wspomniany przez Hester Domenik. Naprzeciwko niego siedziała kobieta. Rozmawiali, ale od razu było widać, że nie łączyła ich sympatia.

Sheila wzięła dwa oddechy i wycelowała. Wiedziała, że nie może się zawahać. Tylko sekundy dzieliły ją od oddania strzału.

Nigdy nie mierzyła w stronę człowieka.

Od razu odegnała od siebie tę myśl. Nie mogła się rozpraszać. Nie chciała go zabić, ale musiała celować blisko, żeby mężczyzna się wystraszył.

W każdej chwili mogli nadejść pozostali geszefciarze.

Tę myśl również siłą stłamsiła. Przypomniała sobie, czego uczył ją Benn na polowaniu.

Skup się – nakazała sobie. – Skoncentruj się na jednej rzeczy. Nie dopuszczaj do siebie wątpliwości.

– Jeśli to się uda, poślubię Krissa – wyszeptała do siebie.

W tym momencie Hester rzuciła kamieniem w pobliskie krzaki. Dokładnie jedną sekundę później Sheila wypuściła strzałę, która śmignęła koło głowy mężczyzny i zanim zdążyła dosięgnąć odległego pnia, dziewczyna ponownie napięła łuk. Drugi pocisk posłała rozmyślnie kilka metrów obok.

– Co?! – Domenik zerwał się na równe nogi i rozejrzał się.

Sheila uśmiechnęła się krótko. Poruszenie w krzakach i dwa szybkie pociski szybujące z innych chaszczy sprawiły, że Domenik w panice dopatrywał się kilku przeciwników.

– Kim jesteście?!

Krzaki z trzeciej strony zaszeleściły, co świadczyło o tym, że Hester rzuciła drugi kamień. W międzyczasie Sheila przemieściła się o kilka metrów w bok i puściła dwa szybkie pociski jak poprzednio.

Fiorella, która do tej pory patrzyła na to wszystko z niemym przerażeniem, odzyskała mowę.

– Co?! Co się dzieje?! POMOCY!!! – krzyknęła.

Sheila zaklęła cicho, ale nie mogła nic poradzić na wrzaski kobiety. Posłała kolejną strzałę tak blisko geszefciarza, że z całą pewnością poczuł pęd powietrza na policzku.

– Ja pierdolę! – jęknął spanikowany.

Rzucił niepewne spojrzenie na Fiorellę, ale kiedy następna strzała ugodziła w drzewo obok niego, wreszcie odpuścił i rzucił się biegiem w głąb lasu.

– Kim jesteście?! Pomocy! Aaa! – Kobieta nie przestawała wołać, ale Sheila nie mogła wyjść z ukrycia, dopóki Domenik nie zniknął jej z oczu.

Kiedy wreszcie byli sami, łuczniczka wyskoczyła zza krzaków i podbiegła do Fiorelli, której oczy zrobiły się nienaturalnie wielkie. Zamilkła tak nagle, że o mało się nie zachłysnęła.

– Co... co się dzieje? – warknęła. – Kim jesteś?

Sheila zaczęła rozglądać się za nożem. Zanim zdążyła odpowiedzieć kobiecie, ich oczom ukazała się biegnąca Hester.

– Pani Fiora! – pisnęła z przejęciem.

Dopadła Fiorellę i gołymi rączkami próbowała poluzować jej więzy, jednak bezskutecznie.

– Coś ty zrobiła, smarkulo? – Kobieta zaczynała powoli dochodzić do siebie. – Coś ty najlepszego zrobiła? Zabiją nas.

Hester nie dawała za wygraną.

– Pani Sheila mnie uratowała – wytłumaczyła. – Możemy być wolne nie tylko jeden dzień dłużej, ale już na zawsze.

W jednej z leżących przy ognisku toreb geszefciarzy Sheila znalazła ostry nóż. Podeszła do nieznajomej kobiety i kilkoma ruchami uwolniła ją z więzów.

– Dzięki – mruknęła niezbyt przyjemnie tamta, rozmasowując nadgarstki.

– Podziękuj małej – powiedziała Sheila i wstała, żeby pozbierać strzały.

Fiorella szybko oprzytomniała po pierwszym szoku. Wstała sprawnie i otrzepała falbaniastą sukienkę z liści. Fryzura i strój nie pozostawiały złudzeń co do zawodu kobiety. Widać było jednak, że obie z Hester miały za sobą długą drogę. Gęste loki prostytutki upięte były wysoko, ale oprócz tandetnej, metalowej ozdoby wiły się w nich też suche liście i paprochy. Szczodrze odsłonięte ramiona umazane miała lekko błotem, a pomarańcz materiału zblakł pod warstwą brudu i kurzu.

– Musicie jak najszybciej dotrzeć do miasta. Za murami trudniej będzie was znaleźć.

Fiorella zaśmiała się sztucznie i założyła ręce na piersi.

– Nie zabiorę jej ze sobą – powiedziała z pogardą.

Hester zadzierała głowę do góry i wpatrywała się we Fiorellę jak w obrazek.

– Nie będę przeszkadzała – pisnęła błagalnie. – Pani Fioro, będę bardzo grzeczna.

Kurtyzana nawet nie spojrzała na dziewczynkę, tylko ruszyła w stronę zostawionych przez geszefciarzy tobołków. Zaczęła je przeszukiwać, rozrzucając niepotrzebne przedmioty dookoła siebie.

– Wiesz, że będzie mnie spowalniać – powiedziała do Sheili. – Sama mam bardzo marne szanse, żeby uciec pogoni. A z nią nie mam żadnych. – Wciąż nie patrząc na małą, odezwała się do niej: – Koniec bajki, smarkulo. Nie jestem niańką.

Sheila zacisnęła zęby. Musiała się spieszyć. Spojrzała na strzałę, którą dopiero co wyciągnęła z pnia. Nałożyła ją na cięciwę i wycelowała w kobietę. Ta, widząc to, zaśmiała się z politowaniem.

– Nie zabijesz mnie – wzruszyła ramionami, podnosząc się z kolan i przypinając niewielki mieszek do pończochy. – Jakbyś umiała to zrobić, nie ryzykowałabyś i od razu władowałabyś Domenikowi strzałę w oko.

Podeszła do Sheili i rzuciła jej przepełnione pewnością siebie spojrzenie.

– Dzięki za ratunek, ale nie opłacało się. Nie mam czym się odwdzięczyć. No... chyba, że wolisz dziewczyny. – Uśmiechnęła się obscenicznie. – Nie wezmę małej. – Wskazała na Hester, której oczy robiły się coraz bardziej szkliste. – Nie potrzebuję pomylonego dzieciaka, który jest jak kula u nogi.

Odwróciła się i już miała ruszyć biegiem na wschód, kiedy zza krzaków wyszedł Kolla, a zaraz za nim Gasthon.

Sheila zaklęła w duchu. Podkradli się, a czcza gadanina Fiorelli zagłuszyła kroki i odwróciła jej uwagę. Hester pisnęła i schowała się za Sheilą. Wciąż napięty łuk został wycelowany w wyższego mężczyznę. Nie zwrócił on jednak na to uwagi. Zbliżał się do wystraszonej prostytutki. Gasthon stał kawałek dalej i bacznym spojrzeniem omiatał wszystkich obecnych.

– Bardzo żeś się nieładnie zachowała, Fiorka – stwierdził Kolla, sztucznie zatroskanym głosem. – Ale i tak wolę twój racjonalizm od jej naiwności. – Skinął głową w stronę Sheili. – Odłóż to, zanim komuś stanie się krzywda.

Dziewczyna nie opuściła broni, zdobywając się na desperackie udawanie swobody.

– Komuś faktycznie stanie się krzywda, jeśli zrobisz jeszcze jeden krok – wycedziła. – Hester, uciekaj, ile sił w nogach.

Kolla uniósł dłoń i pogroził małej palcem.

– Nie radzę – ostrzegł. – A ty... – prychnął w stronę łuczniczki. – Masz świadomość w jakie gówno się władowałaś?

Nie odpowiedziała. Starała się nie dopuszczać do siebie myśli, które mogły wywołać panikę.

Skup się na jednej rzeczy – rozkazała sobie. – Uczep się czegoś i działaj.

Nie udało się. Kiedy polowała na zwierzęta, miała zazwyczaj więcej czasu na przymierzenie się. Nie groziło jej, że zając rzuci się na nią i obezwładni. Paraliżował ją strach, bo wiedziała, że każdy błąd mógł kosztować życie ją, Hester albo Fiorellę.

– Nie martw się – odezwał się nagle Gasthon, co spowodowało, że Sheila zaczęła mierzyć do niego. – On tylko tak groźnie gada. – Skinął na swojego towarzysza, który zmarszczył brwi. – Oddaj łuk, a pozwolimy ci odejść. – Uśmiechnął się uspokajająco. – Jak Kolla ochłonie, też przyzna, że to najlepszy pomysł. Rozejdziemy się w pokoju i zgodzie, każde w swoją stronę.

Sheila była zbyt zdenerwowana, żeby okazać swoją pogardę dla tej nieudolnej próby uspokojenia jej. Wiedziała, że Gasthon kłamał. Wymyślił sobie, że będzie zgrywał tego dobrego oprawcę i przeciągnie ją na swoją stronę. Kolla nie zamierzał jednak brać udziału w rozgrywce, którą wymyślił jego towarzysz. Zrobił krok w stronę dziewczyny i sięgnął za pazuchę.

– Nie ruszaj się! – rozkazała Sheila, ale Kolla uśmiechnął się jedynie z politowaniem. Po chwili w jego ręku błysnął wielki nóż.

Ręka bolała ją od nerwowego naprężania cięciwy. Czuła się jak idiotka, ponownie celując w jego pierś. Bała się spojrzeć na Hester i Fiorę, by w tym czasie mężczyźni nie wykonali jakiegoś gwałtownego ruchu. Przyszło jej do głowy, że mogłaby uciec. Nie goniliby jej, bo musieliby ponownie związać i zabezpieczyć swoje niewolnice. To dałoby jej przewagę. Zanim zdążyła poczuć się podle ze swoim pomysłem, prostytutka warknęła zniecierpliwiona:

– Strzelaj, dziewczyno!

Kolla uśmiechnął się sztucznie.

– Nie zrobi tego – powiedział pewny siebie. – Nogi trzęsą jej się tak, że ledwo stoi.

Sheila, nie patrząc w bok, odezwała się do więźniarek:

– Uciekajcie. Nie zatrzymujcie się. Biegnijcie, ile sił w nogach.

Dziewczyny nie ruszyły się z miejsca, choć Sheila kątem oka widziała, że Hester nieśmiało ciągnęła Fiorellę za rękę.

– Nie są głupie – westchnął Kolla, z zadowoleniem obserwując strach zakładniczek.

Sheila wiedziała, że nie wolno jej było dłużej zwlekać, bo z każdą chwilą do jej głowy i mięśni wkradała się coraz większa panika.

– Masz rację – wycedziła do starszego geszefciarza. – Nie zabiję cię. Ale strzał w kolano skutecznie uniemożliwi ci pościg.

Gasthon zmieszał się i z niepokojem obserwował na zmianę grot i towarzysza. Kolla natomiast zręcznie zakręcił nożem młynka i wyszczerzył lekko zęby.

– Wynoście się stąd! – krzyknęła do dziewczyn ze złością. – Teraz albo nigdy.

Wahanie trwało jeszcze tylko kilka sekund.

– Niech to diabli – syknęła prostytutka i rzuciła się biegiem w najmniej zarośniętą stronę lasu.

Hester spojrzała na Sheilę, ale ta pogoniła ją ruchem głowy. Dziewczynka ruszyła za Fiorellą, która nie odwróciła się ani na moment.

– Biegnij za nimi – padł krótki rozkaz w stronę Gasthona. Ten jednak nie ruszył się z miejsca. – Nie bój się. Nic ci nie zrobi. Jeśli strzeli w ciebie, to dopadnę ją, zanim nałoży kolejną strzałę.

Sheila nie powstrzymała głośnego przełknięcia śliny. Kolla miał rację. Odczytał jej blef i nie obawiał się.

– Jakoś mnie to nie pocieszy, jeśli dostanę strzałę w kolano – mruknął Gasthon.

– Ale jest szansa, że nie wybiorę ciebie – rzuciła Sheila, czując, że jej ręka coraz bardziej się męczy.

Wiedziała, że nieważne, w którego strzeli, musi to zrobić szybko. Liczyła w głowie sekundy, które Hester zyskiwała dzięki wahaniu obu stron.

– Wiesz, co się teraz stanie? – zapytał Kolla, a jego oczy błysnęły złowrogo. Zaczął kręcić młynka nożem. – Za kilka sekund cię dorwę. Wkurwiłaś mnie, więc będę musiał odreagować. To oznacza, że czeka cię bardzo długi i trudny wieczór. Zacznę od wyrwania ci paznokci. A kiedy odzyskasz oddech i przestaniesz ryczeć, poucinam po kolei wszystkie palce. W pierwszej kolejności pozbędę się tych, które właśnie sinieją od naciągania cięciwy.

Na jej czole pojawiły się drobne krople potu. Widział, co się z nią działo. Był zabójcą, który znał się za swoim fachu.

Dwadzieścia pięć... Dwadzieścia sześć... Dwadzieścia siedem... Tyle sekund zyskiwała Hester. Sheila skupiła się tylko na tym, żeby nie czuć strachu, bólu w dłoni i drżenia nóg. Trzydzieści sekund przewagi. To wciąż za mało...

– Jesteś nienormalny – powiedziała, nie spuszczając wzroku z przeciwnika. – Ale mów dalej, jakim jesteś chorym psycholem. Ułatwiasz mi tylko – wycedziła.

Kolla uśmiechnął się tak, że przeszedł jej po karku dreszcz.

Czterdzieści pięć sekund.

Zrobił krok w jej kierunku, a ona wiedziała, że więcej czasu już nie zyska, stojąc jak słup, bo zbyt nerwowo naciągała cięciwę i ręka mdlała jej z wysiłku. Mogła zrobić jeszcze tylko jedną rzecz dla małej Hester.

Zacisnęła zęby i wypuściła strzałę.

Wszystko stało się bardzo szybko. Gasthon zaklął i upadł na ziemię. W tym samym momencie Kolla rzucił w Sheilę nożem, który w zawrotnym tempie dosięgnął jej ramienia. Krzyknęła z przeszywającego bólu, ale instynktownie nie wyciągała ostrza, tylko z jękiem sięgnęła po kolejną strzałę. Kolla jednak nie zwlekał i od razu rzucił się w jej stronę. Napi-

nała łuk, kiedy siłą rozpędu pchnął ją, przez co uderzyła plecami w drzewo. Wytrącił jej broń z ręki i silnym ramieniem przygwoździł ją do pnia, unosząc lekko, tak, że z trudem stała na palcach.

Uśmiechnął się obleśnie, chuchając jej w twarz odorem alkoholu i papierosów. Gasthon przeklinał kilka metrów dalej, podnosząc się powoli. Mimo że bardzo szybko padł na ziemię, nie zdążył całkiem uniknąć pocisku. Wycelowany w jego kolano grot ugrzązł w dłoni, którą się osłonił.

– Doprawdy, skończona z ciebie idiotka. – Kolla pokręcił głową z niedowierzaniem. – Zmarnowałaś jedyny strzał, jaki miałaś szansę wykonać, żeby utrudnić nam złapanie uciekinierek, choć wiedziałaś, że przez to cię dorwę. A może łudziłaś się, że zdążysz dać nogę?

Sheila nie odpowiedziała. Próbowała się wyszarpnąć, ale każdy ruch sprawiał jej ból.

– Przestań się mazać i leć po smarkulę! – warknął geszefciarz do Gasthona.

Ten popatrzył na przebitą dłoń i zaklął niewyraźnie.

– Jakbyś nie zauważył, strzała sterczy mi z ręki – wycedził.

– Zapomniałem, jaki z ciebie mięczak. Odetnij grot i wyciągnij ją.

Gasthon prychnął i wyraźnie zbladł. Kolla bezceremonialnie wyciągnął nóż z ramienia Sheili, wywołując tym jej głośne syknięcie, i rzucił go pod nogi towarzysza. Chwilę trwało, zanim Gasthon poradził sobie z pociskiem, a kiedy skończył, wyglądał jakby miał zaraz zwymiotować. W tym czasie Kolla mocno wiązał dłonie Sheili, dokładnie oplatając również jej tułów.

– Wyglądasz jakbyś miał zaraz zejść. To tylko odrobina krwi – rzucił z pogardą do kolegi. – Znajdź te suki i przyprowadź je szybko. Zwłaszcza małą.

Kiedy Gasthon z niewyraźną miną ruszył w las za dziewczynami, Kolla skoncentrował całą uwagę na swojej nowej ofierze.

– Dlaczego sam ich nie poszukasz? – wysapała łuczniczka, kiedy Kolla ponownie pchnął ją w stronę drzewa i zaczął przywiązywać do pnia. – Ten gość wygląda na kretyna.

Kolla zaśmiał się nieprzyjemnie i ostatni raz zawiązał sznur.

– Niezła próba – zakpił. – Gasthon to frajer, ale poradzi sobie z dzieckiem. Fiora nie umie chodzić po lesie, słychać je było jeszcze bardzo długo. Zostawią mnóstwo śladów. Hester to co innego. Jest sprytna, ale nie puści się spódnicy tej dziwki. Więc obie wpadną w nasze ręce w kilka chwil.

Sheila wiedziała, że Kolla miał rację. Ona również zbyt długo słyszała uciekinierki.

Wielki nóż ponownie błysnął w ręku jej oprawcy. Ostrze dotknęło jej policzka i przejechało po nim, nie raniąc skóry.

– No dobrze – westchnął mężczyzna. – Czy teraz, kiedy już się nad tym zastanowiłaś, dotarło do ciebie, w co się wpakowałaś? Było warto tak się poświęcać dla kurwy i pomylonego dzieciaka?

– Dlaczego prowadzicie je do Kazamatów? – zapytała, patrząc na ostrze.

Kolla prychnął pod nosem i oparł się o nią, co wywołało w niej dreszcz obrzydzenia.

– A jak myślisz? Po co tym gościom prostytutka? Przecież nie będą z nią grali w szachy. – Wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, mam gdzieś, czy potrzebują jej do łóżka, czy do kuchni. Zapewne do jednego i drugiego.

– Domyślam się – wycedziła przez zęby. – Bardziej interesuje mnie, czego chcą od Hester.

Kolla zaśmiał się nieprzyjemnie i pochylił jeszcze bardziej, chuchając jej w twarz.

– Widzę, że nie uczysz się na błędach. To chyba właśnie zbytnie zainteresowanie losem smarkuli wpakowało cię w kłopoty – zauważył. – A mogło się skończyć bardzo niewinnie. Wystarczyło się nie wtrącać.

– Po co im kilkuletnia dziewczynka? – Nie dawała za wygraną.

Kolla pokręcił głową z dezaprobatą.

– Widzisz... nie pytałem. I właśnie dlatego dobrze się mam. Mogłabyś wziąć ze mnie przykład. To było zamówienie specjalne. Długo szukałem dziewczynki, która wpasowałaby się w gust zamawiającego. Wiesz... jest taki gość w Kazamatach, jakaś szycha zdaje się, który lubi małolaty. I to najlepiej takie, które mają nie po kolei w głowie. Pewnie one mniej się opierają.

Sheila poczuła, że zrobiło jej się niedobrze, ale powstrzymała się od komentarza i zmieniła temat:

– Hester nie wydaje się obłąkana.

Kolla prychnął.

– Gówno mnie obchodzi, co ci się wydaje. Znasz ją od godziny, więc chyba twoje zdanie jest bezwartościowe. Ale wiedz, że pomogłaś niebezpiecznej świrusce. Ma w głowie takie świństwo, że jej się wydaje, że mieszka w niej kilka różnych osób. Tak się zachowuje. Czasem gada do siebie, a nocą widzi cuda niewidy. Wydaje jej się, że w lesie straszy. W rodzinnej wiosce była popychadłem. Nikt z nią nie gadał. Żebyś widziała ulgę w oczach jej ojczulka, kiedy ją zabieraliśmy.

Sheila nie wytrzymała i spojrzała na geszefciarza ze złością.

– Wiesz to wszystko od jej ojca? Tego samego, który od małego zostawiał ją w lesie z nadzieją, że zginie i nie będzie musiał jej utrzymywać? – zapytała sarkastycznie. – Faktycznie, bardzo wiarygodne źródło informacji. Mała boi się lasu nocą, bo musiała sama wracać do domu po zmroku. Powiedziała też, że lubiła udawać kogoś innego, kiedy było jej szczególnie smutno.

Kolla po raz pierwszy wydawał się zaskoczony.

– Kiepski masz wywiad – powiedziała z satysfakcją. – Niewiele trzeba było, żeby dowiedzieć się tego wszystkiego w godzinę znajomości. Może powinieneś zacząć z ludźmi spokojnie rozmawiać, zamiast przywiązywać ich do drzewa.

Mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę poważnie, a potem nieprzyjemny uśmiech zagościł na jego twarzy.

– Szczerze mówiąc, mam gdzieś, jak bardzo smarkula jest szurnięta. Ważne, żeby mi za nią zapłacili. Jest warta znacznie więcej niż Fiorella. Koneserzy dobrze płacą za spełnianie swoich chorych zachcianek. – Popatrzył znacząco. – A ten konkretny zdumiewająco szybko się nudzi towarem, który mu dostarczam.

Sheila zacisnęła zęby i odwróciła wzrok. W tym momencie usłyszeli szelest krzaków. Kolla błyskawicznie skoczył w stronę ogniska i wygrzebał z zawiniątek kuszę. Sekundę później mierzył już w stronę poruszających się gąszczy. Zanim zobaczyli Gasthona, usłyszeli jego zdyszany głos.

– Spierdalamy – powiedział i wypadł spomiędzy drzew, opierając się o pień i łapiąc za bok. Zaraz za nim pojawił się Domenik. – Niedaleko jest grupa strażników miejskich. Tych nie kojarzę. Idą w naszym kierunku.

– Gdzie dziewczyny? – warknął groźnie Kolla, podchodząc do towarzyszy. – Dotarły do nich?

Gasthon spojrzał na kolegę i pokręcił głową.

– Nie widziałem ich tam.

Domenik spojrzał na Sheilę, a potem na pozostałych geszefciarzy.

– Kto to, kurwa, jest?

Kolla zgrzytnął zębami ze złością.

– Nieważne. Trzeba znaleźć nasz towar, zanim zrobią to strażnicy.

– Może dziewczyny będą ich unikać. – Domenik wzruszył ramionami. – Fiorella raczej nie przepada za zbrojnymi. Pewnie pójdą do miasta na własną rękę.

– Może – mruknął w zamyśleniu najstarszy z mężczyzn, trzymając kuszę. – A może nie. Są zdesperowane. No i zawsze mogą się napatoczyć na wojsko przypadkiem. Nie możemy ryzykować. Znajdź je – rozkazał Domenikowi. – My z Gasthonem idziemy dalej.

Obaj młodsi mężczyźni popatrzyli po sobie zaskoczeni, a potem zrobili krok w stronę swojego dowódcy.

Kolla podszedł do Sheili i popatrzył na nią intensywnie.

– Chodź, Gasthon. Mamy towar do sprzedania.

* * *

– Nie możecie tego zrobić – wydyszała Sheila, kiedy Kolla pchnął ją mocniej do przodu.

– Tak myślisz? – zadrwił.

– Nie możemy to się pokazać na miejscu wymiany z pustymi rękami – dodał Gasthon, który szedł obok i w marszu próbował owinąć sobie przebitą rękę kawałkiem brudnego bandaża. – Kurwa mać, jak to szczypie.

Kolla prychnął.

– Nie marz się jak baba. Ciesz się, że możesz ruszać palcami. To znak, że nic ci nie będzie.

Sheila nie słuchała ich. Starała się nie myśleć o tym, czy Domenik dopadł Hester. Wyrzucała też z głowy wspomnienie Kolli łamiącego jej łuk tuż przed ruszeniem w stronę Kazamatów. Jej piękna, prawie nowa brzozowa broń pękła z donośnym trzaskiem na jego kolanie. Nie chciała przypominać sobie, że Benn własnoręcznie wykonał dla niej ten łuk na jej dwudzieste drugie urodziny. Nie chciała, ale to wciąż wracało, kiedy wspinali się po kamiennych stopniach Gór Srebrnych.

– Proszę, nie róbcie mi tego. To miejsce jest przeklęte – jęknęła.

Kolla zaśmiał się chłodno.

– Co ty nie powiesz? – prychnął. – Do tej pory pewnie ci to nie przeszkadzało.

Sheila nie chciała pozwolić sobie na łzy. Kazamaty były przeklęte. Ale nie tak, jak tłumaczyła Hester. One były przeklęte naprawdę. Od wielu lat. Właściwie nie pamiętała już, jak wyglądał widok na Silviamont bez charakterystycznej zielonkawej poświaty, która stamtąd biła. Była to pamiątka po czasach, kiedy całą Aldeną, a zwłaszcza okolicami Velde, rządził strach. Ucieczki więźniów z Kazamatów zdarzały się regularnie. Znacznie łatwiej było im poradzić sobie z naturalnymi ograniczeniami niż z grubym murem tradycyjnego więzienia. Ale po jednej z ucieczek, głośnej i tragicznej w skutkach, wszystko się zmieniło. Uciekinier

zamordował dziecko w Port Cidis. Zemsta za to była okrutna, ale skuteczna. Od tamtej pory nikt nie wyszedł z Doliny Kazamy. Sheila wiedziała, tak jak wiedzieli o tym wszyscy na Aldenie i nie tylko, że na Kazamatach ciążyła klątwa – podzięka za bestialstwo więźniów.

Słońce zaszło, ale niebo wciąż było pomarańczowo-fioletowe. Sheila z trudem wdrapywała się po skałach, bo skupiała się na zupełnie innych sprawach.

Im wyżej wchodzili, tym bardziej malały jej szanse na ucieczkę. Z ulgą przyjęła fakt, że rozwiązali jej dłonie na potrzeby wdrapywania się na bardziej strome fragmenty podejścia. Musiała działać, ale jej sytuacja wyglądała tragicznie. Do głowy przychodziły jej różne pomysły na odwrócenie status quo, ale żaden nie wydawał się realny do wykonania.

Kilka półek skalnych wyżej Kolla szarpnął nią i nakazał skręcić w lewo. Spojrzała na niego ze złością, którą dodatkowo wzmacniał piekący ból w ramieniu – pamiątka po jego nożu.

– Dlaczego nie idziemy główną drogą? – zapytała.

– Nie interesuj się! – warknął kusznik.

Tak jak poprzednio, Gasthon zdawał się być bardziej rozmowny.

– Dojście do głównej bramy jest za bardzo odsłonięte. Geszefciarze idą z lasu, więc łatwiej było ustalić miejsce handlowania na uboczu. Przejdziemy jeszcze kawałek górami i zejdziemy do doliny.

Więc zostało niewiele czasu – pomyślała.

W tym momencie zatrzymała się, bo jej oczom ukazał się najbardziej niezwykły widok, jakiego doświadczyła w życiu. Kiedy weszli na grań, zobaczyli przed sobą połacie nieprzeniknionej, gęstej, zielonkawej mgły. Wyglądało to tak, jakby zamiast doliny, rozpościerało się przed nimi coś na wzór jeziora z chmur. Szybko robiło się ciemno, co podkreślało lekkie błyszczenie mgły, jakby była wykonana z płynnego atłasu.

– Rusz się. – Kolla pchnął ją, ale ona stawiła opór.

– Umiem chodzić! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Przestań mnie szturchać.

Kusznik zrobił krok w jej kierunku.

– Jak umiesz, to ruszaj, z łaski swojej. Zaraz będzie ciemno. Moi pośrednicy będą czekać tylko do zapadnięcia całkowitego zmroku. Jak ich nie złapiemy, będziesz musiała przeczekać tu z nami do jutra, więc lepiej się pospiesz.

Sheila poczuła, że rośnie w niej adrenalina. Nie mogła się dostać w sferę mgły, bo wtedy klątwa nie pozwoliłaby jej wyjść na zewnątrz.

– Wal się – wycedziła. – Nigdzie nie idę. Nie zależy mi, żeby być tam szybko. To w twoim interesie, więc jak ci się spieszy, to mnie tam zanieś.

Kolla nie był zbyt cierpliwym człowiekiem. Podszedł do niej i bez wahania uderzył ją w twarz z taką siłą, że upadła na kolana. Schylił się do niej i ścisnął jej zdrowe ramię, tak, że zabolało.

– Trzeba było nie wchodzić mi w drogę, gówniaro! – warknął. – Każdy musi ponieść konsekwencje swoich działań. Przez ciebie straciłem towar, ale musi mi się zwrócić choć część zysku, dopóki nie znajdziemy małej, słodkiej Hester.

Podniósł się i patrzył na nią z góry.

Sheila bardzo powoli zaczęła wstawać, udając, że sprawia jej to więcej trudności, niż rzeczywiście sprawiało. Kiedy była jeszcze lekko zgięta, podjęła decyzję. Musiała to zrobić, tak jak Hester i Fiorella.

Teraz albo nigdy – przypomniała sobie ostatnie słowa, które do nich wypowiedziała, a potem z całej siły natarła na Kollę.

Zadziałało. Zaskoczyła go, dzięki czemu zachwiał się i upadł w kosodrzewinę. Sheila nie traciła czasu, tylko od razu przywaliła Gasthonowi w twarz. Efekt nie był spektakularny, ale wystarczający, żeby na kilka sekund go unieszkodliwić. Rzuciła się rozpaczliwie w stronę, z której przyszli.

Była przy krawędzi skały, kiedy poczuła, że ktoś chwyta ją za ubranie i mocno ciągnie do tyłu. Kolla szybko się pozbierał i zdążył ją złapać. Ona jednak nie dawała za wygraną. Z całych sił próbowała się wyszarpnąć, ignorując pieczenie w ramieniu. Napastnik pchnął ją w stronę Gasthona i dziewczyna na niego wpadła. Nie skończyło się to dla niego szczęśliwie.

Geszefciarz stracił równowagę i upadł na krawędź grani, przetaczając się przez nią i ostatecznie wisząc nad gładką stromizną. Nie spadł tylko dlatego, że w ostatniej chwili chwycił się korzenia rosnącego obok drzewa. Próbował się podciągnąć, ale Sheila nie chciała dać mu czasu na wstanie. Pozwoliła adrenalinie przejąć kontrolę i odwróciła się do ucieczki, mając nadzieję, że Kolla pomoże przyjacielowi, zanim rzuci się za nią. Niestety ten nie zachował się zgodnie z przewidywaniami. Albo nie przejmował się losem kolegi, albo był pewien, że ten sobie poradzi. Kolla zagrodził jej przejście i zanim Sheila zdążyła wykonać jakikolwiek unik, zamachnął się i rzucił w nią nożem, godząc dokładnie w to samo miejsce, co poprzednio.

Krzyknęła, czując, jak ostrze jeszcze głębiej rozdziera jej ciało. Cofnęła się najdalej, jak mogła. Od razu wyciągnęła nóż i złapała się za krwawiącą ranę. Znalazła się na samej krawędzi skały. Za nią była już tylko stroma, gładka równia pochyła, spowita w zielonkawej mgle. Kolla łypał na nią groźnie, przypominając wściekłe, dzikie zwierzę i zbliżał się do niej powoli. W tym momencie jednak usłyszeli trzask łamanego drewna i oboje spojrzeli na Gasthona, który z przerażeniem na twarzy sturlał się po gładkiej skale i zniknął im z oczu we mgle.

Kolla zawył z wściekłości i rzucił się w stronę Sheili. Chciała zrobić unik, mając nadzieję, że jej oprawca nie wyhamuje i też spadnie. Potknęła się jednak i poczuła jak jej ciało opada.

Nie miała żadnych szans.

Przez chwilę jeszcze widziała Kollę, a potem mgła przesłoniła jego wściekłą twarz.

Sheila turlała się, boleśnie obijając się o kamienie. Nie widziała nic poza szarą skałą i zieloną mgłą. Nie mogła złapać oddechu, a jej ciało z każdą chwilą toczyło się szybciej.

Nagle wszystko się zatrzymało. Ogarnęła ją ciemność i nie czuła już kompletnie nic.

ROZDZIAŁ DRUGI

Obudził ją gwałtowny dreszcz i urywany kaszel. Była mokra i leżała na płaskiej skale.

Syknęła. Wszystko ją bolało.

Zacisnęła powieki i dotknęła swojej twarzy. Jęknęła i znowu zakasłała. Czuła w gardle muł, a w nozdrzach rybi odór. Spróbowała otworzyć oczy, ale udało jej się to dopiero po kilku próbach. Przez chwilę leżała bez ruchu, widząc przed sobą gładką powierzchnię jeziora i stromą, choć nie całkiem pionową ścianę, po której się sturlała.

Ponownie zakasłała, ale już nieco łagodniej. Podźwignęła się na drżących rękach i wypluła resztki wody. Włosy przykleiły jej się do szyi i policzków, ale nie miała siły ich odgarnąć.

Leżała na delikatnie podmywanej przez wodę półce skalnej. Ignorując przeszywający ból karku, rozejrzała się dookoła. Okolicę spowijała gęsta mgła. Sheila z trudem dostrzegała surową skałę po swojej lewej stronie i niewyraźny zarys lasu po drugiej.

Zakasłała po raz ostatni i z głośnym stęknięciem usiadła.

Kołowało jej w głowie i czuła rwący ból w różnych częściach ciała. Była pewna, że podczas upadku mocno potłukła sobie żebra. Kolano również jej dokuczało nieznośnie. Widniało na nim rozcięcie, ale Sheilę bardziej niepokoił pulsujący ból w stawie.

Otarła twarz dłońmi i zacisnęła zęby, wstając chybotliwie. Nie udało jej się jednak powstrzymać łez, które napłynęły do oczu. Z trudem łapała powietrze, bo przy każdym wdechu klatkę piersiową rozsadzał jej

ból. Otulając delikatnie żebra ramionami, ponownie spojrzała na skałę, z której się stoczyła, a potem na otaczającą ją mgłę.

Łzy przeorały jej mokre policzki.

– Nie... błagam – szepnęła z trudem, ale prawie od razu wzięła się w garść. – Zachowaj spokój – nakazała sobie. – Nie czas rozpaczać. Trzeba podjąć działanie. Nie jestem więźniem. Po prostu stąd wyjdę.

Od stromizny dzieliło ją malutkie jezioro. W obecnym stanie nie mogła pływać, więc pokracznie okrążyła je z lewej strony.

Kiedy dotarła do podnóża skały, za jej plecami rozległo się odległe wycie, które przyprawiło ją o kolejne dreszcze.

Spojrzała do góry, ale widoczność sięgała raptem kilkunastu metrów. Było już po zachodzie. Im ciemniejsze stawało się niebo, tym jaśniejsza wydawała się poświata mgły.

Nie wahała się. Od razu zaczęła się podciągać. Nie udało jej się jednak pokonać nawet pięciu metrów. Skała była wilgotna po burzy, a do tego stanowczo zbyt stroma. Każda z dziesięciu prób skończyła się bolesnym zjechaniem na sam dół.

Zaklęła i mocniej złapała się za bolące żebra. Miała wrażenie, że kości się w niej za chwilę rozpadną. Nie powstrzymała krótkiego ataku szlochu. Musiała jednak wykorzystać spore pokłady silnej woli, by powstrzymać płacz, bo ten wywoływał za duży ból w piersi. Zrezygnowana usiadła na brzegu jeziora i popatrzyła przed siebie.

Głuche wycie zabrzmiało jakby głośniej, bliżej. Spojrzała w jego kierunku, ale mgła nie pozwalała jej widzieć dalej niż do linii pierwszych drzew.

Objęła się ramionami i podkuliła nogi, co po raz kolejny wywołało ból w klatce piersiowej. Czuła, że znowu zbierało jej się na płacz, więc zacisnęła zęby i potrząsnęła głową.

Musiała działać, żeby nie poddać się panice.

Kolejne wycie było znacznie głośniejsze. Zerwała się na nogi, ignorując rwanie w kościach, i rozejrzała się uważnie. Dookoła niej słychać

było dziwne powarkiwanie, które przywodziło na myśl wilki. Było jednak jakby wyższe, cieńsze niż normalnie.

Musiała się ukryć, ale nie chciała odchodzić od jedynego miejsca, które łączyło ją jakkolwiek ze światem zewnętrznym. Czuła, że gdyby udało jej się wdrapać na górę, mogłaby wrócić do domu. Nie dopuszczała do siebie innej możliwości. Nie wiedziała, gdzie przebiegała granica objętego klątwą terenu.

Poczuła ściśnięcie w płucach i jej ciałem wstrząsnął szloch. Tak jak poprzednio, tym razem też opanowała go szybko, zmuszając się do wzięcia kilku głębokich oddechów.

Usłyszała dobiegający z lasu szelest, a kiedy spojrzała w jego kierunku, przez chwilę sparaliżował ją strach. To, co wyłoniło się zza krzaka, nie przypominało niczego, co znała. Podobnego stworzenia nie widziała nawet w żadnym z bestiariuszy Benna.

Dziwaczny potwór, od którego oddzielało ją maleńkie bajorko, był trupioblady i kompletnie łysy. Niezdrowo szara skóra opinała kościsty tułów i nienaturalnie długie kończyny. Wyraźnie odznaczał się na tle szybko ciemniejącego lasu. Jedną z patykowatych, koślawo wygiętych rąk zakończonych ostrymi szponami opierał się o drzewo. Przyglądał się Sheili, nie poruszając się nawet odrobinę. Wwiercał w nią najdziwniejsze oczy, jakie widziała w życiu. Były zupełnie pozbawione tęczówek. W krągłych, lekko wyłupiastych białkach czerniła się jedynie czujna źrenica.

Nagle monstrum przekręciło głowę i zrobiło krok w jej kierunku. Dziewczyna cofnęła się i szybko wciągnęła powietrze. Zza drzew wyłoniły się kolejne dwa stworzenia. Te również patrzyły na nią niepewnie, jakby z zaciekawieniem.

Jeden ruch mięśni sprawił, że Sheilę opuściło otępienie i zaczęła powoli cofać się w stronę skał. Szybko jednak jej plecy trafiły na opór. Zaczęła przesuwać się wzdłuż kamiennej ściany, badając dłońmi każdą nierówność, po której mogła się wspiąć.

Niespodziewanie potwory naprężyły się, a ich oczy błysnęły złością. Jednocześnie spojrzały w lewo, jakby usłyszały stamtąd jakiś odgłos i rzuciły się biegiem, z nienaturalną zwinnością omijając przeszkody na swojej drodze.

Sheila potrzebowała kilku sekund, żeby otrząsnąć się z osłupienia po tym, co zobaczyła. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że cała drżała. Odetchnęła kilka razy i z nowym zapałem zaczęła się wspinać. Rwący ból w klatce piersiowej znowu się odezwał, ale zacisnęła zęby i zignorowała łzy, które orały jej policzki.

Wstąpiła w nią nowa siła. Dostała dowód, że był dla niej ratunek.

Podciągnęła się z jękiem i przez chwilę wisiała na wąskiej półce skalnej, rozpaczliwie szukając oparcia dla nóg. Nie udało jej się. Kamień był zbyt płaski i śliski. Upadła bardzo boleśnie, mocząc zranione przez Kollę ramię w wodzie.

Nie mogła się podnieść, choć z całych sił próbowała. Czuła, że uciekała z niej świadomość i rozpaczliwie starała się ją zatrzymać. Bezskutecznie. Ostatnim, co zobaczyła, były maleńkie złotawe rybki, które przemknęły obok jej palców, skrywających się pod powierzchnią. Choć w jej sytuacji było to dość absurdalne, pomyślała, że rybki te były bardzo ładne i zabawne. Potem zamknęła oczy i odpłynęła.

* * *

Kiedy się ocknęła, nie było jeszcze całkiem ciemno, co dało jej nadzieję, że straciła przytomność tylko na kilka minut. Dopiero po sekundzie czy dwóch, zdała sobie sprawę, że coś ją dotykało. W pierwszej chwili wyobraźnia podpowiedziała jej, że to mogą być macki jakiegoś wodnego stwora. Zanim zdążyła pomyśleć o tym rozsądniej, zerwała się z jękiem bólu i wyślizgnęła napastnikowi.

– Nie bij mnie! – jęknął ktoś.

Przylgnęła plecami do skały i kilka razy machnęła ramionami, chcąc uchronić się przed atakiem. Ten jednak nie nastąpił. Słyszała czyjś urywany oddech, a kiedy odsłoniła twarz, zobaczyła coś, co przypominało człowieka.

Najchudszy chłopak, jakiego w życiu widziała, kulił się pokracznie dwa metry od niej, osłaniając się w panice przed ciosem. Jego ubranie było brudne i podarte, a skóra zasiniona. Sheila nie była w stanie wydusić słowa, a nawet gdyby odzyskała głos, nie miałaby pojęcia, co należało w tej sytuacji powiedzieć.

Mijały sekundy, w których Sheila zdążyła rozejrzeć się za najszybszą drogą ucieczki, a nieznajomy zorientował się, że cios, którego wyczekiwał, nie nadchodził. Niepewnie opuścił ramię i ukazał twarz.

Sheila wciągnęła szybko powietrze. Mężczyzna był zmasakrowany. Sińce, niezagojone rozcięcia i zakrzepłe ślady krwi deformowały jego ewidentnie młodą twarz. Jedno oko miał opuchnięte i mocno przekrwione, a powiekę opuszczoną na stałe do połowy tęczówki.

– Kim jesteś? – bąknął.

Sheila nie mogła dobyć głosu, więc tylko patrzyła na nieznajomego, coraz lepiej kontrolując strach.

– Co tu robisz? – zapytał ochryple i powoli usiadł wygodniej. – Jesteś dziewczyną.

Spojrzała na swój potargany warkocz spływający po rannym ramieniu.

– Nie jestem skazańcem. – To było pierwsze, co przyszło jej do głowy.

Kiedy wypowiedziała tę myśl, nie poznała swojego nienaturalnie matowego tonu.

Chłopak przyglądał się jej bez skrępowania. Szybko ocenił, że nie stanowiła dla niego zagrożenia.

– A ja jestem skazańcem – mruknął. – Jak masz na imię?

Nie odpowiedziała. W jej ciele powoli odradzały się kolejne ogniska bólu. Coraz trudniej było jej oddychać, a ramię po kontakcie z wodą piekło nieznośnie.

– Ja jestem Etain – kontynuował. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Kiwnęła głową na znak, że zrozumiała. Chłopak przez chwilę przyglądał jej się uważnie.

– Jesteś niedorozwinięta czy coś? – zapytał nagle, zaskakując ją.

– Co? – zaperzyła się. – Nie! – warknęła, marszcząc brwi.

Wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że miało się tu pojawić jakieś szurnięte dziecko.

– Wyglądam ci na dziecko?

– Więc uciekłaś strażnikom? – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Czy dostawcy?

Pokręciła głową i schowała twarz w dłonie.

– Nie jestem towarem – mruczała, a ręce tłumiły jej słowa.

Etain nic nie mówił, ale Sheila przypuszczała, że jednak uznał ją za obłąkaną.

– Niepotrzebnie zwiałaś – odezwał się po chwili. – Nie przeżyjesz tu sama. Trzeba było zostać z kimś, kto zna te tereny.

Spojrzała na niego ze złością.

– Ja tu nie zostanę! – warknęła głośniej.

Zignorował jej słowa i podrapał się po ramieniu, które okrywała poszarpana koszula.

– Ja się tu błąkam od tygodnia – powiedział. – Strażnicy zostawili mnie w kałuży krwi. Myśleli chyba, że zdechłem. W sumie ja też tak myślałem.

– Za co cię pobili?

Etain wzruszył ramionami.

– Nie przedstawili mi konkretnego paragrafu. – Uśmiechnął się paskudnie. – Nudzili się po prostu. Obudziłem się jakiś czas później i doczołgałem do zatęchłej jaskini. Wychodzę tylko, żeby nazbierać jagód. Codziennie muszę iść coraz dalej, ale wolę nie wchodzić w las, żeby nie spotkać tych zmor, jak to chyba nazywają.

Sheila zmarszczyła brwi.

– Mówisz o tych szarobiałych bestiach? Co to jest?

Etain wzdrygnął się na wspomnienie potworów.

– A skąd mam wiedzieć? Prawie nie wychodziłem na zewnątrz to i mnie nie znalazły. Widziałem je tylko dwa razy. Pierwszego dnia strażnicy się ich pozbyli. Mają na to jakieś sposoby. A drugi raz pojawiły się dzisiaj, ale biegły na wschód. Dlatego właśnie tu przyszedłem. Skoro gdzieś uciekły, to może nie wrócą tak od razu. No i zobaczyłem cię leżącą...

– I postanowiłeś okraść? – dokończyła hardo.

Etain nie zmieszał się.

– Myślałem, że nie żyjesz – wytłumaczył. – Wyglądałaś jak trup.

– Ty też nie jesteś najśliczniejszy z tym spuchniętym okiem.

Znowu się uśmiechnął bardzo smutno i brzydko. Nie był to przyjemny widok i Sheila mimowolnie się skrzywiła.

– Możesz zostać dziś w mojej kryjówce – powiedział nagle. – Wiem, gdzie strażnicy przychodzą handlować z geszefciarzami. Co jakiś czas się tam pojawiają i będziemy mogli pójść z nimi do bezpiecznego miejsca. Wszystko lepsze niż ten las. W więzieniu przynajmniej nas nakarmią.

Sheila pokręciła głową.

– Nie ruszam się stąd – stwierdziła stanowczo.

Nie zamierzała tłumaczyć się nieznajomemu, bo pewnie i tak by jej nie zrozumiał. Ale dla niej było oczywiste, że wciąż mogła się wydostać z Kazamatów. Że klątwa by jej nie zatrzymała. Wszystko działało na jej korzyść. Musiała tylko odpocząć i wdrapać się na górę. Nie mogła jednak ryzykować wejścia głębiej we mgłę.

– Niedługo zmienisz zdanie – zawyrokował chłopak, wzruszając ramionami.

Bladozielona poświata mgły stawała się coraz intensywniejsza. Sheila spojrzała w górę. Gęste opary przesłaniały ciemniejące niebo. Nie widać było ani gwiazd, ani księżyca.

– Chodź ze mną – odezwał się Etain, a jego głos stał się nagle bardziej miękki. W jego tonie brzmiała wyraźna prośba.

Sheila spojrzała na niego. Ewidentnie nie chciał zostać sam, a ona była jego szansą na towarzystwo.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo z lasu dobiegł ich niepokojący odgłos. Oboje zerwali się na równe nogi, sycząc z bólu.

– Zmory wróciły... – jęknął z wyraźną paniką w głosie. – Musimy uciekać.

Sheila pokręciła głową.

– Nie ruszam się stąd – powtórzyła.

Etain chwycił ją za zranione przez Kollę ramię i pociągnął za sobą. Dziewczyna jęknęła i wyszarpnęła się.

– Zostaw mnie! – wycedziła.

Chłopak przez kilka sekund patrzył na nią zaskoczony, po czym pokręcił z niedowierzaniem zmasakrowaną głową i zaczął się cofać.

– Jesteś nienormalna – stwierdził. – Do diabła z tobą.

Rzucił się biegiem wzdłuż linii brzegu bajorka, a potem skrajem lasu. Po chwili zniknął we mgle, a Sheila z niepokojem obserwowała kierunek, z którego coś się zbliżało.

– Nie ruszę się stąd – wysapała sama do siebie. – To mnie nie zaatakuje. Nie jestem więźniem.

Odetchnęła kilkukrotnie, ale tym razem jej to nie uspokoiło. Między drzewami pojawiły się trzy kształty, które szybko nabierały ostrości. Sheila wstrzymała oddech, widząc, że nie były to blade potwory, tylko ludzie. Trzech mężczyzn zatrzymało się, gdy ją dostrzegli. Wyglądali na wyraźnie uspokojonych jej widokiem.

Dwóch z nich miało łuki, a jeden trzymał dużą kuszę, jednak do niej nie mierzyli. Od razu schowali oręż i zwolnili kroku. Pośrodku szedł potężnie zbudowany łysy mężczyzna. Miał kwadratową szczękę i duży, kartoflany nos. Towarzyszył mu łucznik z dekoracyjnym piórkiem wpiętym w kapelusz. Obserwował ją bacznie i jako pierwszy dostrzegł jej rezerwę.

– Spokojnie – powiedział łagodnie, unosząc dłoń. – Nie chcemy cię skrzywdzić.

Wielkolud ruszył śmiało w jej stronę.

– Nazywam się Svein...

Sheila zareagowała instynktownie. Kiedy mężczyzna zaczął się zbliżać, chwyciła z półki skalnej luźny kamień i bez zastanowienia cisnęła w jego stronę.

Od razu się odwróciła, więc nie widziała, czy jej pocisk dosięgnął celu. Potwierdził to jednak okrzyk bólu, jaki wydał z siebie mężczyzna.

Nie czekała na reakcję. Zaczęła rozpaczliwie wdrapywać się na skałę. Zupełnie ignorowała rwący ból ramienia i żeber. Słyszała zbliżające się kroki, ale nie poddawała się. Nie miała jednak szans. Mężczyźni błyskawicznie ją dopadli i odciągnęli od skały. Wielkolud chwycił ją za ramię i odwrócił ją do siebie, przypierając do kamiennej ściany.

– Zwariowałaś? – zapytał łucznik z piórkiem. – Chcesz się zabić?

– Puszczaj! – zawyła i próbowała się wyrwać, ale uścisk wielkoluda był miażdżący.

– Cicho siedź! – rozkazał nieprzyjemnie. – Ściągniesz nam na głowę zmory. Kamieniem? Normalna jesteś?

Z rozcięcia na skroni spływała mu stróżka krwi. Sheila szarpnęła się mocniej i kopnęła go w czułe miejsce na kostce. Podziałało. Uścisk zelżał. Niestety tylko na chwilę. Zanim zdołała się wyswobodzić, Svein warknął przekleństwo i złapał ją za ramię. Przytrzymał od tyłu, przyciskając do swojej piersi. Sheila szarpała się jak oszalała. Nie przestawała nawet na moment, choć z trudem łapała powietrze przez ból i wściekłość.

– Co jest, kurwa? Mówiłem, że nic ci nie zrobię, nie?! – wrzasnął zdenerwowany wojownik. – Nie rozumiesz po naszemu?

– Chcemy ci pomóc – odezwał się łagodny łucznik.

– Sama sobie pomogę – wydyszała.

Svein zaśmiał się gardłowo.

– Ja pieprzę, chłopaki, jak ona się rzuca – wycedził trochę zaskoczony, a trochę rozbawiony. – Ała! – syknął. – Potrafisz drapać. Nie zmuszaj mnie do użycia siły.

Sheila prychnęła, nie dając za wygraną.

– Dobra, kurwa – rzucił wielkolud zniecierpliwiony. – Koniec tej zabawy, świrusko.

Zamachnął się i szybko wycelował dłoń w podstawę jej czaszki. Znowu ogarnęła ją ciemność, a świadomość odpłynęła.

* * *

Olaf pracował na polu. Słońce świeciło przyjemnie, a w pobliskim rowie pełnym kwiatów leniwie brzęczały pszczoły. Zawsze lubił, kiedy rzeczy toczyły się swoim rytmem, bez sztucznego pospieszania, dlatego tak bardzo upodobał sobie obcowanie z naturą. Nie potrzebował do tego siedzenia w środku lasu, jak Benn, ale bardzo cenił myśliwych właśnie za to, że ich praca polegała na ciągłej kooperacji z przyrodą. Tak samo zresztą jak to było w przypadku rolników. Żadne z tych zajęć nie mogło się udać bez okazywania szacunku siłom żywiołów. Często powtarzał Sheili, że jeśli człowiek żyje zgodnie z naturalnym trybem ziemi, to nie ma szansy zagubić się w troskach.

Owo naturalne funkcjonowanie świata objawiało się dla niego w dwóch głównych aspektach. Po pierwsze w cierpliwym czekaniu na to, co miał przynieść los. Nie popierał gonienia na siłę za tym, co nie było człowiekowi przeznaczone. Bardzo drażniło go kombinatorstwo i próby zbyt łatwego osiągnięcia celu, na którego zdobycie nie zasłużyło się inaczej niż ciężką pracą. Drugą i chyba najważniejszą dla niego zasadą było, jak to mawiał, niecudowanie. Rozumiał przez to przyjęcie tego, co było człowiekowi naturalnie pisane. Nie mógł więc zaakceptować chęci wyrwania się młodych ludzi do miasta, skoro urodzili się na farmie, a ich ojcowie potrzebowali rąk do pracy.

W jego mniemaniu Sheila wymykała się głównie tej drugiej zasadzie. Podejmowała się rzeczy, które nie były dla niej stworzone. Bolało go to tym bardziej, że nie była do tego zmuszona, a po prostu jej na to

pozwalano. Ona natomiast korzystała z okazji. O otwarcie bramy ku męskiemu światu polowań Olaf miał największy żal do Benna.

Sheila patrzyła na staruszka ze ścieżki biegnącej do Dolnego Velde. Obserwowała jego ruchy i wiedziała, że był szczęśliwy. Nie dlatego, że przepadał za bólem kręgosłupa, kiedy upał stawał się nie do zniesienia. Nie. Po prostu był w tym świecie na swoim miejscu, pewny słuszności podejmowanego wysiłku. Spokojny, gdyż nie musiał szukać drogi – jego życie znajdowało się na właściwym torze. Niezwykle przyjemnie było patrzeć na niego, takiego spokojnego i pewnego swojej racji. Ale Sheila czuła coś jeszcze. Zazdrość.

Pamiętała tę sytuację. Przyglądała się przyszywanemu dziadkowi pracującemu w polu. Obok drzemał Rod. Wróciła z polowania z Bennem i chciała się przywitać z Olafem. To było niedawno... Zanim pojawiła się Hester... Zanim uciekała Kolli... Zanim trafiła do Kazamatów...

* * *

Łzy napłynęły jej do oczu. Bezskutecznie próbowała zamrugać. Dopiero za trzecim razem się jej udało, lecz gdy podniosła powieki, Olafa nie było. Nie było również skąpanego w słońcu pola. Kilka sekund zajęło jej uzmysłowienie sobie, że jedynie śniła.

Nie mogła powstrzymać płaczu. Zacisnęła powieki i pozwoliła, żeby mokre strużki spływały po jej twarzy.

Wszystko zaczynało ją boleć, jakby ktoś włączał mechanizm odczuwania w kolejnych częściach jej ciała.

Próbowała się ruszyć, ale w ramieniu, płucach i głowie czuła nieznośne pulsowanie. Powoli otworzyła oczy. Była sama w dziwnym, kamiennym pokoju. Podniosła się z cichym syknięciem i oparła o ścianę. W pomieszczeniu znajdowało się łóżko, na którym siedziała, stolik, proste krzesło i prostokątna, drewniana skrzynia. Na kufrze stały buteleczki z różnokolorowymi płynami, miska z wodą i parę czystych szmatek. W

wejściu ktoś bardzo niedbale umocował ciemny materiał. Obok niej leżało kilka wilczych skór i stał dzban z wodą.

Zwierzęce futra przypomniały jej o Bennie. Żołądek jej się ścisnął. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno była w domu. Chociaż właściwie nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd to wszystko się wydarzyło. Miała na sobie swoją brązową sukienkę, która miejscami była jeszcze wilgotna, co dało jej nadzieję, że nie minęło zbyt dużo czasu. Zaczęła gorączkowo myśleć, ale jedynym sposobem na dowiedzenie się, jak długo spała, było wyjście na zewnątrz, a tego wolała unikać jak najdłużej. Nie było jej już tak zimno, pewnie dzięki futrom, którymi ją przykryto.

Głowa ją bolała. Położyła sobie dłoń na czole i dostrzegła, że ktoś założył jej na ramię opatrunek. Nadal czuła pieczenie po podwójnym ciosie Kolli, ale wydawało się ono znacznie mniej dokuczliwe.

Na zewnątrz byli ludzie. Rozmawiali między sobą, ale nie stali zbyt blisko jej pokoju, więc niewiele słyszała. Dopiero po chwili kroki rozbrzmiały bliżej. Odezwał się męski głos.

– No i wtedy on mówi tak... – tu zaczął naśladować niski i potężny tembr wielkoluda: – Nazywam się Svein. A ona ŁUP! Kamieniem prosto w łeb.

Obaj rozmówcy zaśmiali się, ale nagle urwali.

– Mówiłeś coś o oberwaniu kamieniem w łeb? – To był Svein, który wyraźnie wzbudzał postrach, bo Sheila nie słyszała już więcej śmiechów. – Mogę ci załatwić jeden celny rzut.

– Nie no, stary, to było trochę śmieszne – włączył się znajomy głos. Należał do „łagodnego łucznika", jak nazwała go w myślach.

– Może chcesz porozmawiać o tym z moją pięścią?

Odpowiedziało mu krótkie westchnienie. Stali bardzo blisko wejścia do pomieszczenia, w którym siedziała. Zaczęła rozglądać się za potencjalną bronią, ale w zasięgu wzroku nie znalazła nic, co mogłoby być przydatne. Kilka sekund później zasłona nagle się przesunęła i cały otwór drzwiowy przesłonił jej znajomy mężczyzna o potężnej budowie ciała. Skuliła się machinalnie, napinając mięśnie, gotowa walczyć, gdy-

by próbował się do niej zbliżyć. Widząc jej reakcję, Svein przewrócił oczami i usiadł na stołku.

– Ile razy mam mówić, że nic ci nie zrobię?

Zaraz za nim do środka weszło dwóch pozostałych rozmówców. Jeden z nich był łucznikiem, którego spotkała wieczorem. Drugiego mężczyzny nie kojarzyła.

– Pitt, leć do Francka. Powiedz, że śpiąca królewna się obudziła.

Wielkolud wypowiedział te słowa do młodego chłopaka, którego Sheila widziała pierwszy raz. Nie wyglądał na zadowolonego, że się go wygania. Zdawało się, że przez chwilę chciał zaoponować, ale Svein spojrzał na niego wyczekująco i w końcu tamten ustąpił.

– Pitter jestem – powiedział do Sheili i wyciągnął rękę w jej stronę.

Zaskoczył ją tym trochę. Odruchowo uścisnęła dłoń.

Kiedy wyszedł, wielkolud zwrócił się do łucznika.

– Lasota też powinien wiedzieć...

Ale jego towarzysz przerwał mu, zakładając ręce na piersiach.

– Wygląda na to, że dziewczyna przeżyje bez niego jeszcze kilka minut, a nie wydaje mi się, żeby rozsądne było zostawienie was samych.

– Co masz na myśli? – warknął Svein, a Sheila w duchu przyznała, że sama również była ciekawa, o co konkretnie chodziło nieznajomemu.

– No... Nie działacie na siebie uspokajająco.

Svein skrzywił się, a potem machnął ręką.

– No dobrze – zaczął obcy. – Przepraszamy cię za to najście. Nie wiedzieliśmy, że się obudziłaś. Chcieliśmy zajrzeć i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wielebny mówił, że po jego miksturach będziesz spać dłużej.

Sheila zerkała to na jednego, to na drugiego. Zważywszy na sytuację, Svein patrzył na nią dosyć obojętnie. Dziewczyna zauważyła niewielkie rozcięcie nad skronią, które było zapewne pozostałością jej celnego rzutu. Łucznik, jak nazywała w myślach drugiego, choć łuku się już pozbył, przyglądał jej się bardziej intensywnie. Mówił spokojnie, a głos miał przyjemny.

– Jestem Logan – ciągnął. – Sveina już znasz.

Wywołany podniósł rękę w niezdarnym przyjacielskim geście, co wyglądało dość komicznie, ale Sheila nadal była zbyt spięta, by to docenić.

– Nie martw się. On nic ci nie zrobi.

Prychnęła cicho, na co Svein poruszył się niespokojnie.

– No chyba jednak jej coś zrobię.

Logan próbował uspokoić go gestem ręki.

– Zaraz przyjdzie tu nasz dowódca. Będzie chciał z tobą porozmawiać. Możesz mu zaufać...

W tym momencie w wejściu pojawiła się kolejna postać – wysoki mężczyzna o przystojnej twarzy. Wyglądał na około trzydzieści pięć lat. Za nim krzątał się Pitter, jednak pozostawał na zewnątrz. Nowo przybyły spojrzał na Sheilę, a kiedy wszedł, Svein wstał, by ustąpić mu miejsca.

– Zobaczymy się później – odparł Logan i skinął głową. – Pójdę zawiadomić Lasotę.

Kiedy wyszedł, wysoki mężczyzna odezwał się stanowczym głosem.

– Leonidas Franck. Dowodzę tu – rzekł lakonicznie.

Sheila przyglądała mu się, ale nie odpowiedziała, więc ten kontynuował:

– Zastanawiam się, kim jesteś i skąd się tu wzięłaś.

– Zapytaj swoich goryli.

Dowódca wymienił spojrzenie ze Sveinem i uniósł brwi.

– Wiem, jak znalazłaś się w naszym obozie. Pytanie brzmi, jak dostałaś się na skraj Kazamatów. Konkretnie interesuje mnie, jak uciekłaś straży Verrada. A może dałaś nogę jeszcze spod opieki geszefciarzy?

Sheila spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Dowódca ewidentnie nie lubił owijania w bawełnę i zadawał pytania stanowczo. Nie okazywał też delikatności w poruszaniu nieprzyjemnych dla niej tematów.

– Powiesz wreszcie, co się stało? – zniecierpliwił się.

Nie chciała tego opowiadać. Nie chciała zwierzać się tym mężczyznom. Zwłaszcza nieznajomemu dowódcy, który bardziej, niż przerażał, działał jej na nerwy.

Leo Franck przez chwilę się jej przyglądał, a potem westchnął.

– Chyba nadal jesteś w szoku. – Widać było, że nieszczególnie podobało mu się, że ktoś nie współpracował z nim sprawnie i konkretnie.

– Gdzie jestem? – zapytała, nagle uświadamiając sobie, że z całą pewnością nie znajdowała się na granicy mgły.

Poczuła, że serce jej przyspieszyło, a do głowy zaczęła wkradać się panika. Podniosła się z syknięciem, a dowódca natychmiast podszedł do niej, by ją przytrzymać. Odepchnęła jednak jego dłoń i spojrzała na niego ze złością.

– Spokojnie – powiedział tonem, który nikogo nie byłby w stanie uspokoić. – Svein, pospiesz Lasotę.

Wielkolud niepewnie popatrzył na dziewczynę, a potem bez słowa wykonał polecenie.

Kiedy Sheila została sam na sam z dowódcą, zmarszczyła brwi jeszcze bardziej i starała się powstrzymać łzy wściekłości.

– Dlaczego mnie tu zabraliście? – jęknęła z wyrzutem, coraz bardziej się miotając. – Mogłam wyjść z Kazamatów. Czy... czy jestem za mgłą?

Leo wyglądał, jakby obawiał się o jej zdrowie psychiczne.

– Komu uciekłaś? – ponowił pytanie.

Nie odpowiedziała, tylko szybko rozejrzała się po kamiennym pokoju. Niestety jedyną drogę ucieczki przesłaniał jej nieznajomy.

– Dlaczego?! – warknęła ze złością. – Jeszcze nie przekroczyłam granicy klątwy – mówiła coraz bardziej chaotycznie. – Mogłam wyjść. Mogłam się wspiąć i wyjść.

Leo zrobił krok w jej kierunku, sprawiając, że instynktownie się skuliła. Zachwiała się i upadła do pozycji siedzącej. Przylgnęła plecami do kamiennej ściany i objęła poobijane nogi ramionami. Płakała cicho w kolana. Poczuła, że mężczyzna przykucnął przy niej, ale nie dotykał jej. Po chwili niepewnie podniosła wzrok i spojrzała w jasnoniebieskie oczy dowódcy, który był wyraźnie zniesmaczony jej szlochem. Jej wzrok nabrał hardości.

– Nie pozwolę ci się dotknąć – powiedziała cicho, ale stanowczo. – Zabiję się, jeśli mnie dotkniesz, rozumiesz?

Coś w jego oczach błysnęło złowrogo. Odezwał się lodowatym tonem.

– Jeśli sugerujesz, że mam za to zapłacić, to nie schlebiaj sobie.

To było silniejsze od niej. Nie planowała tego. A mimo to uniosła dłoń i wymierzyła dowódcy siarczysty policzek, który odbił się falą bólu w jej rannym ramieniu.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale oczy stały się jeszcze bardziej złe i nieprzystępne. Pomyślała, że może zastanawiał się, czy jej oddać.

Nie oddał. Podniósł się powoli.

W tym momencie zasłona zafalowała znowu i wyłonił się zza niej mężczyzna ubrany w długą, ciemną szatę przewiązaną w pasie sznurem. Sheila rozpoznała w nim kapłana. Widywała takich w Port Cidis. Czasem któryś zawędrował do Velde, żeby głosić wieśniakom naukę o Fairze albo sprzedawać swoje specyfiki.

– Zajmij się nią, a potem niech idzie dokąd zechce – powiedział oschle Leo. Już miał wyjść, ale Sheila nie powstrzymała prychnięcia.

– Wypchaj się swoją wielkodusznością – wycedziła, podnosząc się powoli. – Mogłam się wydostać, dopóki nie wciągnęliście mnie w głąb Kazamatów. – Spojrzała na kapłana. – Błagam, powiedz, że wciąż jestem na granicy mgły.

Kapłan wyglądał, jakby próbował odnaleźć się w kontekście rozmowy, w którą wkroczył. Leo natomiast szybko stracił cierpliwość.

– O czym ty mówisz, do cholery? – warknął. – Logan znalazł cię w Kazamatach, wyłowił cię z wody.

Sheila pokręciła głową i objęła się ramionami. Znowu zbierało jej się na płacz.

– Nie. Na pewno nie – mruczała pod nosem. – Mogłam jeszcze wyjść. Nie przekroczyłam granicy, bo te upiory się na mnie nie rzuciły...

Wzrok Leo się zmienił. Wymienili zaskoczone spojrzenia z kapłanem, a potem dowódca zrobił krok w jej stronę.

– Skąd ty się wzięłaś, co? – zapytał już nieco inaczej. Po raz pierwszy nie sprawiał wrażenia, że dla niego wszystko było z grubsza jasne. – Kim jesteś?

Zapłakała cicho, nie mogąc tego powstrzymać.

W końcu odezwał się kapłan, znacznie spokojniejszym tonem.

– Musisz być zagubiona w tej sytuacji. Możesz spróbować nam powiedzieć, jak się tu dostałaś? Jeśli nie, to spokojnie. Poczekamy, aż będziesz gotowa.

Leo wyglądał, jakby nie miał ochoty czekać, ale widocznie uznał, że to nieuniknione. Mierzył ją bacznym spojrzeniem. Uniosła na nich swoje ciemne, mokre oczy.

– Mie... Mieszkam pod lasem przy Silviamont – powiedziała łamiącym się głosem. – Geszefciarze... uprowadzili mnie i chcieli wam sprzedać, ale... uciekłam. To znaczy... sturlałam się ze skały do jeziora... chyba. Ale nie przekroczyłam granicy. Te blade potwory mnie nie zaatakowały – wyjaśniła nieco żywiej. – Gdybym się wdrapała...

Kapłan, który był sporo starszy od Leo, miał szpakowate włosy i krótką brodę, popatrzył na Sheilę ze współczuciem.

– Geszefciarze uprowadzili cię z wioski? – Dowódca był wyraźnie zaskoczony, a potem zwrócił się do kapłana. – Czyżby Verradowi znudziły się dziwki porywane z burdeli?

Kapłan zmierzył Francka dezaprobującym spojrzeniem. To, o dziwo, przywołało go do porządku. Spojrzał na Sheilę stanowczo i westchnął.

– Wygląda na to, że zaszła pomyłka – powiedział beznamiętnie, na co Sheila posłała mu wrogie spojrzenie. – Myślałem, że jesteś...

– Tak, wiem, co o mnie pomyślałeś – warknęła. – Mam nadzieję, że więcej się nie pomylisz. Jeśli mnie dotkniesz...

– Zrozumiałem – burknął. – Za to ty chyba nadal nie rozumiesz, że wcale nie mam zamiaru tego robić.

Starzec pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– Uspokójcie się oboje – nakazał rozsądnie. – Przerzucacie się tylko złośliwościami, zamiast wytłumaczyć sobie nawzajem sytuację – zwró-

cił się do Sheili. – Wiem, że trudno jest ci to zaakceptować i pewnie będzie to wymagało czasu, ale naprawdę z naszej strony nic ci nie grozi. Nie jesteś w Twierdzy Verrada i nie dopuścimy, żebyś tam trafiła...

Leo prychnął.

– Owszem, dopuścimy – powiedział mocno. – Osobiście ją do niego zaprowadzę, jeśli nie przestanie wariować.

– Może by mnie to przestraszyło, gdybym wiedziała, kim jest ten cały Verrad.

Dowódca westchnął i machnął ręką, zwracając się do kapłana.

– Nie mam na to czasu ani ochoty – stwierdził. – Zajmij się nią, a jak nie będzie chciała współpracować, to niech idzie, skąd przyszła.

Sheila nie wytrzymała i zrobiła krok w ich kierunku, wybuchając złością.

– Wcale tu nie przyszłam! – krzyknęła. – Nie chciałam, żeby mnie zabierano znad jeziora. Nadal nie wiem, gdzie właściwie jestem i jak dostać się z powrotem w tamto miejsce.

Leo również stracił cierpliwość i podszedł do niej.

– W porządku – rzekł ostro. – Dla twojej wiadomości: jesteś na wschodnim krańcu Doliny Kazamy. Dwie godziny drogi od tego twojego przeklętego jeziorka.

Sheila poczuła, że zalewa ją wściekłość. W jednej chwili stała i patrzyła wrogo na dowódcę, a w drugiej ze złością odepchnęła go, próbując dostać się do wyjścia. Leo był jednak nadspodziewanie szybki i nie dał jej zrobić kroku. Chwycił ją za ramiona i próbował uspokoić, ale Sheila wyszarpywała się z płaczem, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie.

– Dlaczego?! – krzyczała, czując jedynie bezsilną nienawiść. – Dlaczego mnie zabraliście?! Mogłam wyjść! Mogłam jeszcze wyjść!

Szlochała i nie przestawała się wyszarpywać.

– Zrób z nią coś! – rozkazał dowódca, a kapłan podbiegł do skrzyni, na której stały fiolki z płynami.

– Nie rób jej krzywdy – poprosił kapłan, szybko wracając z rybim pęcherzem, zakończonym ostrą rurką z gęsiego pióra.

– Żartujesz? – prychnął Leo. – Martwię się raczej o siebie.

Sheila nie dawała za wygraną, bo czuła, że nie ma już nic do stracenia.

– Wybacz, moja droga – jęknął przepraszająco kapłan, a następnie wbił końcówkę pióra w jej szyję, wyciskając zawartość prowizorycznej strzykawki do jej żyły. – Nie dajesz mi wyboru.

Sheila jęknęła i szarpnęła się po raz ostatni. Widok się rozmazywał, a głosy mężczyzn stawały się przytłumione i jakby oddalone. Mimo to jej usta nie przestawały wypowiadać słów, choć głos miała coraz słabszy i zachrypnięty od płaczu.

– Chcę... chcę do domu...

Nie wiedziała, czy zdołała wypowiedzieć to na głos, ale były to ostatnie słowa, jakie zaistniały w jej umyśle, zanim zasnęła.

* * *

Kiedy kolejny raz się ocknęła, prawie od razu wiedziała, gdzie się znajdowała. Dlatego szybko otworzyła oczy i podniosła się, zaciskając zęby, by nie syknąć z bólu.

– Nie powinnaś jeszcze wstawać.

Poznała głos, który należał do kapłana. Ubrany w czarną, bardzo wypłowiałą szatę mężczyzna stał obok i moczył szmatkę w misce z wodą. W pomieszczeniu nie było nikogo poza ich dwójką.

– Co... co mi zrobiłeś? – zapytała słabo, opierając się o kamienną ścianę i masując szyję w miejscu wkłucia.

Kapłan usiadł na krześle obok i podał jej świeży kompres, który Sheila obdarzyła nieufnym spojrzeniem.

– To zwykła źródlana woda – poinformował łagodnie. – Pomoże na ból głowy.

Sheila wzięła ociekający materiał i przyłożyła sobie do czoła, czując lekką ulgę.

– Jest mi niezmiernie przykro, że spotkaliśmy się w tak niesprzyjających okolicznościach – zaczął głębokim barytonem. – Na początku wiedz, że nazywam się Lasota. Jak możesz się domyślić, należę do zakonu fairskiego. Zająłem się twoimi ranami.

Dziewczyna spojrzała na zabandażowane ramię. Bolało ją nieco mniej.

– Sheila – przedstawiła się niedbale.

Westchnęła i poczuła znajome rwanie w klatce piersiowej. Spojrzała na dół.

Kapłan zauważył to i lekko się zmieszał.

– Widziałem jak się krzywiłaś przy każdym głębszym oddechu, ale nie śmiałem... badać cię dokładniej.

Sheila pokiwała głową i ponownie przyłożyła sobie kompres do czoła.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – Za wszystko.

Lasota przyglądał jej się niespokojnie.

– Jeśli czegoś potrzebujesz, wystarczy powiedzieć – rzekł poważnie. – Wiem, że niewiele mogę zrobić, by uśmierzyć ból twojej duszy, ale wierz mi, że całkiem nieźle znam się na urazach ciała. Jeśli zechcesz, żebym sprawdził twoje żebra...

– Tak – przerwała mu śmielej. – Muszę wyzdrowieć.

Lasota kiwnął głową i odebrał od niej kompres, a następnie bardzo cierpliwie czekał, gdy rozpinała guziki sukienki. Kiedy była w połowie, niepewnie spojrzała na wejście, osłonione luźnym materiałem.

– Nie martw się – uspokoił ją kapłan. – Nikt tu nie wejdzie nieproszony. Leo kazał swoim ludziom cię pilnować.

Sheila prychnęła i na wspomnienie dowódcy przybrała bardziej hardy wyraz twarzy.

– Więc mu się odmieniło – bąknęła. – Wcześniej mówił, że mogę sobie stąd odejść, kiedy zechcę.

Lasota zaśmiał się ciepło i westchnął.

– Źle mnie zrozumiałaś. A właściwie to ja się nieprecyzyjnie wyraziłem. Ludzie Francka nie pilnują, żebyś ty nie wychodziła, tylko żeby nikt nie wchodził do ciebie. Trzeba ci wiedzieć, że do wczorajszego wieczora nie było tu żadnej niewiasty. To wzbudza zainteresowanie. Ale nie obawiaj się. Nikt nie będzie cię niepokoił. Poza mną, oczywiście – dodał, sympatycznie się uśmiechając. – Ale zrobię co w mojej mocy, żeby te wizyty były dla ciebie jak najmniej uciążliwe.

Sheila dokończyła rozpinanie sukienki i odwróciwszy się do kapłana plecami, ostrożnie zdjęła ją z ramion. Skrzyżowała ręce, żeby choć częściowo osłonić piersi i pozwoliła, by ciepłe dłonie mężczyzny badały jej kości i mięśnie. Widać było, że Lasota starał się, by nie trwało to dłużej, niż było to konieczne.

– Mam dobrą wiadomość – powiedział, naciskając na ostatnią kość, a następnie wracając do miejsca, w którym czuła największy ból. – Żebra nie są połamane. Jednak to jedno może być pęknięte. Jak teraz?

Z wyczuciem nacisnął palcami jedną z kości.

– Boli – syknęła.

Pokiwał głową i wyprostował się.

– Nie ubieraj się przez chwilę. Nasmarujemy cię rozgrzewającym specyfikiem. Mój autorski przepis. Przyspieszy regenerację. Przede wszystkim cały korpus masz mocno poobijany. Ale żebra spisały się na medal i ochroniły najważniejsze narządy.

Przez chwilę szukał czegoś wśród fiolek. Wreszcie podniósł i powąchał gęstą, ciemnozieloną maść znajdującą się w drewnianej misce.

– Jeśli wolisz zrobić to sama... – zaczął łagodnie, ale ona machnęła ręką.

– W porządku. Pewnie poradzisz sobie znacznie lepiej.

Kiedy delikatnie smarował jej skórę tajemniczym specyfikiem, Sheila postanowiła zadać pytania, które trochę ją peszyły po tym, jak zachowała się wcześniej.

– Lasota... – zaczęła niepewnie. – Wiesz jak to wszystko wyglądało? Chodzi o to jak się tu dostałam.

– Coś tam słyszałem – powiedział ciepłym tonem. – Logan usłyszał krzyk. Był niedaleko, więc szybko dobiegł i zobaczył jak wpadacie do wody. Ty i ten drugi człowiek – dodał ostrożnie.

– Gasthon... – mruknęła. Zupełnie o nim zapomniała. – Wiesz, co się z nim stało?

Lasota spojrzał na nią współczująco.

– Z tego, co mówił Logan, twój towarzysz miał gorsze lądowanie. Mocno krwawił. Logan w pierwszej kolejności wyciągnął ciebie. Kiedy pomógł twojemu przyjacielowi, ten go zaatakował. Logan gonił go ładny kawałek, ale nieświadomy, dokąd uciekać, kolega wpadł prosto na obóz pozostałych myśliwych. Nawet nie zaczynał potyczki ze Sveinem. Pognał w panice w las. Tam niedaleko jest droga do Twierdzy. Jeśli tam dotarł, to na pewno się nim zajęli i wszystko z nim dobrze – pocieszał ją, uznając zapewne, że Gasthon był dla niej kimś bliskim.

– Wszystko mi jedno – odparła chłodno. – Mam nadzieję, że zdechł w męczarniach.

Sama była zaskoczona swoimi myślami. Szybko się jednak opamiętała.

– Co to za miejsce? – zapytała po chwili, kiedy Lasota powoli owijał ją bandażem.

Uśmiechnął się.

– To obóz buntowników – wyjaśnił. – Wyłamaliśmy się spod jurysdykcji armii królewskiej. Główny dowódca straży w Kazamatach, Kiernan de Verrad, siedzi w Twierdzy, przy której funkcjonuje więzienie. Leo był pierwszym skazańcem, który stamtąd uciekł. To znaczy, rzecz jasna pierwszym po rzuceniu klątwy. – Lasota zamyślił się przez chwilę. – Wcześniej już się to zdarzało.

Sheila prychnęła.

– To raczej żaden wyczyn – stwierdziła. – Pamiętam, że głośno było o częstych ucieczkach z Kazamatów. Mieszkam w Górnym Velde u podnóża Silviamont i wiem, jak to wyglądało.

Lasota uśmiechnął się, ale wzrok miał poważny.

– Tak. To rzeczywiście nic takiego uciec Verradowi. Co jakiś czas komuś się udaje, dzięki czemu mamy nowych członków. Ale Leo prócz siebie wyprowadził też sporą grupkę ludzi. Dwadzieścia osób niepostrzeżenie czmychnęło w las. Tak powstała Wolna Kompania.

Sheila zaśmiała się krótko.

– Brzmi dumnie – zakpiła.

Lasota zakończył owijanie jej torsu i pozwolił się ubrać.

– Za kilka dni poczujesz się lepiej – zakomunikował.

Zmarszczyła brwi.

– Co? Myślałam, że zrobisz jakieś sztuczki i za parę godzin będę jak nowa. Przecież jesteś kapłanem. No wiesz... umiecie czarować i tak dalej.

Lasota usiadł na stołku i niespiesznie wycierał ręce w szmatę.

– To, że jestem w Kazamatach, nie sprawia, że mam być niemoralny. Nawet kapłani nie mogą szafować magią wedle uznania – mruknął. – Zresztą to nie takie proste. Po pierwsze ja... powiedzmy, że nigdy nie byłem specjalnie uzdolniony w tej kwestii. Jedynie osiągnięcia na polu alchemii pozwoliły mi na cieszenie się pozycją naukowca w zakonie. Ale i tak... – Zamyślił się, a potem uśmiechnął smutno. – Nie powinienem narzekać.

– Kiedyś myślałam, że jesteście tu, żeby nawracać więźniów – przyznała z lekkim zażenowaniem. – Potem mnie uświadomiono, że wysyłano nie tyle kapłanów, co po prostu naukowców. Badaliście srebrne żelazo, prawda?

Lasota pokiwał głową.

– Taki był cel zakonu. Ale nie tylko. Niektórzy z moich braci mieli służyć duchową pomocą strażnikom w Twierdzy.

– Jest was tu więcej? To znaczy wśród buntowników?

Lasota zaśmiał się.

– O nie. Nawet w Kazamatach otoczonych magiczną mgłą wielebni pozostają wierni koronie. Jestem jedynym, który się wyłamał.

Sheila spojrzała na niego zaciekawiona.

– Dlaczego odszedłeś?

Lasota uśmiechnął się ciepło.

– To nie takie proste. Poniekąd sprawił to przypadek... ale skłamałbym, twierdząc, że jestem tu wbrew swojej woli. Czasem nie da się pogodzić wierności zakonowi i sumieniu. Nie jestem dumny ze swojej decyzji, ale inaczej nie mogłem postąpić. Uważam, że tak naprawdę Verrad też nie służy koronie.

– Jak to?

– Nie oficjalnie. Ale od czasów klątwy Verradowi mniej uśmiecha się bycie posłusznym monarsze. Trudno mu się dziwić. Zrozumiał, że prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie na zewnątrz, więc król nie może mu zaproponować za wierność właściwie niczego. Awanse, zaszczyty i pieniądze na nic się zdają w Kazamatach. Verrad dostaje jakieś ochłapy z zewnątrz, ale Twierdza stała się prawie samowystarczalna. Nie okazuje już królowi szacunku, bo może sobie na to pozwolić. Wie, że jeśli kiedyś by się jakimś cudem wydostał, to nie czekałoby go ciepłe przywitanie ze strony władcy. Więc... jak łatwo się domyśleć, wcale mu nie zależy na tym, żeby się uwolnić.

Sheila przez chwilę trawiła w głowie to, co usłyszała.

– A jak wy sobie radzicie? – zapytała po chwili.

– Przez lata nas przybywało i potrafiliśmy się dobrze ukrywać. W tym momencie jesteśmy na tyle silni, że chociaż Verrad wie, gdzie mamy obóz, nie odważy się nas zaatakować. Gdyby nie klątwa, nie miałby problemu. Leo mi to kiedyś wytłumaczył. Verrad wysłałby do nas ludzi i choć wielu by stracił, to nas by się pozbył. A potem dostałby medal od króla i zastęp nowych żołnierzy. Ale jest klątwa. Od lat nikogo mu nie przysyłają, więc musiał zacząć rekrutować gwardię ze skazańców. Z tym że to też zamknięta grupa poborowa. Krótko mówiąc, nie może pozwolić sobie na duże straty, więc nas nie rusza.

– Sprytny ten cały Leo – mruknęła Sheila z przekąsem. Nie chciała wcześniej przerywać kapłanowi, jednak coś w jego wypowiedzi przykuło jej uwagę. – Ale... Powiedziałeś, że Kazamaty są otoczone magiczną mgłą? To znaczy, że ona nie jest wszędzie?

Lasota pokręcił głową.

– Gruba warstwa mgły okala dolinę. Nie da się wyjść dalej. Dobrze, że nie udało ci się wspiąć na skałę, bo gdybyś wyszła poza teren Kazamatów... umarłabyś.

Sheila ożywiła się.

– Ja chyba jeszcze nie przekroczyłam tej granicy – zaczęła tłumaczyć, ale Lasota przerwał jej, łagodnie unosząc dłoń.

– Pamiętam, co mówiłaś. Zmory, jak to mawiają skazańcy, choć są to byty całkowicie materialne, słyną z wściekłości i niepohamowania w zabijaniu. Bez wahania rozszarpują na strzępy każdego człowieka, którego dopadną. A jednak ciebie nie zaatakowały.

Widać było, że choć starał się tego nie okazywać, zrobiło to na nim wrażenie i rozbudziło ciekawość.

Pokiwała z zapałem głową.

– No właśnie. To chyba oczywisty dowód na to, że nie przekroczyłam wtedy granicy klątwy – powiedziała z wyrzutem. – Dopóki Svein nie przytargał mnie tutaj.

Lasota zachowywał niesłychane wręcz opanowanie, kiedy odezwał się bez nacisku czy oceniania.

– Obawiam się, moja droga, że to działa na odwrót. – Spojrzał na nią miękko. – Skoro Svein i Logan byli w stanie cię dosięgnąć, to jest to oczywisty dowód na to, że znajdowałaś się już w granicach Kazamatów. Oni nie mogliby wyjść...

Sheila pokręciła ze złością głową.

– Widocznie się mylisz – rzuciła stanowczo. – Musisz się mylić. Pomyśl, jak wytłumaczyć to, że zmory tylko na mnie popatrzyły, po czym pognały w innym kierunku?

Lasota westchnął.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Nie słyszałem wcześniej o takim przypadku.

Sheila zaczęła oddychać szybciej, co powodowało ból w żebrach. Chciała się zezłościć, ale coś ją powstrzymywało. Jakby nie miała siły bardziej się zdenerwować.

Spojrzała ostro na kapłana.

– To co mi dałeś... to nadal działa – powiedziała z pretensją.

Lasota posłał jej przepraszające spojrzenie.

– Znam się na eliksirach uspokajających. To właściwie mój konik. Wybacz mi, Sheilo, ale nie mieliśmy wyboru. Wpadłaś w szał. Bałem się, że zrobisz sobie krzywdę.

Nic nie powiedziała, tylko położyła się na łóżku i oddychała głęboko.

– Powinnaś coś zjeść – zawyrokował alchemik. – A potem się porządnie wyspać. Odpoczynek będzie dla ciebie zbawienny. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żebyś szybko wróciła do pełni sił.

Sheila w milczeniu zamknęła oczy. Chciała, żeby eliksir uspokajający przestał działać. Pragnęła znowu się zezłościć.

– Przyniosę ci coś dobrego... przynajmniej jak na nasze standardy. – Wstał i miał zamiar wyjść, ale zawahał się i spojrzał na nią skruszony. – Jeśli nie chcesz, nie będę ci podawał nic na sen. Ale uwierz, że odpoczynek naprawdę ci pomoże.

Kiedy zniknął za zasłoną, Sheila wiedziała, że tylko krążący w jej żyłach eliksir powstrzymywał ją od płaczu.

* * *

Długo nie mogła zasnąć, pogrążona w coraz bardziej drażliwych myślach. Działanie eliksiru uspokajającego ustępowało i Sheila na nowo zaczynała się buntować. Jednak po zjedzeniu kawałka mięsa z przepiórki, który przyniósł jej Lasota, poczuła, że rozgrzewające właściwości zielonej maści na jej żebrach zaczynały się uwalniać. Szybko ogarnęło ją przyjemne ciepło i choć walczyła z sennością, w końcu się jej poddała.

Kiedy obudziła się godzinę później, w pomieszczeniu była sama. Odetchnęła z ulgą. Była spocona od grzejącej ją maści.

Podniosła się, bardzo pilnując, żeby nie robić hałasu. Zastałe kości nie chciały ochoczo współpracować, ale z każdym krokiem szło jej coraz lepiej. Podeszła do zasłony i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz.

Tuż obok siedział na ławeczce mężczyzna. Sheila widziała tylko bok jego głowy. Schylał się i czemuś przyglądał. Nie była jednak w stanie dostrzec, co go tak interesowało.

Niedaleko rozległy się czyjeś kroki. Jej strażnik podniósł głowę, a ona sama cofnęła się instynktownie w głąb pomieszczenia.

– W porządku? – Poznała głos Lasoty.

– Taa... – westchnął człowiek Leonidasa Franka. – Chyba śpi, bo cicho tam i spokojnie.

Sheila usiadła na łóżku, kiedy cień zakonnika przesłonił wejście. Zanim jednak odsłonił materiał, odezwał się łagodnie.

– Śpisz, Sheila? Czy mogę wejść?

Zawahała się, ale szybko stwierdziła, że nie było sensu tego przedłużać.

– Nie. To znaczy, nie śpię.

– A czy mogę wejść?

Nie była w stanie powstrzymać przypływu sympatii, jaki poczuła do kapłana. Nie umiała pozostać obojętna na pełen szacunku sposób, w jaki ją traktował.

– Tak. Możesz – powiedziała głośniej.

Przywitał ją ciepłym uśmiechem i nową porcją bandaży, którą trzymał w rękach.

– Jak się czujesz?

Nie oszczędziła mu sarkastycznego uśmiechu.

– Fenomenalnie – bąknęła kpiąco.

Nie zraził się jej humorem.

– Pozwolisz mi sprawdzić opatrunki?

Ponownie rozczulił ją swoim podejściem i nie mogła zrobić nic innego jak grzecznie się zgodzić.

Kiedy się zbliżył, zaczęła rozpinać guziki sukienki. Zanim skończyła, obejrzał jej czoło.

– Jesteś zlana potem – zauważył. – To dobry znak. Maść działa. Zapewne oddałabyś królestwo za miskę wody.

Prychnęła.

– Królestwo oddałabym za wyjście z Kazamatów. A także króla i najpiękniejszego królewicza też. Na wodzie aż tak mi nie zależy... Chociaż w sumie też nią specjalnie nie pogardzę.

Lasota pokiwał głową, kiedy obejrzał jej żebra, a potem zajął się odwijaniem bandaża z ramienia.

– Jesteś tak rozgrzana, że kąpiel w zimnej wodzie nie będzie najprzyjemniejsza – zauważył. – Ale to ważne, żeby zachować higienę przy otwartych ranach. Nagłe zmiany temperatury wpłyną też korzystnie na cały organizm. Będziesz musiała umyć się sprawnie i od razu wrócić do grzania ciała.

Westchnęła.

– Rozumiem. Mogę iść od razu.

Lasota uśmiechnął się i odłożył brudne bandaże.

– Świetnie. Bo twoi przewodnicy już czekają.

* * *

Kiedy mijała swojego strażnika, ten kiwnął jedynie głową. Okazało się, że jej kamienny pokoik wchodził w skład niewielkiego kompleksu jaskiń. Z większego pomieszczenia wychodziło kilka szerokich korytarzy. Największy prowadził na zewnątrz. To tam skierowali się z Lasotą. Im dalej szli, tym głośniej słychać było szum wody. Kiedy na końcu minęli ostry zakręt, Sheila zrozumiała, że wejście do jaskini schowane było za niewielkim wodospadem. W zasadzie trudno było uznać, że wąski strumień skutecznie ukrywał pieczarę. Prawdopodobnie jedynie ją kamuflował.

To w tym miejscu czekali na nią wspomniani przez Lasotę przewodnicy. Sheila rozpoznała obu. Potężny i łysy Svein kontrastował z drobniej zbudowanym, niewysokim mężczyzną, którego krótko ostrzyżone włosy zdradzały lekko rudawe odcienie. Młodszy uśmiechał się do niej promiennie.

– Pitter ma dla ciebie ubranie na zmianę – poinformował kapłan. – Panowie, oddaję ją pod waszą opiekę. Wracajcie szybko, a wtedy założymy świeże opatrunki i poczujesz się znacznie lepiej.

Sheila kiwnęła mu na pożegnanie i spojrzała niepewnie na wielkoluda, który westchnął. Jego wzrok był łagodniejszy niż poprzednim razem.

– No dobra – rzucił. – Zróbmy, co mamy zrobić. No już tak na mnie nie łypaj jak sroka w gnat. Nie mam żalu. – Wskazał na rozciętą skroń. – Ale nie rób tego więcej – dodał ciszej. – Ja dostałem w łeb, ty w kark. Jesteśmy kwita.

Prychnęła.

– No nie bardzo. Porwałeś mnie do obozu bandytów...

– Buntowników – poprawił ją, marszcząc brwi.

– Wszystko jedno – mruknęła. – Porwałeś mnie i przyprowadziłeś siłą do obozu pełnego skazańców, gdzie dowódca mnie obraża i szarpie, a cała reszta nie wiadomo, co chce mi zrobić, do tego stopnia, że muszę mieć strażnika przy drzwiach.

Svein spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Lasota mówił, że przeszła jej ta wścieklizna – zwrócił się do najpogodniejszego z całej trójki Pittera, a potem schylił się do Sheili i zaczął tłumaczyć, jakby była przygłucha i niezbyt rozgarnięta umysłowo. – Dziewucho szalona, ja żem cię zabrał o zmierzchu z miejsca, gdzie by cię rozszarpało stado zmor. Rozumiesz ty to?

Spojrzała hardo, unosząc głowę.

– Mnie się tam podobało.

Svein westchnął i machnął ręką, ponownie zwracając się do młodszego towarzysza.

– Przynajmniej nikt mi nie powie, że nie starałem się być miły.

Pitter uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Poświadczę o tym, jeśli trzeba. A teraz... skoro jesteś gotowa, to możemy iść.

Zbliżali się do wyjścia, przez co szum wodospadu stawał się coraz głośniejszy. Na końcu skręcili w prawo i zrobili kilka kroków wzdłuż skały, po czym Sheila przystanęła, bo widok zaparł jej dech w piersiach.

Kilka metrów niżej widać było korony drzew o zgniłym odcieniu zieleni. Jednak to, co ją naprawdę zainteresowało, to obóz. Sheila dostrzegła drewniane chatki poprzyklejane na różnych wysokościach pni i łączące je kładki. Niektóre podwieszane na linach, inne bardziej stabilne, zbite z szerokich desek. Niedaleko tego leśnego miasteczka znajdowało się jezioro, do którego wpadał wodospad. Po jego drugiej stronie natomiast stało kilka mniejszych i większych budynków. Wszystko okalała palisada, która ginęła z oczu nieco dalej.

– Robi wrażenie, co? – zawołał z dumą Pitt, przekrzykując szum wody.

Kiwnęła głową.

– Owszem. Nie da się ukryć. To naprawdę... kawał obozu – dodała z braku lepszego pomysłu.

– A co ty myślałaś? – zabrzmiał donośnie Svein. – Że jesteśmy garstką gołodupców, która chowa się po krzakach?

Sheila nie powstrzymała lekkiego uśmiechu.

Ruszyli dalej. Minęli obozowisko i zeszli wijącymi się przy ścianie skały kamiennymi schodkami.

– My się nie pierdolimy, tylko kąpiemy w jeziorze na widoku – poinformował ją Svein, gdy kroczyli niezbyt wyraźną ścieżką. – Ale dla takiej młodej gąski jak ty wybraliśmy specjalny zakątek – dodał z lekkim przekąsem.

– To tutaj – rzekł Pitt, wskazując na miejsce, gdzie fragment stawu zawijał i chował się za niewielką skałą.

Podał jej pakunek, który cały czas trzymał w ręku. Była to koszula i skórzane spodnie z grubym paskiem zdobionym metalowymi okuciami.

– Niestety nie mamy tu żadnych kobiecych strojów.

– A przynajmniej żaden się nie przyznaje – rzucił Svein, a Sheila nie mogła powstrzymać krótkiego uśmiechu. – Będziemy tu zara obok. Przypilnujemy, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

– Trochę to zwęziłem dla ciebie, ale nie miałem za dużo czasu, więc szwy są dość toporne – odezwał się Pitter, wskazując na ubrania.

Sheila nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko przytaknęła.

Odeszli, ale Pitt odwrócił się jeszcze na sekundę i uśmiechnął się do niej.

Kiedy została sama, rozejrzała się i stwierdziła, że rzeczywiście była oddzielona od niepożądanego wzroku obcych. Nie czuła się jednak zbyt pewnie na tym terenie, dlatego westchnęła i sprawnie zaczęła rozpinać guziki z przodu sukienki, by po chwili pozwolić jej opaść na ziemię. Potem zdjęła buty i nie zwlekając, weszła do wody. Nie dając sobie czasu na przyzwyczajenie się do jej chłodu, szybko zanurzyła się cała. Przez chwilę szczękała zębami. Długi deszcz z poprzedniego dnia musiał ochłodzić temperaturę stawu.

Sheila pływała, rozkoszując się chwilą wytchnienia od ciasnego wnętrza, w którym czuła się jak więzień. Kilkukrotnie zanurzała się po sam czubek głowy w coraz przyjemniejszej wodzie. Pomyślała, że mogłaby stąd pójść i zorientowaliby się, że zniknęła, dopiero za jakiś czas. Przez chwilę kusiła ją ta perspektywa, ale szybko zdała sobie sprawę z tego, że nie miała pojęcia, gdzie dokładnie się znajdowała. Nie wiedziałaby, w którą stronę uciekać, żeby dostać się z powrotem nad znajome bajorko.

Kiedy wyszła z wody, szybko przebrała się w przygotowane ciuchy, nie czekając aż jej skóra wyschnie. Spodnie były tylko odrobinę za duże. Pitt sporo je zwęził, ale też widocznie skrócił. Koszula zaskoczyła ją jakością materiału. Widać było na niej ślady intensywnego użytkowania, ale wykonana była z czegoś miękkiego. Zupełnie nie przypominało to lnu, do którego przywykła. Założyła ją i wpuściła w spodnie. Zacisnęła

gruby pasek, który też był przykładem porządnego rzemiosła. Zapięła go na ostatnią dziurkę i była gotowa, by wracać do mężczyzn. Koszula zdążyła nasiąknąć od jej mokrego ciała. Wciągnęła na nogi swoje skórzane buty, które całkiem niedawno kupił jej Benn, i zgarniając z ziemi sukienkę, ruszyła w stronę obozu.

Woda kapała jej z rozpuszczonych, brązowych włosów. Kiedy walczyła ze Sveinem, miała jeszcze rzemyk, którym związany był warkocz. Jednak kiedy obudziła się w jaskini za wodospadem, włosy miała rozpuszczone. Gdzieś w międzyczasie musiały się rozplątać.

Przydałby się jakiś sznurek – pomyślała.

Zastała Pitta opartego o skałę, która osłaniała ją od reszty obozu.

– Znacznie lepiej – oznajmiła zadowolona.

– Jeśli chcesz, mogę się tym zająć. – Wskazał na sukienkę, którą trzymała w ręku. – Jestem szwaczem, umiem obchodzić się z ubraniem.

– Dzięki – odparła, nieco zaskoczona, i oddała mu strój. – Gdzie mój ulubiony dryblas? – rzuciła z przekąsem.

Pitt machnął ręką w stronę obozowiska.

– Franck go wezwał. Pewnie chce wypytać o twoje postępy.

Sheilę rozdrażniło wspomnienie dowódcy. Prychnęła z pogardą, co nie uszło uwadze jej rozmówcy.

– Słyszałem, że mieliście małą scysję – zauważył dyplomatycznie. – Dawno nie widziałem go tak wzburzonego jak wtedy, gdy od ciebie wychodził. Do tej pory tylko Reiven Scott umiał go doprowadzić do białej gorączki.

Ruszyli powoli w stronę wodospadu.

– Reiven Scott? – zainteresowała się. – Skądś znam to nazwisko.

Pitt zaśmiał się.

– No pewnie. Najsłynniejszy fałszerz w Livii i nie tylko. Za granicą też były za nim słane listy gończe. Ale wpadł i teraz mamy taką sławę w naszym obozie – dodał z udawaną dumą.

Sheila uśmiechnęła się. Pitt wydawał się niegroźny.

– Więc trafiłam nie byle gdzie – powiedziała z ironią. – Powinnam chyba podziękować Sveinowi, zamiast na niego naskakiwać.

Droga powrotna, którą przeszła z Pitterem, minęła jej w miarę szybko, ale cały czas musiała się pilnować i trochę na siłę okazywać większy entuzjazm, niż w rzeczywistości odczuwała.

Kiedy doszli do podnóża schodów prowadzących do jaskini za wodospadem, Sheila zatrzymała się na chwilę. Kilkanaście metrów dalej stał Leo Franck i mierzył ją chłodnym spojrzeniem. Nie pozostała mu dłużna, choć uznała za przejaw dobrej woli, że nie prychnęła pogardliwie na jego widok. Każde wspomnienie ich pierwszego spotkania podnosiło jej ciśnienie. Wziął ją za prostytutkę, którą geszefciarze wyciągnęli z zamtuza. Czy naprawdę wyglądała jak kurtyzana? Nie dawało jej to spokoju.

Leo powiedział coś stanowczo do Sveina, który stał obok, a następnie odwrócił się i odszedł szybkim marszem. Wielkolud popatrzył na Sheilę i wyglądał na rozbawionego tym, co usłyszał.

– Szybko uwinę się z sukienką i lada moment dostaniesz ją z powrotem.

Sheila otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na swojego rozmówcę.

– Nie chcę jej. Możesz ją spalić albo pociąć na łaty. Wszystko mi jedno.

Pitt zmieszał się i opuścił na chwilę wzrok.

– Rozumiem. To znaczy... nie do końca, ale jeśli tak sobie życzysz. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać, a przyjdę i ci przyniosę – ożywił się nieco. – Cokolwiek.

– Możesz mi załatwić łuk?

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem jego wzrok zmatowiał.

– Na stałe będzie ciężko. To nie są tanie rzeczy – zmieszał się. – Ale jak wydobrzejesz, możemy wybrać się gdzieś i postrzelamy z mojego.

– Strzelasz? – zainteresowała się.

– Nie jakoś wybitnie, ale tutaj większość ludzi poluje mniej lub bardziej ekstremalnie. Jeśli chcesz, to wybierzemy się niedaleko, jak się lepiej poczujesz. Za parę dni.

– Pewnie – odpowiedziała, siląc się na optymizm, choć wiedziała, że nie pójdzie z chłopakiem na żadne łowy. – Wiesz... trafię już do jaskini, a chcę chwilę pobyć sama...

– Jasne. Do zobaczenia później. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj tylko znać, a... zresztą już to mówiłem – zaśmiał się zmieszany. – Zdrowiej.

Sheila kiwnęła głową w podzięce i od razu ruszyła w górę schodów, nie spiesząc się, by uniknąć silnego bólu w klatce piersiowej.

Czuła lekki wyrzut sumienia, okłamując Pitta, ale szybko to w sobie stłamsiła. Wiedziała, że za parę dni już jej tu nie będzie.

* * *

Kolejny dzień zaczął się dla Sheili bardzo wcześnie. Całą noc przewracała się z boku na bok, zasypiając na krótko, by po chwili znowu obudzić się z niepokojem. W końcu straciła cierpliwość i postanowiła się przejść. Strażnik zmienił się na wieczór i dobrze zbudowany mężczyzna z krzywym nosem, którego wcześniej nie widziała, spał z groteskowo opuszczoną głową.

Kiedy cicho przemknęła do wodospadu, zorientowała się, że było przed świtem. Dookoła panowała szarość i chłód. Nad jeziorem i między drzewami unosiła się gęsta mgła, ale nie zielonkawa jak na obrzeżach Kazamatów, tylko biała i całkiem zwykła. Na taką przynajmniej wyglądała.

Sheila nie była jedyną osobą, która wstała o świcie, ale oprócz niej po obozie kręciło się tylko trzech mężczyzn. Ku jej uldze, nie byli nią szczególnie zainteresowani. Dwóch przeszukiwało jakieś odpadki przy jednej z drewnianych chat. A trzeci z przechodniów był tak pijany, że z trudem widział drogę przed sobą, o czym świadczyło to, że prawie każdy chybotliwy krok wprzód kończył się efektownym zatoczeniem dwa kroki w tył. Sheila stwierdziła drwiąco w duchu, że w takim tempie nieprędko uda mu się dojść do celu.

Niepewnie szła pomiędzy domami, zadzierając głowę i obserwując siatkę połączeń między domami na wyższych piętrach drzew. Po raz kolejny przyznała Pittowi rację, że robiło to wrażenie.

Szła przed siebie, mijając śpiących przy ogniskach mężczyzn i kierując się w stronę jeziora. Na chwilę przystanęła i popatrzyła na poruszającą się powierzchnię wody. Po drugiej stronie stawu również znajdowały się domki, ale nawet z tej odległości dało się dostrzec, że wyglądały na bardziej liche i zaniedbane. Dopiero po chwili spostrzegła, że na przeciwnym brzegu siedział człowiek w kapeluszu. Miał siwą brodę, odstającą na wszystkie strony. Łowił ryby i patrzył na nią. Kiedy zorientował się, że go dostrzegła zdjął kapelusz i skłonił się uprzejmie.

Niepewnie odwzajemniła gest i od razu ruszyła wzdłuż brzegu, by stracić kontakt z nieznajomym.

Dotarła do solidnego drewnianego mostu, na którego końcu znajdował się spory budynek. Spało koło niego dwóch mężczyzn. Obok przebiegała droga do bramy. Stojący tam strażnicy nie spali, ale też nie zdawali się być szczególnie czujni. Wyglądało na to, że grali w karty albo kości. Z tej odległości trudno było dostrzec coś więcej niż to, że siedzieli we trójkę blisko siebie.

Sheila przystanęła na środku mostu i spojrzała w kierunku jeziora, które za jej plecami zwężało się i bardziej przypominało rzekę. Mimo całej swojej sytuacji, musiała docenić ten widok. Naprzeciwko niej, kilkaset metrów dalej, poprzez mgłę majaczył wodospad. Dopiero z tej perspektywy widać było, że nie spływał z samego szczytu góry pokrytej lasem, tylko wytryskiwał prosto z położonego niżej otworu w skale.

Gdzieś tam za nim mieszkał kapłan, a także gościła ona. Im bliżej mostu, tym powierzchnia wody się uspokajała, co w jakiś sposób działało na Sheilę łagodząco. Dostrzegła jaskinię Lasoty i zamyśliła się.

Nie był kryminalistą. Dlatego bez problemu go tolerowała. Do tego miał tak ciepłe usposobienie, że jego wizyty całkowicie przestały jej przeszkadzać. Właściwie musiała przyznać sama przed sobą, że trochę

za nimi tęskniła, kiedy na dłuższe chwile zostawała sama ze swoimi ponurymi myślami.

Lasota był łagodny i cierpliwy. Zupełnie jak Benn.

Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby chłodne poranne powietrze otulało jej twarz. Czuła ucisk w gardle i płucach na wspomnienie opiekuna.

Prawdopodobnie to właśnie mieszkanie z Bennem wpłynęło tak mocno na jej podejście do wielu spraw. Nauczono ją, że w domu było spokojnie i bezpiecznie. Oczywiście spotykała się z ludźmi, gwarem, zamieszaniem, Olafem, który był stanowczo mało spokojny. Niejednokrotnie to ona była prowodyrem owego zamieszania, zwłaszcza kiedy dochodziło do jej konfliktów z Krissem. Jednak kiedy wracała do domu, tam wszystko było poukładane i jasne. Kochała ten ciepły, harmonijny charakter swojego opiekuna. Stanowili idealny duet.

Otrząsnęła się z tych myśli i otworzyła oczy. Nie mogła pogrążać się w smutku. Musiała działać i jak najszybciej wrócić do szalejących z niepokoju Benna i Olafa.

Postanowiła poczekać do wschodu słońca. Zawsze lubiła ten moment, choć nieczęsto wstawała aż tak rano. To też była bardziej domena jej opiekuna.

Koniec myślenia o Bennie – nakazała sobie.

Rozejrzała się. Te tereny dość mocno odbiegały wyglądem od tego, do czego była przyzwyczajona. Las, który się przed nią rozpościerał, nie był zbyt gęsty i zielony. Wyglądał dość mizernie. Pamiętała tę głęboką zieleń zagajników, które otaczały leśniczówkę i bujną roślinność lasów, w których polowali z Bennem.

Nagle usłyszała kroki. Poczuła, że jej całe ciało automatycznie się napięło i nawet nie uświadomiwszy sobie tego, przygotowała się psychicznie do zadania ciosu. Odwróciła głowę i dostrzegła, że od strony palisady i bramy do obozu nadchodził mężczyzna. Wydawał się nie zwracać uwagi na to, co go otaczało. Patrzył pod nogi i był zamyślony. Sheila nieco się rozluźniła. Czekała, zastanawiając się czy nieznajomy ją zaczepi, czy

może nawet nie zwróci uwagi, że to ona tu stała. Miała na sobie ubranie, które poprzedniego dnia dał jej Pitter. Jeśli przechodzący nie podniósłby wzroku, wciąż pogrążony w swoich myślach, to pewnie by się jej upiekło.

Odwróciła się i oparła o barierkę mostu. Przechodzień był już blisko niej, gdy kroki ucichły. Wiedziała co to oznacza, więc spojrzała w jego stronę. Mężczyzna patrzył na nią. Przez chwilę dziwnie się czuła z tą jego milczącą obserwacją, ale zdążyła zarejestrować, że był przystojny, mimo blizny na prawym oku, która zamiast szpecić, dodawała jego twarzy jedynie wyrazistszego charakteru.

Wydawało jej się, że krępujące milczenie trwało bardzo długo. Po chwili mężczyzna jakby ocknął się z zamyślenia i uśmiechnął się do niej przyjemnie spod schludnie utrzymanego krótkiego zarostu.

– No proszę – zaczął ciepłym tonem. – Świeża krew.

Sheila patrzyła na niego badawczo.

– Widzę, że ktoś tu jednak nie sypia do południa – zauważyła niepewnie.

Jej rozmówca zupełnie nie przystawał wyglądem to tych niezbyt zadbanych mężczyzn, których mijała po drodze.

– O nie, moja droga, wstawanie o świcie to nie jest moja specjalność – zaśmiał się przyjemnie i oparł o barierkę obok Sheili. – Ja dopiero kładę się spać.

– Co robiłeś poza obozem?

Odpowiedział jej uśmiech, a potem nieznajomy podrapał się po krótkiej, brązowej bródce. Sheila nie była pewna czy jej nie usłyszał, czy celowo zbagatelizował pytanie, bo odezwał się, zupełnie ignorując jej słowa.

– A więc wpadłaś do nas przez przypadek – skwitował.

– No... tak.

– Hm. No to kiepsko.

Zaśmiała się krótko z zaskakującą dla siebie łatwością. Starała się rozgryźć towarzysza, ale nie było to łatwe. Coś jednak nie dawało jej spokoju.

– No, trochę kiepsko – powiedziała, wciąż lekko się uśmiechając. – Masz jakiś pomysł jak się stąd wydostać?

Mężczyzna nagle spochmurniał.

– Jak to? Nie podoba ci się tutaj? – zapytał, a kiedy znowu się zaśmiała, jego twarz się rozpogodziła.

– Ogólnie jest świetnie. – Z przyjemnością dała się wciągnąć w ten żartobliwy ton. – Tylko niewiele tu rozrywek.

– Mało rozrywek? Jeśli się nudzisz, zawsze możesz zagrać w karty, upić się do nieprzytomności albo obić komuś mordę.

Zachichotała.

– I to tyle?

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– A czego chcieć więcej? W zasadzie wokół tego kręci się życie w naszej zacnej Wolnej Kompanii – dodał, udając dumę. – Mnie tam to pasuje.

Przez chwilę milczeli, uśmiechając się. Sheila zdała sobie sprawę, że odkąd trafiła do Kazamatów, nie czuła się tak swobodnie. Była wdzięczna nieznajomemu, że miał do niej niepoważne podejście.

– Spokojnie. – Machnął ręką. – W twoim przypadku nietrudno będzie o zajęcie. Zobaczysz, zaraz znajdziemy ci tu pięknego kawalera i zrobimy weselisko. A potem to już na pewno nie będziesz się nudziła. Same rozrywki cię czekają. Pranie, gotowanie, sprzątanie. Będziesz sobie mogła sama rozplanowywać grafik zajęć – dodał, jakby to była najbardziej ekscytująca rzecz na świecie.

Śmiech Sheili zabrzmiał głośniej. Spojrzała na rozmówcę.

– Płacą ci za gadanie? – rzuciła lekko. – Czy po prostu lubisz dźwięk własnego głosu?

Zmarszczył groteskowo brwi.

– Nie za smarkata jesteś, żeby mi pyskować?

Zrobiła oburzoną minę.

– Coś ty powiedział? A kim ty niby jesteś, co?

Oczy błysnęły mu zawadiacko, kiedy sparodiował jej wyraz twarzy.

– Słuchaj no, smarkulko, ja tu znam każdego. Mam kumpli w zarządzie tego całego grajdoła, a dowódca je mi z ręki, więc nie podskakuj, dobrze ci radzę.

Sheila po raz pierwszy na wspomnienie Leo się nie zezłościła, tylko otworzyła usta w teatralnym oburzeniu.

– Leo Franck, też mi coś. Jak dla mnie to on jest Leo Frajer.

Zauważyła, że w szarych oczach jej rozmówcy błysnęło lekkie zaskoczenie i przez chwilę zastanawiała się, czy czasem nie przesadziła w swoim swobodnym zachowaniu. Nieznajomy uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie dość, że smarkata i pyskata, to jeszcze obraża mojego kumpla. – Pokręcił głową z dezaprobatą. Następnie dodał nieco poważniej. – Słyszałem o waszej małej wymianie zdań.

Sheila prychnęła.

– Zdaje się, że wszyscy słyszeli. – Przypomniała sobie, że Pitter też o tym wspominał. – Biedny dowódca chyba mocno się na mnie skarżył.

Nieznajomy zaśmiał się pod nosem.

– Wierz mi, torturami byś z niego nic nie wyciągnęła. Ale tak się składa, że ja mam dobre układy z naszym czcigodnym kapłanem.

Sheila przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

– Mam to w nosie. Nie zamierzam się tłumaczyć. To on się zachował beznadziejnie.

– Czym cię tak zraził do siebie drogi Leo?

Sheila zastanowiła się chwilę. Pomyślała, że może zbyt pochopnie zaczęła wyrażać swoją negatywną opinię, ale wczuła się w ten swobodny ton, jaki narzucił rozmówca. Jednak nie znała go i doszło do niej, że to co robiła było nierozważne. Zwłaszcza że tak naprawdę nie uważała Leo za frajera.

– Właściwie to... – zaczęła, szukając odpowiednich słów. – Trochę przesadziłam. Po prostu poróżniliśmy się w pewnej kwestii. Chyba się obraził.

– Hm... no cóż. Leo łatwo nie zapomina – powiedział z poważną miną.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś zniosę tę jego niechęć do mnie. Nie zamierzam tu zostać, więc niedługo zejdę mu z oczu i może wtedy przestanie chodzić naburmuszony.

Rozmówca uśmiechnął się szerzej. Sheila westchnęła. Był naprawdę przystojny.

– Na to bym nie liczył. Taki już jest.

Ponownie spojrzała na mężczyznę i znowu coś przykuło jej uwagę, ale nie umiała tego nazwać.

– Może to zabrzmi dziwnie... – zaczęła niepewnie. – Ale mam wrażenie, jakbym już cię gdzieś widziała. To niedorzeczne.

Popatrzył na nią badawczo, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Czyżby to był ten przypadek, że widzisz kogoś pierwszy raz, a wydaje ci się, że znacie się od zawsze? – zakpił tajemniczo.

Prychnęła.

– Nie sądzę. – Wzruszyła ramionami. – To raczej ten przypadek, kiedy ktoś ma tak nieciekawy i typowy wygląd, że jest podobny do wielu osób.

Mężczyzna syknął krótko.

– Auć! Czym sobie zasłużyłem na taką kąśliwą uwagę?

Sheila zmieszała się lekko, ale postanowiła nie dać tego po sobie poznać.

– Trzeba sobie zasłużyć? A to nie można już tak normalnie od serca być dla kogoś wrednym?

Oczy znowu błysnęły mu zawadiacko.

– Bezczelna jesteś – stwierdził. – Lubię cię.

Nie powstrzymała lekkiego uśmiechu, ale brwi nadal miała ściągnięte. Przyjrzała się przystojnej twarzy mężczyzny i znowu poczuła, że gdzieś już go widziała. Zauważył jej zainteresowanie i westchnął.

– No dobra – postanowił odkryć karty. – Jakiś czas temu mój wizerunek był dość chętnie rozwieszany na wszelkich tablicach. To wtedy stałem się taki popularny.

Sheila wreszcie zrozumiała.

– Ty jesteś Reiven Scott? Ale... ja nie wiem czy widziałam list gończy z twoją podobizną więcej niż raz czy dwa razy w życiu.

Mężczyzna zaśmiał się ze swobodną nonszalancją i pogładził schludny zarost.

– Umówmy się. Takiej twarzy się nie zapomina.

Prychnęła.

– Nazwisko kojarzę, bo faktycznie, kiedy cię złapali, trochę o tym mówili. Ale nawet na Aldenie cię ścigali? Tylko tu mogłam zobaczyć twój wizerunek.

Reiven skrzywił się ostentacyjnie.

– Jeśli tak, to stracili papier i tusz. Sam z siebie w życiu bym się nie pojawił na tym zadupiu.

Sheila otworzyła usta i założyła ręce na piersi.

– Uważaj, co mówisz – ostrzegła.

Po minie Reivena szybko zorientowała się, że przewidział jej reakcję i specjalnie ją sprowokował. Przewróciła oczami i wystawiła w jego stronę język, co ewidentnie go rozbawiło.

– Jak dziecko – skomentował z politowaniem. – Jak smarkaty bachor – dodał mocniej.

Nie mogła inaczej. Była na niego trochę zła, że się naśmiewał, ale uśmiech sam cisnął jej się na usta.

Używanie przez niego słowa: smarkula, przypomniało jej o Hester. To spowodowało, że przez chwilę zamyśliła się, patrząc na jezioro.

Reiven popatrzył na nią z boku nieco spokojniej.

– Co tam się urodziło w tej pyskatej w główce?

Zawahała się, ale tylko przez chwilę. A potem zaczęła opowiadać.

* * *

– Jesteś największą frajerką, jaką spotkałem w życiu – skwitował jej opowieść Reiven.

Siedzieli na dużym kamieniu przy wodospadzie. Fałszerz odprowadził ją do podnóża kamiennych schodów, a potem jeszcze długo rozmawiali. Był pierwszą osobą, której opowiedziała ze szczegółami, jak trafiła do Kazamatów.

Zaśmiała się na jego komentarz.

– Chyba wodospad zniekształcił twoje słowa – powiedziała z przekąsem. – Zdaje się, że chciałeś powiedzieć: „Jesteś dzielna i bezinteresowna. Jestem pod wrażeniem".

– O tak. Jestem pod wrażeniem – przyznał znacząco. – Jak można być tak głupim. Wiesz, myślę, że zasłużyłaś na to, by tu trafić. Tak – dodał, widząc jej zaskoczone spojrzenie. – Powinnaś zostać odseparowana od normalnego społeczeństwa i nie zarażać innych bezsensownym altruizmem.

Sheila czuła ból w klatce piersiowej od ciągłego śmiania się, ale nie przeszkadzało jej to. Chłonęła tę chwilę swobody całą sobą. Potrzebowała tego.

– Rozumiem, że ty zostawiłbyś małą Hester na pożarcie geszefciarzom.

Wzruszył ramionami.

– Bez mrugnięcia okiem.

Sheila popatrzyła na niego uważnie.

– Nie wierzę.

Zmarszczył brwi.

– Wiesz – zaczął po chwili, obracając wszystko w żart. – Nie dziwię się, że Leo nie wytrzymał słuchania tych twoich naiwnych tekstów.

Tym razem zirytowała się szczerze.

– No cóż. Niedługo nie będziecie musieli znosić mojej naiwności, ani w ogóle niczego mojego – podniosła głos. – Pójdę sobie wreszcie nad jezioro we mgle i obie strony będą zadowolone. Pomacham wam potem z wolności.

– A cóż to za słowiczy głos się odzywa? – zapytał z sarkazmem Svein, schodzący po kamiennej ścieżce. – Nasza księżniczka strzela fochy?

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni na przywitanie.

Sheila westchnęła zniecierpliwiona. Jej humor szybko się popsuł.

– Co do twojego pomysłu... – zaczął Reiven. – No cóż. Pewnie nie na wiele się zda przemawianie ci do rozumu, ale...

– Co to za pomysł? – podchwycił Svein, ale nie dał jej szansy na odpowiedź. – Niech zgadnę. Hmm... Wynosisz się stąd.

– Cóż za przenikliwość – zadrwiła.

Reiv obserwował ich z boku.

– No i co zamierzasz, królewno? – drwił wielkolud.

Udawało mu się ją rozdrażnić bez trudu. Nie chciała z nim konsultować niczego, bo jego reakcja mogła być tylko jedna. Ale jeśli myślał, że w jakikolwiek sposób był w stanie ją przekonać do zaprzestania prób powrotu do domu, to grubo się mylił.

– Dam sobie radę bez twojej pomocy.

– Ale ja wcale nie proponowałem ci pomocy. Po prostu jestem ciekawy co tam mądrego wymyśliłaś.

Reiven zaśmiał się, za co Sheila zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

– No dobra, tak naprawdę słyszałem, co chcesz zrobić – powiedział Svein. – No więc zamierzasz wrócić, skąd cię przyniosłem. I co?

– I gówno – warknęła Sheila, a on zaśmiał się donośnie. Reiven zawtórował mu ciszej. – Zamierzam wdrapać się na górę i iść sobie do domu.

Wiedziała, jaka będzie jego reakcja i niewiele się pomyliła.

– Hm... To brzmi jak kawał dobrego planu. Nie, Reiv?

Zapytany postanowił nie dolewać oliwy do ognia i nie przytaknął. Poprzestał na czujnym słuchaniu rozmowy.

– Och, zamknij się. – Sheila odwróciła się do nich bokiem zdenerwowana. – Skoro nie chcecie mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzajcie.

Svein westchnął.

– Wybicie ci tego kretyństwa z głowy to będzie dla ciebie wielka pomoc, wierz mi – powiedział poważniej. – Zastanów się. Chcesz tam stać i czekać... na co? Nawet jeśli ktoś by tam przyszedł i cię zauważył...

– Nie jestem skazańcem. Wyjdę sama bez problemu.

W tym momencie Reiven odezwał się łagodniej.

– Myślisz, że gdyby klątwa tak działała, to Lasota nadal by tu z nami siedział?

Nie chciała tego słuchać. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie pozwoliła im tego widzieć. Zamrugała szybko. Nieważne jak racjonalne było to, co powiedział Reiven. Nie mogła sobie pozwolić na takie myślenie. To by oznaczało przymus pogodzenia się z tym, że zostanie tu na zawsze, a do tego nie mogła dopuścić. Musiała działać, próbować.

Svein nieco się zreflektował i postanowił skończyć drwiny.

– No dobra. Nie przeżywaj tak. – Być może uznawał to krótkie zdanie za idealną formę pocieszenia jej, co w innych okolicznościach mogłoby ją rozbawić. – Przyszedłem w innej sprawie. Leo cię prosi do siebie – poinformował ją spokojniej.

Sheila prychnęła i zaśmiała się gorzko.

– Leo prosi – powiedziała znacząco. – Jakże mogłabym się oprzeć takiemu zaproszeniu?

Reiven uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Jak znam życie, powiedział raczej coś w stylu: „Przyprowadź mi tu zaraz tę panienkę do cholery. Ino chyżo" – dodał groteskowo.

Svein najwidoczniej był już zniecierpliwiony, bo machnął ręką.

Sheila westchnęła i spojrzała na wielkoluda.

– W porządku. Powiedz mu, że niedługo się zjawię.

Dryblas wyglądał na zaskoczonego jej reakcją. Zrozumiała, że najwyraźniej powinna była w podskokach i bez zwlekania udać się na spotkanie, skoro pan i władca łaskawie raczył ją wezwać.

– Muszę zmienić opatrunki – poinformowała. – To nie może czekać.

Svein wzruszył ramionami i machnął Reivowi na pożegnanie, po czym odszedł niespiesznie.

* * *

Siedziba Leonidasa Francka znajdowała się, jak się okazało, całkiem blisko wodospadu. Trzeba było odbić w bok z kamiennej ścieżki i zaraz za

skalnym winklem dochodziło się do solidnej chaty, zmyślnie wciśniętej między skały. Drzwi były otwarte na oścież tak jak niewielkie okienko.

Skoro drzwi były otwarte, Sheila nie była pewna, czy powinna w nie pukać przed wejściem. Z opresji wybawił ją wychodzący akurat mężczyzna. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się, choć nie był to raczej wyraz sympatii, a lekkiego politowania.

– Jest i nasza zawadiaka – mruknął na tyle głośno, by Leo mógł to usłyszeć.

Do Sheili nie odezwał się ani słowem, za to dokładnie jej się przyjrzał, kiedy minęli się w drzwiach.

Weszła do kamiennego pomieszczenia i machinalnie się rozejrzała. W zacienionej wnęce, nieco niżej niż reszta pokoju, znajdowało się łóżko. Poza nim i kilkoma wielkimi skrzyniami z mebli znajdowało się tu tylko proste biurko. Leo siedział przy nim i coś zawzięcie pisał. Naprzeciwko znajdowały się dwa krzesła. Dowódca nie raczył podnieść na nią wzroku. Sheila zwróciła uwagę, że za jego plecami, na kamiennej ścianie, wisiał duży miecz o zdobionej rękojeści.

Podeszła powoli, ale mężczyzna uparcie kreślił na pergaminie czarne literki.

W końcu nie wytrzymała.

– Chciałeś mnie widzieć.

Leo nie podniósł wzroku znad papieru, ale raczył jej odpowiedzieć.

– Tak. Widziałem jak rozmawiasz z Reivenem przy wodospadzie, więc wiedziałem, że już nie śpisz.

Leo Franck zakończył pisanie i odłożył pióro. Dopiero wtedy spojrzał na Sheilę. Jego twarz nie była aż tak surowa, jak zapamiętała ją z poprzedniego dnia. Jednak nie było to też na pewno łagodne oblicze. Miała wrażenie, że tak jak i ona, Leo starał się kontrolować swoje emocje, aby nie poddać się irytacji. A może nie chciał sprowokować jej do kolejnego wybuchu paniki i szału. Jaka by przyczyna nie była, oboje zachowywali dystans i obserwowali się nawzajem.

– Miałaś szczęście, że go spotkałaś. O tej porze zazwyczaj odsypia nocną popijawę. – Leo wskazał jej krzesło naprzeciwko siebie. – Usiądź – powiedział znacznie bardziej stanowczo niż wymagała tego sytuacja. Sheila pomyślała, że ten człowiek ewidentnie czerpał przyjemność z wydawania rozkazów.

Usłuchała. Jej twarz cały czas pozostawała bez emocji, ale starała się przybrać minę zainteresowanego słuchacza.

– Reiven cię chyba polubił – ciągnął. – Wygląda na to, że szybko zjednujesz sobie ludzi. Nie, żeby mnie to dziwiło.

Poruszyła się nieznacznie. Zrozumiała, że chodziło mu o to, że była tu jedyną dziewczyną, więc z łatwością zyskiwała względy. Pomyślała, że ta uwaga nie była ani uprzejma, ani sprawiedliwa. Po prostu chciał jej okazać swój negatywny stosunek do niej, jakby poprzedniego dnia był za mało konkretny.

Uniosła lekko głowę i wyprostowała się.

– Chciałeś ze mną mówić o Reivenie?

Przez sekundę wyglądał, jakby chciał kontynuować ten temat, ale potem krótko pokręcił głową.

– Niezupełnie. Chciałem porozmawiać o kilku sprawach.

– Słucham.

– Przede wszystkim... Chcę wiedzieć, czy niczego ci nie brakuje w Wolnej Kompanii.

– Nie... – Zaskoczył ją, ale po chwili pomyślała, że to jednak nie aż tak dziwne pytanie, nawet jak na niego, więc kontynuowała pewniejszym głosem. – Lasota świetnie się mną zajmuje.

– Co do tego nie miałem wątpliwości. Zastanawiam się tylko... Czy ktoś szczególnie ci się naprzykrza?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale w końcu uznała, że najlepiej powiedzieć prawdę.

– Nie miałam jeszcze okazji spotkać się z członkami waszego obozu. Poza kilkoma wyjątkami.

– Widziałem cię z Pittem. Czy on narzucał ci się wczoraj? W razie czego powiem mu, żeby dał ci spokój.

– Pitter jest w porządku – zareagowała szybko.

Leo nie wydawał się zachwycony tym, co powiedziała. Może szukał jakiegoś pretekstu, żeby pozbyć się szwacza, ale jeśli tak, to ona nie zamierzała mu go dostarczyć.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – Wolałem się upewnić.

– Reivena spotkałam przez przypadek. Też mi się nie narzucał – uprzedziła ewentualne pytanie odrobinę zbyt napastliwie.

– W porządku – wydawał się rozdrażniony. Chyba miał nadzieję, że współpraca ułoży im się lepiej. Sheilę jednak zbytnio dotknęło to, jak potraktował ją poprzedniego dnia, żeby była wobec niego uprzejma, a już na pewno nie przyjacielska.

– Posłuchaj – zaczął dość spokojnie i ważył każde słowo. – Wiem, że wczoraj byłaś zdezorientowana i wystraszona. Trochę się uniosłem. Rozumiem, że miałaś prawo nam nie ufać. Rozumiem też, że przyprowadzenie cię tu wbrew twojej woli nie przekonało cię do nas, ale liczyłem, że kiedy porozmawiamy i wszystko ci wyjaśnię, to zrozumiesz, że naprawdę tak jest dla ciebie najlepiej.

Sheila słuchała go uważnie, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mimo jego zapewnień, tak naprawdę wcale jej nie rozumiał.

– Nie wydaje mi się, żebyś mógł mi powiedzieć cokolwiek, co by mnie wczoraj przekonało. Chcę wrócić do domu, a wy siłą odciągnęliście mnie od jedynego miejsca, dzięki któremu mogę to zrobić.

– Masz szansę wydostać się z Kazamatów – powiedział nagle, a ona spojrzała na niego zaskoczona.

Leo westchnął i pochylił się, opierając łokcie na blacie biurka.

– Co wiesz o klątwie de Grissa?

Wzruszyła ramionami.

– Kilka lat temu jeden z was uciekł i zabił dziecko de Grissów. To była kilkunastoletnia dziewczyna. No i jej ojciec z rozpaczy rzucił na to

miejsce klątwę. Żeby żaden więzień nie mógł już wyjść i skrzywdzić innych osób.

Leo pokiwał nieznacznie głową.

– To dosyć lakoniczna i nieco romantyczna wersja tej historii. Ale z grubsza się zgadza. My tutaj studiujemy ją bez przerwy i badamy każdy najmniejszy detal. Dokładnie siedem lat temu jeden z więźniów, niejaki Fill Tarrenter, uciekł z Kazamatów. Nie był to jakiś wyczyn, bo raz na kilka miesięcy komuś się udawało. Z racji tego, że więzienie jest na wyspie, większość takich delikwentów łapano i z powrotem osadzano tutaj, w dolinie. Tarrenter ukrywał się parę dni w mieście, ale podczas napadu w bogatej części miasta trafił na spacerującą wieczorem córkę możnowładcy sporej części Aldeny.

– Morvena de Grissa – dodała Sheila, która dobrze znała tę historię i nie była pewna, czy Leo będzie w stanie czymś ją zaskoczyć. – Zabił ją, a chyba wcześniej też zgwałcił – powiedziała z niekrytą pogardą. – Bestia. Nie żałuję go.

Leo pokiwał głową.

– Ani ja – rzekł. – Dobrze wiedzieć, że jest coś, w czym się zgadzamy. – W obliczu jej milczenia kontynuował poprzedni wątek. – Tarrenter został złapany na gorącym uczynku, zaraz po tym, jak dokonał tej bestialskiej zbrodni. Ojciec dziewczyny znalazł go nad jej ciałem i...

– Zabił – dokończyła Sheila.

– Owszem. – Leo ściszył głos. – Ale w zemście... albo jak niektórzy wolą mówić: z rozpaczy rzucił klątwę na to miejsce. Od tej pory nikt nie może wyjść z Kazamatów. Kilku niedowiarków próbowało i skończyło jako kolacja dla padlinożerców. Jeśli nawet ktoś przejdzie przez mordercze pasmo mgły, która jest namacalnym śladem rzuconego zaklęcia, to i tak musi umrzeć, gdy tylko postawi stopę na wolnym gruncie.

– Zmory są częścią klątwy? – zainteresowała się.

Leo przytaknął.

– Lasota nam to kiedyś tłumaczył. Te bestie to jakby... efekt uboczny klątwy. Takie zaklęcie, poza czysto magicznymi składnikami, nasycone jest czasem nieświadomie uczuciami rzucającego. W tym przypadku w grę wchodzi nienawiść, żal i żądza odwetu. Zmory są ucieleśnieniem tych emocji. Atakują skazańców z furią i rozszarpują ich na strzępy. Prowadzi je czysta żądza mordu. Nic ich nie powstrzyma. Można je zabić, choć są niezwykle szybkie. Ale choćbyśmy wybili je co do jednego, pojawią się nowe, powoływane do życia wciąż aktywną klątwą.

– Więc Morven nie tylko uniemożliwił skazańcom krzywdzenie niewinnych ludzi, ale wciąż na nowo mści się nieświadomie, gdy zmory rozszarpują kolejnych skazańców – powiedziała, czując wdzięczność dla nieszczęsnego ojca zmarłej dziewczyny.

Leo oparł się wygodniej na krześle.

– Niekoniecznie nieświadomie.

Kiedy Sheila posłała mu pytające spojrzenie, nie zwlekał z kontynuowaniem tematu.

– Znasz koniec tej historii? Wiesz, co się stało z Morvenem po tym wszystkim?

Sheila wzruszyła ramionami.

– To było dawno, a ja nie śledziłam nowin z zapartym tchem.

– Rozumiem. W takim razie dowiedz się, że ojca, który stracił jedyne dziecko i w szale rzucił klątwę na miejsce, z którego oprawca nie powinien był uciec, gdyby więzienie funkcjonowało jak należy; tego właśnie ojca pozbawiono majątku i oskarżono o zdradę korony.

– Co? Jak to?

– To proste – tłumaczył dowódca. – Klątwa utrudniła wydobywanie z Kazamatów srebrnego żelaza. Pamiętaj, że to się działo podczas drugiej wojny z Darrethanem. Morvena nawet na torturach nie zmuszono do zniesienia zaklęcia. Nie zdradził żadnych szczegółów dotyczących tego, jak tego dokonał. Nie chciał zdjąć uroku, więc przegenialna rada

królewska wymyśliła sobie, że trzeba go... no wiesz... – Szukał odpowiedniego słowa. – ZMOTYWOWAĆ. Więc zesłali go do Kazamatów.

– Morven jest tutaj? – Nie mogła uwierzyć.

– Wykoncypowali sobie, że zdejmie klątwę, żeby samemu się uwolnić i wrócić do żony.

Sheilę zalała fala współczucia dla całej rodziny de Grissów.

– Ale nie udało się – mruknęła.

Leo pokręcił głową.

– Nienawiść do skazańców okazała się silniejsza niż miłość do żony – skwitował dowódca i splótł długie palce.

Sheila zmarszczyła brwi i uniosła głowę.

– A nie przyszło ci do głowy, że po prostu postanowił dalej chronić ludzi przed uciekinierami? Naprawdę nie bierzesz pod uwagę, że poświęcił swoją wolność dla szlachetnego celu? Chęć zemsty po jakimś czasie przygasa. W końcu zapragnąłby wrócić do domu.

Po raz pierwszy na jej oczach Leo się zaśmiał, wyrażając ewidentnie drwiący stosunek do tego typu naiwności.

– Nie rozumiesz, że on właśnie w ten sposób się mści? Nie tylko na skazańcach, ale i na politykach. Na królu. Morven stracił wszystko, a na jego procesie nawet nie zająknięto się na temat morderstwa, którego dokonał na Tarrenterze. – Leo nieco się ożywił. – Chodziło tylko o rację stanu, a racja stanu była taka, że król potrzebował pierdolonego żelaza. – Uspokoił się i spojrzał z politowaniem na Sheilę. – Naprawdę myślisz, że po czymś takim można się nadal kierować szlachetnymi pobudkami?

Przez chwilę milczała. Wiedziała, że Leo miał dużo racji. Jej myślenie było może naiwne, ale wynikało z tego, w jakim środowisku się wychowała. Dla aldeńczyków rodzina de Grissów była symbolem męczeństwa, z którego wynikło coś dobrego dla społeczeństwa. Klątwa Morvena oddzieliła Kazamaty od świata i zapewniła wiele lat spokoju i bezpieczeństwa dla wyspy. Dla niej i jej sąsiadów ojciec zabitej dziewczynki był bohaterem, któremu należało współczuć. I nawet jeśli nie zrobił tego

świadomie i z czystych pobudek, to nie umniejszało dobra, jakie mieszkańcy odczuli za jego sprawą. Nikt nie żałował skazańców. I Sheila również nie zamierzała zmieniać tego podejścia.

– No dobrze. Więc gdzie jest Morven de Griss?

Leo przez chwilę milczał.

– Nie wiemy dokładnie, kiedy został tu zesłany. Najpierw utrzymywano to w tajemnicy. Ale Morven nie był głupi. Ulotnił się albo wmieszał w tłum i żyje wśród skazańców pod innym nazwiskiem. Dopiero kiedy król zorientował się, że plan rady nie wypalił, wydano oficjalne oświadczenie, że Morven jest w Kazamatach i należy go znaleźć, bo to jedyna osoba, która wie, jak zdjąć klątwę. Wieść się rozeszła i od prawie siedmiu lat Morven de Griss jest najbardziej poszukiwaną osobą w dolinie. Ale tak jak mówiłem, zanim dowiedzieliśmy się, że tu jest, miał czas, żeby przybrać nową tożsamość albo ukryć się w dziczy.

– I co zrobicie, jak go znajdziecie?

– Przekonamy go do współpracy.

Nie powstrzymała ostentacyjnego prychnięcia.

– Świetnie. Życzę powodzenia. Zwłaszcza jeśli to ty zamierzasz z nim negocjować. Masz wrodzony talent dyplomatyczny.

Oczy błysnęły mu chłodno na tę kpiącą uwagę. Sheila przywołała się do porządku, uznając, że faktycznie była zbyt nieuprzejma, zważywszy na to, że Leo bardzo się starał rozmawiać z nią spokojnie.

– Wybacz – powiedziała poważniej. – To... było niepotrzebne.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, gdy odezwał się po chwili:

– W końcu ktoś znajdzie Morvena de Grissa. Lepiej dla niego, żebyśmy to byli my, nie Verrad – stwierdził. – Ale w ostatecznym rozrachunku i tak w końcu klątwa upadnie. Do tego czasu możesz zostać w naszym obozie. Zrobię, co w mojej mocy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo – zaczął mówić znacznie bardziej rzeczowym tonem. – Musisz jedynie przestrzegać zasad, jakie tu panują...

Przerwał, bo zorientował się, że jego rozmówczyni myślała o czymś intensywnie.

– O co chodzi?

Sheila wyrwała się z rozmyślań i spojrzała na niego mniej pewnie.

– Ty mówisz poważnie – stwierdziła. – Zrobicie wszystko, żeby klątwa upadła. A do tego macie na to sposób...

Leo patrzył na nią spod ciemnych brwi i czekał. W końcu odzyskała jasność rozumowania i oznajmiła z lekką pretensją, jakby zapomniał o najważniejszym.

– Ale wtedy wszyscy będą wolni.

Dowódca wydawał się być szczerze zaskoczony.

– Owszem – potwierdził.

– No i... będziecie wolni.

Leo przyglądał jej się z lekko zmarszczonymi brwiami. Chyba zastanawiał się, dlaczego tak trudno było jej przyjąć tych kilka oczywistych prawd, ale potem wyraz zrozumienia wpłynął na jego twarz. Wiedział już, co dziewczyna miała na myśli.

– Nie uważasz, żebyśmy na to zasłużyli, prawda? – powiedział, a jego głos był minimalnie napięty.

Sheila nie chciała go obrażać, ale mleko się wylało, postanowiła więc trwać do końca ze swoimi przekonaniami.

– Jesteście skazańcami – odparła cicho.

Leo pokiwał głową.

– Tak. Ale wielebni nie są, a mimo to są tu uwięzieni razem z nami.

– To tylko wymówka – powiedziała nieco śmielej. – Próbujesz usprawiedliwić oswobodzeniem kilku niewinnych ludzi wypuszczenie na wolność kilkuset niebezpiecznych przestępców. Takich, którzy nie wahają się gwałcić i mordować szesnastolatek.

Leo patrzył na nią jakoś inaczej. Z jednej strony wydawał się być dotknięty jej oceną sytuacji, ale z drugiej w jego spojrzeniu było coś jeszcze. Zaintrygowanie?

– Ty też byłabyś wolna.

Sheila otworzyła usta, a potem je zamknęła. Opuściła wzrok i myślała intensywnie o tym, co usłyszała.

Zastanowiła się, co na to wszystko powiedziałby Benn. Tak bardzo chciała, żeby stanął teraz w jej obronie. Nagle wyobraziła sobie, że chmara skazańców wylewa się z Kazamatów i demoluje leśniczówkę w poszukiwaniu zapasów. Na pewno pobiliby Benna albo nawet zabili, gdyby próbował ich powstrzymać. Potem jak szarańcza poszliby dalej. Saebe, Olaf, wszyscy jej znajomi. Pomyślała o tym, jak ludzie pokroju Tarrentera łapczywie dobierają się do Erinn i innych napotkanych na swojej drodze dziewcząt.

Nie wiedziała, czy była w stanie w tym przeszkodzić, ale na pewno nie mogła przyczynić się do uwolnienia więźniów.

Chwyciła się jednak ostatniej rzeczy, która nie dawała jej spokoju.

– Skąd pewność, że Morven w ogóle żyje?

Leo spojrzał jej w oczy.

– Jest pewna przesłanka, która o tym świadczy... Ale to nie jest aż tak istotne.

Sheila nie mogła pozbyć się wrażenia, że to było jednak bardzo ważne, a Leo zbywał ją jedynie, nie chcąc wprowadzać w zbyt dużo szczegółów.

– Jakoś mnie to nie przekonuje. Przez siedem lat nikt go nie znalazł. Może już dawno ktoś go zabił, a ty robisz sobie i innym złudne nadzieje.

Leo nie zawahał się.

– Jestem przekonany, że Morven żyje. Ale nie wydaje mi się, żeby podzielenie się z tobą większą ilością informacji było rozsądne, zważywszy na to, jak reagujesz na dotychczasowe. Chociaż... niech będzie. Zaryzykuję. Może przekona cię to, że wyjście na wolność jest osiągalne. – Zrobił pauzę, a potem kontynuował ostrożnie: – Istnienie klątwy może być najlepszym dowodem na to, że de Griss ma się dobrze.

Sheila zmarszczyła czoło w zastanowieniu, ale szybko zrozumiała, o co chodziło.

– Myślisz, że tak to działa? Klątwa istnieje, bo żyje ten, kto ją rzucił?

– Spotkałem się z tym – wyjaśnił, bacznie obserwując jej reakcję. – To naturalny mechanizm. Morven był domorosłym magikiem, a do tego rzucił klątwę w silnych emocjach. Wątpię więc, że myślał wtedy o złożonych formułach.

– Więc najprostszym sposobem na zdjęcie zaklęcia... – zaczęła powoli, ale Leo jej przerwał.

– Jeśli on trafi w nasze ręce, przekonam go do współpracy po dobroci. Nawet jeśli sam nie potrafi cofnąć zaklęcia, wystarczy, że opowie o tym, jak je rzucał, czego użył, jaka była formuła. Wielebni poradzą sobie z odczynieniem, a Morven pozostanie cały i zdrowy.

– A jeśli mimo całego twojego uroku osobistego on nie zechce współpracować? – zapytała lodowato.

Leo nie od razu odpowiedział.

– Zdejmiemy tę klątwę – rzekł, nie patrząc na nią. Po chwili jednak podniósł wzrok i wyjaśnił łagodniej. – Zrozum, że mnie nie zależy na jego śmierci i zrobię wszystko, żeby go ocalić. Z wielu względów, nie tylko moralnych.

Sheila prychnęła pod nosem.

– W te moralne nie uwierzę, więc przejdź od razu do pozostałych.

Dowódca przełknął jej kolejną uszczypliwość.

– Po prostu... kiedy przesłuchiwano Morvena w stolicy, nad całą sprawą pracował sztab magów. To byli najwięksi znawcy tematu. Wiedzieli na pewno, jak działają proste klątwy tego typu. A jednak nie odważyli się go zabić. Choć on ich do tego prowokował. Więc... jego śmierć może nic nie dać, a zabijając go, możemy pozbyć się jedynego klucza do rozwiązania sprawy, a tym samym przypieczętować nasz los. Tak czy siak, jego śmierć jakoś by się odcisnęła na zaklęciu. Siedzę w tej sprawie siedem lat i wiem, że to zawsze w jakiś sposób się uwidacznia. Obser-

wujemy okrąg mgły bardzo dokładnie i z całą pewnością nic się nie zmieniło od tamtego czasu. To dowód na to, że Morven żyje.

Sheila trawiła to wszystko. Dużo było w tej całej sprawie niewiadomych. Ale im dłużej się zastanawiała, tym bardziej była pewna, że nie zamierza brać w tym wszystkim jakiegokolwiek udziału.

Spojrzała na Leonidasa i pewnym głosem powiedziała:

– Dziękuję za opiekę.

Dowódca poruszył się na swoim krześle i patrzył na nią zaskoczony.

– Tak bardzo nami gardzisz, że poświęcisz swoją wolność, byle tylko nie wypuścić nas z doliny? Przecież powiedziałem, że nie chcę zabijać Morvena. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – I tak nas nie powstrzymasz. Proponuję ci schronienie, bezpieczne miejsce, w którym możesz poczekać, aż osiągniemy cel. Zrobimy to. Bez względu na to, czy z nami zostaniesz, czy nie.

– Wiem – odparła.

– W takim razie jesteś głupsza, niż myślałem.

O dziwo, Sheili wcale te słowa nie uraziły. Wiedziała, że ktoś taki nie zrozumie pobudek, jakimi się kierowała. Nie mogłaby patrzeć na siebie w lustrze, gdyby sprzymierzyła się z ludźmi, którzy mogli skrzywdzić jej bliskich. Leo był kryminalistą i interesowało go jedynie własne dobro.

– Nie sądzę, żeby to coś dało, ale wiedz, że dla mnie i moich sąsiadów świat zmienił się na lepsze, odkąd was tu zamknięto – powiedziała z wymuszonym spokojem. – Nie poświęcam mojej wolności. Wierzę, że stąd wyjdę, i wiedz, że pierwszym, co po tym zrobię, będzie ostrzeżenie całej wyspy o tym, co planujecie.

Wzrok jej płonął. Dowódca natomiast wciąż nie dowierzał, że można być aż tak głupim.

– Opuszczę wasz obóz jeszcze dzisiaj – oznajmiła, nie patrząc na niego. – Mogę zatrzymać te ciuchy? Moja sukienka chyba już poszła na straty.

Leo przez chwilę milczał, jakby nie był pewny, czy Sheila mówi poważnie, ale potem westchnął i odparł:

– Są twoje. Nie używam ich od dawna.

A więc to jego ubranie – pomyślała. – Porządne.

– Dziękuję.

– Co zamierzasz zrobić?

Sheila wzruszyła ramionami.

– Pójdę nad jezioro.

Jego reakcja zupełnie jej nie zaskoczyła.

– Zginiesz – stwierdził pewien swojej racji.

– Umiem sobie radzić w lesie.

Po raz pierwszy widziała, jak Leo Franck prycha.

– Nie mam na myśli samej drogi. Nie puszczę cię samej.

Posłała mu zaskoczone spojrzenie.

– Mimo dobrych chęci, jakie miałem, nie przyjęłaś mojej propozycji. Ale jakby nie było, ściągnęliśmy cię tu wbrew twojej woli. Gdyby coś ci się stało, obciążyłoby to moje sumienie.

Kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

– W porządku. – Nadal wydawał się być nieco urażony. – Logan dzisiaj wraca polować w tamtej okolicy. Możesz zabrać się z nim. Ale nie musisz się spieszyć. Daj sobie czas na zastanowienie. Chociaż... pewnie każda chwila spędzona w naszym towarzystwie była już dla ciebie wystarczająco przykra.

Sheilę zirytowały te słowa.

– To nieprawda. Po prostu... Nie zrozumiesz.

– Masz rację. Pewnie nie.

* * *

Po wysłuchaniu ostatnich instrukcji od dowódcy, Sheila bez zwłoki wyszła na zewnątrz. Nawet nie spojrzała w stronę wodospadu. Nie chciała się żegnać z Lasotą, który może byłby w stanie przekonać ją do zostania i zaakceptowania planu uwolnienia wszystkich kryminalistów kosztem

ewentualnej śmierci kogoś, kto już i tak doznał mnóstwo krzywd. Nie chciała mieć do czynienia z żadnymi skazańcami.

Udała się prosto do niewielkiego domku Logana, tak jak polecił jej Leo. Było już na tyle późno, że obóz się bardziej zaludnił i Sheila odczuwała na sobie ciekawskie spojrzenia przechodniów. Kilku mężczyzn zagadało do niej mniej lub bardziej śmiało, ale tylko przemykała między nimi bez słowa.

Logan zdziwił się na jej widok. Przeczytał notatkę, którą dał jej Leo, i kazał się rozgościć. Sam musiał przed wyjściem załatwić jeszcze kilka spraw, ale pozwolił jej spędzić czas u siebie w chacie i częstować się jedzeniem.

Nie miała na to ochoty, dlatego kiedy wyszedł, usiadła na łóżku i podciągnęła nogi pod brodę. Dużo myśli kołatało jej się po głowie i po jakimś czasie nie była już pewna, czy to ona jest normalna, a świat wokół zwariował, czy może jest na odwrót i to jej z trudem przychodzi zaakceptowanie racjonalnych zasad przetrwania.

Po godzinie leżenia, siedzenia i chodzenia w kółko poczuła, że jednak doskwiera jej głód. Na stole znajdowało się trochę zapasów, które Logan przygotował sobie na drogę i pierwsze dni polowania. Głupio było jej rozpakowywać szczelnie zawinięte produkty, więc poprzestała na urwaniu kawałka chleba. Skubała go przez chwilę w kącie łóżka, kiedy przez uchylone okno usłyszała zbliżającą się grupkę mężczyzn. Nawet nie próbowali zachowywać się cicho.

– Na pewno jest u Logana? – odezwał się któryś.

– Widziałem na własne oczy, jak tam wchodziła.

Sheila odłożyła posiłek na bok i usiadła prosto. Spojrzała na drzwi, choć pamiętała, że ryglowała je dokładnie, jak nakazał jej myśliwy. Słysząc zamieszanie, uznała, że lepiej zamknąć też okno. Podeszła do niego, sycząc przez ból żeber. Chciała jak najszybciej domknąć okiennicę z grubej deski, by zasłonić pozbawiony szyby prześwit. Nie zdążyła jednak tego zrobić, bo napotkała opór z drugiej strony.

Odskoczyła, a okiennica z trzaskiem odbiła się od ściany. W oknie pojawiło się trzech mężczyzn, uśmiechających się stanowczo zbyt śmiało jak na gust Sheili. Mimo przedpołudniowej godziny, byli wstawieni.

Jeden z nich skłonił prostacko głowę i zdjął brudną czapkę.

– Dzień dobry – powiedział i głośno pociągnął nosem.

Drugi oparł się o framugę.

– Nie ma się co kryć – zapiał dziarsko, a Sheila zauważyła, że z boku brakowało mu zęba. – Przyszliśmy się tylko zapytać, czy aby nie trzeba ci towarzystwa.

– Sama tak tutaj siedzisz – dodał najmłodszy i najbardziej zadbany z grupki, choć wcale nie sprawiał przez to wrażenia bardziej sympatycznego. Bezczelnie przyglądał się Sheili od góry do dołu, zatrzymując wzrok na co ciekawszych miejscach. – Trzeba by zlecić Pittowi, żeby jakąś elegancką sukienkę skroił, bo kto to słyszał, żeby takie ładne nogi pod spodniami dziewczyna chowała.

Reszta przytaknęła ochoczo.

– Wpuść nas – zawołał ten bez zęba. – Jesteśmy zabawowe chłopaki. Z nami się nie zanudzisz.

– Tak jest – poparł go ten z czapką. – My nie jesteśmy niekulturalni jak Logan, żeby takiego gościa samego zostawiać.

– Chyba nie wiedział, co się robi z takimi gośćmi.

– Za to wy na pewno wiecie – odezwał się z boku znudzony głos.

Wszyscy trzej spojrzeli w lewo.

– Dobra, Matteo, kurwa. Nie psuj zabawy – warknął ten bez zęba.

– Przecież na pewno znasz się na żartach. – Najmłodszy spojrzał lubieżnie na Sheilę, która cofnęła się o krok.

Bezzębny żachnął się na ten widok.

– Nie uciekaj, przecież to tylko takie dla śmiechu dowcipy. Pogadać sobie nie można?

– Nie można – westchnął nieznany Sheili Matteo. – Franck kazał dać jej spokój. Chcecie mieć z nim do czynienia?

Dwóch starszych mężczyzn wymieniło niepewne spojrzenia, ale najmłodszy prychnął i podniósł głowę.

– Ja tu Francka nie widzę.

– Franck grzeje tyłek u siebie i nie będzie sobie zawracał głowy byle łajzami – rozbrzmiał nagle znajomy głos.

Słysząc Reivena Scotta, Sheila odetchnęła z ulgą. Trójka mężczyzn spojrzała po sobie.

– Co jest? Zapomnieliście języka w gębie? Czy drogi do domu? Mogę pomóc znaleźć jedno i drugie, ale ostrzegam, że to nie będzie przyjemne. Przynajmniej dla was.

Ich wahanie trwało jeszcze kilka sekund, a potem wzruszyli ramionami i odeszli niespiesznie. Najmłodszy nie podarował sobie komentarza.

– Niby kurwa taka Wolna Kompania, ale tutaj też dziwki są tylko dla wybranych.

Sheila podeszła bliżej i zobaczyła, że Reiven na te słowa odwraca się w stronę mężczyzn. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, ci w panice rzucili się do ucieczki.

Matteo zaśmiał się głośno na ten widok.

– O matko, jakie kiepy – stwierdził.

– Przynajmniej nie jest nudno – mruknął Reiven, podchodząc powoli do okna.

Matteo okazał się być blondynem o całkiem przyjemnym wyglądzie. Kiedy Sheila spojrzała na niego, pomachał jej krótko i odszedł.

– Integrujesz się – pochwalił ją drwiąco Reiven i oparł się o parapet.

Sheila posłała mu znaczące spojrzenie.

– Nie dałeś mi szansy na zawiązanie bliższej relacji. – Wzruszyła ramionami, starając się odzyskać spokój. – Wszystko przez to, że musiałeś się popisać i pokazać, kto tu rządzi.

– Proszę, proszę. Widzę, że wróciła uszczypliwość. Gdzie był twój cięty język, jak zagadywali do ciebie ci trzej wirtuozowie flirtu?

Sheila uśmiechnęła się i spuściła na chwilę wzrok.

– Sparaliżowało go tak jak i zdolność racjonalnego myślenia – przyznała. – Dzięki za interwencję.

Reiven westchnął ostentacyjnie.

– No wreszcie. Ile się trzeba namęczyć, żeby wycisnąć z ciebie dobre słowo.

Zaśmiała się krótko i oparła o parapet obok niego. Reiven sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął metalową piersiówkę. Gdy Sheila odmówiła, wziął spory łyk i skrzywił się lekko.

– Słyszałem, że nas opuszczasz – zaczął, przyglądając się jej uważnie.

– Nie chcę nadużywać waszej gościnności – odparła bez większych emocji. – Widzę, że wieści tutaj szybko się rozchodzą.

– Niezupełnie. – Wzruszył ramionami. – Widzisz, ja jestem jednym z tych lepiej poinformowanych. Rozmawiałem z Leo.

– To chyba nie on cię przysłał? – ożywiła się nieco.

Reiven napił się i pokręcił głową.

– Mam do ciebie prywatną sprawę. A co do reszty obozu, nikt prócz nas dwóch i Logana nie wie, że odchodzisz. Nawet Lasota nie jest wtajemniczony. Trochę za bardzo się nad tobą trzęsie. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni spodni niewielki słoiczek ze znajomą zieloną maścią. – Trzymaj. Przyda ci się na kolejne dni.

Sheila z zaskoczeniem odebrała paczkę, a potem spojrzała na rozmówcę podejrzliwie.

– Ukradłeś to?

– Nie. Dostałem od aniołków z nieba – zakpił. – Podpytałem naszego wielebnego o ciebie i szybko się pochwalił, jakie to ciekawe pomysły ma na leczenie. A potem wyjąłem odrobinę maści z miski przy łóżku. Nie wiem, czy warto zużywać na to aż tak mocne słowa. Kradzież brzmi zbyt drastycznie. Po prostu to tak, jakbym pożyczył, tylko nie oddam.

Sheila przewróciła oczami i schowała słoiczek do kieszeni spodni. Spojrzała na Reivena i pomyślała, że umiał uśpić jej czujność. W zasadzie cały czas podejrzewała, że mydlił jej oczy żartami, przez co łatwo

zapominała, że był skazańcem, który nie miał oporów przed oszukiwaniem ludzi.

Odważyła się na zadanie pytania, które przyszło jej do głowy.

– Jak tu trafiłeś?

Uśmiechnął się.

– Powiedzmy, że z powołania niosłem ludziom ulgę.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– To może powinieneś pójść do klasztoru, a nie więzienia.

Pokiwał głową.

– Też to mówiłem, jak mnie tu zsyłali. Ale chyba sędziemu nie podobało się, że niosłem ulgę głównie sakiewkom moich bliźnich.

Sheila westchnęła.

– Wiem, czym się trudniłeś. Byłeś fałszerzem, prawda?

– Owszem. Ale na swoją obronę powiem, że byłem cholernie dobrym fałszerzem.

Mimo wszystko Sheila nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Chodzi mi o to, jak cię złapali – drążyła. – W jaki sposób... no... wpadłeś.

Miała wrażenie, że w oczach Reivena pojawił się cień powagi, ale bardzo szybko zniknął. Spojrzał na nią intensywnie.

– Do takich zwierzeń, moja droga, potrzebuję bardziej intymnego klimatu i znacznie, znacznie więcej alkoholu. – Pomachał jej przed nosem piersiówką.

Założyła ręce na piersi i westchnęła.

– No dobra. Mówiłeś, że masz do mnie sprawę.

Machnął ręką.

– Drobnostka. Właściwie to taki aneks do tego, co już ustalone. Logan przeprowadzi cię bezpiecznie przez Kazamaty, ale nie zostawi nad tym twoim bajorkiem na pewną śmierć. Pomieszkasz z myśliwymi, skoro tutaj ci się nie podoba. Mam tylko jedną prośbę. Pomożesz mi w pewnym bardzo ważnym i szlachetnym zadaniu – dodał z teatralną konspiracją w głosie.

– Niech zgadnę – rzuciła ironicznie. – Znowu trzeba coś pożyczyć i nie oddać?

– Wybacz szczerość, ale nie nadajesz się na złodzieja – powiedział, jakby to była najgorsza obelga. – Za to bardzo przyda mi się coś innego.

– Mianowicie? – udała zniecierpliwienie, żeby ukryć swoje nagłe zaciekawienie.

Reiven posłał jej tajemniczy uśmiech i ściszył głos.

– Twój charakter pisma.

Zmarszczyła brwi i patrzyła na niego uważnie, zastanawiając się, czy mówił poważnie.

– Napiszesz list do domu, a ja pomogę ci go dostarczyć – kontynuował. – Sama nie dasz rady. Nikt nie będzie z tobą poważnie rozmawiał. Jedyne, czego chcę, to żebyś kilka linijek napisała... nazwijmy to: z mojego natchnienia. Układ jest prosty. Ty przekazujesz wiadomość i ja przekazuję wiadomość. Z tym że ja dorzucam też bezpieczne schronienie, więc jestem bardziej hojny.

Wyciągnął w jej stronę dłoń z piersiówką.

– To jak? Umowa stoi?

Przez chwilę się wahała, patrząc na alkohol i zastanawiając się, na ile sensowna mogła okazać się ta współpraca. W końcu jednak wzięła piersiówkę i upiła niewielki łyk, krzywiąc się znacznie bardziej niż Reiven.

ROZDZIAŁ TRZECI

Logan zdążył rozpakować swój spory tobołek – w którym, jak się okazało, były głównie strzały i ubrania – kiedy pogoda się załamała. Dość sprawnie udało im się dostać do szałasu niedaleko „jej jeziora", jak Sheila nazywała w myślach miejsce, do którego spadła.

W obozowisku nikogo nie zastali, ale drugi myśliwy, o imieniu Marson pojawił się chwilę przed deszczem. Nie był zadowolony z tego, że pogoda przepędziła go z lasu. Nie do końca też zdawał się zauważać obecność Sheili. Po usłyszeniu informacji, że dziewczyna ma z nimi zostać przez jakiś czas, wzruszył tylko ramionami i westchnął cicho. Logan, który, jak zdążyła zauważyć, był dość oszczędny w słowach, również nie emocjonował się jej obecnością, ale okazywał jej podstawową uprzejmość. Obaj chyba traktowali ją jak zło konieczne, ale nie na tyle uciążliwe, by coś z tym robić. Postanowili, że spróbują wykorzystać ją do pomocy, dlatego co jakiś czas przy różnych okazjach próbowali jej tłumaczyć, jak wykonywać najprostsze zadania myśliwskie, a kiedy okazało się, że na większości z nich się znała, skończyli z próbami nauczania i kilka dni później traktowali jej pomoc jako rzecz zupełnie naturalną.

Sheila zbyt obco i niepewnie czuła się w Kazamatach, by narażać się na to, że odeślą ją z jedynego miejsca, w którym chciała być. Logan i Marson nie należeli do zbyt wygadanych, ale to jej nie przeszkadzało. Miała dzięki temu sporo czasu na rozmyślanie. Całe dnie wspominała Benna i przyjaciół z Velde. Czasem nawet o nich śniła.

Nie chciała być dla myśliwych ciężarem, choć podejrzewała, że nawet gdyby chcieli, to i tak nie wyrzuciliby jej z obozowiska, bo dostali ja-

kieś wytyczne od Reivena. Poczucie względnego bezpieczeństwa, jakiego doznawała w ich towarzystwie, szybko weszło jej w krew i dość swobodnie zaczęła się poruszać po najbliższej okolicy. Stosunkowo często, o ile pogoda na to pozwalała, odwiedzała swoje jezioro.

Ilekroć tam była, rozglądała się ukradkiem, wypatrując Etaina. Chłopak jednak się nie pojawiał. Z tego co pamiętała, Etain łatwo wpadał w panikę, więc powodów jego zniknięcia mogło być wiele. Miała nadzieję, że udało mu się ustrzec przed kolejnym pobiciem lub atakiem. Wciąż czuła ciarki na plecach na wspomnienie stanu, w jakim zostawili go oprawcy. Kiedy o tym myślała, od razu przed oczami stawał jej Saebe. Czuła ukłucie w żołądku, ilekroć przypominała sobie kolegę. Choć trudno było w to uwierzyć, brakowało jej tego wariata. Zawsze traktowała go z przymrużeniem oka i raczej nie szczyciła się jego towarzystwem, uznając je za zło konieczne. Jednak odkąd znalazła się w Kazamatach, niepoważny sąsiad ze wszystkimi swoimi fobiami zdawał się być swojski i beztroski. Musiała też przyznać, że bała się o to, czy Saebe radził sobie bez niej. Odkąd pamiętała, opiekowała się nim, a nagle został sam.

Po tygodniu spędzonym na pilnowaniu ogniska, patroszeniu zwierząt i częstych spacerach nad jezioro Sheila czekała już tylko na jedno. Reiven miał lada dzień przysłać informacje, które powinny popchnąć ich plan do przodu. Jego pomysł napawał ją niepokojem. Zwłaszcza że nie mogła sprawdzić swojej teorii dotyczącej wydostania się z doliny.

Zarówno przystojny buntownik, jak i obaj myśliwi przestrzegali ją przed próbą wyjścia poza Kazamaty. Nie podobało jej się to, ale wiedziała, że mieli rację. Kiedy na spokojnie to wszystko przemyślała, wracając nad jezioro, zrozumiała, że przez pierwszy szok nie umiała racjonalnie podejść do sytuacji. Oczywistym było, że jej bajorko znajdowało się już na terenie klątwy. Ale nadal nie wyjaśniło się to, dlaczego zmory jej nie zaatakowały, choć przebywała na ich obszarze. Kiedy inni na to pytanie rozkładali ręce, dla niej sprawa była jasna. Zmory atakowały skazańców, bo taki miały magiczny instynkt. Skoro jej nie ruszyły, znaczyło to bez

wątpliwości, że na nią klątwa nie działała, bo znalazła się w Kazamatach przypadkiem. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej nabierała pewności, że podczas wypowiadania zaklęcia Morven de Griss miał na myśli uwięzienie kryminalistów, a nie zwykłych ludzi. Żeby zyskać pewność, że zmory, a więc i klątwa, nadal na nią nie działały, musiała znowu spotkać potwory. Nie szukała ich jakoś specjalnie dokładnie, bo zawsze mogło się okazać, że jednak coś się w tej sprawie odmieniło. A one nie przychodziły do obozowiska, które znajdowało się poza zielonkawą mgłą.

Sheila jednak nie próżnowała. W międzyczasie uczyła się wspinać po skałce. Chciała być gotowa do udowodnienia wszystkim, że jej teoria jest prawdziwa i zakaz wyjścia na zewnątrz jej nie obowiązuje. Niestety skała, z której się boleśnie sturlała, była zbyt stroma i gładka, by Sheila mogła się na nią wdrapać nawet, kiedy wyleczyła poobijane żebra. Niezniechęcona zbadała całą najbliższą okolicę, ale wszystkie kamienne ściany były jeszcze bardziej niedostępne. Logan wyjaśnił, że z tej strony Kazamatów jedynym naturalnym wyjściem z doliny, oprócz oficjalnej bramy strzeżonej przez ludzi Verrada, był punkt wymiany towaru geszefciarzy. Niestety nikt poza kilkoma zaufanymi ludźmi Verrada nie wiedział dokładnie, gdzie on się znajduje. Reiven wspomniał tylko, że czasem przy okazji dołączał się do zamówień dzięki swoim kontaktom w Twierdzy. To dzięki temu mógł przekazać na zewnątrz list.

Zarówno Logan jak i Marson niezmiennie dziwili się jej ciągłym zapewnieniom, że uda jej się opuścić Kazamaty. Twierdzili, że miała za dużo czasu i dlatego w głowie roiły jej się nierealne scenariusze. Sheila musiała po części przyznać im rację. Mimo wszystkich zajęć, jakich się podejmowała, każdy dzień w dolinie dłużył jej się okropnie.

Jej sytuacja nieco się poprawiła, kiedy któregoś wieczora napomknęła w rozmowie o tym, jak bardzo się nudziła.

– Nie powinnaś tu zostawać sama – stwierdził w końcu Logan. – Może wezmę cię na polowanie ze sobą?

Sheila otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Marson odezwał się poirytowany:

– Nie mam czasu uczyć jej podstaw.

– Umiem polować – wtrąciła się, pilnując, by mówić spokojnie i przekonać Marsona rozsądkiem.

– To nie ty ją będziesz uczył, tylko ja – zaoponował Logan.

– Nie ma mowy – warknął Marson, a Sheila coraz bardziej traciła cierpliwość. – Reiven kazał jej strzec jak oka w głowie.

Prychnęła.

– Przecież nic mi się nie stanie.

Logan westchnął.

– Daj spokój – rzucił do kolegi. – Damy sobie radę. Postrzelamy trochę w zagajniku na wschodzie.

Po długich namowach Sheili wreszcie udało się uzyskać godzinę strzelania przed świtem. Logan musiał wracać na tyle wcześnie, by myśliwi nie mieli opóźnienia w wypadach do lasu.

Logan prowadził ją skrajem okręgu mgły do niedalekiego zagajnika. Sheila faktycznie uznała, że było to tak blisko obozowiska, że Marson stanowczo przesadzał, nie chcąc jej tam puścić. Niestety był posłuszny Reivenowi, który z całą pewnością już ostrzył sobie zęby na myśl o planie wykorzystania współpracy z dziewczyną.

Sheila szybko pokazała, że miała już do czynienia ze strzelaniem. Logan z podziwem obserwował, jak wypuszczane z jego łuku strzały dosięgają kolejnych celów. W pewnym momencie urządzili sobie nawet krótki turniej, który Sheila wygrała z prostego powodu. Od dziecka interesowała się myślistwem i z chęcią uczyła się strzelać. Natomiast Logan, jak prawie wszyscy łowczy w Kazamatach, zajął się tym jedynie dla zarobku.

Sheila uwielbiała tę godzinę spędzaną na strzelaniu. Jednak tym, co najbardziej ją pochłaniało, było czekanie na wieści od Reivena. Starała się nie rozmyślać o tym, że Benn i Olaf zapewne rwali właśnie włosy z głowy, nie mając pojęcia, gdzie zaginęła ich podopieczna. Czasami patrzyła w

miejsce, z którego się sturlała, ale mgła nie pozwalała jej dostrzec przełęczy. Miała jednak nadzieję, że ktoś się stamtąd chociaż odezwie. A dokładnie, liczyła na Krissa Dessderta. Całkiem niedawno w ramach zakładu urządzili sobie wyścig pod górę. Z Kollą i Gasthonem widziała Kazamaty po raz drugi, bo pierwszy raz była tam właśnie z Krissem.

Ironia losu – myślała.

Akurat to on pojawił się u niej i jako jedyny widział w leśniczówce nieznajomych mężczyzn z dziewczynką. Na pewno powiązał ich potem z jej zniknięciem. Może jej bliscy domyślili się, że to byli geszefciarze. Tak czy siak, przyszło jej liczyć akurat na Krissa, co było raczej kiepskim żartem losu.

* * *

Sheila przez większość dnia była w obozowisku sama. Logan poszedł do posterunku straży Verrada, niedaleko głównej bramy Twierdzy, żeby sprzedać część towaru. Polowali z Marsonem za daleko od obozu buntowników, żeby na bieżąco zanosić tam łupy. Dlatego większości mięsa i skór pozbywali się w okolicy.

Marson natomiast zabrał wszystko, co był w stanie unieść, i zaniósł swoim konfratrom. Sheila liczyła, że kiedy wróci, będzie miał dla niej jakieś wieści od Reivena. Myśliwy ze zniecierpliwieniem słuchał jej próśb, by nie zapomniał o to zapytać. Bardziej interesowało go ustalenie, kiedy wróci do nich wojownik.

Sheila dowiedziała się, że na południu Kazamatów, niedaleko nich, było jeszcze kilka innych obozowisk myśliwskich. Prócz łowczych zawsze stacjonował tam któryś z dryblasów Leo Francka. Wysłannicy dowódcy zmieniali się co jakiś czas i patrolowali krąg mgły. Sheila trafiła akurat na dyżur Sveina. Miał on za zadanie, tak jak jego poprzednicy, sprawdzać stan klątwy. Wybierano do tego tylko najsilniejszych i najzręczniejszych mężczyzn, którzy potrafili walczyć i mogli poradzić sobie

z niewielką grupką zmor, a dodatkowo towarzyszyło im poczucie misji. Uznawali bowiem, że robią coś ważnego dla całej społeczności.

Sheila postanowiła wykorzystać dłużące się popołudnie na zmianę opatrunków na prawie całkowicie zaleczonym ciele. Zanim jednak zdążyła rozpiąć połowę guzików w koszuli, usłyszała zbliżających się ludzi. Szybko rozpoznała, że nie był to żaden z myśliwych, bo mężczyzn było trzech. Rozmawiali między sobą, nie starając się zachowywać ciszy.

Zrozumiała, że to patrol strażników z Twierdzy, przed którymi ostrzegali ją jej towarzysze. Wiedziała, że w tej sytuacji musiała się ukryć. Bez namysłu pobiegła do pobliskich krzaków, które wskazał jej na tę okoliczność Marson. Obserwowała stamtąd nadchodzących nieznajomych i zerkała również na okolice zgliszczy po ognisku, zastanawiając się, czy aby nie zostawiła czegoś, co świadczyło o jej niedawnej obecności.

– Pusto – zauważył jeden ze strażników, zaglądając do szałasu. – Ale jest jedzenie.

Podniósł wieko wiklinowego kosza, który znajdował się wewnątrz.

– Kozica? – zapytał drugi, zerkając na kawałek pieczonego mięsa. – A, to nie chcę. – Machnął ręką.

– Widziałeś go, Malkom? Jaki wybredny.

Strażnik nazwany Malkomem wzruszył ramionami.

– Ja to bym w sumie nie pogardził jakąś odmianą, zamiast ciągle jeść te kopytniaki z gór.

Mężczyzna, który trzymał w dłoni mięso, prychnął.

– Smakosze się, kurwa, znaleźli – mruknął i zatopił zęby w potrawie.

Sheila obserwowała ich, przyjmując najwygodniejszą jak na jej możliwości postawę.

Malkom, odkrywszy jedną z wyprawionych skór, natrafił na schowane przed deszczem strzały, jednak je zignorował. Następnie zauważył pas ze zdobioną klamrą, który Sheila zdjęła przed rozpięciem koszuli. Dziewczyna zaklęła w duchu i jeszcze bardziej wyostrzyła słuch.

– O... a to ile może być warte? – zainteresował się. – Fester, jak myślisz? – zawołał do łysiejącego strażnika o potężnej budowie, choć widać było, że oprócz mięśni miał też sporo tłuszczu. – To ma królewski herb.

Fester spojrzał na ozdobne okucie i wzruszył ramionami.

– To pewnie zapłata naszych za jakąś dostawę mięsa – stwierdził bez emocji. – Nie ruszaj stąd niczego. Dobrze żyjemy z Marsonem i Loganem. Jak wrócą, wszystko ma być na swoim miejscu. Odłóż to żarcie – warknął na towarzysza, który oprócz mięsa z kozicy, sięgnął do rondla podwieszonego nad wygaszonym ogniskiem.

– Dobrze wiedzieć, że dbasz o moje interesy. – To zdanie wypowiedział Marson, który szybko maszerował w ich stronę. – Haracz za ochronę jest, jak widać, wart swojej ceny.

Fester zrobił krok w kierunku myśliwego i uścisnęli sobie dłonie.

– Trzeba dbać o tych, którzy płacą w terminie i nie oszukują na dostawach. Jesteś moim najlepszym klientem. Stawiam cię jako autorytet dla innych myśliwych w okolicy, których ochraniam.

Marson założył ręce na piersi i pokiwał głową.

– To pewnie dlatego tak mnie nie znoszą. – Następnie zwrócił się do zmieszanego strażnika z mięsem w jednej dłoni i pokrywką od kociołka w drugiej. – Nie krępuj się. Ale ostrzegam, że to ja gotowałem.

Fester zaśmiał się i usiadł na wskazanej przez gospodarza skórze.

– Fakt. Ja bym nie ryzykował – przyznał.

Malkom niechętnie odłożył pas Sheili na bok i również zajął miejsce, wybierając niski pieniek.

– Te odwiedziny to z jakiejś specjalnej okazji? – zainteresował się Marson. – Zdaje się, że za wcześnie na kolejną ratę.

Widać było, że tylko udawał spokojnego, a rozmowa ze strażnikami działała mu na nerwy. Fester zdawał się tego całkowicie świadomy, ale tak jak myśliwy ciągnął tę farsę.

– Rutynowy patrol – wyjaśnił lakonicznie.

– Zagonili was w końcu do roboty? – zakpił łowczy.

Malkom prychnął, ale nic nie powiedział.

Strażnicy niezbyt długo zabawili w obozie, po czym odeszli w stronę bajorka. Marson, który dobrze pamiętał, gdzie kazał ukryć się Sheili, spojrzał w jej kierunku i pokręcił głową, na znak, żeby odczekała, zanim wyjdzie na zewnątrz. Usłuchała go, ale gdy tylko dał jej znać, że strażnicy oddalili się dostatecznie, wyskoczyła ze swojej kryjówki i podeszła do niego, masując obolałe pośladki.

– Mówiłeś, że przychodzą raz na dwa tygodnie po haracz – powiedziała niezadowolona.

– Tak. Ale mówiłem też, że czasem kręcą się po okolicy, jeśli mają rozkaz. Jak ktoś ucieka z Twierdzy, to sprawdzają, czy nie chowa się w pobliżu.

Usiadła na miejscu, które wcześniej zajmował Fester.

– Mam nadzieję, że nie będą tu łazić zbyt często – mruknęła.

Marson wydawał się bardziej pochmurny niż zwykle.

– Dobrze, że zdążyłaś się ukryć – westchnął.

Sheila kiwnęła głową, ale szybko zapomniała o strażnikach i spojrzała na myśliwego ze skupieniem.

– Jakie wieści z obozu? – zapytała żywiej.

Marson z ociąganiem udzielał jej wszelkich informacji. Była pewna, że nie z powodu zmęczenia, a dlatego, że jej dociekliwość działała mu na nerwy. Zawsze irytowało go, z jakim zapałem mówiła o wyjściu na wolność.

– Svein nie skończył jeszcze swojej warty, ale musimy poczekać do jutra, aż wróci. Zdaje się, że jeszcze będzie się próbował z kimś zamienić, ale...

– Świetnie – przerwała mu. – Rozmawiałeś z Reivenem?

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ta sprawa denerwowała Marsona bardziej niż do tej pory.

Może faktycznie zmęczył się drogą, a ja go wypytuję – pomyślała ze skruchą.

– Dostałem wytyczne. Napisz swój list dzisiaj. Logan dostarczy go, gdzie trzeba, i przy wymianie towaru z geszefciarzami wiadomość trafi do twoich bliskich.

Sheila jęknęła.

– To wszystko? Tyle dni czekałam, żeby usłyszeć szczegóły, a ty mi mówisz to, co już wiedziałam?

Marson zmarszczył brwi.

– Zażalenia to nie do mnie, tylko do Reivena, jeśli już. Ja tylko przekazuję, że możesz zacząć pisać. Resztę załatwiają mężczyźni.

Sheila nie była zadowolona, ale wyjątkowe tego dnia zniecierpliwienie Marsona zniechęciło ją do podejmowania dyskusji.

– Dziękuję – mruknęła i westchnęła.

Sięgnęła po pergamin i pióro. Zanim nakreśliła pierwsze zdanie, zamyśliła się i spróbowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z rozmowy z buntownikiem.

* * *

– Będziemy rozmawiać przez okno czy jednak mnie wpuścisz? – zapytał Reiven, kiedy Sheila upiła pierwszy łyk z jego piersiówki.

– Co to jest? – zapytała, krzywiąc się.

– Wódka z ognistą pokrzywą. To co z tymi drzwiami?

Sheila spojrzała na rygiel i szybko odpowiedziała.

– To nie jest mój dom. Logan kazał mi zamknąć i nikogo nie wpuszczać.

Reiven westchnął z udawanym zrozumieniem.

– Ale wiesz... ja jestem tak jakby jego szefem.

Posłała mu ironiczne spojrzenie.

– Ale on nie powiedział, że mogę wpuścić jego szefa.

– Więc nie otworzysz drzwi?

Znowu poczuła znajome rozbawienie i ciekawość.

– Nie – odparła.

Reiven wzruszył ramionami i jednym sprawnym ruchem, podpierając się dłonią na parapecie, wskoczył do środka. Zaskoczona Sheila cofnęła się o kilka kroków i otworzyła lekko usta. Buntownik otrzepał

koszulę, choć był to gest ostentacyjny, gdyż wcale nie była zakurzona. Rzucił Sheili lekki półuśmiech i podszedł do stołu.

– Musiałaś strasznie wkurzać ludzi tymi swoimi zasadami i ciągłym: „Nie. Nie. Nie". Pewnie dlatego zrzucili cię do Kazamatów.

Sheila westchnęła i przewróciła oczami, ale musiała przyznać w duchu, że trochę ją to rozbawiło. Usiadła na łóżku i przyglądała się, jak Reiven błądził wzrokiem po pomieszczeniu. W końcu skupił uwagę na niej. Chwycił krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając łokcie na oparciu.

– No dobra – zaczął. – Mam nadzieję, że w swojej ignorancji nie wyleziesz poza Kazamaty i nie staniesz się od razu gnijącą na słońcu padliną.

– Urocze – skomentowała cicho.

– Przyznam, że wtedy nie będziesz zbyt przydatna. Do rzeczy. Tak jak mówiłem: napiszesz list. Wiem, że od razu chciałabyś się pożalić, w jakie okropne miejsce trafiłaś i jak bardzo tęsknisz, bla bla. Ale nie możesz tego zrobić.

– To co mam napisać?

– Coś, co sprawi, że Benn pojawi się w wybranym przez nas miejscu. Na przykład na przełęczy nad tym twoim jeziorkiem. Wtedy będziemy mogli kontaktować się bez szyfru, ale pierwszy list mogę wysłać tylko przez strażników Verrada, a oni na pewno przeczytają wiadomość. Nie mogą się dowiedzieć, że ktoś od nas umawia się z niezależnym dostawcą. No i nie chcemy też, żeby dowiedzieli się o tobie.

– Rozumiem – powiedziała spokojnie. – Więc muszę zwabić Benna na Orlą Przełęcz. Taką ma nazwę – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie rozmówcy. – A kiedy już do tego dojdzie, to wtedy co?

– Po tym, jak popłaczecie sobie ze wzruszenia? – zakpił, ale szybko wróciła mu powaga. – Tam będzie czekała na niego wiadomość od nas. Łucznik dostarczy ją, przywiązaną do strzały. Wyjaśnimy Bennowi wszystko i poprosimy o wsparcie.

– Wsparcie? – zapytała, ale szybko zrozumiała, o co chodziło. – Ach, tak. Wreszcie doszliśmy do tego, co ty będziesz z tego miał?

– Przede wszystkim satysfakcję – powiedział Reiven z lekkim uśmiechem. – Wszystko inne to jedynie dodatek.

– Taa... – mruknęła. – Chcesz sobie z mojego Benna zrobić prywatnego geszefciarza – rzuciła głośniej i wyprostowała się.

Reiven nie przejął się tymi słowami. Popatrzył jej w oczy.

– Nie do końca prywatnego, bo skorzysta na tym cała Wolna Kompania. A poza tym nie histeryzuj. Przecież to nie będzie okup za utrzymanie cię przy życiu. Nie będę mu odejmował od ust. Zapłacimy mu za wszystko, co nam dostarczy.

Sheila za bardzo gardziła geszefciarzami, żeby móc spokojnie myśleć o całej tej sprawie.

– Wcale nie histeryzuję – wycedziła przez zęby.

Reiven spojrzał na nią poważnie.

– Obiecaj mi, że nie wyjdziesz poza Kazamaty. Nie łudź się. Zginiesz tak jak każdy inny więzień.

Sheila przymknęła oczy.

– A wtedy ci się nie przydam – dopowiedziała cicho.

Pokiwał głową.

– To byłoby marnotrawstwo okazji. – Uśmiechnął się ładnie. – Ale z drugiej strony byłoby trochę spo... – przerwał, widząc, że już przewracała oczami. Spodziewała się, jaki będzie charakter żartu. – No dobrze. Jest jeszcze jedna sprawa. Nie pisz pierwszej wiadomości od razu. Dopiero jak dam ci znać, że Logan będzie mógł dostarczyć list. Chłopaki sprawdzą, czy odpowiednio zaszyfrowałaś wszystkie informacje. Jeśli za dużo byś ujawniła, to lepiej, żeby papier nie wpadł w niepowołane ręce.

* * *

Przez cały tydzień Sheila myślała o tym, co napisać Bennowi, ale kiedy trzymała pergamin na kolanie, nagle wszystko wydawało jej się strasznie głupie i naiwne. Jak niby miała dać opiekunowi znać, żeby podczas

najbliższej pełni pojawił się na przełęczy tak, by czytający ten list strażnicy, nie zorientowali się, że ktoś się próbuje z kimś umówić?

Długo myślała, jak niepozornie dać znać, o które miejsce chodziło, gdy w końcu zrozumiała, że źle się do tego zabrała.

Pochyliła się i zaczęła skrobać po pergaminie swoim koślawym pismem, którego nigdy nie chciało jej się szlifować.

Krissie,

pamiętasz jeszcze swojego najzacieklejszego wroga? Piszę z ~~ra~~ przyjacielską radą, dla odmiany. Podobno coś Wam się zgubiło. Tak się zdarza, gdy przyjmuje się pod swój dach podejrzanych typów i zajmuje się dzieckiem, zamiast wpuścić do domu rzeźnika.

To co się gubi, powinno poszukać miejsca, z którego widać więcej i z lepszej perspektywy. A najlepiej wszystko widać z gór albo orlego gniazda.

To prawda, że zawsze byliśmy poróżnieni, ale wiedz, że nigdy nie zapomnę naszej rozmowy przy pełni księżyca. Myślę, że wieczór podczas pełni to zawsze dobry czas na rozmowy. Byłoby miło, gdybyśmy mogli jeszcze raz, jak wtedy, spotkać się podczas pełni i popatrzeć na wszystko z góry jak z orlego gniazda.

Gring

– Gring? – zaciekawił się Marson, czytając list, gdy skończyła.

– Tak mam na nazwisko. Kriss pójdzie z tą wiadomością do Benna i bez problemu rozszyfrują, o co chodzi.

Łowczy popatrzył krytycznie na pergamin, a potem złożył go na cztery części.

– No jak się tak uprzeć, to raczej nie widać, o co tu idzie... Zależy, czy ktoś upierdliwy się trafi.

Logan wrócił pod wieczór i z zainteresowaniem wysłuchał o wszystkim, co się działo pod jego nieobecność.

– Dla pewności jutro zostanę w obozowisku – zakomunikował Marson. – I tak muszę odpocząć, bo podczas drogi coś mi wlazło w kostkę. Dzień przerwy dobrze mi zrobi.

– A co z naszym polowaniem? – zapytał Logan, patrząc na Sheilę.

– Jutro i pojutrze sobie odpuścicie – mruknął drugi myśliwy.

Sheila jęknęła.

– Dzisiaj mogłam wpaść w ręce strażników, będąc tutaj, więc co to za różnica? To moja jedyna rozrywka.

Marson patrzył przez chwilę na myśliwego, a potem na Sheilę i pokręcił głową.

– Reiven potrzebuje cię całej i zdrowej – powiedział powoli. – Nie ruszysz się stąd ani do tego swojego jeziorka, ani tym bardziej na polowanie. Przynajmniej przez parę kolejnych dni, dopóki nie dowiemy się, czy strażnicy wiedzą o tym, że jesteś w okolicy.

Logan popatrzył na Sheilę przepraszająco i wzruszył bezradnie ramionami, a ona pomyślała, że coraz mniej podobał jej się układ z Reivenem. Miała nadzieję, że przynajmniej będzie jej się to opłacało.

– Właściwie... – zawahał się Marson. – Scott kazał ci wrócić do obozu.

Sheila otworzyła usta w zaskoczeniu.

– Nie taka była umowa. Miałam być blisko przełęczy i wyjścia z Kazamatów.

Była szczerze zdenerwowana.

– To dla bezpieczeństwa. Jeśli geszefciarz, który cię tu sprowadził, powiedział strażnikom, że jesteś na ich terenie, to mogą cię szukać.

Sheila prychnęła lekceważąco.

– Kolla mnie nie wydał. Nie pokazałby się strażnikom z pustymi rękami. Gasthon tak powiedział. W ogóle co to znaczy, że Reiven mi coś nakazuje? Na razie tylko ja się wywiązuję z umowy, a on jeszcze nie kiwnął palcem, żeby dostarczyć mój list.

Marson westchnął.

– Może nie do końca tak się wyraził – sprostował. – Ale sugerował, że to byłoby najlepsze rozwiązanie. Zresztą Franck też uznał, że twój pobyt tutaj nie jest dobrym pomysłem. Ryzykujemy cały plan.

Sheila zaśmiała się drwiąco.

– No tak. Drugi mądrala, który będzie mi mówił, co mam robić. – Spojrzała groźnie na myśliwego. – Posłuchaj. Nie interesuje mnie, co tam się wam marzy dostać od Benna. Jeśli Reiven, Leo albo któryś z was zmusi mnie do oddalenia się od Orlej Przełęczy, to zerwę umowę i nie dostaniecie nawet wyschniętego króliczego bobka. Jasne?

Marson długo patrzył na nią i myślał o czymś intensywnie. Następnie wymienił krótkie spojrzenie z Loganem i wreszcie wzruszył ramionami, odpowiadając:

– W porządku. Jutro przyjdzie Svein, więc będzie bezpieczniej.

Sheila odetchnęła w duchu, ale zaraz potem poczuła rodzącą się w niej złość. Reiven zaczął się zachowywać, jakby nabył ją na własność. Obawiała się, że układ z nim mógł mieć drugie dno i wyglądało na to, że buntownik właśnie zaczął je odkrywać.

* * *

– Benn, kiedy będę mogła zabić króliczka? – zapytała ośmioletnia Sheila.

W pierwszej kolejności odpowiedział jej serdeczny śmiech.

– Ty mała diablico, dlaczego chcesz zabijać niewinne króliczki?

Znała odpowiedź, ale nie chciała jej zdradzać Bennowi. Mężczyzna zobaczył rumieniec na jej twarzy.

– Jeśli nie powiesz, będę musiał wyciągnąć to z ciebie siłą.

Uśmiechnęła się, a oczy jej zalśniły. Wiedziała, że wyciąganie z niej siłą informacji oznaczało łaskotki.

– Nie, proszę! – pisnęła z paniką w głosie, chociaż tak naprawdę uwielbiała tę zabawę.

– Ostrzegam, że nie będzie litości. Mówisz czy wybierasz tortury?

Sheila przesłoniła sobie usta dłońmi i sprawnie zeskoczyła ze stołu, na którym siedziała, machając nogami i patrząc na pracującego Benna.

– Musiałbyś mnie złapać, słabeuszu! – zawołała w biegu.

Zawsze mu się udawało ją dogonić, a potem, tak jak obiecywał, nie było litości i łaskotał ją, dopóki nie łapała czkawki ze śmiechu albo ojciec nie zagonił ich z powrotem do pracy.

– Zawsze cię złapię! – zawołał i zaśmiał się ciepło.

A potem wszystko zniknęło.

* * *

– Sheila.

Szept rozległ się tuż koło jej ucha. Wzdrygnęła się, ale czyjeś ramię powstrzymało ją przed zrobieniem gwałtownego ruchu.

– Logan? – odezwała się ochryple.

– Ćśśś... Marson śpi. Idziemy na to polowanie?

Podniosła się do pozycji siedzącej i potarła zaspane oczy.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

Logan wzruszył ramionami.

– Pójdziemy postrzelać na dwie godzinki. Specjalnie zrywam cię tak wcześnie, żebym miał potem czas zapolować gdzieś dalej.

– A... Aha – mruknęła, starając się odzyskać bystrość umysłu. – Dobrze.

Czuła się niewyspana, choć dość wcześnie położyła się wieczorem przy ognisku.

Podążyli tą samą drogą co przez trzy ostatnie dni i tak jak poprzednio strzelali na zmianę. Sheila miała lekkie trudności w dosięgnięciu przepiórki w locie. Wciąż czuła się niewyspana.

– W porządku? – zapytał myśliwy, wyciągając strzałę z pnia.

Sheila uśmiechnęła się krzywo.

– Wybacz. Kiepska noc.

– Złe sny?

– Nie... – Zamyśliła się. – W zasadzie chyba dobre. Nie wiem. Pamiętam tylko jeden.

Przestali rozmawiać, by nie płoszyć zwierzyny. Sheila z zainteresowaniem zauważyła, że zawędrowali dalej niż w poprzednich dniach. Nie poznawała tych terenów, ale nadal orientowała się, z której strony znajdowało się obozowisko.

Nagle Logan zatrzymał się i gestem dłoni nakazał jej to samo. Sheila wytężyła słuch, ale nic ciekawego nie słyszała. Jedynie kilka wróbli w pobliskich krzakach hałasowało zawzięcie.

– Chyba mamy coś grubszego – ucieszył się i ruszył przed siebie.

Sheila niepewnie ruszyła dalej, skupiając się na tym, by poruszać się bezszelestnie. Kilkadziesiąt metrów dalej Logan znowu kazał jej przystanąć.

– Poczekaj tu – polecił. – Nie ruszaj się stąd, choćby nie wiem, co się stało. Sprawdzę, czy jest bezpiecznie, i wrócę do ciebie.

Zanim zdążyła zaprotestować, posłał jej stanowcze spojrzenie i przyłożył palec do ust.

Kiedy zniknął jej z oczu, przykucnęła pod sosną i zaczęła rysować patykiem po ziemi. Zawsze robiła to w tej samej kolejności. Koślawy kwiatek o pięciu płatkach, nierówne słońce i groteskowy koń z patykowatymi nogami oraz wyłupiastymi oczami. Uśmiechnęła się na ten widok. Przypomniał jej się Benn, który do znudzenia powtarzał jej, jak ważne było ćwiczenie kaligrafii i rysunku. Zależało mu na tym, żeby bez problemu radziła sobie z pisaniem, czytaniem i liczeniem. Często rów-

nież przymuszał ją do czytania książek. Miał jednak na tyle miłosierdzia, że nie nakazywał jej sięgania po pozycje, które jej nie interesowały. Dlatego głównie zajmowała się bestiariuszami. Zagłębiła się również w świat zwierząt hodowlanych. Szczególnie upodobała sobie konie, ale był też drugi powód: nie mogła znieść, że Kriss wiedział na ten temat więcej niż ona. Niestety szybko okazało się, że nawet czytając wszystkie lektury, jakie wpadły jej w ręce, nie była w stanie konkurować z chłopakiem, który od dziecka zdobywał wiedzę poprzez praktykę. W związku z tym nie pozostało jej nic innego, jak ostentacyjnie uznawać hodowlę za sprawę znacznie podlejszą niż myślistwo.

Sheila uśmiechnęła się na wspomnienie swojego uporu, gdy z kierunku, w którym odszedł Logan, dotarło do niej kilka stłumionych okrzyków, a następnie odgłosy walki.

Poderwała się na równe nogi i ruszyła w tamtą stronę. Po kilku krokach ktoś jednak chwycił ją od tyłu, jednocześnie przytrzymując usta, by nie krzyknęła.

– To ja, Marson – chrypnął jej do ucha, na co odetchnęła z ulgą.

Kiedy się uspokoiła, puścił ją i zamierzał pociągnąć za rękę w stronę obozowiska, ale wyrwała mu się.

– Tam jest Logan. – Pokazała za siebie. – Musimy mu pomóc.

Marson spojrzał na nią gniewnie.

– Wracamy – nakazał ostro. – Od razu do obozu buntowników.

– Co?! – Sheila miała mętlik w głowie. – Co tam się dzieje? – Znowu pokazała na miejsce, z którego dobiegały odgłosy walki.

– Nie czas na to.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie powiesz, co się dzieje – zagroziła.

Marson zaklął szpetnie i chwycił ją mocno za ramię.

– To nie twoja sprawa.

Mężczyzna pociągnął ją za sobą, ale znowu się wyszarpnęła.

– Myślałam, że Logan to twój przyjaciel.

– Gówno cię to powinno obchodzić. Nie jest dzieckiem. Idziemy.

Kolejny raz wyrwała mu się z taką siłą, że zachwiała się i wpadła na kogoś plecami. Instynktownie odwróciła się i odepchnęła mężczyznę, którego refleks nie zawiódł, więc sprawnie się osłonił.

– Cholera jasna! – syknął Svein, kiedy Sheila odskoczyła od niego i po raz kolejny odetchnęła z ulgą. – Uspokój się, dzikusko!

– Dzikusko?! – odparła, ochłonąwszy nieco. – Najpierw sam przestań wyglądać i zachowywać się jak barbarzyńca, a potem możesz oceniać innych. Trzeba się było nie skradać.

– Wcale się nie skradałem. – Założył ręce na piersi. – Ale tak zażarcie dyskutowałaś z Marsonem, że nie zauważyłabyś, gdyby przejechało po tobie stado konnych.

Sheila już otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale wielkolud nagle się uśmiechnął, co trochę ją zaskoczyło.

– Jednego usiekłem – powiedział z dumą, a potem jego radość zniknęła. – Reszta zwiała – mruknął niezadowolony.

– A Logan? – zapytała.

Svein wzruszył ramionami.

– Nie widziałem go.

Marson wtrącił się zniecierpliwiony.

– A nie mówiłem? Pewnie zobaczył, co się dzieje, i schował się w krzakach.

Sheila nie dawała za wygraną.

– A co się dzieje? Co właściwie tu robicie?

Wielkolud spojrzał na nią zaskoczony.

– Jak to? Szukamy cię. Przyszedłem se rano do obozowiska, a skoro was nie było, to z Marsonem ruszyliśmy waszym śladem. Jakżem zobaczył tę grupkę, to się nawet ucieszyłem, bo dawno nie było okazji, żeby skopać dupy łazęgom Verrada. A to akurat taki skurwysyński sort się trafił. Same krzywe mordy zaciągnięte z więźniów – opowiadał z satysfakcją. – Ale zgubiła mnie brawura. Za długo żem tłukł tego małego i reszta zdążyła dać nogę.

Nagle umilkł i nadstawił uszu. Marson zdjął łuk z ramienia i położył rękę na brzegu kołczanu.

– Kręcą się po okolicy – mruknął cicho myśliwy. – Chodźmy stąd.

Zgodnie ruszyli między krzakami w drogę powrotną, choć Sheila ciągle myślała o Loganie.

– To przeze mnie – bąknęła. – Dopóki się nie zjawiłam, strażnicy nic wam nie robili. A teraz się pobiliście. – Obejrzała się na Sveina.

– Nie zastanawiaj się nad tym – poradził jej Marson, który szedł z przodu. – Masz jedną robotę do wykonania. Tego się trzymaj. A nam zostaw dopilnowanie, żebyś przeżyła i była w stanie załatwić nam dostawy z zewnątrz.

Prychnęła.

– Reiven kazał wam ocalić mnie nawet kosztem Logana? Chyba nikomu jeszcze tak na mnie nie zależało – zakpiła gorzko. – Jak każe wam nadstawić własne karki, też machniecie ręką i mnie uratujecie?

Marson warknął coś niezrozumiale, a potem odezwał się głośniej.

– Trzeba było odesłać cię siłą do obozu.

Sheila westchnęła.

Zwolnili kroku, bo przed nimi słychać było jakichś ludzi. Svein, jako najwyższy, pierwszy dostrzegł, co się działo.

– Kurwa – zaklął i pokazał, żeby przykucnęli. Następnie zaczął tłumaczyć półgłosem: – Duża grupa. Prowadzą więźniów do kopalni na wschodzie.

Marson uderzył się pięścią w czoło.

– No tak – jęknął. – Wymieniają ich co jakiś czas o świcie. Szlag by to trafił. Będą iść powoli. A za nami kręcą się tamci.

– Nie wyglądają na przejętych – zauważył wielkolud. – Ale, ale... – Uśmiechnął się. – Dowodzi nimi sam przezacny major Danteil. W każdym razie nie wygląda, żeby kogoś szukali.

Marson machnął ręką.

– Daj spokój. Ci tutaj robią swoje. Jeśli ktoś chce znaleźć Sheilę, to strażnicy z zewnętrznych posterunków. Oni lubią samowolkę. Urządzili sobie prywatny folwark na obrzeżach Twierdzy i nie tylko. Myślisz, że rozliczają się u Verrada z haraczy, które zbierają od myśliwych?

Sheila pokręciła głową.

– Ale skąd by o mnie wiedzieli? – szepnęła. – Kolla nie poszedłby... – Nagle ją olśniło. – Gasthon! – jęknęła. – No jasne. Przeżył i widział, że mi też się udało. Opowiedział im o mnie.

– Wczorajszy patrol nie był przypadkowy, to oczywiste – stwierdził łowczy. – No dobra. Nie ma innego wyjścia. Sheila, zostaniesz tu. Schowaj się i czekaj. Nigdzie nie idź, dopóki ja albo Svein po ciebie nie przyjdziemy. Rozumiesz?

Kiwnęła głową, choć nie do końca podobało jej się zostanie samej na obcym terenie.

– Trzeba się rozdzielić – mruknął Svein. – Pójdę dobić resztę tej zgrai, którą pogruchotałem. Moje relacje ze strażnikami i tak są napięte. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Więc nikogo nie zdziwi nasza potyczka. A ty co? – zwrócił się do myśliwego.

Marson podrapał się po brodzie i westchnął.

– Połażę po krzakach i zorientuję się, ile jest takich grupek. Może da się przemknąć nad rzekę, a potem już dalibyśmy radę odstawić dziewczynę do naszego obozu.

Wielkolud pokiwał głową i spojrzał na Sheilę.

– Pamiętasz, jak się szarpałaś przy naszym pierwszym spotkaniu? – zapytał z lekkim uśmiechem. – W razie czego nie krępuj się i daj popalić strażnikom. Gryź, drap, kop, rzucaj kamieniami – dodał znacząco, lecz na koniec spoważniał. – Ale choćby nie wiem co, nie daj się złapać. Jeśli zabiorą cię do Twierdzy, nic nie będziemy w stanie zrobić.

Kiwnęła głową i pomyślała, że powinna mu podziękować. Uznała jednak, że zabrzmiałoby to w tej sytuacji jak pożegnanie.

Kiedy ruszyli, każdy w swoją stronę, Sheila bez zwłoki zaczęła szukać kryjówki. Nie mogła za bardzo oddalić się od miejsca, w którym zostawili ją Marson i Svein, żeby potem ją znaleźli. Przypomniała sobie, jak Benn nieraz mówił jej, że przed większością drapieżników powinna uciekać na drzewo. Uznała, że strażnicy raczej nie będą szukać jej z wysoko podniesionymi głowami. A nawet jeśli dostrzegliby ją pomiędzy liśćmi, to z wyższej pozycji zawsze łatwiej będzie jej się bronić, kopniakami spychając wspinaczy. Jedyny dąb, na który była w stanie wejść, dzięki gałęzi umieszczonej na odpowiedniej wysokości, znajdował się kilkadziesiąt metrów dalej, ale uznała, że to wystarczająco niedaleko, by Marson mógł ją odnaleźć.

Zanim się wspięła, napełniła kieszenie kamykami, które znalazła w okolicy. To była jej jedyna broń. Usiadła na grubym konarze i upewniła się, że gałęzie osłaniają ją z każdej strony. Oparła się o pokryty mchem pień i zamknęła oczy.

Oddychała coraz spokojniej. Została sama. Obiecała poczekać na powrót towarzyszy i nie zamierzała łamać danego słowa. Nie była pewna, czy sama trafiłaby do Obozu Buntowników, a nawet jeśli dałaby radę, to mogła natknąć się po drodze na grupki strażników albo dzikie zwierzęta.

Pozostało jej czekanie i pilnowanie, by niewyspanie nie odbiło się u niej chwilą nieuwagi.

* * *

Nie wiedziała, jak długo siedziała na drzewie. Kilka razy coś ją zaniepokoiło. Musiały minąć godziny, bo słońce wisiało już znacznie wyżej nad horyzontem. Zdążyła odgnieść sobie całe ciało przez przyjmowanie kolejnych niewygodnych pozycji. Przeklęła również wielokrotnie wciąż nieprzychodzących Sveina i Marsona.

– Pewnie czekają, aż teren się oczyści – szepnęła sama do siebie i przymknęła oczy. – Zapewne trwa to dłużej, niż się spodziewali.

Las był gęsty i mroczny. Różnił się od jaśniejszych borów, w których polowała z Bennem. Ten miał surowszy klimat. A może to sytuacja, w jakiej się znalazła, sprawiała, że to miejsce wydawało jej się mroczniejsze.

Usłyszała trzask gałęzi i zobaczyła, jak poruszyły się krzaki niedaleko niej. Zamarła i wytężyła słuch. Nie chciała się zdradzić, dopóki nie widziała, co się zbliżało. Przez chwilę wstrzymywała oddech, a potem zakryła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Zza krzaka wyszedł wilk. Za nim drugi, mniejszy. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Odruchowo sięgnęła za siebie i przeklęła brak łuku. Nie starała się być cicho, bo wiedziała, że zwierzęta i tak wiedziały o jej obecności. Przyszły tu, bo ją wyczuły. Nie wiedziała tylko, kiedy zjawi się reszta watahy.

Większy wilk łypnął na nią, niespiesznie zbliżając się drzewa, na którym stała. Przypomniała sobie o kamieniach w kieszeni. Wyciągnęła jeden, najbardziej kanciasty, i wycelowała. Starała się uspokoić oddech. Wtedy krzak się poruszył i wyszedł zza niego trzeci, największy zwierzak. Zaczął powarkiwać, a pozostałe mu zawtórowały.

– Co z wami? – zapytała na głos, żeby dodać sobie odwagi. – Chodźcie tu, gnidy. Jesteście głodne? Mam tu dla was pyszny kamyczek prosto w pysk.

Wilki, jak na rozkaz, skoczyły w jej stronę, ujadając zaciekle. Sheila zaklęła i próbowała wycelować w któregokolwiek z nich. Zamachnęła się dokładnie w momencie, kiedy największe zwierzę dosięgło pazurami jej nogi. Próbując uskoczyć, straciła równowagę. W ostatniej chwili złapała się gałęzi, z której teraz zwisała, machając rozpaczliwie nogami.

Była na tyle nisko, że zwierzęta bez problemu mogły ją dopaść. Nie minęła sekunda, gdy tak się stało. Poczuła, jak szarpnięty pazurami but spada jej z nogi. Zaraz potem wąskie szczęki bestii zatopiły się głęboko w jej łydce. Natychmiast przepełnił ją rozdzierający ból.

Nagle powietrze przeszył świst i największe zwierzę zawyło donośnie. Impet strzału sprawił, że wilk uderzył o pień drzewa i jęcząc, osunął się po jego korze. Dwie pozostałe bestie rzuciły się w popłochu do ucieczki, zawodząc głucho.

– Jazda! – krzyknął ktoś i słychać było nadbiegających ludzi.

Sheila czuła ostry ból w łydce, ale nie ustawała w próbach wspięcia się z powrotem na drzewo. Nie zdążyła jednak tego zrobić. Ktoś chwycił ją mocno za koszulę i ściągnął na ziemię. Dość brutalnie opadła na pień, pod nogami mając zwłoki wilka.

– Proszę, proszę. Kogo my tu mamy?

Stali przed nią trzej mężczyźni, w których rozpoznała strażników z Twierdzy. Tak jak pozostali mieli na sobie mocno wypłowiałe i zniszczone mundury królewskiej armii.

Warkocz, który schował się wcześniej pod luźną koszulą, po szarpaninie spływał jej po ramieniu, nie pozostawiając wątpliwości co do jej płci.

Najgrubszy strażnik podszedł i przytrzymał ją ramieniem. Uśmiechnął się obleśnie. Sheila rozpoznała w nim Festera, który wcześniej rozmawiał z Marsonem w obozowisku myśliwych.

– No, chłopcy, chyba coś nam uciekło z transportu – powiedział dziarsko.

Pozostali zawtórowali mu śmiechem.

– Co to za dziwo się tu uchowało? – zapytał najszczuplejszy z trójki, zbliżając twarz do jej szyi.

Sheila nie wiedziała, co powiedzieć i na co się powoływać, żeby ratować skórę. Podejrzewała, że nic nie było w stanie jej pomóc. Jedyną sensowną strategią wydała jej się próba zastraszenia mężczyzn. Nie wiedziała tylko, czego lub kogo mogliby się przestraszyć.

– Jak siedzi na drzewie, to musi jaka rusałka.

Zarechotali donośnie.

– Nie chcę kłopotów – wyrzuciła z siebie.

Wszyscy trzej zaśmiali się jednocześnie.

– Za to my uwielbiamy kłopoty. Nie, chłopaki?

– Jak masz na imię, panienko? – zapytał szczupły, wciąż manewrując głową w okolicach jej obojczyka.

Nie miała szans się wydostać.

– Nie twój interes – wycedziła przez zęby.

Strażnik zagwizdał z dezaprobatą.

– Danny do ciebie grzecznie, a ty do nas tak? Nieładnie. Chyba musimy cię nauczyć kultury.

Próbowała się wyszarpnąć. Zaczęła krzyczeć, jednak strażnik przyparł ją do drzewa mocniej i zakrył jej usta dłonią. Poczuła, jak łzy bezsilności napływają jej do oczu, kiedy jego dłonie bezczelnie wdarły się pod jej bluzkę. Pozostali trzymali ją, całkowicie unieruchamiając. Fester zerwał pas, który utrudniał mu dostanie się do guzików koszuli. Kilka z nich oderwało się z impetem i wystrzeliło w różnych kierunkach.

– Po co krzyczeć? – zapytał Danny z politowaniem.

– No właśnie – sapnął jej w twarz podniecony strażnik. – To może być całkiem przyjemne albo bardzo nieprzyjemne. Wybór należy do ciebie.

– Poczekaj, Fes. Myślisz, że Verrad ją zechce po nas? – zapytał drugi ze strażników. Sheila poznała go. To był Malkom.

Obmacujące ją dłonie nagle zamarły.

– No... Domyśli się. – Danny też wyczekiwał decyzji Festera, który przez chwilę się zastanawiał.

– Może i tak. Ale gówno mnie to teraz obchodzi. Pomyślimy o tym później. Najwyżej ją zabijemy i o niczym nie powiemy Verradowi.

Sheila poczuła, że silne dłonie Festera na nowo zaczęły przesuwać się po jej brzuchu. Wiedziała, że to koniec. Jeśli Marson sobie o niej przypomni, to znajdzie tylko gnijące truchło. Chyba, że ci trzej zadadzą sobie trud ukrycia ciała. Tylko po co mieliby to robić, skoro jakieś dzikie zwierzę szybko posprzątałoby to miejsce za nich?

– Za długo na to czekałem – wysapał Fester, sięgając do rozporka.

Nagle zamarł i obejrzał się przez ramię.

– Co... – zaczął Danny, ale pozostali uciszyli go szybko. Sheila też to usłyszała. Ktoś się zbliżał.

Może to Svein – przyszło jej na myśl. – Albo jakiś inny patrol.

Fester zaklął i poprawił spodnie.

– Dobra, idziemy. Tu jest za mało intymnie. – Uśmiechnął się obleśnie i szarpnął Sheilę mocno za sobą. – Zakładaj buta i ani piśnij, bo przysięgam, że odrąbię ci łeb. Danny, bierz wilka. Szkoda, żeby się futerko zmarnowało.

W pośpiechu zapiął jej pas od Francka, żeby koszula nie odsłaniała zabandażowanej klatki piersiowej.

Ciągnął ją za sobą przez krzaki. Poszarpana noga bolała nieznośnie, ale Sheila nawet nie jęknęła. Zacisnęła zęby i próbowała dorównać kroku strażnikowi. Gdyby jej tak nie szamotał, byłoby to o wiele łatwiejsze. Był silny. Nawet bez świeżego zranienia nie dałaby rady się wydostać.

– Cholera – syknął jej oprawca, stając nagle po kilku minutach marszu.

Z naprzeciwka nadciągało pięciu strażników. Sheila nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy martwić. Fester chwycił ją bardzo mocno za rękę, tak, że nie powstrzymała jęku bólu, a potem powiedział jej prosto w twarz:

– Nikomu nie powiesz, co zaszło. Nic mi nie zrobią, za to ja tobie owszem. Jasne?

Nie odpowiedziała, ale nie mógł dłużej ciągnąć tematu, bo mężczyźni byli zbyt blisko.

Pięciu strażników podeszło do nich. Z niedowierzaniem spojrzeli na Sheilę. Jeden wyróżniał się znacznie schludniejszym ubiorem. Wyglądał bardziej dostojnie i bogato, ale był niższy od swoich towarzyszy. Wyszedł naprzód i popatrzył na Festera z nieukrywaną złością.

– Co tu się, do kurwy nędzy, wyrabia? – warknął donośnie. – Właśnie się dowiedziałem o waszej samowolnej akcji od grupy z trzeciego posterunku. Lepiej, żeby wasze wymówki były lepsze niż ich.

Mężczyźni, którzy trzymali Sheilę, spojrzeli po sobie zmieszani. Jedynie Fester zachował ostatki pewności siebie.

Sheila zauważyła ogromną różnicę w zachowaniu obu mężczyzn i przypomniała sobie, że usłyszała, iż Verrad zmuszony był przyjmować do straży więźniów. Fester i jego towarzysze wyglądali właśnie na taki nabytek.

– Sprawa jest prosta. – Wzruszył ramionami. – Dowiedzieliśmy się, że dziewczyna uciekła geszefciarzom, to zaczęliśmy jej szukać. Trochę było problemów, bo napadł nas jej kumpel buntownik, ale w końcu to my ją złapaliśmy. Mówiłem chłopakom z trzeciego posterunku, że do obozowiska myśliwych nie ma sensu iść. Chowała się, bidulka, na drzewie.

– Nie chce powiedzieć, kim jest, ale to na pewno ta sama, co uciekła geszefciarzowi – wtrącił się Danny. – No chyba że jakaś inna jeszcze uciekła z Twierdzy.

– Tak, chyba z twojej dupy – warknął Fester. – Jak niby miała stamtąd uciec? Zastanów się.

– Dobra, zamknąć mordy – zarządził dowódca i przyjrzał się Sheili. – Mówicie, że napadły ją wilki?

Malkom przytaknął.

– Rozwaliły jej nogę, ale ubiłem jednego z kuszy. – Wskazał cielsko niesione na ramionach.

Nieznajomy dowódca zbliżył się i schylił, dotykając palcem śladów po wyrwanych guzikach w koszuli dziewczyny.

– Strasznie napalone były te wilki – powiedział znacząco. Fester z hardym wyrazem twarzy zawzięcie zachowywał spokój. – Kiepsko z nią. Wygląda, jakby zaraz miała zemdleć.

– Traci dużo krwi – zauważył Malkom.

Dowódca skinął na żołnierzy stojących za jego plecami.

– Zatamujcie jej ten krwotok. Poniesiecie ją na zmianę – rozkazał. – Nie. Nie ty, Fester. Łapy precz. A na przyszłość pamiętaj, że kobieta to nie worek ziemniaków, żeby ją za sobą ciągnąć po ziemi.

Fester prawie niezauważalnie skinął głową.

Sheila nie miała siły nawet syknąć z bólu, gdy jeden z nowo przybyłych mężczyzn ułożył ją sobie sprawnie w ramionach. Czuła, że szybka utrata krwi doprowadzała ją do omdlenia i w zasadzie bardzo chciała, żeby to nastąpiło. Jej oczy wypełniły łzy, które samowolnie spływały po policzkach.

Nieśli ją do Twierdzy, a ona nie mogła nic na to poradzić. A kiedy już przekroczy próg warowni, nie będzie dla niej ratunku i nawet wielki, silny Svein nie zdoła jej pomóc.

* * *

Po kilku minutach Sheila przestała walczyć z opadającymi powiekami i pozwoliła oczom odpocząć. Dopiero kiedy zrobiło się wokół niej gwarniej, zmusiła się do ukradkowego rozejrzenia. Przekraczali właśnie kamienny most nad głęboką fosą, za którą wznosił się wysoki mur. Sheila z trudem dostrzegła niewyraźne sylwetki strażników, którzy wychylali głowy spod drewnianego daszku, żeby zobaczyć, kogo nieśli żołnierze w dole. Potężna brama została otworzona, gdy prowadzący swoich ludzi i ledwo przytomną Sheilę dowódca uniósł rękę w niemym rozkazie. Jasny metal błysnął w słońcu i Sheila od razu rozpoznała srebrne żelazo Kazamatów, z którego wykonana była krata.

Przez chwilę szli w cieniu zadaszonej bramy, a potem wkroczyli na teren Twierdzy. Sheila odwracała wzrok od mijanych strażników, którzy bez skrępowania obserwowali ją i wymieniali komentarze z sąsiadami. Kręciło jej się w głowie i czuła mdłości, ale i tak zdołała dostrzec, w jak ponurym miejscu się znalazła.

Dookoła otaczały ją chaotycznie poustawiane lepianki z drewna, kamieni i gliny. Więźniowie – mniej lub bardziej zaniedbani – unikali spojrzeń maszerujących strażników. Niektórych skazańców prowadzono gdzieś pod eskortą, inni pracowali przy kowadłach i wytwarzali bełty. Jeśli ktoś odpoczywał, to nie na zewnątrz, bo Sheila nie dostrzegła nikogo, kto nie miałby zajęcia. Poza strażnikami. Ci w przeważającej większości siedzieli na ławach i rozmawiali między sobą. Jeden z żołnierzy dla odmiany odzywał się do schylonego więźnia, ale z całą pewnością nie była to przyjacielska wymiana zdań. Sheila nie miała szansy już tego zobaczyć, ale usłyszała mocne uderzenie i jękliwą odpowiedź więźnia. Zaraz potem znowu spowił ją cień.

Wchodzili przez kolejną bramę, tym razem do wyższej części grodu. Tutaj gwar miał podobne nasilenie, ale inny charakter. Plac, na którym się znaleźli, był prawie pusty. Pod nogami niosącego ją żołnierza zaplątała się kura, ale ten szybko odgonił ją kopniakiem. Z pomieszczeń gospodarczych słychać było odgłosy zwierząt hodowlanych. Faktycznie wyglądało na to, że Twierdza była samowystarczalna. Pomiędzy gdakaniem i muczeniem słychać było też równomierne uderzenia młotów. Sheila zmrużyła oczy i spostrzegła, że najwyższy kamienny budynek, do którego zmierzali, wciąż był w budowie. Na prowizorycznych rusztowaniach, które zakrywały fasadę, kręcili się zarówno strażnicy jak i skazańcy.

Sheila chciała zobaczyć drzwi, do których zbliżała się nieuchronnie, wychyliła więc głowę nieco do przodu. Niosący ją żołnierz nie spodziewał się tego i instynktownie podrzucił ją w ramionach, chcąc chwycić mocniej. To wywołało szarpnięcie bólu w łydce dziewczyny i mimowolny skurcz całego ciała. Czując, że wyślizguje się z rąk mężczyzny, pomogła sobie, odpychając się od niego dłońmi. Upadła na zranioną nogę, która nie stawiła najmniejszego oporu i od razu ugięła się pod nią. Sheila krzyknęła i przewaliła się na plecy, zaciskając mocno powieki.

– Cholera. – Żołnierz, który ją trzymał, szybko przyklęknął przy jej ciele i próbował podnieść. – Nie wyrywaj się.

Dowódca stanął nad nią, zasłaniając słońce. Z trudem spojrzała na jego zdenerwowaną twarz.

– Podnieście ją – zwrócił się do dwóch innych strażników. – Weźcie ją za oba ramiona, ale tak, żeby nie obciążała nogi. A ty wracaj na posterunek – rozkazał niezdarnemu podwładnemu. – Wy dwaj, za mną – rzucił do żołnierzy, którzy podtrzymywali Sheilę. – Reszta, rozejść się.

Natychmiast wystąpił Fester.

– Chyba nie zostanie zapomniane, kto ją schwytał – przypomniał, nie siląc się nawet na fałszywą skromność.

Dowódca podszedł do niego i spojrzał twardo w oczy grubasa.

– Won – wycedził. – Albo faktycznie rozliczymy wasz udział w tej sprawie, tak jak się tego domagacie. Każdy jego szczegół – dodał z naciskiem. – Mam policzyć wszystkie guziki w jej koszuli i wyciągnąć konsekwencje z dotykania nie swojego towaru?

Mężczyźni wymienili niepewne spojrzenia, a potem Fester skinął głową z nieskrywaną złością i odszedł. Za nim podążyli jego towarzysze.

– Powiedziałem, rozejść się – przypomniał ostro dowódca reszcie swoich podwładnych, którzy obserwowali tę wymianę zdań.

Zatrzymali się przed strzeżonymi drzwiami. Nikt nie śmiał zagrodzić przejścia dowódcy, więc bez przeszkód weszli do chłodnego przedsionka, w którym był tylko jeden drzemiący w kącie strażnik. Na odgłos kroków zerwał się i oddał honory nadchodzącemu mężczyźnie.

– Majorze – odezwał się z gotowością, doskonale kryjąc senność.

– Gdzie generał?

– W jadalni z resztą mieszkańców.

– Spocznij.

Po tej lakonicznej wymianie zdań mężczyzna nazwany majorem nakazał udanie się na lewo.

W przestronnym pokoju o dość niskim sklepieniu znajdował się duży stół, przy którym siedziały tylko trzy osoby. Ożywiona rozmowa natychmiast ustała. Sheila ostatkiem sił uniosła głowę i zobaczyła mężczyznę niewiele tylko szczuplejszego od Festera, który uśmiechnął się na widok majora. Obok niego, przy gorącym obiedzie siedział wysoki człowiek o kruczoczarnych włosach i koziej bródce. Po prawicy natomiast rozsiadł się wygodnie łysawy mężczyzna w równie zadbanej zbroi co major.

– Danteil! – ucieszył się na jego widok Kiernan de Verrad, siedzący u szczytu. – Spóźniłeś się na obiad, a Lucia naprawdę się popisała...

Major wszedł śmiało do pomieszczenia i w marszu zdjął rękawice, które rzucił niedbale na stół.

– Możesz wyjaśnić, co za bezkształtna maź zwisa z ramion naszych żołnierzy? – zapytał Verrad, podnosząc się z ociąganiem.

– To dziewczyna, która uciekła geszefciarzowi.

Kiernan przestał się uśmiechać i podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się znalezisku.

– Zdaje się, że odwaliłeś robotę Nikka – odezwał się opancerzony mężczyzna i spojrzał z zaczepnym uśmiechem na kolegę naprzeciwko. – Zagadka twojego znikającego bez słowa dostawcy się rozwiązała. Stracił towar, więc się nie pokazał.

– Wnioskowanie na medal – odparł Nikk wyważonym tonem i podrapał się po koziej bródce. – Co my byśmy zrobili bez twojego błyskotliwego umysłu?

Adresat docinka uśmiechnął się lekko i spojrzał na Sheilę, którą nieco przesłaniał mu Verrad.

– Skończyłyście, panienki? – uciął dyskusję generał i schylił się do rannej dziewczyny. – Co jej jest? Wygląda, jakby się miała przekręcić. – Zerknął na majora Danteila.

– Wilki poszarpały jej nogę – wyjaśnił pytany, sięgając po dzban z winem. – Powinien obejrzeć ją cyrulik. I to szybko.

– Taa... – mruknął zamyślony Verrad i lekko uniósł jej podbródek.

– Młoda – skwitował krótko. – Coś dla Nikka.

Żołnierz, który siedział naprzeciwko czarnowłosego mężczyzny zaśmiał się krótko.

Sheila nie miała już siły nawet otworzyć oczu. Jej głowa opadła bezwładnie, kiedy Kiernan de Verrad cofnął rękę.

– A może ona jest... no wiecie – rzucił żołnierz przy stole, wykonując jakiś dziwny gest obok głowy. – No świrnięta.

– Sam jesteś świrnięty – warknął major Danteil i wypił całą zawartość swojego pucharu, by od razu nalać sobie kolejną porcję. – Zabierzcie ją do lekarza, zanim pobrudzi krwią cały dywan. Dzięki za obiad, ale dziś nie mam apetytu.

I wyszedł z pucharem w ręku, nie patrząc na Sheilę ani towarzyszy.

Verrad westchnął i pokręcił głową, a następnie zwrócił się do strażników, którzy w milczeniu podtrzymywali dziewczynę.

– Zanieście ją na górę i wezwijcie do niej kapłanów. Albo ją uleczą, albo w spokoju odeślą w ramiona Faira.

Powiedział coś jeszcze, ale Sheila nie wiedziała, co to było, bo w tym momencie zemdlała.

* * *

– Oszukujesz! – jęknął Saebe do Krissa.

Sheila spojrzała na niego z westchnieniem. Przyjaciel zawzięcie kibicował jej podczas konkursu rzucania podkowami i emocje brały nad nim górę. Przeniosła wzrok na wyższego od niej o głowę Andresa, ewidentnie ucieszonego z powodu dobrej passy Krissa, który zawsze za punkt honoru obierał sobie upokorzenie Sheili i uprzykrzenie życia miejscowemu świrowi. Chłopak błysnął zadziornym uśmiechem, kiedy jego podkowa w efektowny sposób zawirowała na paliku.

Erinn z uznaniem pokiwała głową. Była córką największego właściciela ziemskiego w Dolnym Velde. Poza tym była też jedyną przyjaciółką Sheili, gdyż tylko ona nie okazywała Saebe niechęci i pogardy. Nie znaczyło to jednak, że przesadnie lubiła jego towarzystwo. Tak naprawdę wykorzystywała każdą okazję, aby odciągnąć przyjaciółkę od upośledzonego chłopaka. Nie dlatego, że uważała go za kogoś gorszego. Po prostu miała silne przeświadczenie, że Sheila potrzebowała dziewczęcego towarzystwa. Z dezaprobatą patrzyła na męskie stroje i zbyt swobodny sposób bycia koleżanki. Sheila obserwowała Erinn – która jak nikt inny umiała sobie zjednać każde towarzystwo – i wiedziała, że nigdy nie będzie taka jak ona.

Nie chodziło tylko o to, że Erinn była bogata, a większość młodzieży i ich rodziców pracowała u jej ojca. Jej popularność nie wynikała też tyl-

ko z wyglądu. Erinn była śliczną i zadbaną dziewczyną. Ale to nie wszystko. Było w niej coś więcej. Miała w sobie energię, którą potrafiła zarazić otoczenie. Ładna buzia współistniała z mocnym charakterem. Umiała zmusić ludzi do posłuchu. Miała duszę przywódcy i potrafiła jednoczyć społeczność. Ceniła współpracę i przynależność. Były to kwestie, z którymi Sheila od zawsze miała problemy. Erinn traktowała przypadek koleżanki jak wyzwanie i postanowiła za wszelką cenę wyprowadzić ją na ludzi. Miała ku temu sporo okazji, bo ta często odwiedzała ją w Dolnym Velde, przy okazji wizyt u Olafa.

Sheila nie spędzałaby w ogóle czasu z Krissem i Andresem, ale wraz z Saebe i Erinn byli grupą młodzieży w podobnym wieku i podczas zabaw na farmach trudno było o sensowniejsze towarzystwo. Znajdowali się właśnie na jednym z większych wydarzeń w roku. Jeden z robotników żenił się z córką Villfigów, zamożnych właścicieli ziemskich z okolicy. Przy takiej okazji zawsze urządzano wiele konkursów. Sheila w zasadzie tylko ze względu na Saebe dawała się namówić na rywalizowanie z Krissem. Jej przyjaciel uwielbiał, kiedy wygrywała. Ona też, ale trudno było jej zachować zimną krew, gdy nastolatek rzucał swoje komentarze.

Jej jedyna koleżanka nie miała nic przeciwko towarzystwu chłopaków, co nie dziwiło Sheili. Dla Erinn nie byli tak nieprzyjemni. Mogłaby wybaczyć Krissowi jego docinki, choć często były naprawdę przykre. Nie miała też pretensji do młodzieniaszków za to, że jako dzieciaki dawali się we znaki Bennowi i rzucali czym popadnie w leśniczówkę, wykrzykując, żeby Sheila wyszła i stawiła im czoła. Ale dobrze pamiętała, jak narodził się jej konflikt z Andresem i Krissem, a szczególnie z tym drugim, który robił za mózg duetu. Być może po latach na to wszystko przymknęłaby oko, gdyby nie fakt, że obaj bardzo uwzięli się na jej przyjaciela. Tego nie mogła zaakceptować, dlatego Kriss, a przy okazji również jego przydupas, byli jej wrogami numer jeden przez całe życie.

Śmiało chwyciła kolejną z zużytych podków i schyliła się, celując.

– No dalej – rzucił wyzywająco siedemnastolatek, ale zanim zdążył dodać jakiś przytyk, odezwała się Erinn.

– Nie przeszkadzaj jej – jęknęła. – To nie w porządku.

– Panikuje – mruknęła Sheila, zła na siebie, że nie powstrzymała się od komentarza.

Zerknęła na chłopaka i zobaczyła dziki błysk rywalizacji w jego oczach.

– Nie mam powodu. Z nas dwojga to ja nie popełniłem żadnego błędu. – Wzruszył ramionami.

Sheila poczuła, że ze złości zapiekły ją policzki. Kriss szturchnął ją i tylko dlatego jej podkowa minimalnie chybiła celu. Zagrał nieuczciwie, ale usilnie starała się zachować honor i pokonać go mimo to.

– Nie spiesz się. – Machnął ręką i uśmiechnął się ironicznie. – W końcu to twoja ostatnia szansa.

Chętnie pozbawiłaby go tych wyszczerzonych zębów.

Andres zarechotał i przyglądał się jej podniecony. Rozproszył się jednak nieco, kiedy zerknął na Erinn. Przeczesywała właśnie dłonią swoje długie, jasne włosy.

Sheila zastanawiała się czasem, czy jej koleżanka miała świadomość, jak bardzo podobała się chłopakom. Dla niej nikt nie był uszczypliwy. Jeżeli Kriss jej dokuczał, to w sympatyczny sposób. Andres natomiast wpatrywał się czasami w Erinn, a na twarzy wykwitał mu wtedy rumieniec i coś na kształt zmieszania.

Sheila wiedziała, że to właśnie ze względu na Erinn Kriss tak często się do nich podczepiał. Kilka razy nawet przyłapały chłopaków na podglądaniu ich podczas kąpieli w leśnym jeziorze.

Skupiła wzrok na paliku.

– Dasz radę! – Saebe przejawiał typowy dla ciebie niezdrowy optymizm, który w tym momencie tylko ją drażnił.

– Nie pomagasz – fuknęła na niego.

Kriss prychnął.

– Też mi nowość. Ej, Pomylusie! – rzucił lekceważąco w stronę Saebe. – Idź, sprawdź czy cię nie ma w domu.

Sheila zmrużyła oczy i zacisnęła zęby. Czuła, że stanowczo za mocno ścisnęła w dłoni podkowę.

– Zamknij się. – Saebe ruszył w jego stronę, na co tamten uniósł ręce w obronnym geście i cofnął się o krok.

– Nie będę się z tobą bił, bo to jak walka konia ze szczurem. Ręce przy sobie, świrze, bo jeszcze mnie zarazisz jakimś syfem!

To się stało nagle i niespodziewanie nawet dla Sheili. Odwróciła się i wypuściła szybko obracającą się podkowę w stronę Krissa. Nie zdążył się osłonić i ciężki pocisk ugodził go między żebra. Chłopak zawył z bólu i zgiął się w pół, a następnie upadł na kolana. Erinn zakryła twarz dłonią i podbiegła do niego. Andres zaczął rzucać obelgi w stronę Sheili, a Saebe wyglądał, jakby zaskoczenie ustępowało w nim miejsca satysfakcji.

Zamieszanie zainteresowało grupkę mężczyzn rozmawiających w pobliżu. Był wśród nich Benn. Podbiegli i zaczęli zadawać pytania. Kriss jak zwykle zaczął kręcić, że to nic takiego i zdarzył się wypadek. Myśliwy jednak lustrował swoją podopieczną znaczącym spojrzeniem. Żeby wytrzymać ten wzrok, przybrała hardy wyraz twarzy i założyła ręce na piersi. Nie miała problemu z przyznaniem się do winy, ale Kriss nigdy jej na to nie pozwalał. Uważał za upokorzenie to, że obrywał od dziewczyny. Dzięki temu zazwyczaj wszystkie wybuchy złości względem niego uchodziły Sheili na sucho. Jedynie Benn znał prawdę. Nie popierał jej zachowania, jednak nie za bardzo umiał mu skutecznie zaradzić.

Mężczyźni niezbyt długo roztkliwiali się nad chłopakiem. Byli już podpici, a żebra zdawały się nie być złamane. Sheila podejrzewała, że ten solidny łomot pozostawi Krissowi pamiątkę w postaci dorodnego sińca, ale nie miała z tym problemu. Zapewne przez kilka dni dotkliwy ból będzie mu przypominał o jej odwecie.

Benn podszedł bliżej i odezwał się cicho, tak, że tylko ona mogła go dosłyszeć:

– Właśnie przed chwilą patrzyłem na was z oddali i pomyślałem, że całkiem ładnie się dogadujecie. – Spojrzał znacząco.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chwal dnia przed zachodem słońca – przypomniała mu powiedzenie, które sam często powtarzał. – Sam się prosił. I tak długo wytrzymałam. Powinien dostać w szczękę.

Westchnął.

– Też nie należysz do przyjemniaczków. – Odparł. Sheila zmarszczyła czoło na te słowa, ale Benn uniósł rękę, by ją powstrzymać przed odpowiedzią. – Wiem. Pewnie zachował się paskudnie. Tylko że... może gdybyś wyszła z inicjatywą zakopania topora wojennego...

– Dopóki nie odszczeka wszystkiego, co powiedział o... – zawahała się, ale tylko chwilę. – Wszystkiego co powiedział o Saebe, nie ma mowy o zgodzie między nami – przerwała mu zdenerwowana.

Benn wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie się rozmyślił. Kiwnął głową i poklepał ją po ramieniu.

Od kilku chwil czuła, że sen się rozpadał, ale usilnie próbowała go zatrzymać. Pamiętała, że zaraz miał nastąpić moment, w którym Benn ją pocieszył i poczuła się lepiej. Zawsze bronił Krissa i to ją irytowało, ale pamiętała, że odchodzili stamtąd w znacznie lepszych humorach.

* * *

Rozpadło się.

Świadomość powróciła do niej brutalnie, tak jak wtedy, gdy spadła ze skały do swojego jeziorka. Pierwsze, co poczuła, to zawrót głowy, a potem nagły, przeszywający ból w nodze. Syknęła. Nie otwierała oczu. Chciała zatrzymać strzępy obrazów ze swojego snu. Ale one uciekały z jej głowy, jakby wywiewał je porywisty wiatr. Po chwili nic już jej nie zostało.

Ktoś był przy niej. Ta świadomość całkowicie ją otrzeźwiła. Otworzyła oczy. Pierwsze co zobaczyła to drewniany strop. Próbowała przekręcić głowę. Udało jej się to zrobić z niemałym trudem.

– Ostrożnie. Jesteś bardzo osłabiona – przemówił łagodny głos z kąta. Pomyślała o Lasocie, który nie tak dawno się nią opiekował, ale wiedziała, że to nie mógł być on. Ten głos należał do kogoś znacznie młodszego. – Jak się czujesz?

– Och... znakomicie – stęknęła. – Gdzie jestem?

– Jesteś bezpieczna.

– Świetnie... Sporo osób ostatnio dba o moje bezpieczeństwo. Wreszcie się udało.

Próbowała się podnieść, ale nie dała rady.

– Nie powinnaś jeszcze wstawać. Straciłaś sporo krwi, a do tego doszło wycieńczenie organizmu. Od dawna nie jadłaś, prawda?

Nie odpowiedziała. Udało jej się wreszcie nieco unieść, dzięki czemu zobaczyła swojego rozmówcę. Zaskoczył ją ten widok. Ubrany był w czarną szatę do kolan, przewiązaną w pasie sznurkiem. Był niewiele starszy od niej. Miał łagodne rysy i nieśmiały wzrok. To, co od razu przykuło jej uwagę, to niesforna ruda czupryna. Nieznajomy przyglądał jej się uważnie, podchodząc bliżej.

– Jestem William. Will – dodał szybko. – A ty jesteś w Twierdzy w Kazamatach.

– Jesteś tym dobrym? – zapytała prosto z mostu.

– Słucham?

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Jesteś tym dobrym i miłym, czy tylko udajesz i zaraz mi wbijesz nóż w plecy? Chcę mieć jasność, a trochę mi się kołuje w głowie. Ułatw mi sprawę.

Prawdopodobnie to ten młody wiek i niepoważny wygląd tak ją ośmielił, ale rzeczywiście czuła już zniecierpliwienie.

– No cóż... chciałbym być tym pierwszym. Nie chcę cię skrzywdzić.

– W takim razie możesz mi pomóc usiąść? Średnio mi się podoba taka półleżąca pozycja.

William pospiesznie spełnił jej prośbę, a potem odsunął się znowu na odległość kilku kroków.

– Coś ze mną nie tak? Zarażam? – zapytała, widząc dystans, jaki zachowywał.

– Co? Nie, skądże – zapewnił ją szybko. – To nie chodzi o ciebie... tylko o mnie.

– Brzydzisz się kobietami? A może jesteś jednym z tych, co ślubują, że nie dotkną nigdy żadnej z nas? – zadrwiła, ale jego mina zbiła ją z tropu. Otworzyła szeroko usta. – O matko! Ślubowałeś, tak? To czarne to jakiś rodzaj kapłańskiego stroju? – wskazała na jego tunikę.

William zaczerwienił się lekko, ale nadal nie zrobił kroku w jej kierunku. Sheila próbowała sobie przypomnieć, czy Lasota kiedykolwiek zachowywał się w stosunku do niej podobnie, ale po chwili była pewna, że zwróciłaby na to uwagę.

– Znam kapłana, który nie ma ze mną problemu. Ale ty należysz pewnie do innego kręgu czy tam zgromadzenia. Przepraszam – dodała, zdając sobie sprawę, że bez sensu gadała rzeczy, które mogły go zawstydzić. Wydawał się niegroźny. – To nie moja sprawa. Powinnam ci raczej podziękować za leczenie.

William sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie do końca wiedział, od czego zacząć. Wreszcie jednak udało mu się dobrać słowa:

– Nie zrozum mnie źle. Tak jak mówiłem, chodzi o mnie. Nie jestem kapłanem, tylko adeptem. Znaczy... usługuję wielebnym, ale mają dla nas taką wyszukaną nazwę. – Zaśmiał się nerwowo, jakby bardzo chciał ukryć, ile znaczyła dla niego pozycja pomagiera. – Mimo wszystko staram się czegoś nauczyć i kiedyś zostać wyświęconym tak jak oni. Dlatego nie powinienem obcować z kobietami... to znaczy, przebywać z

nimi... z wami – motał się przez chwilę. – A za leczenie powinnaś podziękować mistrzowi Atayowi. Ja się na tym za bardzo nie znam.

– W takim razie co tutaj robisz? – zapytała podejrzliwie Sheila, a William znowu poczerwieniał.

– Kazali mi cię doglądać. To wszystko.

– W porządku. Nie wydam cię.

William nagle zmienił wyraz twarzy na bardziej hardy.

– Dzięki, ale nie zrobiłem nic, co nie spodobałoby się mojemu mistrzowi.

– No ja myślę – rzuciła, nieco rozbawiona zachowaniem adepta.

Chyba zauważył, że dziewczyna się z niego nabijała, bo trochę się rozluźnił i usiadł na fotelu koło jej łóżka.

– Wybacz – powiedział spokojnie. – Nie tak dawno dostałem pouczenie od mojego mistrza za nieodpowiednie zachowanie. Od tamtej pory wciąż jestem na cenzurowanym. Nie chcę znowu go zawieść.

– W porządku. Pomożesz mi stąd uciec i będziemy kwita – powiedziała jak gdyby nigdy nic, obserwując zaskoczenie na twarzy młodzieńca. – Żartowałam.

William uśmiechnął się krzywo.

– Chociaż w sumie... – dodała, udając zamyślenie.

– Przykro mi, ale nie dysponuję niczym, co mogłoby ci pomóc – odparł. Zabrzmiało to szczerze. – Ale postaramy się zapewnić ci bezpieczeństwo wewnątrz zamku tak długo, jak to będzie możliwe.

– To znaczy? Niby jak długo?

– No... dopóki nie wyzdrowiejesz.

Sheila westchnęła i oparła głowę o kamienną ścianę.

– Świetnie. W takim razie poproszę jednak o ten nóż w plecy.

William przyjrzał się swojej rozmówczyni i wyglądało na to, że się waha. W końcu jednak zdecydował się mówić.

– Zostawię cię teraz i powiem ojcom, że się obudziłaś.

– Ta, jasne. – Zamknęła oczy i westchnęła. – Możesz mi chociaż powiedzieć, co się ze mną stanie?

William znów się zawahał. Spojrzał na drzwi, a potem na Sheilę.

– To co ze wszystkimi. – Wzruszył ramionami. – Geszefciarze chyba ci to wytłumaczyli po drodze. Ale skoro uciekłaś, to pewnie nie przekupili cię, tylko porwali siłą. Jeśli tak, to mimo wszystko ci współczuję.

– Mimo wszystko? – prychnęła. – Mimo czego? – Nagle zrozumiała i poczuła, że uszy poczerwieniały jej ze złości. – Ach, ty też myślisz, że mnie zgarnęli z burdelu.

William zarumienił się jeszcze mocniej.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem – wymamrotał. – Z tego, co wiem, geszefciarze przyprowadzają tu... no te...

– Prostytutki – dokończyła za niego, czując, że w gruncie rzeczy odrobinę rozczulał ją ten chłopak. – Rozumiem. W zasadzie miałeś prawo tak pomyśleć. Przynajmniej nie zachowałeś się jak ostatni cham. – Przypomniała sobie Leo Francka. – Przyjmuję przeprosiny.

William zmarszczył brwi i usiadł na fotelu obok jej łóżka.

– Mogę zapytać, jak to się stało, że tu trafiłaś?

Sheila spojrzała na niego, nieco rozbawiona nagłą zmianą nastawienia, gdy dowiedział się, że nie była prostytutką. Pomyślała, że zapewne jeszcze chwilę wcześniej obawiał się o swoją cnotę, ale w tej sytuacji poczuł się bezpieczniej.

– To... – zaczęła niepewnie. – To było tydzień temu. Geszefciarze porwali mnie z okolic doliny. Mieszkam tam. Próbowałam uciec i spadłam z Orlej Przełęczy prosto do Kazamatów.

Will otworzył usta ze zdziwienia.

– Cholera – wymknęło mu się i od razu zakrył usta dłonią.

Sheila zaśmiała się na ten widok.

– Tak, wiem. Kiepska sprawa. – Wzruszyła ramionami.

Nie wiedziała, skąd u niej ten dobry humor, ale podejrzewała, że miało to dużo wspólnego z uroczym zachowaniem sługi kapłanów.

– To musi być dla ciebie okropne uczucie – przyznał po chwili współczująco. – Ja też tu jestem od niedawna.

– No właśnie – zainteresowała się. – Co tu robisz? Chyba nie powiesz mi, że zgłosiłeś się jako wolontariusz do nawracania więźniów? Chociaż jak tak na ciebie patrzę, to w sumie nie zdziwiłabym się.

– Nie. Jestem skazańcem – przyznał ze wstydem. – Ale szybko spotkałem na swojej drodze Faira i nawróciłem się ku niemu. Kapłani otoczyli mnie swoją opieką. To znaczy służę im. Ale tylko na razie. Widzą we mnie potencjał – dodał z dumą.

Wiara, jaką wielebni pokładali w Williamie, ewidentnie dodawała mu otuchy. Sheila nie chciała niszczyć mu tej chwili zadumy, ale odezwała się w niej ciekawość, zapytała więc:

– O co chodzi z tym unikaniem kobiet?

Adept lekko się zmieszał, ale nie uciekał od odpowiedzi.

– No wiesz... Nie mam oficjalnego zakazu, bo jestem tylko sługą – mruknął cicho. – Ale chciałbym wykorzystać czas, jaki mi tu dano. Chodzi o to, że aby się rozwijać i pogłębiać kontakt z Fairem, trzeba panować nad swoim umysłem, ciałem i duchem. To długa i mozolna droga, której najważniejszym elementem jest właśnie przejmowanie kontroli nad sobą. Zwłaszcza na początku tego szlaku bardzo łatwo o pewne... rozproszenia. Dlatego adepci muszą wystrzegać się pewnych rzeczy. Oczywiście ja jeszcze nie jestem pełnoprawnym...

– Tak, tak – zniecierpliwiła się dziewczyna. – Wiem.

Postanowiła nie drążyć tematu. Bardziej interesowała ją inna kwestia.

– Will, słuchaj... co ze mną będzie? Jak już ustaliliśmy, nie do końca znam się na zasadach, które tu działają.

Sługa pokiwał głową w zamyśleniu, jakby zastanawiał się, jak ubrać w słowa to, co chciał powiedzieć.

– Opowiem ojcom, co ci się przytrafiło. Otoczą cię opieką...

– Ej, ale chyba nie tak jak ciebie? Nie muszę wstępować do zakonu ani im usługiwać?

– Znowu drwisz. Bardzo proszę, żebyś o moim mistrzu i zgromadzeniu mówiła z szacunkiem.

Will po raz pierwszy zabrzmiał stanowczo. Musiał rzeczywiście bardzo respektować swojego przełożonego.

– No dobrze. Ale jeśli chodzi o trzymanie się z daleka od płci przeciwnej, to jestem za tym, żeby wszyscy mieli twoje zasady.

William przyglądał jej się chwilę i Sheila poczuła wstyd na wspomnienie tego, co wydarzyło się w lesie. Zaraz potem jednak pojawił się w niej gniew i wróciła do poprzedniego tematu.

– Kontynuuj – powiedziała. – Co zrobi twój mistrz, żeby mi pomóc?

– No cóż... nie jestem pewien. Nie było dotąd takiego przypadku.

Zamknęła oczy i próbowała nie myśleć o bólu. Adept był naprawdę miły i nie chciała tracić jedynego potencjalnego sprzymierzeńca w tym miejscu, ale i tak wiedziała, że nie przydałby jej się do ucieczki.

Rozbrzmiały zbliżające się kroki. William wstał i otworzył drzwi, zanim przybysz zdołał do nich dotrzeć. Chłopak wyszedł szybko i Sheila usłyszała stłumioną rozmowę. Nie trwało to długo. Po chwili znowu zobaczyła Willa, któremu towarzyszył bardzo stary kapłan.

– Witaj – odezwał się słabo wielebny. – Zobaczymy, jak się czujesz.

* * *

Wiekowy duchowny nie pojawił się więcej u Sheili. Widocznie wystarczyła mu jedna wizyta, żeby stwierdzić, że dziewczyna pozytywnie reagowała na podane specyfiki. Zalecił kontynuację leczenia i odszedł, pozostawiając Williama na straży. Choć sam adept wolał nazywać to roztaczaniem opieki.

Noc minęła Sheili pod znakiem bólu w nodze. Odczuwała lekkie zawroty głowy, nawet kiedy leżała. Prawie nie zmrużyła oka. William czuwał nad nią z korytarza, ale chyba ciężko mu było roztaczać swoją opiekę przez drzwi, więc następnego ranka udał się z pytaniem do swojego

mistrza Ataya, czy może bez obaw przebywać w jednym pokoju z Sheilą. Mistrz chyba docenił przykładną postawę adepta, bo oficjalnie zezwolił mu spędzać z nią czas. Z tego, co Will mówił, ubierając w piękne słowa, Sheila mogła wywnioskować, że kapłanom nie spieszyło się do wtrącania nosa w sprawy Verrada. Dlatego prawdopodobnie mistrzowi odpowiadało, że z dziewczyną miał do czynienia tylko młody sługa, którego obecność można było wytłumaczyć leczeniem. Ewidentnie nie chciał stwarzać dyplomatycznych problemów.

Sheili nie przeszkadzało ciągłe przesiadywanie u niej adepta. Właściwie polubiła go i widziała, że odkąd pozwolono mu u niej być, stał się znacznie bardziej rozmowny i mniej spięty. Kiedy jedli razem obiad, zdążyli omówić całą historię poprzedzającą znamienny upadek Sheili do jeziora w Kazamatach.

– Niesłychane – skomentował, kończąc swoją porcję posiłku, który dla nich przyniósł. – Taka odwaga.

Sheila spojrzała na niego zaskoczona, a potem westchnęła.

– Jesteś pierwszą osobą, która nie twierdzi, że to była głupota.

William uśmiechnął się.

– Umówmy się, rozsądne to nie było. I raczej nie mogło się udać. Ale szczerze, uważam, że twoje zachowanie było godne podziwu.

– Dzięki – mruknęła, wzruszając ramionami. Nie chciała okazać, że jego słowa nieco ją zmieszały.

– Więc mówisz, że geszefciarze prowadzili tu małą dziewczynkę. – Zamyślił się. – A to skur... – powstrzymał się od przekleństwa i uniósł przepraszająco dłoń.

– Nie wiedzieliście o tym? – zdziwiła się. – Kolla mówił, że to nie było jego pierwsze takie... zamówienie. – Dziwnie się poczuła, nazywając to w ten sposób.

William odstawił miskę po zupie na stolik obok i oparł się wygodniej w fotelu.

– To na pewno sprawka Nikkolaia – zawyrokował. – Ten stary zwyrol zajmuje się kontaktami z geszefciarskim sortem. Pewnie potajemnie zamawiał sobie dziewczynki. Cholera, ciekawe, ile ich było.

Widząc zmieszanie na twarzy Sheili, westchnął i zaczął opowiadać.

– Nikk to skazaniec... Złapali go za dobieranie się do dzieci. Ale że były to głównie jakieś wiejskie dziewczyneczki, zamiast go wykastrować i powiesić, postanowiono zesłać do Kazamatów. Tylko że, jak to zwykle bywa, największe robactwo jest najbardziej żywotne i wszędzie wejdzie. Miał trochę szczęścia i zdobył kontakty. Od wielu lat siedzi u generała Verrada, je i pije jak jeden z nich. W zasadzie już stał się jednym z nich. Ale w życiu bym nie pomyślał... – przerwał, a potem prychnął. – Chociaż w zasadzie czemu mnie to dziwi? Zastanawiam się tylko... no wiesz... gdzie on je trzymał.

Sheila przełknęła ślinę i spojrzała na swój niedokończony posiłek. Jakoś straciła apetyt.

– Nie mogę tu zostać – stwierdziła.

Will spojrzał na nią, a oczy mu zapłonęły zapałem.

– Jeśli się zgodzisz, opowiem ojcom o tym, co ci się przytrafiło. Nie pozostaną obojętni, na pewno.

Sheila uśmiechnęła się bez większego entuzjazmu.

– Jasne. Co mi szkodzi?

Nie wierzyła jednak, że kapłani tym razem szczególnie przejmą się jej przypadkiem. Skoro nie obchodziło ich to, że została porwana z okolic domu, a nie zamtuza, to raczej nie powinno im robić różnicy, czy wpakowała się w kłopoty z powodu głupoty, czy miękkiego serca.

– No dobra. Więc ten Nikk to chory zwyrodnialec – powiedziała z westchnieniem. – A reszta czcigodnego dowództwa?

William oparł głowę na ręce i wzruszył ramionami.

– Co tu dużo gadać. Wszyscy są siebie warci. Chociaż... major Danteil to co innego. Jest posłusznym żołnierzem. Choćby nie wiem co, nie zdradzi korony, więc trzyma się Verrada. Ale ewidentnie widać, że nie za

bardzo podoba mu się to, co wyprawia jego dowódca. Chyba po prostu robi swoje, tylko tyle, ile musi, a w resztę woli się nie mieszać.

Sheila przypomniała sobie rozdrażnienie, które major skrywał pod maską obojętności, kiedy oddawał ją w ręce Verrada.

– Gorzej jest z Gregorem. – Ożywił się.

– Też jest wojskowym, prawda?

Adept zaśmiał się.

– Taa... Ale mundur znaczy dla niego mniej niż stara, podarta skarpeta. Z tego, co wiem, to on wpadł na pomysł, żeby zacząć pobór do straży wśród skazańców. Po tym, jak na Kazamaty spadła klątwa de Grissów, została tu przysłana raptem garstka faktycznych żołnierzy. Zazwyczaj przenoszono ich dyscyplinarnie za jakieś duże wykroczenia, więc wyobrażasz sobie, co to był za sort. No i mamy tu teraz zlepek strażników – skazańców i żołnierzyków, którzy są tu za karę. Ci porządni, którzy nie chcieli brać udziału w nowym porządku, albo nie żyją, albo opuścili Twierdzę i działają na własną rękę.

– Rozumiem – wtrąciła się Sheila, słuchając uważnie. – Więc mówisz, że ten Gregor to też kawał drania?

Will spoważniał.

– Jest agresywny i bezlitosny. To na pewno. Nie ma sensu straszyć cię szczegółami, bo niedługo nie będziesz z nim miała do czynienia. – Nieumiejętnie ukrył niepokój pod lekceważącym uśmiechem.

Sheila postanowiła zmienić temat.

– No a główny pan i władca Twierdzy? Co mi o nim opowiesz?

William wyraźnie ucieszył się, że zostawili postać Gregora w spokoju.

– Kiernan de Verrad? – zaczął. – Jak mawiają wielebni kapłani: „Oleju w głowie nie ma, bo cały tłuszcz spłynął mu do dupska".

Oboje zaśmiali się na te słowa.

– A tak poważnie, nie do końca można się z tym zgodzić. Jak tak człowiek o nim pomyśli, to można mu zacząć nawet współczuć –

stwierdził. – Wiesz... był sobie naczelnikiem prawie najważniejszego więzienia w Livii. Wojna trwała, a on zamiast na froncie siedział sobie w Kazamatach i wydawał kolejne porcje srebrnego żelaza królowi. Co jakiś czas mu ktoś uciekł, ale kto by się tam przejmował płotkami? Aż tu nagle budzi się któregoś dnia, a jego folwark otoczony jest klątwą. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że na początku podszedł do sprawy poważnie. Przynajmniej tak opowiadał mistrz Atay. Podobno dodawał otuchy swoim ludziom, pozostał wierny królowi i nie narzekał. Tylko że wojna się skończyła i król przestał potrzebować jednostki w Kazamatach. Wręcz ją zaniedbał. Verrad, chyba początkowo z rozsądku, a potem to już raczej ze złości, zaczął stawiać kolejne warunki i wysuwać żądania. Tylko że, jak wojny nie ma, to król nie potrzebuje żelaza, a tym samym wszelkie problemy generała zaczęły go obchodzić tyle co zeszłoroczny śnieg. Verrad popadł w niełaskę. Nic dobrego go nie czeka na zewnątrz, więc urządził się tutaj. Ma się dobrze, raz na jakiś czas geszefciarze sprowadzą mu panienkę i jakoś żyje.

Sheila przypomniała sobie rozmowę z Leo.

– Ale szuka Morvena de Grissa, prawda?

Will był wyraźnie zaskoczony jej pytaniem, ale odpowiedział, nie dociekając, skąd wiedziała o tej sprawie.

– Owszem, szuka. I lepiej dla wszystkich, żeby to nie on go znalazł.

– Myślisz, że będzie chciał go powstrzymać przed zdjęciem klątwy?

– Powstrzyma go z całą pewnością – rzekł adept i pochylił się do niej. – Od razu go zabije, a wtedy wszyscy zostaniemy tu uwięzieni na zawsze.

Sheila zamyśliła się przez moment, a potem spojrzała na Willa.

– Wierzysz w to? To znaczy... czy twoim zdaniem śmierć Morvena faktycznie nie spowoduje upadku klątwy?

Will ponownie zdziwił się, jak dobrze jest poinformowana, ale i tym razem tego nie skomentował.

– Kapłani Faira są o tym przekonani – wyjaśnił. – Dostali listy i kopię notatek od swoich współbraci z zakonu, którzy przesłuchiwali Mo-

rvena. Przestrzegali przed próbą zabicia go. Podobno bardzo do tego prowokował, a wiadomo było, że zależało mu na przypieczętowaniu zaklęcia. Tylko Morven zna formułę i charakter magii, której użył. Do tej pory nikt nie zdołał tego odkryć. Więc jeśli zginie, prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, jak stąd wyjść.

– Sądzisz, że wciąż żyje? – zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

Will wzruszył ramionami.

– Ja nie wiem, ale kapłani są o tym przekonani. Obserwują mgłę i twierdzą, że jej stan od początku jest nienaruszony. A przelanie krwi twórcy zaklęcia, zawsze mniej lub bardziej odbija się na jego formie. Morven musiałby być naprawdę potężnym magiem i posiadać akurat pod ręką coś, na czym mógłby oprzeć czar, podczas jego rzucania.

Sheila chciała zadać jeszcze kilka pytań, ale William w popłochu wypadł, przypomniawszy sobie o południowej modlitwie z resztą kapłanów. Ku niezadowoleniu Sheili, długo nie wracał.

Kolejne odwiedziny jej się nie podobały. Bez pukania wszedł do niej nieznajomy strażnik, a za nim kobieta. Obdarzyła Sheilę szybkim, oceniającym spojrzeniem i wydęła usta. W ręku trzymała dzbanek ze świeżą wodą.

– Jestem Sira – przedstawiła się z lekką wyniosłością.

W pierwszej chwili wyglądała na trzydzieści kilka lat, ale szybko dało się zauważyć, że to tylko pozory. Miała mocny makijaż, misternie ufryzowane sztuczne loki i niebieską sukienkę o asymetrycznym kroju.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała, patrząc z góry na Sheilę. – Więc daruj sobie jęczenie o swoim marnym losie. Wstawaj. Trzeba cię doprowadzić do stanu używalności.

Sheila niepewnie spojrzała na nieznajomą.

– Myślałam, że leczą mnie kapłani. Gdzie jest Will?

Kiedy próbowała wstać, musiała podeprzeć się na stoliku nocnym. Sira podała jej dłoń i podtrzymała mocno. Bez skrępowania pogładziła długi warkocz dziewczyny i sprawnie rozwiązała rzemyk na końcu włosów.

– O matko – jęknęła. – Kiedy ty się ostatnio myłaś, co? Przecież tu są jakieś paprochy i... poważnie? Gałąź w czuprynie?

Gałęzią okazał się patyczek o długości dwóch centymetrów.

– Chodź, dziecko. Idziemy się wyszorować.

– Mój opatrunek...

– Po wszystkim dostaniesz nowy. Bez dyskusji. – Sira nie miała złego głosu, ale ewidentnie przyzwyczaiła się do wydawania rozkazów.

– Jesteś tu kimś na zasadzie... szefowej kobiet? – zapytała Sheila, nie chcąc używać bardziej dosadnych słów.

Sira wzruszyła ramionami. Szły kamiennym korytarzem do pokoju obok.

– Można tak powiedzieć. Umyjemy cię i sensownie ubierzemy. Nie dyskutuj – rozkazała, widząc, że Sheila już otwierała usta.

Weszły do niewielkiego pomieszczenia, w którym stała drewniana wanna z parującą wodą. Obok siedziała druga kobieta, sporo młodsza od Siry.

– Freda zajmie się twoim ubraniem. Rozbieraj się.

Sheila nie wykonała żadnego ruchu, więc Sira ze niecierpliwieniem zaczęła zdejmować jej pas i koszulę z wybrakowanymi guzikami. Kiedy dziewczyna została jedynie w bieliźnie i starym bandażu na klatce piersiowej, którym owinął ją Lasota, objęła się ramionami i skuliła lekko. Od kamiennych ścian bił nieprzyjemny chłód.

– Wskakuj, dziecko – ponagliła ją Sira i wrzuciła jej ciuchy do przygotowanej miski.

Freda zaczęła dodawać mydło i szorować ubranie na tarce. Sira pomogła Sheili pozbyć się ostatnich opatrunków, poza tym na nodze, i podtrzymała ją, by dziewczyna mogła pewniej wejść do gorącej wody.

– Zobaczysz. Wystroimy cię tak, że sama się nie poznasz w lustrze – powiedziała szefowa kobiet, kiedy myła jej głowę jakimś pachnącym specyfikiem.

Sheila próbowała dopytać o różne rzeczy, ale dowiedziała się jedynie tego, że Verrad zażyczył sobie z nią rozmawiać. Obie kobiety przestrzegały ją kilkukrotnie, żeby nie denerwowała dowódcy, bo bardzo nie

lubił on pyskatych dziewczyn. Radziły, żeby zachowywała się wobec niego z szacunkiem, a on na pewno odwdzięczy się tym samym.

Freda szybko uwinęła się z praniem i rozwiesiła koszulę i spodnie za oknem, gdzie suszyło je popołudniowe słońce. Po prawie godzinnym szorowaniu ciała Sheili, wydłubywania brudu spod paznokci i piłowaniu ich, Sheila wreszcie wyszła z wanny i ubrała przygotowaną dla niej bieliznę. Nastąpiła druga faza, polegająca na suszeniu i pielęgnowaniu jej włosów. Były długie, więc chwilę to trwało. Sira czesała je, co jakiś czas wspominając, jak bardzo jej się podobały, a Freda w milczeniu zakładała świeży opatrunek na łydkę Sheili, który miał wystarczyć, dopóki znowu nie zajmą się nią kapłani.

Kiedy wreszcie ciemne, lekko wilgotne włosy dziewczyny opadły jej na ramiona niesfornymi falami, miała nadzieję, że nastał koniec jej przygotowań.

– Niech sobie spokojnie doschną, a my zajmiemy się resztą – zakomunikowała Sira i podeszła do sterty ciuchów, które leżały w kącie. Po chwili wygrzebała z nich srebrno-różową sukienkę. – Myślę, że ta będzie pasowała.

Sheila popatrzyła na zaproponowany strój i pokręciła głową.

– Nie założę tego – stwierdziła. – Chcę moje ciuchy.

Freda prychnęła i założyła ręce na piersi.

– Tamte szmaty zostaw do sprzątania. Verrad zażyczył sobie, żebyśmy zrobiły z ciebie kobietę, a nie leśnego dziada.

Sheila zmarszczyła brwi.

– Nie będę się stroić jak zdesperowana panna na wydaniu.

Sira zaśmiała się gorzko.

– Ale ty, dziecinko, jesteś właśnie taką panną na wydaniu. Verrad może i nie gustuje w małolatach, ale Gregor czy Nikk z chęcią zabiorą się za ciebie, więc zrób sobie przysługę i jak najszybciej pozbądź się złudzeń.

Sheila utykając, podeszła do okna i zamaszystym ruchem ściągnęła ze sznurka koszulę.

– Myślisz, że naprawdę coś ci da wstawiennictwo kapłanów? – zapytała pogardliwie Freda, podchodząc o krok bliżej. – Myślisz, gówniaro, że jesteś od nas lepsza, co? – warknęła.

Sheila drżącymi rękami zapięła trzy guziki koszuli i szarpnęła wilgotne spodnie. Zacisnęła zęby, by przezwyciężyć ból w łydce podczas wciągania lewej nogawki, kiedy za drzwiami zabrzmiał mocny, męski głos.

Sira popatrzyła na Sheilę z politowaniem i podeszła, by otworzyć drzwi w momencie, gdy dziewczyna sięgnęła po szeroki pas Leo Francka.

– Verrad się niecierpliwi – zakomunikował Gregor, który nachalnie zaglądał do środka.

– Już niedługo będzie gotowa – powiedziała Sira. – Strzela fochy, ale poradzimy sobie.

Gregor wszedł do pokoju i spojrzał na Sheilę, która zdenerwowana zapinała pas.

– Czyżby nie w smak jej były wasze kreacje? – zakpił.

– Zaraz się tym zajmiemy – powiedziała nagle mniej pewna siebie Freda. – Umalujemy ją i ubierzemy. Niedługo będzie gotowa.

Gregor podszedł do Sheili i chwycił ją za ramię.

– Jest już dostatecznie gotowa – stwierdził. – Zabieram ją.

Żadna z kobiet nie śmiała mu się przeciwstawić, ale Sira łypnęła na niego z nieukrywaną pogardą, a potem na Sheilę z czymś, co mogłoby być współczuciem, gdyby nie przesłaniała tego duma.

Sheila utykała, prowadzona tym samym korytarzem co poprzednio, tym razem znacznie szybciej.

– Posłuchaliśmy sobie o tobie – powiedział Gregor z lekkim uśmiechem. – Wielebny Atay osobiście wstawił się za tobą. No, no... ciekawi mnie, co musiałaś zrobić temu rudemu sługusowi, że tak o ciebie walczy. – Zaśmiał się paskudnie. – Chociaż pewnie taki wyposzczony prawiczek nie był zbyt wymagający.

Sheila próbowała wyszarpnąć się z jego uścisku, ale nie miała na to szans. Gregor otworzył nagle jedne z drzwi i wepchnął ją do środka. Chciała krzyknąć, ale przewidział to i przytrzymał jej usta, dociskając do ściany.

– Uspokój się – rzucił szorstko. – Nic ci nie zrobię.

Nie uwierzyła, dlatego próbowała go ugryźć w dłoń, ale tylko się zaśmiał, widząc jej wysiłki.

– Przestań albo pourywam ci resztę tych guzików.

Unieruchomił ją i spojrzał w dół. Pas nie do końca trzymał poły koszuli, przez co miejscami widać było jej brzuch.

– Jesteś ze wsi, tak? – sapnął jej w twarz. – Jak to z tobą było, co? Wstydliwa wiejska cnotka? A może już ktoś cię zaciągnął na siano?

Sheila posłała mu wściekłe spojrzenie, ale nie mogła odpowiedzieć, bo wciąż przytrzymywał jej usta.

– Nic nie musisz mówić – wzruszył ramionami. – Wszystko widzę jak na dłoni. – Zaśmiał się. – Nie wierzgaj. Nic ci nie zrobię.

Zabrał rękę z jej twarzy i mocno chwycił za talię.

– Zaraz pójdziemy do Verrada – dodał uspokajająco. – Tylko najpierw zerknę, czy jest o co kruszyć kopie.

Sheila siarczyście napluła mu w twarz, a kiedy zaskoczony otarł policzek, wyswobodzoną ręką uderzyła go w nos. Cofnął się i zachwiał.

Dopadła drzwi, ale noga odmówiła jej posłuszeństwa i dziewczyna przewróciła się na korytarzu. Gregor od razu ją dopadł. Zaśmiał się i podniósł ją do pionu.

– Lubię takie małe, waleczne istotki – stwierdził. – Nie mam żalu. Ani czasu, niestety. Pójdziemy teraz do Verrada, a ty nie powiesz ani słowa o tym, co tu zaszło. Wyprostuj się i uśmiechnij. Idziemy na kolację do samego generała.

* * *

Gregor wprowadził ją do jadalni, którą widziała poprzedniego dnia. Verrad siedział u szczytu stołu, tak jak ostatnio. Po jego prawej stronie Sheila zobaczyła Nikkolaia. Obaj patrzyli na nią, gdy zbliżała się ze swoją jednoosobową obstawą do stołu. Gregor ruchem ręki nakazał jej się

zatrzymać, a sam odszedł, by zająć miejsce obok czarnobrodego miłośnika małych dziewczynek.

– Widzę, że wysłałem Gregora za wcześnie – zaczął Verrad, wstając i powoli podchodząc do Sheili. – Nie zdążyłaś się przebrać.

Przełknęła ślinę.

– Przysłałeś go w idealnym momencie – powiedziała bezbarwnie.

Główny dowódca zaśmiał się prawie bezgłośnie i zaczął ją okrążać, przyglądając się bez skrępowania.

– Wiesz, kim jestem? – Zatrzymał się na wprost niej.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Generał Kiernan de Verrad. Dowódca wojsk stacjonujących w Kazamatach – wyrecytowała, pamiętając rady kobiet podczas kąpieli o zachowywaniu się z szacunkiem.

Splótł ręce z tyłu i pokiwał głową.

– A ty, młoda damo, jesteś Sheila, mieszkanka Górnego Velde. Z powodu swojego czułego serca wpadłaś w łapy geszefciarza. Ale z tych łap się wyślizgnęłaś. Niefortunnie prosto w ręce naszych strażników. Zgadza się?

Nie przestawała patrzeć mu w oczy.

– Mniej więcej – przyznała, wciąż nie okazując emocji.

Verrad założył ręce na piersi i przekręcił lekko głowę, patrząc na jej zaciętą minę.

– Był u mnie dzisiaj wielebny Atay. Próbował mi wytłumaczyć, że powinniśmy cię otoczyć opieką... ach, uwielbiają to sformułowanie – dodał i zaśmiał się. Pozostali mężczyźni zawtórowali mu. – Oczywiście zgadzam się z nim – dodał niewinnie. – Jestem w końcu namiestnikiem z ramienia króla, a nie jakimś barbarzyńcą.

Sheila zdobyła się na śmiałość, by w tym momencie przemówić odważniej:

– Dziękuję. – Skłoniła lekko głowę. Ból łydki był tak nieznośny, że stanie prosto przychodziło Sheili z pewnym wysiłkiem. – Ale nie chcę sprawiać kłopotu.

Wiedziała, że to nie mogło być takie proste, ale postanowiła zacząć łagodnie.

Gregor zachichotał pod nosem i sięgnął po pieczoną kurę. Nikk za to nie odrywał oczu od Sheili, zupełnie ignorując suto zastawiony stół.

– To nasz obowiązek, zapewnić ochronę obywatelce Livii – wyjaśnił spokojnie Verrad. – Jak już mówiłem, jesteśmy żołnierzami.

Sheila spojrzała na Nikka, gładzącego czarną bródkę, Gregora, zerkającego na nią znad kurzej nogi i w końcu z powrotem na generała.

Więc tak to ma wyglądać – pomyślała. – Zatrzymają mnie u siebie tak po prostu. A kiedy przy najbliższej albo nieco dalszej okazji Gregor się na mnie rzuci i zgwałci, Verrad będzie się tłumaczył po fakcie. I wytłumaczy się. Wyrazi ubolewanie wobec kapłanów albo i nie wyrazi. Mleko się rozleje i nikt nie będzie się nad tym zbyt długo rozwodził. I tak zostanie. Ja tu zostanę. A może Verrad nawet się nie dowie. Wygląda na takiego, co nie chce widzieć przestępstw swoich podwładnych. Lepiej dzięki temu śpi.

– Nie kupiliście mnie – powiedziała stanowczo. – Nie zapłaciliście za mnie Kolli. To nie mnie miał wam dostarczyć. Więc nie traktujcie mnie jak jedną z waszych kobiet. Nie macie prawa mnie niewolić.

Oczy Verrada błysnęły krótko złowrogimi iskrami, a Gregor z zaciekawieniem mruknął cicho.

– Masz mylne wyobrażenia o tym, co chcę ci zaproponować – zaczął Verrad powoli. – Nie jestem zainteresowany igraszkami z tobą. Gustuję w poważniejszych kobietach, a ty, z całym szacunkiem, wyglądasz jak podlotek bez klasy i ogłady. Ostentacyjna pogarda dla ubrania sukni, o którą poprosiłem, jest na to dostatecznym dowodem.

– Więc mam uwierzyć, że dasz mi schronienie za darmo?

– Kto tu mówi o czymkolwiek za darmo? – zaśmiał się nieco sztucznie Verrad i odszedł kilka kroków, pokazując na zastawiony stół. – W Twierdzy jest naprawdę dużo pracy, którą mogłabyś odwdzięczyć się za opiekę. Takie wspaniałości nie robią się same.

Sheila uniosła podbródek i spojrzała na generała z powagą.

– Dziękuję za propozycję, ale z niej nie skorzystam.

Verrad przestał wysilać się, by okazać jej dobrą wolę. Jej pogarda była zbyt ostentacyjna, czuła to, ale przestała się tym przejmować. Podszedł do niej szybko i spojrzał z góry w jej ciemnobrązowe oczy.

– Kpisz sobie ze mnie? – zapytał szorstko. – Wydaje ci się, że masz na cokolwiek wpływ? W takim razie muszę cię uświadomić, że będąc na terenie Doliny Kazamy, a w szczególności w tej oto Twierdzy, przebywasz jednocześnie w obrębie więzienia, a więc obiektu państwowego. Obiektu, nad którym, tak się składa, ja mam władzę. A w takim razie jesteś pod moją jurysdykcją. Mógłbym oskarżyć cię o nielegalne wtargnięcie na teren wojskowy objęty ścisłym nadzorem i aresztować pod zarzutem szpiegostwa. Gregor by cię przesłuchiwał i coś czuję, że długo by mu się zeszło. Czy teraz wreszcie zechcesz potraktować mnie poważnie? – zapytał dobitnie, wbijając w nią twarde spojrzenie.

Sheila pomyślała, że Sira i Freda miały rację. Generał potrafił odpłacić się za zlekceważenie go.

Mimo wszystko nie opuściła wzroku nawet na chwilę.

– Od razu czuję się bezpieczniej, widząc, jaką determinacją cechują się livijscy oficerowie – powiedziała najspokojniej, jak potrafiła, ale nie powstrzymała lekko pogardliwego spojrzenia. – Ku chwale ojczyzny.

Generał uderzył ją w twarz. Ranna noga nie wytrzymała i ugięła się pod nią. Dziewczyna upadła na zimną posadzkę.

Gregor zakrztusił się winem i wymienił rozbawione spojrzenie z Nikkolaiem. Ten jednak zachował powagę, podobnie jak Verrad, który patrzył na nią chłodno.

– Straż! – zawołał generał i prawie natychmiast do jadalni wbiegło dwóch żołnierzy.

– Zabrać ją do celi. Nic tak nie kruszy charakteru jak głód.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiernan de Verrad oddychał spokojnie, bezwiednie gładząc plecy Siry. Kobieta powoli składała pocałunki na jego torsie, odgarniając złociste fale, które opadały na boki. Generał patrzył w sufit, na którym majaczyły cienie rzucane przez jedyną świecę w pomieszczeniu.

Sira poruszyła się nieznacznie i spojrzała na niego, domagając się uwagi. Mężczyzna dopiero po chwili to zauważył. Spojrzał w dobrze znaną, mocno umalowaną twarz kochanki i uśmiechnął się.

– Myślisz o tej nowej – powiedziała miękko, patrząc mu w oczy.

Nie było w jej tonie ani grama wyrzutu, oceny czy niezadowolenia. Najzwyczajniej na świecie stwierdziła fakt. Wiedziała, jak należało rozmawiać z generałem.

– Atay wyraził dziś swoją dezaprobatę dla uwięzienia dziewczyny – westchnął i oboje zachichotali.

– Tylko to potrafi. – Wzruszyła ramionami Sira i pogładziła mężczyznę po policzku. – Przejmujesz się nim?

Verrad prychnął.

– Powiedziałem, że jest oskarżona o obrazę oficera królewskiego. Mam prawo zamykać ludzi za błahsze rzeczy. Zresztą... Wielebny dobrze wie, że odkąd działa klątwa, on i jego konfratrzy nie mają tu nic do powiedzenia.

– Co zrobisz z dziewczyną?

Verrad westchnął i wplótł palce we włosy Siry.

– Zastanawiam się. Zakazałem wszelkich wizyt. Uczuliłem też Gregora, że ma się do niej na razie nie zbliżać. Chcę sobie zostawić otwartą furtkę.

Sira charakterystycznie wydęła usta.

– Zgaduję, że nie był zadowolony.

Generał uśmiechnął się lekko.

– Zasugerował, żebym oddał mu ją na jedną noc, a następnego dnia będzie pokorniutka jak baranek. Nawet mu wierzę.

Sira zamyśliła się i przeniosła dłoń wyżej. Powoli głaskała skroń mężczyzny.

– Żeby tylko nie złamał jej za bardzo.

Verrad spojrzał na kochankę i zmarszczył brwi.

– Myślisz, że byłoby jak z tą małą blondynką?

Sira pokiwała głową.

– Ta nowa wygląda mi na taką, co zgrywa hardą, ale w środku ma ochotę się rozpłakać – wyjaśniła. – Zaciska piąstki i uderza na oślep. Zaciska zęby i znosi wszystko. Zaciska powieki i nie widzi z wyprzedzeniem konsekwencji swoich działań. Ale w końcu nie wytrzyma. Nie zapominajmy, że ona jest kompletnie niedoświadczona. Geszefciarze podłożyli nam nieprzewidywalną bombę.

Verrad nie od razu odpowiedział. Przez chwilę rozmyślał o tym, co usłyszał od swojej kochanki. Zawsze traktował jej słowa poważnie. Była inteligentna i znała się na ludziach. Potrafiła rozmawiać z mężczyznami. Udało jej się rozpracować również jego. Była jedną z pierwszych kobiet, które do niego trafiły. Przez lata spędzone w Kazamatach Sira zmieniała się, co starała się ukryć pod coraz bardziej misternymi fryzurami i mocniejszymi makijażami. Ale generał dostrzegał każdą nową zmarszczkę, która pojawiała się wokół jej oczu i ust. Zauważał, że skóra na ramionach traciła sprężystość i jednolity kolor. Widział pojedyncze siwe włosy, ukrywane zmyślnie w burzy loków. Ale to mu nie przeszkadzało. Od lat Sira była jego jedyną kochanką.

– Więc co proponujesz? – zapytał.

Sira położyła głowę na jego torsie i niespiesznie głaskała żebra.

– Ta dziewczyna jest z innego świata. Ma zasady. Dopóki będziesz jej groził, ona będzie się buntować i sprawiać kłopoty. Takie osoby trzeba przywiązać do siebie po dobroci.

– Kazałem ją wrzucić do lochu i głodzić – ożywił się dowódca. – Nie mogę nagle stać się słodkim tatusiem.

Sira zaśmiała się i pocałowała mężczyznę w mostek.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła. – Twój plan jest dobry, ale ma jedną lukę. Człowiek potrafi przyzwyczaić się do każdej niewygody.

– Freda też sprawiała problemy, ale kilka dni w izolacji ją złamało.

– Nie wykorzeniliśmy z niej złości do końca. Jedyny powód, dla którego nie sprawia problemów, to brak wiary w siebie. Z tą nową jest inaczej. Cela i głód w końcu jej spowszednieją. W jej przypadku musimy pozbyć się nienawiści. Tę dziewczynę napędza duma. Im bardziej będziesz ją biczował, tym prościej będzie stała. A na koniec i tak spróbuje uciec przez dziurkę od klucza. Ona myśli, że jest lepsza od nas, że nie zasłużyła na bycie tu. Będzie walczyła do upadłego. Myślę, że zamiast ją zmieniać, należy po prostu odpowiednio ukierunkować jej charakter.

Verrad znowu popatrzył w sufit, na którym tańczyły zwinne cienie. Świeca dogasała. Generał objął ściślej talię kobiety i ucałował czubek jej głowy.

Sira ułożyła się wygodniej na jego torsie, a złotawe loki spływały po jej ramionach i plecach. Generał gładził jej włosy i myślał intensywnie o wszystkim, co usłyszał. Ale po chwili zaczął myśleć tylko o jej złocistych lokach, błyszczących w miękkim świetle świecy, potem o ciepłej skórze i dłoni, która go głaskała. Niedługo wszystkie troski go opuściły.

* * *

Trzy dni. Tyle czasu Sheila spędziła w celi. Jej jedynym towarzystwem byli gburowaci strażnicy, którzy łypali na nią obojętnie i nie dawali się wciągnąć w żadne rozmowy. Poza nimi dość często pojawiały się też szczury. Sheila zastanawiała się, czyja obecność była przyjemniejsza.

Ostatecznie stwierdziła, że gryzonie mniej śmierdziały, co przeważało mocno na ich korzyść.

Porę dnia określała jedynie na podstawie światła, które wpadało przez maleńki, zakratowany otwór wysoko ponad nią. W jej celi znajdowała się wąska prycza z ciemną warstwą ubitej słomy, która nie dawała żadnego wrażenia miękkości. Po trzech dniach dziewczyna miała odgniecenia na wszystkich częściach ciała. Do tego noga bolała ją tak, że nie usnęłaby nawet na królewskim posłaniu z baldachimem. Codzienny przydział wody, czyli jeden niepełny kubek, dzieliła między nawilżenie ust i obmycie rany na łydce. Obawiała się, czy w więziennych warunkach nie nabawi się jakiegoś paskudnego zakażenia, ale strażnicy pozostawali głusi na jej pytania o lekarstwo.

– W sumie czemu nie? Niech mi odpadnie noga od gangreny – rzuciła w którymś momencie zrezygnowana. – Może jak obrosnę jakimś świństwem, to chociaż część was się ode mnie odwali.

Z każdą kolejną godziną zmniejszało się jej poczucie humoru i zwiększał głód. Poprzysięgła sobie, że pod żadnym pozorem nie da się przyłapać strażnikom na płaczu. Z tego powodu musiała narzucić sobie restrykcyjne zasady, mówiące o tym, że o Bennie, przyjaciołach z Velde i wszystkim, co wiązało się z domem, myślała tylko, kiedy żołnierze drzemali.

Po trzech dniach odwiedził ją ktoś spoza wojska.

Nikkolai niespiesznie podszedł do kraty. Sheila usłyszała jego kroki z daleka. Usiadła na pryczy i obserwowała, jak mężczyzna pokazuje strażnikowi jakiś świstek, na którego widok ten natychmiast wyszedł.

Machinalnie zacisnęła dłonie na brzegu swojego prowizorycznego łóżka i przyglądała się gościowi podejrzliwie.

– Dobry wieczór – odezwał się pierwszy, podchodząc bardzo blisko do kraty. – Nie patrz na mnie, jakbym wymordował ci połowę rodziny. Nie musisz się mnie obawiać. O ile okażesz chęć współpracy.

– Nie okażę – powiedziała od razu, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Uśmiechnął się lekko pod nosem i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyciągnął ciemną butelkę z szeroką szyjką i przełożył ją przez kraty. Widząc, że Sheila nawet nie drgnęła, wzruszył ramionami i postawił nieznany napój na podłodze, we wnętrzu celi.

– Widzę, że trzy dni o pustym żołądku niczego cię nie nauczyły – stwierdził i założył ręce na piersi. – Jak myślisz, jak długo jeszcze dasz radę tu wytrzymać? Na górze robimy zakłady o to, kiedy poprosisz strażników o coś do jedzenia. Jeśli o mnie chodzi, obstawiam, że jeszcze długo nie ugniesz karku.

– Skoro tak, chętnie się podłożę.

Przez chwilę milczał, przyglądając się jej uważnie, a potem westchnął powoli.

– W zasadzie rozumiem, że nie darzysz tutaj nikogo sympatią, ale ja osobiście chyba niczym ci nie zawiniłem. Może odpuścisz sobie ten pogardliwy ton i spokojnie posłuchasz, co mam ci do zaoferowania?

Wstała i zrobiła krok w jego stronę. Zacisnęła na chwilę zęby i odetchnęła, gdy najsilniejszy poryw bólu minął.

– Nie interesuje mnie, co masz mi do powiedzenia. – Założyła ręce na piersi.

Nikkolai wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Zechcesz mi, proszę, wytłumaczyć: dlaczego?

Spojrzała na niego tak pogardliwie, jak jeszcze na nikogo w Kazamatach.

– To do ciebie prowadzili Hester.

Zmarszczył brwi, ale po chwili na jego twarz wstąpiło zrozumienie.

– Ach... Więc to jednak osobiste uprzedzenie. Rozumiem. Hester? Tak miała na imię ta mała?

Sheila nie odpowiedziała ani nie poruszyła się.

– Myślałem, że pójdzie łatwiej. No trudno. Chcę tylko zapytać o kilka rzeczy i już masz mnie z głowy.

Dziewczyna prychnęła ostentacyjnie i o mały włos nie wybuchnęła drwiącym śmiechem.

– Żartujesz sobie? Niczego się ode mnie nie dowiesz. Lepiej od razu sobie odpuść.

Cofnęła się i położyła na pryczy. Twardo patrzyła w sufit, mając świadomość, że Nikk nie odchodził.

– Przyznaję, to do mnie prowadzono tę dziewczynkę – powiedział spokojnie. – Słyszałem, że jej pomogłaś. I przez to tu trafiłaś.

Nie odpowiedziała.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo mną gardzisz. Mam sprawę i załatwię ją, choćbym miał wydusić z ciebie informacje siłą. Ale wierz mi, że naprawdę nie mam na to ochoty.

Nadal milczała i dodatkowo zamknęła oczy.

– Nienawidzisz mnie aż tak bardzo, że zaprzepaścisz szansę skontaktowania się z rodziną?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego ostro. To wywołało uśmiech na jego twarzy.

– Może tego nie wiesz, ale mam regularny kontakt z kilkoma geszefciarzami, którzy nas zaopatrują. Przesłanie przez nich listu będzie dla mnie prostsze niż splunięcie.

– Nie pomogę ci znaleźć Hester. Nawet gdybym chciała, nie mam wiedzy, gdzie ona jest i dokąd uciekła – powiedziała Sheila spokojniej, wciąż patrząc na rozmówcę nieprzyjemnie. – Ale skoro dotąd jej nie dostałeś, to znaczy, że dała radę się zaszyć w mieście albo wioskach. Kolla jej nie znajdzie.

– Nie jestem tak naiwny, by prosić cię o wydanie dziewczynki. Przecież widzę, jakim jesteś przypadkiem. Nie z tym przychodzę.

– Więc o co chodzi?

Nikk pogładził się po czarnej bródce.

– Opowiedz mi o niej.

Sheila zmarszczyła brwi i ponownie spojrzała w sufit.

– Jesteś obleśny – wycedziła.

Zastanawiała się, czy to go podniecało. Chciał sobie wyobrazić małą Hester w swoich ramionach czy może miał jakiś dziwaczny fetysz, którego nie znała?

Westchnął nieco zniecierpliwiony.

– Nie zwykłem tłumaczyć się obcym gówniarom, ale potrzebuję minimum twojej przychylności. Ta cała Hester interesowała mnie tylko z jednego powodu i akurat nie tego, który ci się rodzi w głowie. Wiedz, że twoje wyjaśnienia mają szansę sprawić, że raz na zawsze zapomnę o małej i rozkażę Kolli, żeby przestał jej szukać. W przeciwnym wypadku nie odpuści. Za dużo mu za nią obiecałem.

Sheila ponownie usiadła na pryczy i pokręciła głową.

– Czy sądzisz, że ma dla mnie znaczenie, po co ci małe dziewczynki? Nawet jeżeli nie uważasz tego, co im robisz, za krzywdę, to nie zmienia faktu, że odbierałeś rodzicom ich dzieci i sprowadzałeś do najmniej odpowiedniego dla nich miejsca.

Nikk nie zmienił wyrazu twarzy. Wciąż lustrował ją bacznym spojrzeniem.

– Faktycznie była obłąkana? – zapytał nagle prosto z mostu.

Sheila założyła ręce na piersi i odwróciła głowę w bok. Miała świadomość, że wyglądało to trochę dziecinnie, ale w tym momencie niewiele ją to obchodziło.

Jej rozmówca westchnął.

– Wyślę twój list do rodziny – powiedział łagodniej. – I przekonam Kiernana, żeby cię stąd wypuścił.

Prychnęła.

– O tak, już stąd lecę. Prosto w objęcia Gregora.

Nikk pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Teraz wszystko jasne. Twoja mała izolacja całkiem ci odpowiada. Ale wiesz... Gregor może tu do ciebie zejść. A te ściany są naprawdę grube. Nikt na górze nie usłyszy twoich krzyków.

Wzruszyła ramionami.

– Obawiałam się tego na początku. Ale dni mijają, a Gregor jakoś nie przychodzi.

– Może mu o tobie przypomnę.

– Nie sądzę, żeby to był powód jego nieobecności. – Skrzywiła się lekko. – Jeżeli mógłby przyjść, już dawno by to zrobił.

– Więc dasz się zagłodzić w imię zasad? A właściwie głupoty, która nikomu nie przyniesie nic dobrego? A wręcz przeciwnie. – Pochylił się lekko w jej stronę. – Posłuchaj mnie uważnie i przeanalizuj sobie zyski i straty. Odpowiesz mi na kilka prostych pytań. A ja w zamian za to skontaktuję cię z rodziną. Albo nie odpowiesz. A ja powiem Kolli, że ma przetrząsnąć każdy skrawek wyspy i przyprowadzić mi Hester. Dowiem się wtedy wszystkiego, czego chcę, i to jeszcze dokładniej, ale zajmie mi to więcej czasu, więc będę bardziej rozgniewany. Nie musimy się zaprzyjaźniać. Wystarczy, że dobijemy targu. To co, łyk zupy na zgodę?

Wskazał ciemną butelkę, którą na początku ich rozmowy postawił na podłodze. Sheila wlepiła wzrok w naczynie. Na wspomnienie o jedzeniu poczuła nagle nieznośne ssanie w żołądku. Wstała i zrobiła nieśmiały krok w kierunku posiłku.

Nikk uśmiechnął się i oddalił od kraty, by mogła bez obaw podejść bliżej.

– Dobra, gęsta – mruknął zachęcająco.

Sheila podniosła naczynie i przyjrzała się mu. Walczyła ze sobą, ale wiedziała, co było słuszne.

– Hester nie wydawała się obłąkana – odpowiedziała powoli, nie podnosząc wzroku. – Była wystraszona, ale... pełna zapału. Bardzo dzielna. Myślała o innych, nawet kiedy groziło jej niebezpieczeństwo. Nic więcej ci nie powiem, bo nie wiem.

– Nie miała halucynacji? – wypytywał pospiesznie. – Nie była nawiedzona?

Sheila zmarszczyła brwi.

– Na pewno nie bardziej niż ty – warknęła. – Chcę, żebyś dał jej spokój. Niech to chociaż ma jakiś sens... To, że tutaj trafiłam. Niech chociaż Hester będzie wolna.

Nikk pokiwał głową.

– Szlachetne podejście.

– Raczej głupie. – Wzruszyła ramionami. – Ale trudno. Nic na to nie poradzę. Już tak mnie nauczono, że lepiej być naiwnie uczciwym i nawet zginąć z czystym sumieniem, niż żyć długo ze świadomością, ile świństw się zrobiło.

– Myślę, że nie jesteś głupia. Raczej... niedostosowana.

Sheila uśmiechnęła się lekko, a oczy błysnęły jej hardo.

– Wcale mi nie zależy, żeby tu pasować.

Nikk również się uśmiechnął i przez chwilę lustrowali się bacznymi spojrzeniami. W końcu mężczyzna zbliżył się o krok.

– Pomogę ci – oznajmił. – Wydaje mi się, że mimo wszystko uda nam się współpracować.

Lekki uśmieszek nie znikał z jej twarzy, gdy znowu spojrzała na trzymaną w rękach butelkę.

– Powiedziałam ci o Hester to, co wiedziałam, tylko dlatego, żeby jej pomóc. Kolla mówił, że interesują cię obłąkane dzieci. Ona z pewnością na taką nie wyglądała. Możesz mi nie uwierzyć, ale... przecież od początku wiedziałeś, że nasza rozmowa będzie się opierała na wzajemnym zaufaniu. – Cofnęła się o krok. – Rozumiesz, co mówię? Chcę, żeby to dobrze wybrzmiało. Podarowałam ci tę informację ze względu na małą, a nie dlatego, że ją kupiłeś. Nie ma między nami żadnej umowy, żadnego porozumienia, ani absolutnie żadnego przymierza.

Odwróciła się i cisnęła butelką w ścianę nad pryczą. Szkło rozbiło się, a jego zawartość szybko spłynęła po kamiennych blokach.

Sheila spojrzała wyczekująco na Nikka, który po pierwszym szoku szybko wrócił do swojej poprzedniej postawy. Uśmiechnął się lekko i przez chwilę nad czymś rozmyślał.

– Możesz śmiało stawiać na mnie w kolejnych zakładach. Masz rację. Jeszcze długo nie zegnę karku – powiedziała, zakładając ręce na piersi.

Pokiwał powoli głową.

– Cofam to, co powiedziałem wcześniej. Jednak jesteś głupia.

Odwrócił się szybko i nie zwlekał z odejściem.

Gdy tylko zniknął na schodach, Sheila rzuciła się do pryczy i zaczęła przebierać między resztkami warzyw i kawałków szkła. Szybko znalazła to, na co liczyła, gdy teatralnie rzucała naczyniem. Kilkunastocentymetrowy odłamek świetnie nadawał się na broń. Natychmiast schowała go do kieszeni, słysząc, że wraca strażnik.

Zapach obiadu mocno drażnił jej nozdrza. Drżącymi rękami wygrzebywała ze słomy ziemniaki, marchewkę i kawałki mięsa. Poczuła, że jakiś zabłąkany odłamek butelki skaleczył jej język, więc szybko go wypluła. Mimo starań nie potrafiła zwolnić, dopóki nie pochłonęła wszystkich resztek, które nadawały się do spożycia.

Nagroda za najlepszy popis aktorski dla Sheili Gring – pomyślała z satysfakcją. Musiała poświęcić posiłek. Gdyby rozbiła butelkę po najedzeniu się, wzbudziłoby to podejrzenia i ktoś by się zorientował, dlaczego to zrobiła.

Miała broń. Choć w tym momencie niewiele to zmieniało, ta świadomość zadziała na nią jak życiodajny eliksir. Bardzo się starała nie uśmiechać, ale serce miała nagle jakby odrobinkę lżejsze.

* * *

Szczury stały się nieznośne, odkąd rozlała zupę w celi. Szuranie i stukanie towarzyszyło jej prawie bez przerwy. Ciężko było w nocy spać, kiedy co jakiś czas budziły ją gryzonie szukające pod jej ciałem resztek. Kilka razy w złości rzuciła szczególnie natarczywym zwierzęciem o ścianę, ale spokój wracał na krótko. Mimo wszystko najbardziej martwiło ją dobieranie się szczurów do jej opatrunku. Lekki bandaż, którym Freda owinę-

ła jej nogę, wyglądał tragicznie po codziennym zdejmowaniu go do obmywania rany źdźiebełkiem wody. Sheila miała wrażenie, że stan wilczego ugryzienia nie pogarszał się znacząco, ale zaprzestanie podawania leków zapobiegało dalszej rekonwalescencji.

Czwartego dnia izolacji po raz pierwszy zdarzyło jej się niezbyt mocno, ale bezwiednie, walić głową w ścianę, nie myśląc o niczym szczególnym. Kiedy to spostrzegła, uderzyła się otwartą dłonią w twarz i nakazała sobie trwanie przy zdrowych zmysłach.

Strażnicy nadal pozostawali gburowaci i nieszczególnie rozmowni. Czasami z nudów rezygnowała ze swojej zasady dotyczącej unikania tematu domu. Prowokowała i denerwowała żołnierzy, odzywając się do nich tak, jakby jej odpowiadali. Plotkowała wtedy o jakichś głupotach, rozprawiała o swojej rywalizacji z Krissem, dziwactwach Saebe i staraniach Erinn, by Sheila nieco bardziej pasowała do społeczeństwa. Unikała jednak tematu Benna. Była to kwestia zbyt poważna i nie miała pewności, czy mimo starań nie doprowadziłoby to jej do łez.

Piątego dnia po raz pierwszy pomyślała, że za odpowiednią cenę mogłaby się zgodzić na jakiś rodzaj porozumienia i współpracy z oprawcami. Odsuwała od siebie te myśli, ale łapała się na tym, że wyobraźnia podpowiadała jej różne rodzaje ultimatów, na które mogła przystać.

Na szczęście szóstego dnia rano przyszła Sira. Na jej widok Sheila na nowo otoczyła się pancerzem uporu.

– Wstawaj, dziecko – powiedziała kobieta i ofiarowała swoje ramię do pomocy.

Sheila spojrzała na nią podejrzliwie i nie usłuchała.

– Idziemy na górę – wyjaśniła Sira z westchnieniem. – Zbieraj się, zanim zmienią zdanie.

– Dlaczego? Co ze mną będzie?

Sira założyła ręce na piersi i pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Nie trzęś się. Nic ci nie będzie. Nie lubię dyskusji.

Sheila wciąż nie była przekonana, ale wyglądało na to, że nie pozostawiono jej wyboru. Sira poprowadziła ją do jadalni, gdzie czekały już cztery znajome twarze. Kiernan de Verrad jak zwykle zasiadał u szczytu stołu. Po jego obu stronach siedzieli Gregor i Nikkolai. Tym razem ucztował z nimi również niewysoki major Danteil.

Sheila przez chwilę nie mogła oderwać oczu od jedzenia, które znajdowało się na stole, ale zmusiła się, by skupić wzrok na czymś innym. Zacisnęła wargi i spojrzała na głównego dowódcę, który nie podnosząc się z miejsca, patrzył na nią chłodno.

– Jest i nasza przekora – powiedział na przywitanie. – Jakimi odnajdujesz nasze lochy? Mam nadzieję, że nie doskwierał ci za bardzo przeciąg.

Gregor i Nikk zaśmiali się krótko pod nosem. Sheila nie spuszczała oczu z dowódcy.

– Spokój i cisza były nie do przecenienia. Towarzystwo... – Rzuciła krótkie spojrzenie na Nikka. – Raczej przeciętne.

Generał westchnął. Trudno było odgadnąć, czy był zirytowany, czy po prostu zniecierpliwiony.

– Czy w tej ciszy i spokoju udało ci się znaleźć przestrzeń do rozmyślań? – zapytał, zerkając na swoje paznokcie.

– Owszem – przyznała grzecznie. – Miałam okazję spojrzeć na wiele spraw świeżym okiem.

Major Danteil zakrztusił się winem i zerknął na nią badawczo.

– Czyżby? – zainteresował się Verrad, obdarzając ją łaskawszym spojrzeniem. – Zechcesz nam nieco opowiedzieć o swoich przemyśleniach?

Sheila odetchnęła prawie niezauważalnie i odpowiedziała.

– Zauważyłam na przykład, że cieszysz się tu bezgranicznym posłuszeństwem. Chyba, że się mylę i to nie ty zakazałeś Gregorowi mnie odwiedzać?

Wspomniany mężczyzna rzucił jej krzywe spojrzenie, a Verrad po raz pierwszy lekko się uśmiechnął.

– Byłaś odizolowana od wszystkich. Każdy z moich oficerów wie, co oznacza termin: izolacja. Jesteśmy wojskowymi, posłuszeństwo to nasza natura.

– A jednak ktoś mnie odwiedził.

Uśmiech Verrada zniknął.

– Nikk nie jest żołnierzem – wyjaśnił. – Jego naturą jest samowola i niezależność. W kontrolowanych dawkach sprawdza się niezawodnie. Przedstawił argument, który przekonał mnie do zezwolenia na wizytę. – Westchnął. – No dobrze... Jak myślisz, co się teraz z tobą stanie?

Chwycił jabłko i zaczął je niespiesznie obierać.

– Nie masz pomysłu? – zapytał, kiedy przez chwilę milczała. – Taka mądrala z zadartą głową nagle nie wie co odpowiedzieć?

Gregor prychnął. Obaj z Nikkiem wyglądali na szczerze rozbawionych. Major przyglądał się sytuacji znad swojego pucharu, a Sira stała obok Sheili i obdarzała ją badawczym, choć spokojnym wzrokiem.

– Widzisz, a my tu mamy aż nadmiar pomysłów – powiedział generał z ironią. – Wyobraź sobie, że każdy w tej sali ma swoją własną wizję twojej przyszłości. Zanim Sira cię tu przyprowadziła, dyskutowaliśmy sobie chwilę. Zacznę od najbardziej oczywistych opinii. Obecny tu kapitan Gregor Sinnd ofiarował się jako pomoc w twojej asymilacji. Chce, żebym mu cię wydał na kilka dni. Postawa, choć barbarzyńsko prostacka, muszę przyznać, że ujęła mnie szczerością i prostolinijnością.

Sheila była nieco zaskoczona. Nie podejrzewała dowódcy o takie poczucie humoru. Nie przerywała jednak jego wywodu, starając się nie myśleć o bólu w nodze i pachnącym śniadaniu na stole.

– Drugą propozycję rzucił Nikkolai – kontynuował. – Ma problem z pewną grupą geszefciarzy, którą możesz kojarzyć. Zdaje się, że liczy na polepszenie sytuacji z twoją pomocą. Nie da się ukryć, że ten cel przemawia do mnie znacznie bardziej. Kontrola nad dostawami jest absolutnie konieczna.

Zdawało się, że nie tylko Sheila zaczęła z coraz większym zainteresowaniem wyczekiwać, do czego dojdzie dowódca.

– No i na koniec została najzabawniejsza propozycja. Major Danteil powiedział: „Wypuśćcie ją, jak tak bardzo chce i będzie spokój".

Gregor zaśmiał się, a Nikk pokręcił głową i upił łyk ze swojego pucharu.

– Tak to jest z naszym majorem – wytłumaczył Verrad. – Gdyby on tu rządził, skazańcy szybko weszliby mu głowę. Jakoś tak się dzieje, że ma do nich więcej cierpliwości niż do swoich żołnierzy. Tak więc widzisz, że mam nie lada zagwozdkę. Trudna decyzja.

Sheila w końcu postanowiła się wtrącić.

– Ciekawe, że w tym wszystkim nie przyszło ci do głowy zapytać o zdanie najbardziej zainteresowanej.

Verrad machnął ręką.

– Nie uznałem tego za konieczne. Myślę, że moja decyzja przypadnie ci do gustu.

Wszyscy utkwili wzrok w generale, który ewidentnie dobrze czuł się w sytuacji manifestującej jego władzę.

– No i? Co zrobisz? – zniecierpliwiła się Sheila.

Verrad oparł się wygodnie w swoim krześle.

– Wypuszczę cię.

Przez chwilę nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Jako pierwszy głos odzyskał Nikk. Odłożył widelec i spojrzał zaskoczony na dowódcę.

– Żartujesz – prychnął, na co Verrad pokręcił głową i wgryzł się w obrane chwilę wcześniej jabłko.

Kapitan rzucił ciekawskie spojrzenie na Sheilę. Nikkolai spuścił wzrok w zamyśleniu, a Danteil z otwartymi szeroko oczami przyglądał się generałowi. Bardziej zaskoczona od niego była tylko Sheila.

– Widzę, że na większości zrobiłem wrażenie. To miłe, ale pokazuje, że moi najbliżsi podwładni są kretynami zapatrzonymi we własny interes – zabrzmiał nagle ostrzej. – Nikk rozpaczliwie próbuje odzyskać

kontrolę nad swoim rewirem, a Danteil stara się okazać, jak bardzo jest ponad to, co się tu dzieje.

– Więc mnie wypuścisz – powiedziała, czując suchość w ustach. – Tak po prostu?

Verrad pokiwał głową.

– Odejdziesz stąd i nikt nie będzie cię zatrzymywał. Zrobisz dla mnie jedną rzecz, a potem pójdziesz, dokąd tylko zechcesz.

Sheila uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– No tak. Spodziewałam się tego.

Generał połknął pierwszą porcję owocu i popatrzył na nią obojętnie.

– Kapitan Gregor jak zwykle udowodnił, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Już kilka dni temu wysnuł pewną propozycję, która naprawdę mi się spodobała. Przemyślałem to i faktycznie uważam, że nie ma sensu tłamsić twojego charakteru, a jedynie odpowiednio go ukierunkować.

Major Danteil w tym momencie ukradkiem zerknął na Sirę. Sheila powędrowała za jego wzrokiem. Kobieta patrzyła na nią opanowana i pewna siebie, ale dziwnie łagodna, co kontrastowało z jej mocnym makijażem i kolorową sukienką.

– Moja prośba nie powinna stanowić dla ciebie problemu. Z tego, co wiemy, lubisz popełniać dobre uczynki. Wielebny Atay opowiedział nam o tym nieco. Masz szansę pomóc w schwytaniu groźnego człowieka, który od lat kpi sobie z wymiaru sprawiedliwości, a tym samym króla. Nazywa się Leonidas Franck i... – Przerwał, widząc zmieszanie na jej twarzy. – Ach tak, pewnie słyszałaś o nim, jak bawiłaś u tych dwóch myśliwych. Zapewne opowiadali o nim jak o bohaterze. Wiedz jednak, że cokolwiek mówili, są to bzdury, które on nakładł im do głów. Cała Wolna Kompania to banda szczurów bez honoru, które próbują uniknąć zasłużonej kary za swoje przewinienia. Nic dziwnego, że bronią swojego przywódcy.

Sheila opuściła wzrok i myślała intensywnie. Starała się nie zdradzić, jak dużo wiedziała o Wolnej Kompanii i to nie z opowiadań, a z

własnego doświadczenia. Verrad ewidentnie nie miał pojęcia, że, choć krótko, przebywała na terenie obozu buntowników.

Sam pomysł wystawienia Leo w pierwszej chwili ją rozśmieszył, potem wzbudził w niej moralny sprzeciw, a na koniec zmieszanie. Chodziło w końcu o skazańca. Niezbyt dużo wiedziała o dowódcy buntowników, ale była skłonna uwierzyć w wiele złych rzeczy na jego temat. Jednak nie mogła całkiem zignorować faktu, że jej pomógł. Nie do końca tak, jak sobie tego życzyła, ale po czasie zrozumiała, że jego działanie miało dla niej pewne korzystne skutki.

Postanowiła brnąć dalej.

– Czym ci tak zawinił? Myślałam, że tolerujecie buntowników.

Verrad ukroił kolejny kawałek jabłka, ale poczekał ze zjedzeniem go do końca swojej wypowiedzi.

– Po pierwsze, nie zawinił mi, a całemu systemowi. A po drugie, owszem, tolerujemy tych bandytów, bo nie mamy wyjścia. Ale jeśli nadarza się okazja do powieszenia Francka, to tylko głupiec by z niej nie skorzystał. Kapitan Gregor uznał, że jesteś w stanie nam w tym pomóc. Widzisz... Franck jest jakby...

– Wrzodem na dupie – wtrącił się Gregor, a Nikk uniósł nieco kielich, by okazać swoje poparcie dla tych słów.

– Też – przyznał Verrad. – Ale akurat nie to miałem na myśli. Zrozum. Żeby on tylko wyprowadził tych swoich przydupasów i zaszył się w lesie, to nic bym do niego nie miał. Naprawdę, w pierwszej chwili wzbudził nawet mój podziw. Tylko że jemu było ciągle mało. Jednoczył innych uciekinierów, a co najgorsze sam zaczął kolejne ucieczki organizować. Próbuje na własną rękę zniszczyć klątwę. Wiesz, co się stanie, jeśli tego dokona? Jego nieokiełznana banda wyleje się na całą wyspę. Ale to go nie obchodzi. Skazańcy w Twierdzy są pod naszą strażą. Jeśli klątwa ma być zdjęta, musi się to stać pod ścisłą kontrolą i kiedy będziemy mieć pewność, że na wolność wyjdą tylko ci, na których nie ciążą wyroki.

Sheila nie mogła uwierzyć w to, że zgadzała się z generałem. Po raz pierwszy naprawdę pomyślała o nim jako o żołnierzu królewskiej armii. I prawdopodobnie stanęłaby po jego stronie, gdyby nie usłyszała tak wiele o jego prawdziwych pobudkach.

Tylko czy to miało aż takie znaczenie? Trzymanie skazańców pod kontrolą było dobrym celem. Verrad miał rację, banda wyzwolonych buntowników stanowiła zagrożenie dla wyspy i nie tylko.

– Myślisz, że bez dowódcy cała Wolna Kompania upadnie?

Verrad popatrzył na nią poważnie.

– Nie wiem. Ale z nim na czele na pewno ich nie zwyciężymy.

Przez chwilę milczała. Wydanie Francka zesłałoby niebezpieczeństwo na tych, których mimo wszystko zdążyła polubić. Lasota, Pitter, a nawet Svein, nie byli jej całkowicie obojętni. Udzielili jej pomocy. Logan i Marson zajmowali się nią przez kilka dni, karmili i przestrzegali, żeby dbała o swoje bezpieczeństwo.

Reiven Scott. Na jego wspomnienie poczuła lekkie zirytowanie. Cały czas próbował ją wykorzystać do własnych celów, ale ostatecznie zaproponował pomoc.

Gdyby chodziło tylko o Francka, nie miałaby zbyt dużych wątpliwości.

– Jak niby miałabym wam pomóc? – westchnęła.

Verrad uśmiechnął się z zadowoleniem, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Gregorem.

* * *

Sheila wróciła do pokoju, który zajmowała wcześniej. Nie miała jednak zbyt dużo wytchnienia. Chrobotanie szczurów zastąpiły regularne uderzenia młotków, których używali budowniczowie na rusztowaniu. I bez tego trudno jej się było skupić.

Zgodziła się wziąć udział w planie, który zaproponował Verrad, ale w zasadzie tylko dlatego, żeby zyskać na czasie. Chciała to wszystko

przemyśleć, ale im więcej się nad tym zastanawiała, tym mniej pewności miała, co było dobre, a co złe.

Godzinę po jej powrocie przyszedł Will. Kiedy stanął w drzwiach, Sheila bez zastanowienia rzuciła mu się na szyję. Wydawał się zaskoczony, ale szybko odwzajemnił uścisk. Ją również zszokowało, jak bardzo brakowało jej towarzystwa adepta.

– Ty szalona kobieto – powiedział, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, ona na łóżku, on na fotelu, i rozmawiali o tym, jak trafiła do celi. – Jesteś naprawdę walnięta.

Snuła swoją opowieść pomiędzy pospiesznymi łykami zupy, którą jej przyniósł. Kiedy skończyła, podał jej kubek z wodą. Wypiła wszystko od razu i westchnęła.

– Marzyłam o tym.

Uśmiechnął się.

– No dobrze, ale dlaczego jednak cię stamtąd wypuścili?

Wzruszyła ramionami.

– To co zwykle. Mieli dla mnie propozycję nie do odrzucenia. Wiesz, to niesamowite, jak z jednej strony wszyscy próbują mi wmówić, że jestem głupia i nic nie znaczę, ale z drugiej każdy do czegoś mnie potrzebuje.

Will uśmiechnął się do niej znowu.

– To taki rodzaj targowania się – stwierdził. – Chcą, żebyś czuła, że nie masz wyjścia, a oni robią ci łaskę, w ogóle dając ci szansę się wykazać.

Sheila pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Głupki. Jakby mnie Verrad posadził przy tym napchanym stole, dał wino i pożartował ze mną jak ze swoimi oficerami, to nie musiałby mnie wcale przekonywać do wystawienia Francka – zażartowała. – Tamten przywitał mnie szarpaniną i obrażaniem.

Dopiero po chwili zauważyła poważny wzrok Willa.

– Co?

– Chcą, żebyś im wystawiła Leonidasa Francka?

Kiwnęła powoli głową.

– Zgodziłaś się?

– Zdaje się, że tak – odparła niepewnie, zaskoczona jego reakcją. – Na razie powiedziałam Verradowi, że spróbuję.

William zamknął oczy i westchnął. Następnie spojrzał na Sheilę znacznie poważniejszym wzrokiem niż kiedykolwiek do tej pory.

– Po tym, jak Franck ci pomógł?

Zmarszczyła czoło.

– Nie przesadzajmy z tą jego wspaniałomyślnością, dobra? Po pierwsze, został postawiony przed faktem. Svein przyniósł mnie do obozu, a kiedy dowódca szybko stracił do mnie cierpliwość, stwierdził, że mogę sobie spadać. A w ogóle to jak będę go wkurzać, zaprowadzi mnie do Verrada. Po drugie, zgadzam się, że jest niebezpieczny ze swoimi chorymi wizjami stworzenia armii ze skazańców.

Adept prychnął.

– O czym ty mówisz?

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Och, to taki skrót myślowy – warknęła. – Jeśli o mnie chodzi, wolałabym, żeby wszyscy skazańcy byli pilnowani przez wojsko królewskie. To bezpieczniejsze w przypadku złamania klątwy.

Will wstał i zaczął gorączkowo rozmyślać, przechadzając się po małym pokoiku.

– Rozumiem twój punkt widzenia... ale to nie jest takie proste. Trudno określić, co jest lepsze, a co gorsze. Ale jednego jestem pewien. Dobrze, że istnieje w Kazamatach przeciwwaga dla pozycji Verrada.

Sheila spuściła wzrok i uspokoiła się.

– Nie twierdzę, że mi się to podoba. Nie chcę działać przeciwko Wolnej Kompanii... mimo wszystko jakoś bardziej ich lubię niż oficerów królewskich. Jeśli będę miała okazję uciec, zanim Leo da się złapać, na pewno ją wykorzystam.

Will zmarszczył brwi i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Co właściwie masz zrobić?

Westchnęła.

– Nie chcą zdradzić szczegółów. Ale podobno buntownicy regularnie pomagają więźniom uciec z Twierdzy. Kiedy orientują się, że wszystko jest w porządku i to nie jest podstęp, prowadzą takiego skazańca do Leo, który czeka niedaleko i namawia ich do zjednoczenia się z buntownikami.

– Zgaduję, że nie musi długo pertraktować – przerwał jej William. – Większość więźniów marzy o dołączeniu do jego ludzi. Franck i Wolna Kompania to symbole. Nie tylko dla skazańców.

– Pewnie dlatego Leo jest takim kolcem w oku Verrada – mruknęła. – Podburza morale jego wojska. Generał boi się, że zostanie jedynie z żołnierzami powołanymi z więźniów.

Will pokiwał głową, uspokojony, że to do niej dotarło.

– Wielu ma tutaj wyrzuty sumienia.

– Na przykład major Danteil – powiedziała. – A jednak wybiera Verrada.

Adept wzruszył ramionami.

– Wybiera wierność koronie. Z jednej strony to szlachetne, ale z drugiej...

Urwał i zmieszał się lekko.

– Z drugiej strony co? – ponagliła go.

Westchnął.

– Nic. Po prostu przypomniało mi się, czego uczył mnie ojciec Atay. Twierdzi, że nawet jeśli są dwie strony medalu, to człowiek może znajdować się tylko po jednej z nich. Mówi, że nieważne jest wybieranie dobrej strony, a raczej... niewybieranie tej złej. I powiedział jeszcze, że on nie wie, czy Verrad to dobra strona, ale zdrajca Franck to na pewno jest ta zła.

Przez chwilę milczeli.

– Nie wydajesz się przekonany – zauważyła ostrożnie.

– Dopiero się uczę – mruknął. – Nie mam za grosz pokory ani mądrości, które przyświecają wielebnym. Ale ojciec Atay twierdzi, że to nie szkodzi. Mam prawo się wahać, bo serce zawsze jest wolne i powinno

skłaniać się ku wysłuchaniu każdej racji. Wolno się wahać w sercu, ale nie w postępowaniu.

– Posłuszeństwo ponad wszystko. Nawet ponad sumienie – rzuciła z lekkim przekąsem.

Will pokiwał głową i usiadł z powrotem na fotelu przy łóżku.

– Wielebni z tego powodu pozostają wierni królowi, a tym samym stoją za Verradem. Ale ty... nie musisz. Dla kapłanów to właściwa postawa, bo lepiej w posłuszeństwie błądzić, niż z pychą przeć w przeciwnym kierunku niż zakon. – Była pewna, że zacytował jakąś zasadę słowo w słowo po swoim mistrzu. – Ale ciebie to nie obowiązuje. Możesz zrobić to, co uważasz za słuszne.

– Ale ja nie wiem, co jest słuszne – zirytowała się. – Żadna strona medalu mi się nie podoba.

William ujął jej dłoń w swoje szczupłe ręce i popatrzył poważnie w jej bardzo ciemne oczy.

– Nie da się zbyt długo balansować na krawędzi. W końcu znajdziesz się po którejś stronie. Jeśli nie umiesz zdecydować, co jest bliższe twoim poglądom, pomyśl co jest bliższe twojemu sercu.

Sheila spojrzała na niego i przekręciła lekko głowę. Rozczulał ją.

– Nie wiem, jak długo zadajesz się z wielebnymi, ale już gadasz jak rasowy kapłan – zakpiła z sympatią.

Zaśmiał się i puścił jej rękę.

– Za miesiąc minie równy rok, odkąd mnie przygarnęli. Myślę, że już niedługo zgodzą się przygotować mnie do święceń... To znaczy... Tak oficjalnie, bo i bez rozpoczęcia drogi nowicjatu wiele mnie już nauczyli. Jak dotąd troszczą się tak tylko o mnie – dodał z dumą skrywaną pod lekkim zmieszaniem.

– Kapłani nie brali innych uczniów?

– Owszem, brali – ożywił się. – Ale do tej pory żaden nie dotrwał do egzaminów. Jeden mój znajomy twierdził, że ze mnie też zrobią swojego pomagiera, a potem wywalą na zbity pysk. Jednak mistrz Atay nie chce

się mną wysłużyć, bo widzi we mnie szczerą wiarę i potencjał. Oprócz mnie jest jeszcze dwóch służących, ale od razu widać, że przyszli tu tylko po to, aby wymigać się od pracy pod okiem strażników.

Sheila słuchała Willa z uśmiechem. Jego kiełkująca duchowość i rozpaczliwa chęć okazania się godnym służenia Fairowi była przyjemna do obserwowania. Rozumiała, jak to jest, gdy nikt nie szanuje radykalnych poglądów oraz chęci postępowania w zgodzie z sumieniem. Will okazał jej wyrozumiałość, dlatego ona postanowiła odwdzięczyć się tym samym.

– Ten znajomy, o którym wspomniałeś... – zaczęła po chwili. – Kim on jest?

Will machnął ręką i wzruszył ramionami.

– Nawiał pół roku temu. – Sięgnął po dzbanek, który stał na szafce nocnej, i nalał sobie wody do szklanki. – I tak cały czas migał się od roboty.

– Kolejny cwaniaczek? – zapytała.

Will upił łyk i pochylił się do niej, ściszając głos.

– Taaa... – westchnął. – Prawdę powiedziawszy nie jest zbyt sympatyczny. Raczej wkurzający. Tak szczerze, to jest trochę popierdolony, ale czasem się do czegoś przydaje.

Sheila zaśmiała się dźwięcznie.

– Jak ty się wyrażasz? – Udała oburzenie. – Taki przykład mi dajesz? Jeszcze chwila i stracę wiarę przez ciebie.

– No dobra – zaczął, również się uśmiechając. – Tu masz rację. Czasem wyłazi ze mnie poprzednie wcielenie, ale pracuję nad sobą. A żeby stracić wiarę, to trzeba najpierw ją mieć... poganko – dodał ciszej, biorąc kolejny łyk wody i uśmiechając się złośliwie.

Sheila dawno nie śmiała się tak, jak przy Williamie. Ten człowiek rozpromieniał jej dzień.

– Opowiedz mi o tym twoim przyjacielu – poprosiła po chwili.

– Siedzieliśmy w jednej celi i trafiliśmy tu w tym samym transporcie. Początkowo trzymaliśmy się razem, ale ja byłem mniej odważny i

nie wymigiwałem się od pracy. Za to on wszystkich swoich obaw pozbywał się za pomocą palonych ziół, więc miał wszystko gdzieś. Tak jak mówiłem, on jest trochę... – Zaśmiał się. – Powiedzmy, że jest lekkoduchem. Za to ja zawsze byłem... hm...

– Grzeczny i poukładany?

Spojrzał na nią krzywo.

– Gdyby tak było, nie trafiłbym tutaj.

Sheila poczuła ukłucie ciekawości. Miała ochotę zapytać, za co skazano Willa, ale prawie od razu poczuła strach, że wiedza na ten temat przeszkodzi jej w dalszym sympatyzowaniu z adeptem.

William popatrzył na nią i wiedziała, że przejrzał jej myśli. Westchnął.

– Zastanawiasz się, za co tu trafiłem. – Spuścił nieco wzrok. – W porządku. Ty mi opowiedziałaś o sobie, teraz moja kolej. – Oparł się wygodnie w fotelu. – Byłem najmłodszy z dziewięciorga dzieci. Nie byliśmy jakąś mocno zżytą rodziną, ale bracia pomogli mi, gdy podczas wojny chciano mnie siłą wcielić do armii. Mieliśmy gospodarstwo, rodzice zmarli i ktoś musiał to wszystko obrobić. W mojej rodzinie nikt nie zawracał sobie głowy krzewieniem patriotyzmu. Wojsko jawiło nam się raczej jako coś, co przeszkadzało w spokojnym życiu. – Podniósł na nią zawstydzone oczy. – Niedaleko nas był spory posterunek wojskowy, który zaopatrywały okoliczne wioski, między innymi nasza. Nie byliśmy hojnymi ani radosnymi darczyńcami. Zawsze oddawało się najgorszy chłam ze zbiorów. Kombinowało się z wagą, jak tylko się dało. Normalna sprawa. Czasem to uchodziło płazem, czasem nie. Ale zasadniczo nie czuliśmy nad sobą bata. No to się człowiek nie obawiał i ryzykował coraz bardziej.

Upił łyk wody i długo nie przełykał. Sheila postanowiła się nie wtrącać. W końcu Will zaczął mówić nieco śmielej.

– Dowódca, który stacjonował w naszym posterunku, był bardzo wyrozumiały... a w zasadzie dawał się robić w konia jak mało kto. Przyzwyczailiśmy się do tego. No dobrze... koniec owijania w bawełnę. Pominąłem najważniejszą rzecz – przyznał. – Na początku wojny razem z bra-

tem znaleźliśmy rozbity wóz, którym transportowano broń i zapasy dla wojska z posterunku. Dalej miały iść jako zaopatrzenie na front. Żołnierze powiedzieli, że napadli ich bandyci z lasu. Po całym kraju kręciły się takie grupki, więc nikogo to nie dziwiło. Widać było, że rabusie się spieszyli i zabrali tylko najcenniejsze skrzynki. Reszta została. Zobaczyliśmy, że całkiem ciekawe rzeczy wieziono wojskowym. Mój brat wymyślił, żeby ukraść coś osłabionym po walce żołnierzom. Wiedzieliśmy, że naprawa wozu chwilę potrwa. Skrzyknęliśmy chłopaków z wioski i poszliśmy małą grupką do rozwalonego pojazdu. Wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Byliśmy zamaskowani, w ciemności wzięto nas za tamtych rabusiów, którzy przyszli poprawić robotę. Zdobyliśmy trochę żelastwa. W wiosce nikt nie narzekał. Kowal odkupił od nas stal i szybko przetopił, a potem sprzedał bełty i miecze żołnierzom z posterunku. Potrzebowali ich, bo coś musieli wysłać na front, a transport nie dotarł. Tak więc kowal nabił odpowiednią cenę – dodał z uśmiechem zażenowania.

Sheila słuchała z zainteresowaniem, starając się, by nie okazać swojego nastawienia do opowiadanej historii, dopóki adept nie dotrze do końca.

– Szybka gotówka nas ośmieliła i raz na jakiś czas napadaliśmy na transporty wojskowe. Dobrze znaliśmy teren, więc urządzaliśmy zasadzkę na drodze. Zazwyczaj rozwalaliśmy wóz kłodą, kopaliśmy wilczy dół albo inwestowaliśmy w proste ładunki z siarką. Robiliśmy zamieszanie, doskakiwaliśmy do wozu i uciekaliśmy z czym popadnie w rękach. Nie zależało nam na wielkich łupach. Nie chcieliśmy nikogo zabijać, więc nie walczyliśmy do upadłego. Byliśmy za to dobrzy w uciekaniu, a wojskowi, widząc, że zabieramy tylko niewielką część transportu, woleli pilnować reszty, niż nas gonić.

Chłopak dopił wodę i westchnął.

– Nie mieli przez nas dużych strat, więc też niespecjalnie nas tępili. Tak jak mówiłem, dowódca z naszego posterunku nie był zainteresowany swoją robotą. Byliśmy więc coraz bardziej bezczelni. Nawet zgłosiliśmy się z bratem do naprawy uszkodzonych przez nas wozów za parę

groszy – prychnął i uśmiechnął się gorzko. – Dzięki temu bez problemu wymigiwałem się od wojska. Póki trwała wojna, co chwilę kogoś od nas powoływano. Z rodzeństwa byłem jedynym kawalerem, ale braciom zależało na rękach do pracy w polu, więc regularnie płacili za mnie łapówkę. Jako że dowódca mnie kojarzył i lubił, zawsze skreślał mnie z listy i odsyłał do domu. Nie wszystkim się udawało, bo musiał wysyłać kogoś ze swojego rewiru. Ale po wojnie wszystko się zmieniło. Niestety zmienił się również komendant. Przysłano jakiegoś wkurzonego na cały świat oficera. Od razu było wiadomo, że za karę, bo na naszą głęboką prowincję nikogo nie przysyłano za zasługi – zakpił. – Miał ambicję, żeby zaprowadzić porządek z bandytami. Jako że nie byliśmy agresywni i raczej kiepsko uzbrojeni, domyślił się, że to nie robota rasowych rabusiów. Zanim potraktowaliśmy go poważnie, zdążył urządzić śledztwo. Kilka pokazowych biczowań i zakuć w dyby wystarczyło, żeby ktoś wskazał palcem, gdzie należy szukać. Jeden z nas chciał ratować skórę i wszystko wyśpiewał. Mój brat, tak jak większość z naszej ekipy, został skazany na pięć lat robót w kolonii karnej przy wyrąbie lasu. Niedaleko domu. Ale najgorszą karę i tak dostał donosiciel.

– To znaczy?

Will uśmiechnął się smutno do swoich dłoni.

– Siedzi w Kazamatach.

Dopiero po chwili Sheila zrozumiała, co miał na myśli. Otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, nie mając pojęcia, co powinna powiedzieć. Nie chciała jednak dłużej znosić krępującej ciszy, więc zebrała się na najbardziej naturalny ton, na jaki było ją stać.

– Skoro współpracowałeś, to dlaczego dostałeś najcięższy wyrok?

William spojrzał na nią poważnie.

– Zgodziłem się opowiedzieć o reszcie naszej ekipy, ale pominąłem udział mojego brata. Niestety były dowody na jego winę, więc i tak się nie wykręcił. Nowy dowódca dotrzymał słowa... w pewnym sensie. Gardził donosicielstwem, choć nie przeszkadzało mu to w posłużeniu się

nim do złapania przestępców. Ale po wszystkim wytłumaczył mi, że nie ma dla mnie powrotu do domu. Wszyscy wiedzieliby, że to przeze mnie kilku młodych chłopaków skazano na lata ciężkich robót. Zrozumiałem, że miał rację. Powiedział, że i tak muszę ponieść karę, ale z racji mojej współpracy mogę odkupić winy służbą wojskową. Dopatrzył się w dokumentach poprzednika, że z niewiadomych przyczyn byłem ciągle skreślany z list poborowych. Powiedział, że mogę nadrobić zaległości. Zamiast więzienia i ciężkiej pracy, mogłem odsłużyć kilka lat w armii. W czasie pokoju mogłoby się to wydawać całkiem sensowne wyjście. Uznał, że ta propozycja to oznaka łaskawości.

– Zgodziłeś się?

Will pokręcił głową i prychnął cicho pod nosem.

– Przez lata kpienia sobie z wojska i przekręcania go w każdy możliwy sposób nabrałem zbyt dużej pogardy dla tego zawodu. Do tego po fakcie przestraszyłem się swojego czynu i chciałem się wykpić. Myślałem, że trafię do wyrębu tak jak brat i nikt się nie dowie, że to ja zdradziłem.

– Oficer zdecydował inaczej? – zapytała, opierając się wygodniej.

– Wyczuł, że go zlekceważyłem – wyjaśnił adept. – Nauczyliśmy się, że żołnierze to półgłówki, którym nie chciało się egzekwować prawa. Ale okazało się, że po prostu w naszej okolicy trafił się łagodny komendant. – Wzruszył ramionami. – Z nowym dowódcą nie było żartów. Skoro poczuł, że nie traktowałem go poważnie, postanowił dać mi nauczkę i załatwił zesłanie tutaj. Na koniec zażartował, że oczywiście zasłużyłem na ulgę za współpracę i dostałem tylko dwa lata pracy w Kazamatach.

Sheila zmarszczyła brwi.

– Przecież to było już po rzuceniu klątwy – powiedziała zaskoczona. – I tak nie możesz wyjść.

Will uśmiechnął się do niej, ale w jego oczach tliła się zaduma.

– Oczywiście wiedział o tym. Ale do dzisiaj każdy więzień, który tu trafia, ma określoną długość kary. – Pokręcił głową w zamyśleniu. – To dość perfidne, nie uważasz? Dzięki temu król próbuje zachować pozory

sprawiedliwości. Do tego pokazuje, że niby nie stawia kreski na Kazamatach i nadal walczy o zdjęcie klątwy.

Sheila przez chwilę milczała. Will odstawił pustą szklankę na stolik nocny i patrzył na nią badawczo. W końcu to ona postanowiła się pierwsza odezwać.

– Przykro mi, że tak się to potoczyło.

William prychnął z niedowierzaniem.

– Myślałem, że jesteś bardziej zasadnicza.

Zmarszczyła brwi.

– Przecież żałujesz tego, co zrobiłeś. Każdy zasługuje na drugą szansę.

Adept pochylił się do niej, ale unikała jego wzroku.

– Powiedziałem, że żałuję donosicielstwa, a nie napadania na konwoje wojskowe – rzucił prowokacyjnie.

– A nie jest tak? – odezwała się trochę zniecierpliwiona.

Przez chwilę milczał, a potem westchnął i wyprostował się.

– Owszem. Gdybym mógł cofnąć czas, nie wchodziłbym w to – przyznał ciszej. – Ale szczerze mówiąc... choć zabrzmi to chyba dziwnie i zbyt górnolotnie, uważam, że tak naprawdę trafiając do Kazamatów, miałem najwięcej szczęścia z całej naszej ekipy. Gdyby nie to, pewnie nigdy bym się nie nawrócił.

Sheila spojrzała mu w oczy i prychnęła.

– Tak, to brzmi stanowczo zbyt górnolotnie. Posłuchaj, jeśli oczekujesz, że będę teraz gorzej o tobie myślała, to nie ma na to szansy. Jesteś jedyną osobą w Kazamatach, której ufam. W przeciwieństwie do innych od razu widać, że wstydzisz się swojego zachowania. Chcesz się zmienić i pracujesz nad sobą. Nie muszę cię potępiać, bo sam już to zrobiłeś.

Will zaśmiał się, tym razem z rozbawienia, a nie zażenowania.

– Więc to o to chodzi? – Założył ręce na piersi. – Wkurza cię, że skazańcy się publicznie nie kajają? Dlatego ty robisz to za nich?

Sheila wzruszyła ramionami.

– Może trochę... Po prostu wkurza mnie, że ludzie, którzy dopuścili się przestępstw, nie mają na tyle przyzwoitości, żeby odpracować swoje winy – zaczęła mówić coraz bardziej rozdrażnionym głosem. – Cholera, czy ci robotnicy muszą walić młotami tak głośno? Ech... Tak, wkurza mnie, że Leo Franck kpi sobie z wymiaru sprawiedliwości i pozwala na to innym. Banda buntowników powinna żyć jak więźniowie, a oni sobie urządzili Wolną Kompanię i domagają się praw. Dlatego powiedziałam, że pomogę Verradowi. Bo skazańcy powinni odbywać swoje kary.

Will był nieco zaskoczony jej nagłym wybuchem. Kiedy skończyła, popatrzył na nią spokojnie i odparł:

– Ale większość z nich już odbyła swoją karę.

Sheila nie kryła zaskoczenia.

– Przecież ci mówiłem – kontynuował. – Na piśmie zostało mi około pół roku siedzenia tutaj. A niektórzy z więźniów już dawno odpracowali swoje przewinienia. Tylko że nie mogą wyjść, a warunki ich życia zmieniają się jedynie na gorsze. Bo mieli ich pilnować wojskowi, a teraz coraz więcej strażników to dryblasy z wyrokami za pobicia i morderstwa. To zrozumiałe, że Gregor wybiera takich, którzy umieją walczyć. Nie awansuje złodziejaszka albo starca, który jest tu od początku istnienia Kazamatów. W Twierdzy nie dokonuje się zadośćuczynienie sprawiedliwości. Leo Franck pomaga uciec tym, którzy są za słabi, żeby poradzić sobie samemu.

– Ale na pewno nie wszyscy jego ludzie zdążyli odpokutować winy – wtrąciła się.

– Pewnie nie. Ale... ech... – William zniecierpliwił się nieco, chcąc żeby zrozumiała, co miał na myśli. – Naprawdę myślisz, że buntownicy żyją jak w raju? Że czują się wolni? Są w Kazamatach, tak jak my wszyscy. Tylko że skazaniec, który odbywa karę w Twierdzy, nigdy nie zostanie zresocjalizowany. Jeśli chce się wybić, musi stać się gorszym draniem od innych. Za to w Wolnej Kompanii... z tego, co słyszałem, tam są inne zasady. Franck ceni dyscyplinę, tak jak Verrad, ale umie ją osiągnąć bez użycia siły. Jednoczy ludzi. Szczerze? Jeśli klątwa by upadła, to, bę-

dąc zwykłym aldeńczykiem, wolałbym spotkać na swojej drodze uciekiniera z Wolnej Kompanii niż więźnia, który odbył karę w Twierdzy.

Adept zamilkł. Tym razem to Sheila była zaskoczona, jak żywiołowo tłumaczył jej swój punkt widzenia. Nieco się zmieszał, ale nie opuścił wzroku.

Zdawało jej się, że cisza trwała bardzo długo. W końcu westchnęła i schowała twarz w dłonie.

– Już sama nie wiem, co myśleć – jęknęła.

William nagle podniósł się i usiadł obok niej na łóżku. Położył jej rękę na ramieniu i ścisnął po przyjacielsku.

– Przepraszam. Nie powinienem naciskać. – Było mu wyraźnie głupio.

Spojrzała na niego i odetchnęła głęboko.

– Muszę stąd uciec – powiedziała stanowczo.

Oczy Willa błysnęły. Wstał i wyjrzał przez małe okienko.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. Bo widzisz... właściwie to mam pewien pomysł. – Nagle się ożywił. – Ale to będzie cholernie ryzykowne. – Kiedy rzuciła mu pytające spojrzenie, kontynuował ze skupieniem: – Nie dasz rady przedostać się niezauważona przez teren więzienny. Jedyna szansa to wyjście na zewnątrz bezpośrednio z Twierdzy.

– To możliwe?

Kiwnął głową.

– Muszę tylko coś sprawdzić, żebym nie wpuścił cię w ślepy zaułek – wyjaśnił.

– Wyrobisz się do wieczora? Muszę się spieszyć, bo nie wiem, kiedy dokładnie w okolicy pojawi się Leo.

Will zmarszczył brwi i zamyślił się.

– Jedno nie daje mi spokoju. – Podrapał się po brodzie. – Franck nie pozwala się złapać od ośmiu lat, chociaż ciągle szykowane są na niego zasadzki. I nagle teraz miałby stracić czujność?

Sheila pokiwała głową.

– Myślą, że ja wzbudzę jego zaufanie. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Nie mają pojęcia, że jedyne, co w nim wzbudzam, to chęć porzucenia mnie w lesie na pastwę bestii. Ale przez to, że Leo mnie zna, może się szybko zdradzić.

– No dobra. Ale nadal nie wiem, jakim cudem chcą tego dokonać – drążył temat.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chcą mi zdradzić nic więcej. Chyba sami jeszcze ustalają szczegóły. Przede wszystkim nie wiedzą, kto będzie dowodził całą akcją. Gregor zgłosił się na ochotnika.

– No jasne – prychnął adept.

– Ale Danteil też walczy o dowództwo. Choć marne ma szanse, bo cała zasadzka to pomysł kapitana. No i mam wrażenie, że generał jakoś niespecjalnie ufa majorowi.

William pokiwał głową.

– Czyli nie wiadomo, ile dokładnie mamy czasu.

Nowicjusz zrozumiał, że wypowiedział te słowa w złą godzinę, gdy drzwi za jego plecami otworzyły się bez ostrzeżenia i stanął w nich strażnik.

– Koniec widzenia – powiedział rzeczowo. – Na rozkaz kapitana wprowadza się zakaz wizyt.

Sheila zrozumiała, że Gregor jej nie ufał i zamierzał utrudnić jej kombinowanie za plecami oficerów. Obawiała się też, że chciał również mieć do niej swobodny dostęp.

Wymieniła niepewne spojrzenie z adeptem, który pochylił się do niej i przytulił krótko, by móc szepnąć jej kilka słów do ucha.

– Coś wymyślę.

– Pospiesz się – opowiedziała prawie bezgłośnie, jak nauczył ją Benn.

– Nie wahaj się.

Przez chwilę nie wiedziała, co dokładnie miał na myśli, ale dyskretnie dotknął kieszeni, w której wciąż trzymała kawał szkła z butelki po zupie.

Kiedy wyszedł, przez chwilę biła się z myślami, w każdym momencie spodziewając się nadejścia Gregora. Kapitan jednak się nie zjawiał, a ona coraz szybciej chodziła po pokoju, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Ból nogi był dokuczliwy, ale wytrzymywała go. Łagodzące maści, które przyniósł Will, zaczynały działać.

Ona również chciała działać, jednak nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

* * *

William siedział niedaleko drzwi do jadalni. W rękach trzymał pergamin. Nie czytał jednak swoich notatek z wykładu ojca Ataya na temat historii rozwoju zakonu fairskiego na terenach gór Tetrian. Zerkał nerwowo na wyjście z placu, przez które co jakiś czas przechodził któryś ze strażników. W kieszeni spodni, pod czarną tuniką, wyczuwał małe fiolki z płynami, które udało mu się wyprosić u najstarszego z ojców, trudniącego się zawodowo leczeniem. Nie powiedział mu, rzecz jasna, do czego konkretnie potrzebował specyfików, ale nie okłamał go też perfidnie. Z wyczuciem dawkował informacje. Na szczęście stary cyrulik nie był tak dociekliwy jak ojciec Atay.

Tak jak się spodziewał, major zjawił się w porze obiadowej. Sprawnym krokiem kierował się prosto do jadalni, gdzie kilka minut wcześniej zniknął Nikkolai, a za nim Gregor.

Na widok żołnierza Will wstał.

– Majorze Danteil – zagaił pospiesznie. – Czy pozwoli pan zająć sobie chwilę?

Oficer zmierzył adepta badawczym spojrzeniem. Był niższy od Williama, ale jego pewna siebie postawa sprawiała, że wcale nie tracił przy nim na powadze.

– W czym rzecz?

– Chcę jedynie zapytać, czy konieczna jest ta izolacja Sheili? Ona i tak jest wykończona i wystraszona. Mam wrażenie, że moje towarzy-

stwo ją uspokajało. A co najważniejsze, wciąż wymaga opieki ze względu na swój stan zdrowia.

Major zmarszczył brwi.

– O czym ty mówisz, chłopcze?

Adept udał zaskoczonego.

– No jak to? Kapitan Sinnd wprowadził zakaz moich wizyt. Z całym szacunkiem dla jego rangi, ale z tego, co słyszałem, mam obawy, czy dziewczyna jest całkowicie bezpieczna wobec jego obsesji.

Danteil wyglądał na zirytowanego jego słowami.

– Ona jest pod naszą opieką. Nie masz obowiązku martwić się o jej bezpieczeństwo – rzekł twardo. – I radzę lepiej dobierać słowa, młody człowieku, bo właśnie przed chwilą zasugerowałeś, że jeden z oficerów dopuścił się nadużycia władzy dla osobistych interesów. A jest to poważne oskarżenie.

Will spuścił wzrok i skłonił się lekko.

– Nie wyraziłem się precyzyjnie – próbował się obronić.

– Mam nadzieję. Radzę zająć się obowiązkami, adepcie. Skoro kapitan Sinnd wydał rozkaz, to widocznie miał ku temu ważny powód. Nie mam w zwyczaju dla czyjegoś kaprysu podważać autorytetu drugiego oficera. Nie licz więc, że użyję swojej wyższej rangi, by znieść zakaz wizyt.

– Rozumiem. Pozostaje mi więc modlić się do Faira o duchową opiekę nad dziewczyną, skoro została tam sama. Jeśli można, chciałbym wyrazić opinię na temat jej stanu zdrowia, bo zdaje się, że mam w tym momencie najlepszy obraz tej sytuacji.

– Mów.

Will odchrząknął i zaczął mówić, czując satysfakcję, że major nie umiał ukryć zaskoczenia, jakie wywołała w nim informacja o rozkazie Gregora. Adept czuł, że sumienie oficera nie pozwoli mu zbagatelizować całkowicie tej sytuacji i będzie miał oko na kapitana, dopóki nie uda się zorganizować ucieczki.

Miał już pomysł. Musiał tylko sprawdzić kilka rzeczy, żeby nie wpakować dziewczyny w kłopoty, ale był dobrej myśli.

* * *

Po południu Sheila otrzymała przesyłkę. Sira wraz z obiadem przyniosła jej eliksiry od Williama zapakowane w sztywny woreczek z pergaminu przewiązany sznurkiem. Kiedy kobieta wyszła, Sheila od razu rozpakowała zawiniątko. Widać było, że ktoś już je otwierał i ponownie składał. Zapewne strażnik przy drzwiach sprawdzał, czy ktoś nie próbował jej czegoś przemycić.

Na pergaminie znajdowała się tylko krótka, choć dziwna instrukcja zażywania eliksirów.

Wypij niebieski, kiedy najdzie cię chęć na bieganie. Przezroczysty płyn nie jest do picia, tylko do odkażania. Namocz nim pergamin i przyłóż do rany. Nie mamy już bandaży.

Will

Sheila kilka razy ze zdziwieniem przeczytała wiadomość i przyjrzała się obu cieczom. Odkorkowała niebieski specyfik i powąchała. Miał nieco mdlący, ale łagodny zapach. Od drugiego płynu natychmiast ją odrzuciło. Był to bardzo mocny alkohol.

Nie była jednak przekonana do użycia pergaminu jako wacika do przemycia rany. Po chwili zastanowienia stwierdziła jednak, że Will musiał mieć powód, by napisać jej właśnie takie instrukcje. Odstawiła niebieski eliksir na szafkę nocną i podwinęła nogawkę, by dostać się do ugryzienia. Ostrożnie polała przezroczystym płynem kartkę i o mało nie

upuściła fiolki z ręki, kiedy na pergaminie natychmiast pojawiły się nowe litery, tym razem nakreślone zielonym atramentem.

Cieszę się, że mi zaufałaś i zrobiłaś, co kazałem. Chciałbym się pochwalić, że to magiczny list, ale niestety nie. Pojawienie się liter w kontakcie z alkoholem to czysta alchemia. Czasem opłaca się być prymusem.

Na początku chcę Cię uspokoić. Udało mi się sprawić, że major czuwa nad Tobą i często zerka, czy Gregor Cię nie odwiedza.

A teraz konkrety. Mam pomysł, jak cię uwolnić, ale to będzie bardzo ryzykowne. Pracuję nad tym, żeby wyprowadzić Cię kanałami do fosy. W piwnicach, przy wejściu do przepływu, umieściłem dla Ciebie paczkę. Jest schowana przy pochodni po lewej stronie kraty.

Kiedy zrobi się zamieszanie, wypij niebieski eliksir. Będziesz mogła poruszać się bez bólu. Wtedy biegnij do okna na korytarzu i przedostań się rusztowaniem robotników do klapy przy ścianie Twierdzy. Dopilnuję, żeby odpowiednie drzwi były wtedy otwarte. Mam już pomysł, jak odwrócić uwagę wszystkich od tego miejsca.

Pamiętaj. Nie wahaj się.

PS Spal ten list.

Sheila uśmiechnęła się szeroko i jeszcze raz przeczytała całą wiadomość. Następnie powtórzyła ją półgłosem, żeby jak najwięcej zapamiętać i zapaliła świecę stojącą obok łóżka. Niechętnie przyłożyła końcówkę pergaminu do płomienia i patrzyła, jak kartka spalała się szybko.

Czuła, że serce przyspieszyło jej nagle. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Zmusiła się do uspokojenia oddechu, ale nie mogła powstrzymać ciepła, które wypełniało jej piersi, gdy pomyślała, jak wiele Will dla niej robił. Był pierwszym człowiekiem w Kazamatach, który oferował jej realną pomoc, nie oczekując niczego w zamian. Ryzykował dla niej, ale nie chciał się nią posłużyć do otrzymywania dostaw z zewnątrz jak Reiven Scott i jego Wolna Kompania. Nie zmuszał jej do wydania mu wroga. No i nie rzucał się na nią jak niewyżyte zwierzę.

William był pierwszym człowiekiem w Kazamatach, któremu naprawdę zaufała.

* * *

Sheila z trudem znosiła kolejne minuty w oczekiwaniu na jakiś sygnał Willa. Nasłuchiwała uważnie wszystkiego, co działo się dookoła, ale poza urywanymi rozmowami przechodniów na korytarzu i ciągłym stukaniem młotów budowlańców nie było słychać niczego niezwykłego.

Czas dłużył jej się nieznośnie. Wydawało jej się, że czekała godzinami, ale po wysokości słońca określiła, że minęło nie więcej niż trzydzieści minut, odkąd otrzymała notatkę od adepta.

Nagle na korytarzu usłyszała szybkie kroki.

– Przecież powiedziałem wyraźnie, że wszystkie przesyłki mają najpierw trafiać do moich rąk – zabrzmiał gniewny głos zbliżającego się Gregora.

Sheila instynktownie chwyciła fiolkę z niebieskim płynem i wypiła jeden łyk, co stanowiło połowę jej zawartości. Resztę schowała do kieszeni, gdy zdenerwowany kapitan stanął w jej drzwiach.

– Nikogo nie wpuszczaj – rozkazał strażnikowi, który został na korytarzu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Sheila poderwała się z łóżka i napięła wszystkie mięśnie, patrząc uważnie na przeciwnika.

– Nie bój się – rzucił niedbale i uśmiechnął się przy tym z politowaniem. – Nic ci nie zrobię.

Nie uwierzyła mu. Kiedy zrobił krok w jej kierunku, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kawałek szkła z butelki po zupie. Kapitan był wyraźnie zaskoczony, ale szybko prychnął lekceważąco.

– Nie wygłupiaj się. Rzuć to, zanim zrobisz sobie krzywdę albo sam cię obezwładnię. – Jego oczy błysnęły złowrogo i Sheila zrozumiała, że miał ochotę z nią walczyć.

Przemogła w sobie chęć naplucia na niego i zmarszczyła brwi.

Na korytarzu rozległy się kolejne szybkie kroki.

– Kto jest u dziewczyny?

To był major Danteil.

Gregor był wyraźnie niezadowolony.

– Kurwa. Jeszcze jego tu brakowało – warknął.

Sheila była zbyt spięta, żeby pozwolić sobie na uśmiech zadowolenia, ale w duchu poczuła ulgę, że Will miał rację i oficer faktycznie nad nią czuwał.

Strażnik odpowiedział coś niewyraźnie.

Kapitan Sinnd zrobił śmiały krok w stronę Sheili i otwierał usta, żeby coś powiedzieć. Ona jednak, tak jak radził jej Will, nie zawahała się i wbiła szkło w ramię napastnika. Z jego otwartych ust, zamiast słów, wydobyło się wściekłe warknięcie. Chwycił ją za nadgarstek i wytrącił jej z ręki prowizoryczną broń.

– Zejdź mi z drogi – rozkazał major, który musiał usłyszeć szarpaninę.

Sekundę później oficer wpadł do pokoju i spojrzał na wyrywającą się żołnierzowi dziewczynę.

– Odpuść, Danteil – powiedział ze złością Gregor. – Zaatakowała mnie, musiałem się bronić.

Major przez chwilę patrzył w milczeniu, a po chwili zamknął za sobą drzwi do pokoju. Później zrobił coś, czego ani kapitan, ani Sheila się nie spodziewali – nagłym ruchem szarpnął Gregora za ramię i

sprawnie wykręcił go do siebie tyłem. Wykorzystując element zaskoczenia, od razu uderzył mężczyznę w podstawę czaszki. Sinnd osunął się ciężko na ziemię. Z jego ramienia sączyła się krew. Był nieprzytomny.

Sheila ze strachem spojrzała na majora i cofnęła się pod ścianę. Uniósł na nią jasne oczy i wyprostował się.

– Chcesz uciec? – zapytał bez ogródek.

Była tak zaskoczona i niepewna, że wolała nie odpowiadać. Założył ręce na piersi.

– Jeśli naprawdę tego chcesz i jesteś w stanie mi zaufać, to ci pomogę.

Odzyskała mowę i spojrzała na niego pewniej.

– Co z pana lojalnością?

Ta uwaga wyraźnie go rozdrażniła. Zrobił krok w jej stronę i spojrzał groźnie.

– Jestem pierdolonym oficerem armii królewskiej, rozumiesz? – warknął. – Nie jesteś więźniem, tylko niewinną obywatelką Livii. A moim obowiązkiem jest ochrona ciebie. Służę ojczyźnie, a nie Verradowi.

Sheila wahała się przez chwilę, ale oficer się zniecierpliwił.

– Szybka decyzja, dziewczyno – rzucił. – Za chwilę okazja minie. Idziesz czy nie?

Spojrzała na niego i zacisnęła zęby, a potem kiwnęła zamaszyście głową.

Podszedł do niej.

– Wyprowadzę cię, ale muszę cię skrępować.

Nie czekając na jej zgodę, chwycił jej nadgarstki z tyłu. Zrobił to delikatnie, nie sprawiając jej bólu.

– Musimy iść sprawnie, zanim zleci się więcej straży i zrobi zamieszanie. Nie odzywaj się ani słowem. Jasne? Zaprowadzę cię do lochów, ale nie panikuj, bo to część planu.

– Pójdziemy kanałami? – zapytała, przypominając sobie pomysł Williama.

– Skąd o tym...? – zaczął, ale szybko domyślił się prawdy. – No tak. Kombinowaliście coś z tym służącym?

Nie odpowiedziała.

– Nieważne. Zapomnij o nim. Wyprowadzę cię gładko i sprawnie. Bez ryzyka. Ufasz mi?

– A mam wybór?

Tym razem to on nie odpowiedział. Pchnął ją delikatnie w stronę drzwi i otworzył je zamaszyście. Na zewnątrz stał strażnik z zaniepokojoną miną. Otworzył usta z zaskoczenia, ale nic nie powiedział. Odezwał się za to jego dowódca.

– Zaatakowała kapitana Sinnda. Zostań przy nim, dopóki się nie ocknie.

Żołnierz kiwnął głową i wbiegł do pokoju.

Szybko przeszli korytarzem do schodów. Kiedy znaleźli się przy zejściu do lochów, strażnicy w korytarzu wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Na górze jest nieprzytomny kapitan Sinnd – rzucił do nich dowódca, przystając tylko na chwilę.

– Poinformować generała, majorze? – zapytał ochoczo jeden z żołnierzy.

– Nie trzeba. Już się tym zająłem. Idźcie na piętro i pomóżcie w przeniesieniu kapitana do jego kwatery. Czuwajcie nad nim, dopóki się nie ocknie.

– Tak jest! – powiedzieli jednocześnie i pobiegli we wskazane miejsce.

Dopiero kiedy zeszli do lochów, major wyswobodził Sheilę z uścisku.

– Nie traćmy czasu – powiedział stanowczo i ruszył przed siebie, wyciągając pochodnię z metalowego uchwytu. – Musimy dostać się do kanałów przed wszczęciem alarmu. Mamy najwyżej kilka minut, nim obudzi się Gregor. Od razu zapyta o to, gdzie poszliśmy. Kiedy się dowie, że do lochów, jednego z chłopców wyśle do Verrada, a z dwoma pozostałymi przybiegnie do cel. Zobaczy, że nas tam nie ma i od razu ogłosi alarm. Stanie się to najpóźniej za dziesięć minut.

Sheila była pod wrażeniem, ale nie skomentowała tego. Zapytała o coś innego.

– Dlaczego mi pan pomaga?

– Głupie pytanie – skwitował. – Znasz odpowiedź.

– Nagle przelała się czara goryczy? – zakpiła, nie do końca wierząc w szlachetne pobudki oficera. – Tyle lat pozostawał pan wierny i nagle chce to zaprzepaścić dla spontanicznego aktu altruizmu?

Major szedł z przodu, przez co nie widziała jego twarzy. Nie od razu odpowiedział.

– Nie znasz mnie i nie rozumiesz – rzekł spokojniej. – Robię, co mogę, żeby pozostać uczciwym. Mam na to jeden, sprawdzony sposób. Zawsze, gdy mam wątpliwości, zastanawiam się co bym zrobił, gdyby nie było klątwy.

– No i? – zainteresowała się. – Co by pan zrobił, gdyby Verrad zachowywał się tak, jak się zachowuje, ale nie więziłaby pana klątwa?

– Poprosiłbym o przeniesienie – powiedział matowym głosem. – A jeśli nie uzyskałbym zgody, służyłbym mu tak, jak służę teraz. Dlatego go nie zostawiam. Bo gdyby nie było klątwy, też bym go nie zostawił. I tak samo jest z tobą. Gdybyśmy byli gdzie indziej i ktoś kazałby mi dla własnej korzyści więzić i wykorzystać niewinną obywatelkę, nie czułbym moralnego obowiązku, by usłuchać. Nie zdradzam króla, chroniąc jego poddanych.

Sheila nieco złagodniała.

– Myśli pan, że to przekona Verrada?

Major zatrzymał się na rozstaju i szybko wybrał drogę w prawo. Sheila poszła za nim.

– Nie zamierzam się z nim dzielić moimi przemyśleniami – odparł po chwili. – Nie muszę przyznawać się do tego, że ci pomogłem. Mogłaś uciec sama.

Pokręciła sceptycznie głową, choć i tak nie mógł tego widzieć. Czuła dziwne uczucie w nodze. Jakby odrętwienie i delikatne mrowienie. Przestawała czuć ból. Miała nadzieję, że nie wiązało to z jakimś rodzajem paraliżu.

Pomiędzy jej stopami popiskiwały szczury, ale starała się nie zwracać na nie uwagi i nie przypominać sobie, jak łaziły po niej, gdy leżała w celi.

– Naprawdę sądzi pan, że w to uwierzą? – podjęła, żeby sprowadzić myśli na inny tor.

Major ponownie zastanowił się nad dalszą drogą, ale równie szybko jak poprzednio podjął decyzję, gdzie skręcić.

– Gdyby Verrad mógł sobie pozwolić na pozbycie się mnie, już dawno by to zrobił. Drażnię go swoją arogancją i ostentacyjnym nieuczestniczeniem w jego rządach – wytłumaczył. – Ma za mało ludzi. Będzie musiał zaakceptować moje wytłumaczenie.

Weszli przez drewniane drzwi do ciemnego pomieszczenia, które wypełnione było drewnianymi skrzyniami. Oboje zatrzymali się w tym samym momencie, bo usłyszeli szelest i zobaczyli kryjący się w kącie cień człowieka. Danteil przyłożył sobie palec do ust, dając Sheili znać, by była cicho. Sam zrobił kilka powolnych kroków w stronę zacienionego miejsca. Kiedy był już blisko, intruz spanikował i rzucił się do ucieczki. Oficer był jednak szybszy. Chwycił mężczyznę za ramię i rzucił go na środek pomieszczenia.

– Nie! – jęknął ochryple intruz. – Nic nie zrobiłem!

W ciepłym świetle pochodni Sheila zobaczyła chudzielca wijącego się na kamiennej posadzce. Rozpaczliwie osłaniał się kościstymi rękami i zaciskał zdeformowane powieki.

– Mów, coś ty za jeden – rozkazał major głosem, nieznoszącym sprzeciwu.

– Naprawdę nic nie zrobiłem – chrypliwie łkał chłopak. – Błagam.

Sheila zmrużyła oczy i przyjrzała się młodzieńcowi.

– Etain? – Nie mogła uwierzyć, ale wyglądało na to, że kulił się przed nią pierwszy człowiek, z którym rozmawiała w Kazamatach.

Na dźwięk swojego imienia chłopak odsłonił niepewnie twarz.

Sheila przełknęła ślinę. Wciąż miał ślady po pierwszym poważnym pobiciu, ale niektóre sińce i rozcięcia wyglądały na świeże. W świetle pochodni jego pokiereszowane oblicze wyglądało wręcz upiornie.

– To ty? – chrypnął łamiącym się głosem, a potem spojrzał z przestrachem na majora.

– Zapytałem cię o coś – zagrzmiał Danteil. – Kim jesteś i co tu robisz?

Etain rzucił wystraszone spojrzenie Sheili.

– To nowy skazaniec. Spotkałam go zaraz po tym, jak tu trafiłam.

– Pomagam w budowie – wtrącił się. – Przyszedłem po narzędzia i... chciałem chwilę odpocząć. Przyłapaliście mnie, ale nie kradłem. Przysięgam, że nie kradłem niczego.

Oficer spojrzał na niego krytycznie.

– Przecież widzę, że łżesz – westchnął z politowaniem. – Nie kojarzę cię z budowy, a do tej pracy wybierani są tylko zasłużeni skazańcy z dobrym sprawowaniem. Skoro jesteś nowy, to nie miałeś szans dostać się do Twierdzy legalnie.

Etain jęknął desperacko.

– Nic nie zrobiłem – załkał. – Ten wielki żołnierz powiedział, że mogę tu pomagać.

Major zmarszczył brwi i przyjrzał się chłopakowi badawczo.

– Nie mam na to czasu – stwierdził dowódca.

Na te słowa młodzieniec ponownie się skulił i jęknął.

– Nie rób mu krzywdy. – Sheila zareagowała instynktownie.

Major westchnął zdenerwowany.

– Jeszcze nie zrozumiałaś, że nie jestem Gregorem? Wstawaj, chłopcze. To twój szczęśliwy dzień. Wychodzisz na wolność.

Etain popatrzył na niego jeszcze bardziej przestraszony.

– Nie. Nic nie zrobiłem. Zostawcie mnie tu, proszę.

– Chyba jest w szoku – odezwał się major wyraźnie niezadowolony. – Nie będę się z nim szarpał. Musi iść, bo może nas wydać.

– Nie! – prosił. – Naprawdę nic nie powiem. Nie wydam nikogo.

Ale w tym momencie gdzieś na górze zadudnił stłumiony dźwięk dzwonu.

– Alarm – wysapał oficer i nie słuchając narzekań Etaina, szarpnął go za sobą w stronę kolejnych drzwi.

Korytarz przemierzyli biegiem, choć ich nowy kompan poruszał się z większym trudem niż Sheila. Pojękiwał też co jakiś czas i ocierał pospiesznie resztki łez, które spływały mu po wychudłych, pokiereszowanych policzkach.

Wreszcie dotarli do kraty oddzielającej korytarz od kanału.

– Ale cuchnie – skomentował Etain.

Sheila też to czuła, ale skupiła się na szukaniu paczki od Willa. Szybko znalazła sznurek zwisający z pochodni po lewej stronie. Koniec wystawał z poluzowanego kamienia. Z całej siły wyszarpnęła go ze ściany. Wzięła niewielkie zawiniątko pod pachę i zatkała dziurę. W tym czasie major otworzył kłódkę swoimi prywatnymi kluczami.

– Ciekaw jestem, jak ten adept chciał cię stąd wyprowadzić – rzucił, zerkając na paczkę z ukosa. – Beze mnie nie trafiłabyś tak szybko do tej kraty, nie otworzyłabyś jej bez robienia hałasu. Ba! Nawet nie dostałabyś się do piwnic.

Sheila uznała, że nie było sensu dłużej kryć Willa.

– Zdaje się, że o wszystkim pomyślał. – Wzruszyła ramionami. – Ale teraz to nieważne.

Weszli do kanału, w którym powoli płynęła woda. Sheila i Danteil mieli wysokie buty, ale Etain musiał brodzić po kostki w nieczystościach i odpadkach, mając na sobie jedynie rozwalające się sandały.

Ruszyli żwawo za majorem, starając się nie zwymiotować od odoru, jaki panował w zatęchłym i wilgotnym kanale. Dzwon z każdym krokiem stawał się coraz cichszy. Oddalali się od placu głównego w Twierdzy i dzieliło ich od tego miejsca coraz więcej warstw murów i ziemi. Gdy kanał nieco zakręcił, ich oczom ukazało się światło. Końcowe kilka-

dziesiąt metrów pokonali biegiem, ale oficer spowolnił ich na ostatnie kilka kroków. Im bardziej zbliżali się do wyjścia, dźwięk dzwonu ponownie narastał.

Dowódca przycisnął głowę do kraty u wylotu kanału i rozejrzał się na boki. Kiedy ostrożnie otwierał kolejną kłódkę, Sheila zerknęła przed siebie. Parę metrów pod nimi była fosa.

Krata skrzypnęła, ale Danteil nakazał, by zachowali spokój, i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

– W pobliżu nie ma bramy, ale na murze są kusznicy, którzy was zauważą – wyjaśnił i pokazał na lewo. – Dwadzieścia metrów stąd jest drabina. Pójdę pierwszy i zajmę się strażnikami. Machnę dwa razy, kiedy będzie czysto. Dopiero wtedy ruszycie. Jak noga? Dasz radę płynąć?

Kiwnęła głową. Eliksir od Willa działał. Wciąż czuła dziwne mrowienie, ale mogła ruszyć nogą. Co najważniejsze, zniknął rwący ból w łydce.

– Idę – zakomunikował major, ale Sheila instynktownie chwyciła go za ramię i zatrzymała.

– Poczekaj... – zawahała się. – Dziękuję. I przepraszam.

Jego wzrok zmiękł. Kiwnął głową.

– Uważaj na siebie – powiedział krótko.

– A może... Niech pan pójdzie z nami.

Nie wierzyła, że cała sprawa mu się upiecze. Udawał, że Verrad nic mu nie mógł zrobić, że prawo było po jego stronie, ale umożliwienie jej ucieczki stanowiło zbyt poważne przeciwstawienie się generałowi. Pamiętała, że na brak respektu Verrad był szczególnie wyczulony.

– Nie wykpi się pan – dodała ciszej.

– Trzeba ponosić konsekwencje swoich wyborów – rzekł pewnym głosem. – Kto o tym wie lepiej niż ty? Słuchałem od wielebnego Ataya, co zrobiłaś dla tej dziewczynki. Nie mógłbym siebie znieść, gdybym ci nie pomógł. Ale nie dołączę do zdrajcy.

Z ciężkim sercem kiwnęła głową.

– Mam nadzieję, że się panu uda – powiedziała na pożegnanie.

– I vice versa.

Po raz pierwszy widziała, jak major Danteil się uśmiecha. Krótko, sztywno i dosyć smutno.

Obserwowała go uważnie, gdy wskoczył do fosy i sprawnie dostał się do drabiny po drugiej stronie. Na murze powstało zamieszanie, gdy dwóch kuszników zaczęło zadawać krzykliwe pytania o to, kto wychodził na brzeg.

– Stój albo zastrzelę! – ryknął jeden z nich i puścił ostrzegawczy bełt daleko od oficera.

Ten uniósł ręce do góry i odchylił ku nim twarz, by dobrze go widzieli.

– Zatrzymać ogień! – rozkazał ostro. – Tu major Danteil!

– Pan major?! – zdziwił się drugi kusznik i przyłożył dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć. – Co pan robił w fosie?! – rzucił podejrzliwie.

– Nie słyszycie, gamonie, że dzwony biją na alarm?! Mamy uciekiniera! Sprawdzam kanały! Ruszcie dupy i wesprzyjcie ochronę na południowej bramie!

Kusznicy spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Ale w tym tygodniu, panowie! – zniecierpliwił się dowódca.

– Tak jest! – zawołali obaj i pobiegli we wskazanym kierunku.

Major machnął do Sheili dwa razy i szybko ruszył w stronę najbliższej bramy.

– Czas na nas – powiedziała do Etaina, który cofnął się o krok, patrząc na fosę z przestrachem.

– Ja się nigdzie nie ruszam – bąknął.

Zmarszczyła czoło.

– Nie ma czasu na wahanie.

– Nie waham się. Zdecydowałem, że nie idę – powiedział niepewnie.

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Nie możesz tu zostać – rzuciła stanowczo. – Człowieku, co jest z tobą? Możesz się wyrwać, być wolny.

Popatrzył na nią i pokręcił głową. To ją tylko zirytowało. Chwyciła go za ramię.

– Wolisz być workiem treningowym dla strażników? – warknęła. – Przecież widzę, że połowa tych ran jest świeża. Przed nimi się chowałeś w piwnicy? Posłuchaj mnie uważnie. Nie wiem, czy załapałeś, ale major Danteil właśnie zaryzykował wszystko, żeby mi pomóc. Nie zrobię mu tego i nie zostawię cię tutaj, żebyś dla oczekiwanej nagrody na niego doniósł.

– Nic nie powiem. Przysięgam – zaklinał się.

Westchnęła.

– Kiedyś mi za to podziękujesz – powiedziała i wrzuciła towarzysza do fosy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Najdroższa Sheilo!

Skoro czytasz te słowa, to znaczy, że zdarzył się cholerny cud i udało ci się uciec. Jeśli tak, to należy podziękować Fairowi za Jego łaskę, bo mój plan był ~~chol~~ bardzo ryzykowny i mocno dziurawy. Ale najważniejsze, że się udało.

Rozmawialiśmy długo podczas Twojej rekonwalescencji i wiem, jaki masz stosunek do Leo Francka. Liczę jednak, że bez przeszkód uda Ci się do niego dotrzeć. Po wyjściu z kanałów będziesz jednak po przeciwnej stronie Twierdzy. Jeśli wyślą za Tobą pościg, to lepiej wstrzymaj się kilka dni z wyruszeniem na drugą stronę, bo przejście między górami i rzeką na pewno będzie przeszukiwane.

Kiedy to piszę, jeszcze nie uciekłaś, a mi już brakuje Twojego towarzystwa. Będę się modlił, by Fair znów skrzyżował nasze ścieżki.

Mówiłaś, że jesteś jedynaczką, ale wiedz, że od teraz masz brata, który nieustannie śle modły i błaga o łaski dla Ciebie.

Niech Fair zawsze ma Cię w Swojej opiece.

W. K.

Sheila czytała list od Williama tak wiele razy, że skrawek pergaminu, na którym został napisany, zaczął się przecierać. Było jej przykro, że wiadomość była taka krótka, ale jeszcze bardziej, że nie miała jak na nią odpowiedzieć. Notka wywołała w niej spore wzruszenie. W sercu utkwiło jej zwłaszcza zdanie, w którym Will określa się mianem jej przyrodniego brata.

W pozostawionym przez niego zawiniątku oprócz listu znalazła buteleczkę z maścią do smarowania rany oraz mały, dość tępy nożyk do obierania warzyw, który Will zapewne pożyczył z kuchni bez zamiaru oddania, jakby to nazwał Reiven Scott. Chustka, którą owinięta była paczuszka, posłużyła Sheila jako świeży bandaż.

– Pół dnia skrobiesz tę gałąź – powiedział Etain siedzący pod leszczyną, gdzie rozbili skromny obóz. Patrzył na Sheilę, która małym nożykiem do warzyw obrabiała kawałek drewna. – Umieram z głodu.

– Mówiłam, że możesz nazbierać jagód. – Głos miała spokojny, ale coraz bardziej przeszkadzało jej narzekanie chłopaka. – Jak to skończę, może coś upoluję.

– I tak nie masz cięciwy.

– Coś wymyślę. Wolałbyś być teraz ze swoimi kumplami strażnikami?

Etain westchnął, a Sheila nie była dumna z tego, co powiedziała.

Była poirytowana, a jej zły humor potęgował ból w nodze. Była wdzięczna Williamowi za przesłany przez Sirę eliksir, bo dzięki temu bez problemu mogła uciec z Twierdzy. Zdrętwienie nie było aż tak dokuczliwe, jak się obawiała. Miało to jednak swoją drugą stronę. Kiedy biegała po kanałach, a potem lesie, nie czuła żadnego bólu i przez to nie oszczędzała nogi. Nie wiedząc, na ile powinna ją obciążać, dawała z siebie wszystko. Musiała ją przez to mocno nadwyrężyć, bo kiedy eliksir w nocy przestawał działać, ból powrócił ze zdwojoną siłą. Rano ledwo mogła to wytrzymać.

– Wiem, że nie jestem bohaterem – rzucił w końcu Etain, po raz pierwszy bez zdenerwowania. – Wiem, że jestem żałosny.

Oderwała wzrok od leszczynowej gałęzi i spojrzała na niego. Wyglądał mizernie. Był bardzo kościsty i niezdrowo blady. Cały czas zdawał się kulić i rozglądać, jakby wyczekiwał ciosu.

– Jak się dostałeś do Twierdzy? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Głód mnie wyciągnął z kryjówki. Kiedy już obgryzłem wszystkie paznokcie, do których dosięgałem, i zeżarłem wszystkie korzonki z okolicy, musiałem ruszyć trochę dalej. No i znaleźli mnie strażnicy, którzy pobierali haracze od myśliwych... – Ostatnie słowa zabrzmiały dziwnie matowo, jakby się zawahał.

Sheila wróciła do wykańczania ramienia przyszłego łuku.

– Dwa dni były w miarę spokojne. Czepiali się mnie, ale ci, co mnie zgarnęli, wrócili na posterunek. Czasem tylko oberwałem dla przykładu albo frajdy.

Sheila poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach.

– Nikt nie stanął w twojej obronie? – zapytała, a Etain prychnął.

– Jeszcze nie założyli tam Kółka Pomocy Ofiarom Życiowym. Zwłaszcza jeden... Fester się na mnie uwziął. Miał niesamowitą radochę, jak mnie tłukł. Chyba nikt się nigdy tak nie cieszył na mój widok – dodał z makabrycznym, krzywym uśmiechem, od którego Sheili zjeżyły się włosy na karku. – Wrócił do Twierdzy z jakiegoś powodu i z nudów znowu się do mnie przyczepił.

Przerwała pracę nad łukiem, ale nie podniosła wzroku. Pamiętała Festera aż za dobrze. Rozumiała, dlaczego Etain krzywił się na każde wspomnienie tego człowieka. Wolała nie zdradzać się z tym, że strażnik pojawił się w jego pobliżu przez to, że przyprowadził do obozu właśnie ją.

– Tam w piwnicach... naprawdę pomagałeś przy budowie? – zapytała, starając się ukryć, że w to nie wierzyła.

Przez chwilę trwała cisza. Etain jakby się wahał, ale w końcu niepewnie odparł:

– Tak mi powiedzieli – wyznał cicho. – Miałem pomóc za coś do jedzenia. Myślałem, że szczęście się do mnie uśmiechnęło. Uwierzyłem, bo słyszałem, że ludzie Verrada powołani ze skazańców to leniwe świnie i zawsze próbują się wysłużyć innymi. No to się załapałem. Ale okazało się, że Fester się nudził i postanowił zwabić mnie w ten sposób do piwnicy. Chyba tym razem bym się nie wylizał. Mieli chęć na porządne pranie. Obtłukli mnie dla rozmiękczenia, jak to nazwali. Zostawili w ciemnym pomieszczeniu bez pochodni, żeby stawić się na jakiś żołnierski raport czy coś, ale zanim wrócili, przyszliście wy...

Sheila nie mogła uwierzyć, że można być aż tak wystraszonym.

–To dlaczego tak niechętnie poszedłeś z nami? Trzeba cię było zmusić, żebyś uniknął pobicia?

Etain uśmiechnął się brzydko.

– Myślałem, że mnie zabijecie. Zresztą, nawet gdybyście tego nie planowali, to nie wierzyłem, że uda nam się uciec. Bałem się konsekwencji złapania nas.

Sheila pokiwała głową ze zrozumieniem, ale po chwili stwierdziła, że jednak nie rozumiała.

– Wybrałeś znane piekło niż walkę o wolność?

Etain spojrzał na nią zdziwiony. Chyba jej słowa zabrzmiały dla niego zbyt górnolotnie. Po chwili znowu wzruszył ramionami.

– Uda ci się to? – zapytał, wskazując na gałąź w ręku dziewczyny.

Sheila przyjrzała się narzędziu.

– Ten nóż już prawie nie struga – westchnęła zdenerwowana. – Mam odciski na palcach, a do końca jeszcze trochę. Przydałaby się jakaś cięciwa. Mam mocny rzemyk, którym związuję włosy, ale chyba nie będzie najwygodniejszy.

– Ojciec nauczył cię robić łuki?

Zamyśliła się. Przypomniała sobie mężczyznę, który był do niej zupełnie niepodobny z wyglądu. Szerokie ramiona wyrobione od pracy z drewnem i zwierzyną zazwyczaj okrywał znoszonym płaszczem. Ludzie mówili,

że bardziej przypominał drwala niż myśliwego. Miał ciemne włosy, które przechodziły w gęstą brodę. Oczy... nie pamiętała, jakie dokładnie miały kolor. Chyba były jasne. Jeśli tak, to nawet w tym nie byli podobni. Miała jedenaście lat, kiedy zmarł, ale i tak niewiele pamiętała. Chyba był dla niej dobry. Chętnie zabierał ją do miasta i pokazywał statki w porcie. Ale wspomnienie o nim zawsze napawało ją jakimś dziwnym smutkiem. Żałowała, że nie przypomniała sobie, jakiego koloru były jego oczy.

– Pierwszy łuk zrobił dla mnie Benn – odpowiedziała, otrząsając się z rozmyślań. – Był przyjacielem i pomocnikiem mojego ojca. Jak podrosłam, pomógł mi wykonać większy. Przy każdym mi podpowiadał.

Etain pokiwał głową, patrząc jak Sheila sprawnie operuje niewielkim ostrzem.

– No dobra. Ale i tak nie masz strzał.

Westchnęła.

Sterta gałęzi, która służyła im jako szałas, zaszeleściła, kiedy podrażnił ją silniejszy podmuch.

– Może jednak rozpalimy ognisko? – mruknął chłopak. – Tak, wiem. Zwrócimy na siebie uwagę – dodał, widząc jej minę.

– Całą noc jakoś wytrzymałeś bez ognia, więc i w dzień dasz radę.

Etain skrzywił się.

– To było okropne. Wszędzie pohukiwania i odgłosy zwierząt. – Wzdrygnął się. – Ale byłem wycieńczony, więc szybko usnąłem. – Westchnął i wzruszył ramionami.

– Nie narzekaj. Ty przynajmniej spałeś.

Stłumiła ziewnięcie, jakby na te słowa jej organizm przypomniał sobie o nieprzespanej nocy z powodu warty, którą trzymała nad obozowiskiem.

– No dobra, ale mamy inny problem. Zanim skończysz ten łuk, umrzemy z głodu. – Chłopak zmienił temat.

Sheila wypuściła z rąk narzędzia, wstała i podeszła do niego, patrząc złowrogo i krzyżując ręce na piersiach.

– Etain, do cholery! Może ruszysz tyłek i pójdziesz nazbierać czegoś do zjedzenia, zamiast biadolić na swój marny los?

Odwrócił wzrok i nie odpowiedział. Sheila nie dawała za wygraną.

– Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam, przywiodłeś mi na myśl kogoś znajomego. Współczułam ci. Ale teraz widzę, że w niczym nie przypominasz tamtej osoby. Przydaj się do czegoś z łaski swojej.

Przez chwilę milczał, a potem powoli i stanowczo odezwał się:

– Nie pójdę do lasu. Zapomnij.

Sheila przestała liczyć, ile razy już wzdychała zniecierpliwiona.

– Przecież na skraju nic ci nie grozi – zdenerwowała się.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Och, mam cię dość. Rób, co chcesz, ale skoro nie zamierzasz przynieść jedzenia, to nie chcę słyszeć ani słowa o tym, że jesteś głodny.

Wróciła do swojego zajęcia i przez parę minut panowała cisza przerywana tylko ćwierkaniem ptaków i szumem liści. Nagle, ku zaskoczeniu dziewczyny, Etain wstał i bez słowa ruszył w stronę pobliskich krzaków. Przez dłuższy czas chodził ze spuszczoną głową w pobliżu szałasu. Ani razu nie oddalił się na tyle, by Sheila straciła z nim zupełny kontakt. Cały czas słyszała jego szeleszczenie. Niekiedy pochylał się i wyglądało, że jednak coś udawało mu się znaleźć. Westchnęła z ulgą i skupiła się na pracy.

Etain uważał, że wysiłek włożony w wykonanie łuku nie miał sensu. Sheila nie mogła się z tym zgodzić. Wiedziała, że bez względu na to gdzie i w jakich okolicznościach się znajdą, lepiej mieć broń, niż jej nie mieć.

Podróż z narzekającym towarzyszem nie zapowiadała się zbyt przyjemnie, ale z drugiej strony wolała to niż samotne koczowanie w obcym lesie.

Sheila wiedziała, że odwlekanie nieuniknionego nie miało zbyt wiele sensu. Jednak żywiła nadzieję, że może chociaż trochę uda jej się uspokoić Etaina i sprawić, by bardziej jej zaufał.

– Chyba coś mam. Niewiele tego. – Etain wrócił z garściami pełnymi drobnych owoców.

– Rzeczywiście niewiele – mruknęła, podnosząc się z ziemi. Najwięcej przyniósł jagód, które barwiły mu dłonie. Kiedy podniosła wzrok na jego twarz, od razu zauważyła, że usta miał ciemnofioletowe. – Widzę, że już sprawdzałeś, czy nie są trujące.

Etain nie wyglądał na zakłopotanego.

– I tak są kwaśne. Wczorajsze były znacznie lepsze.

– Świetnie – rzuciła i wypuściła nóż z ręki. Ostrze wbiło się w ziemię z cichym pacnięciem. Chłopak przesypał do jej dłoni połowę przyniesionych owoców i oboje usiedli pod szałasem z gałęzi.

Jedli w milczeniu. Sheila stwierdziła, że rzeczywiście jagody były cierpkie. Kilka pojedynczych jeżyn, które zjadła, też nie zachwyciło jej smakiem. Nie o to jednak chodziło. Potrzebowała energii i owoce właśnie tego jej dostarczyły.

Myślała, że Etain pochłonie swoją porcję w kilka sekund, ale on skubnął kilka granatowych koralików i czekał. Kiedy Sheila zjadła resztę, wyciągnął rękę i przesypał owoce do jej pustej, zabarwionej jagodami dłoni. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Przecież jadłem prosto z krzaka. Teraz będzie po równo – powiedział, wzruszając ramionami.

– Dzięki. – Sheila powoli zaczęła jeść kolejne kwaskowate korale.

– Jesteś w porządku. A ja chociaż w ten sposób do czegoś się przydam.

Sheila nie kryła zaskoczenia. Do tej pory chłopak na przemian wzbudzał w niej litość i irytację. Narzekał, nie wykazywał inicjatywy, ciągle mu coś nie pasowało, ale wiedziała też, że przeżył piekło. Przez ostatnie dni podle go poniżano. Podejrzewała, że nie o wszystkim jej powiedział. Przeszło jej przez myśl, że Fester nie zwabił go do piwnicy tylko po to, aby spuścić mu łomot. Jakoś wcześniej nie musiał się z tym kryć. Sheila wiedziała, nie do końca była pewna skąd, ale patrząc w oczy Etaina po prostu wiedziała, że tam się wydarzyło coś jeszcze. Być może nie pierwszy raz. Nie wierzyła w bajeczkę o łapance do grupy budowlańców. Danteil nie pozostawił w tej kwestii wątpliwości. Tam chodziło

o coś innego, a mając okazję poznać niepohamowanie Festera, Sheila podejrzewała, co się wydarzyło.

Dlatego właśnie starała się wykazywać wobec Etaina cierpliwością. Rozumiała też, dlaczego chłopak tak bardzo obawiał się konsekwencji w razie niepowodzenia ucieczki.

– Nie podziękowałem ci za wyciągnięcie mnie stamtąd – powiedział niezbyt głośno, jakby czytał w jej myślach.

– W porządku – odparła, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie. – Skąd ta nagła zmiana nastroju?

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że jestem żałosny, ale widocznie jeszcze jakaś iskierka człowieczeństwa we mnie została.

Sheila poczuła przygnębienie, słysząc te słowa i widząc wyraz rezygnacji na twarzy Etaina.

– Wcale nie uważam, że jesteś żałosny.

Nie wiedziała, czy było to szczere. Być może tylko chciała mieć o nim lepsze mniemanie, niż w rzeczywistości miała. Nie była pewna, czy samo współczucie wystarczy, żeby mu pomóc.

Prychnął cicho.

– Myślisz, że tam, gdzie chcesz iść, będzie lepiej? – zapytał.

Sheila westchnęła. To było jej pierwsze od dłuższego czasu westchnienie pozbawione irytacji.

– Nie wiem, jak będzie – odrzekła szczerze. – Ale Wolna Kompania to jednak nie Twierdza. Sądzę, że będziesz zadowolony ze zmiany adresu.

Etain przesunął się bliżej drzewa i oparł plecami o pień, patrząc na dziewczynę spod czupryny mysich włosów.

Sheila nie kontynuowała. Wytarła dłonie w koszulę i wróciła do pracy nad łukiem. Szybko jednak przerwała wycinanie zaczepu na cięciwę w gryfie łuku i przyjrzała się niewielkiemu nożowi, który jej do tego służył. Od początku nie był idealnie naostrzony, ale po kilkugodzinnej pracy wydawał się całkowicie stępić.

Przez chwilę bawiła się nożykiem, obracając go w dłoni. Miała wprawne ręce, choć obolałe od ciosania gałęzi.

Etain przez moment mówił, czego obawiał się w nowym miejscu, ale Sheila go nie słuchała. Myślami była gdzie indziej. Do tej pory zastanawiała się, gdzie byłaby najbezpieczniejsza. Musiała przyznać sama przed sobą, że doskonale wiedziała, dlaczego zwlekała z marszem na wschód. Wytknęła Etainowi, że wolał znajome piekło od nieznajomego ryzyka, ale sama robiła to samo. Co prawda jej pobyt w Wolnej Kompanii nie był tak strasznym doznaniem, ale zasada była podobna. Chciała wrócić do Logana i Marsona, żeby czekać do pełni na spotkanie z Bennem. O ile jej list został wysłany. Łapała się iskierki nadziei.

Nie wiedziała, dlaczego świadomość tego wydała jej się czymś złym. Przecież nadzieja to jedyne, co dawało jej siłę. Być może faktycznie wyzbyła się pierwszego złudzenia, że jej bliscy poradzą sobie z klątwą i ją uwolnią. Może nie odcinała się już od wszystkich logicznych argumentów. Ale po prostu chciała ich zobaczyć. Benna, Saebe, Olafa. Żeby uwierzyć, że nadal są blisko. Że dzielą ich tylko skały. Sama świadomość, że wiedzieliby, co się z nią działo, byłaby wielką ulgą.

Bo przecież nie mieli pojęcia, gdzie jest. Sheila była tego świadoma od początku i dlatego tak bardzo nie chciała dopuścić do siebie zniechęcających słów Reivena. Skąd mieliby wiedzieć? Dlaczego miałoby komuś to przyjść do głowy? To oczywiste, że jej zniknięcie powiązano z pojawieniem się Gasthona i Kolli. Kriss pewnie opowiedział, co widział. Ale tak naprawdę dopiero list, który mieli od niej dostać, naprowadziłby ich jednoznacznie na miejsce jej pobytu.

Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd spadła ze skały. Najwyższy czas, żeby się zdecydować, czy podążać za marzeniami, czy pogodzić się z losem i spróbować jakoś żyć w tym świecie, do którego ów los ją zesłał.

Nie chciała iść na wschód i tym samym oddalać się od Orlej Przełęczy. Ale musiała tam pójść, bo nie była sama. Towarzyszył jej Etain, któ-

rego należało odstawić do bezpiecznej przystani. Dopiero potem postara się wrócić do bardziej znajomych terenów myśliwskich.

– Niedługo sprawdzę teren. Jeśli w okolicy nie będzie strażników, to ruszamy do Wolnej Kompanii – stwierdziła, rzucając nagle nożem w przebiegającą niedaleko jaszczurkę, przytwierdzając ją do ziemi.

Etain wzdrygnął się, a następnie zamruczał z podziwem.

– No to mamy obiad – powiedział, podnosząc martwe zwierzę za ogon i przyglądając się gadowi.

Dziewczyna ziewnęła przeciągle i pomasowała zesztywniały kark. Nie przyniosło to jednak odczuwalnej ulgi.

– Jestem padnięta – powiedziała, przecierając oczy dłońmi. – Nie mogę wziąć drugiej warty z rzędu. Musisz się przełamać.

Etain skrzywił się z przestrachem.

– W nocy? Sam?

– Przecież będę tutaj – warknęła.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał dyskutować, ale ostatecznie wymruczał coś pod nosem. Sheila uznała to za zgodę.

– Rozpalimy na chwilę ognisko czy zamierzasz to zjeść na surowo? – wskazał na dyndającą jaszczurkę.

Sheila, ku swojemu zaskoczeniu, zawahała się, ale po chwili stwierdziła, że nie jest jeszcze aż tak zdesperowana.

– Rozpalimy malutki płomień i szybko ugasimy. Za dnia nie powinien nas zdradzić.

* * *

Wczesne popołudnie minęło Sheili na wykańczaniu łuku. Etain odważył się odejść nieco dalej, dzięki czemu na kolację zjedli dzikie jabłka. Były kwaśne i twarde. Znacznie trudniej było je przełknąć niż cierpkie jagody, ale złagodziły burczenie w ich brzuchach. Las był ciemny i nieprzyjazny. Sheila wiedziała, że nierozsądne było zapuszczanie się w jego głąb, kie-

dy nic o nim nie wiedzieli. Niestety, przebywając na skraju puszczy, byli mocno odsłonięci w razie pościgu.

Noga nadal ją bolała, ale Etain wraz z jabłkami przyniósł jej kilka liści aloesu, które porozcinała i obłożyła sobie nimi ranę.

Żeby to przyniosło jakikolwiek pozytywny skutek, musiała najpierw obmyć ją lodowatą wodą z rzeki. Widok nie był przyjemny. Z łydki zionęła poszarpana rana, z której powoli sączyła się stróżka krwi. Podczas ucieczki opatrunek Willa całkiem przesiąkł, więc Sheila usunęła go z nogi i owinęła łydkę świeżą chustką z paczki od adepta, kiedy tylko rozbiła obóz z Etainem. Aloes działał leniwie, ale skutecznie. Mogła przestać zaciskać zęby przy każdej próbie poruszenia się, choć może była już tak zmęczona bólem i niewyspaniem, że jej organizm sam z siebie stał się przytępiony na odczuwanie czegokolwiek. Do tego stres i ciągła obawa, że ktoś ich obserwuje i za moment zechce wyskoczyć na nich zza krzaków, sprawiały, że mniej skupiała się ma bólu fizycznym.

Słońce cały dzień chowało się za chmurami, dlatego trudniej było określić im godzinę. Oboje czuli chłód. Nie tylko ze względu na nagły front, który pojawił się kilka dni wcześniej i przegnał resztki upałów. Oboje byli niedożywieni i zmęczeni, a do tego ubrani w lekkie i podniszczone ciuchy.

– Etain. – Sheila szturchnęła chłopaka, który drzemał obok. – Obudź się. Idę nad rzekę.

Spojrzał na nią nieprzytomnymi oczami.

– Co? – mruknął i ponowie opuścił powieki.

– Musimy coś zjeść – zakomunikowała. – Jak mi się poszczęści, to trafi się jakiś niegroźny ssak, którego zdołam zabić nożem.

– Wierzysz w to? – spytał sceptycznie.

– Nie – przyznała. – Pewnie wrócę z jaszczurką albo jakimś obślizgłym płazem. Dopóki nie mam cięciwy i tak... Dobra, nieważne. – Machnęła ręką, widząc, że znowu usnął.

Podążając skrajem lasu, po kilku minutach z łatwością trafiła nad rzekę. Nurt był wartki, ale gdzieniegdzie trafiały się kępki roślin, w których Sheila miała nadzieję znaleźć coś do jedzenia. Głównie jednak wypłaszała malutkie ptaszki, a te nawet za pomocą łuku byłyby trudne do schwytania. Spod nóg uciekł jej cienki wąż i dwie żaby. Nie łapała ich, bo prawie od razu znikały w wodzie.

Mały, tępy nożyk trzymała w pogotowiu, ale coraz mniej wierzyła, że będzie miała okazję go użyć. Siedziała przez dłuższy czas w jednym miejscu, ale poza wróblami nic się do niej nie zbliżało. Następnie szła chwilę w górę rzeki, jednak krajobraz wokół niej niewiele się zmieniał.

Miała już zawracać, w obawie przed zbytnim zbliżeniem się do okolic Twierdzy, ale wtedy usłyszała urywany skrzek i dziwny szelest. Zamarła na chwilę, a potem ostrożnie wyjrzała zza krzaków.

O mało nie popłakała się z radości na widok, który ujrzała.

Kilkanaście metrów od niej wielki ptak przypominający sępa zawzięcie dziobał martwe ciało osobnika swojego gatunku.

Sheila wiedziała, co to za wynaturzone przez magię klątwy stworzenia – Logan jej o nich opowiadał. Sępice, jak wołano na te przerośnięte i zdziczałe sępy, nie cieszyły się najlepszą sławą, bo nie gardziły żadną padliną, nawet przedstawiciela ich własnego gatunku. To sprawiało, że co mniej inteligentni uznawali je za jeszcze bardziej przeklęte niż zmory. Dla tych, którzy mieli trochę oleju w głowie, były po prostu odrażające.

Sheila szybko dostrzegła w tym szansę, której wyczekiwała od ponad dwóch godzin.

Nie musiała walczyć. Sępice były dość płochliwym zwierzęciem, dlatego wystarczyło go czymś wystraszyć i można było dobrać się do padliny.

Zawahała się jednak. Mogła zadowolić się być może gnijącym truchłem albo spróbować dopaść świeżego osobnika. To jednak mogło doprowadzić do utraty noża, gdyby sępic był w stanie odlecieć z ostrzem w

ciele. A z całą pewnością niewielkie tępe narzędzie nie mogło zrobić mu dużej krzywdy.

Sheila westchnęła cicho, chowając broń do kieszeni. Podejrzewała też, że skoro nie zleciało się więcej osobników, padlina nie mogła leżeć zbyt długo, więc nadawała się do zjedzenia.

Podniosła z ziemi jeden z licznych kamieni i wyważyła go w dłoni.

Zaskakujące, jak wiele spraw może załatwić celny rzut kamieniem – pomyślała i prawie od razu się zamachnęła.

Nie musiała się wysilać i skupiać. Tak jak podejrzewała, ptaszysko odleciało w popłochu i zaczęło krążyć po niebie. Od razu rzuciła się ku swojej zdobyczy, utykając na lewą nogę. Chwyciła martwe cielsko i już miała je zaciągnąć za sobą do lasu, gdy zauważyła, że z boku ptaka sterczał bełt.

Sępic skrzeczał donośnie ponad jej głową i zapewne analizował, jak trudnym przeciwnikiem była dla niego Sheila. Wiedziała, że w większej grupie ptaki na pewno podjęłyby próbę odbicia posiłku. Skoro sępic jednak nie atakował, Sheila miała nadzieję, że odpuści. Ostatecznie była od niego większa, choć tylko nieznacznie.

Uklęknęła i przyjrzała się bełtowi. Raczej nie zabił ptaka od razu, a jedynie zranił. Trudno było jednak określić, jak długą drogę przebyło zwierzę, zanim padło samo lub przy pomocy swojego kolegi. Sępice miały w zwyczaju dobijać swoich rannych towarzyszy, by się nimi pożywić. Właśnie ta cecha najbardziej zniechęcała do nich ludzi.

Sheila wyciągnęła pocisk z rozszarpanego ciała i wytarła krew w koszulę. Wtedy jej oczom ukazał się niewielki symbol na najszerszym fragmencie bełtu – stylizowany kwiat róży.

– Szlag – warknęła pod nosem, patrząc na godło Livii. – Ludzie Verrada.

Rozejrzała się instynktownie, ale nikogo wokół niej nie było. Wiedziała jednak, że ten, kto oddał strzał, musiał wyjść z Twierdzy. Być może w poszukiwaniu dwójki uciekinierów.

Cielsko ptaszyska było zbyt duże, by mogła je sprawnie przenieść do obozowiska, w którym zostawiła Etaina. Odcięła więc kilka najlepiej

zachowanych kawałków mięśni oraz jelito, z którego mogła ukręcić cięciwę. Obmyła wszystko w rzeczce i nie chcąc pozostawać dłużej na widoku, udała się z powrotem do szałasu.

* * *

– Mam to zjeść na surowo? – zapytał zaspany Etain.

Sheila obudziła go, gdy tylko wróciła. Kiedy zobaczył naręcze wnętrzności, które niosła, o mało nie zwymiotował.

– Lepiej nie zwracaj tej odrobiny jedzenia, którą dostarczyłeś organizmowi – powiedziała zniecierpliwiona na widok jego nudności. – Nie możemy rozpalić ogniska. Gdzieś w okolicy są żołnierze.

Chłopak zbladł jeszcze bardziej, choć wydawało się, że to niemożliwe.

– Jak to? Widziałaś ich?

Pokręciła głową.

– Zabili sępica – wyjaśniła. – Nie mógł lecieć długo z tą raną, którą mu zadali, więc są w pobliżu. Zbieraj się. Musimy odejść dalej.

Etain przetarł oczy i usiadł.

– Ale dalej las robi się coraz bardziej niebezpieczny, a my nie mamy broni – przypomniał. – Zapomniałaś już, że to siedlisko zdziczałych bestii?

– Nie. Nie zapomniałam. Ale przy rzece powinno być w miarę bezpiecznie.

Etain zmarszczył brwi.

– Może za dnia. Ale niedługo zapadnie zmrok.

– Wolisz wpaść w ręce strażników? – Zdenerwowała się. – Wiem, że mieliśmy czekać do rana, i też mi się nie podoba spacer po tych terenach w nocy, ale nie mamy wyjścia. Musimy się oddalić.

Etain nie wyglądał na przekonanego.

– Nie podoba mi się to. Lepiej zostańmy tutaj.

Sheila westchnęła zniecierpliwiona.

– To najgorszy z możliwych pomysłów. Powinniśmy w końcu ruszyć w którąś stronę. Jesteśmy raptem jakąś godzinę drogi od Twierdzy – tłumaczyła. – Skoro rozpoczęli poszukiwania...

Chłopak zmarszczył brwi.

– Jakby nas szukali, to by nas znaleźli – stwierdził, krzywiąc pokiereszowaną twarz. – Nie wiadomo, z której strony przyleciał ten ranny sępic. Jeśli Verrad wysłał za nami pogoń, to zgaduję, że skupił się na wschodnich lasach. W końcu miałaś dołączyć do Francka, nie? Tylko major wie, że uciekliśmy na północ. Musimy tu przeczekać.

Zamyśliła się, marszcząc brwi.

– Nie możemy być pewni, kto ile o nas wie i co stało się z majorem po jego powrocie do Twierdzy. – Pokręciła głową. – Nawet jeśli dzisiaj szukają nas na wschodzie, to nie znaczy, że kogoś profilaktycznie nie wyślą w naszą stronę.

– Niedługo się ściemni. – Etain popatrzył na niebo, a potem na Sheilę. – Oddalanie się na północ po zmierzchu to najgorsza z możliwych opcji. Musimy poczekać do rana – mruknął. – Wtedy pójdziemy, dobra? Rano nie będę się kłócił.

Sheila zawahała się, ale wiedziała, że Etain też miał trochę racji.

– Musisz wziąć dziś wartę, tak jak mówiłam – powiedziała stanowczo. – Nie dam rady zarwać kolejnej nocy.

Chłopak kiwnął głową, nie patrząc na nią.

Schowała twarz w ubrudzone krwią sępica dłonie.

– Zapalimy maleńkie ognisko. Tylko tyle, żeby powstał żar i na tym upieczemy mięso – wyjaśniła po chwili. – Pozbieraj trochę gałązek, a ja przygotuję jelito sępica do wysuszenia. Jeśli się nie rozpada, to niedługo będziemy mieli materiał na cięciwę.

* * *

Etain wziął drugą wartę, więc jako pierwszy położył się spać.

Sheila siedziała obok drzewa, ale nie opierała się o nie. Bała się, że przez to łatwiej uśnie. Oczy ją piekły i oddałaby wszystko za choćby godzinną drzemkę. Ostatni raz spała w szałasie myśliwych. Potem spędziła kilka ciężkich nocy w celi. Następnie uciekała i pilnowała obozowiska, bo Etain był za bardzo przerażony.

Spojrzała na śpiącego chłopaka. Jej oczy były przyzwyczajone do ciemności, a księżyc świecił na tyle jasno, że bez trudu widziała skuloną na mchu postać.

Pamiętała noce spędzane w lesie z Bennem. Nie było tak nerwowo. W środku puszczy zawsze musieli się pilnować, ale w ich wyprawach było jakieś wrażenie spokoju i psychicznego odpoczynku. Jeśli nie wychodzili na nocleg na skraj boru lub polanę, to nie dało się uniknąć dyżurów w pilnowaniu obozowiska. Zwierzęta mogły podejść do śpiących myśliwych bezszelestnie, więc nawet nie zdążyliby się obudzić, gdyby jakaś bestia doskoczyła do ich szyi.

Wtedy Sheila nie narzekała. Pamiętała, że noc w lesie jawiła się w dzieciństwie jako coś magicznego. Z czasem niewiele się to zmieniło. Siedziała obok opiekuna, nasłuchując odgłosów natury. Zaskakiwało ją, jak donośna może być cisza. Nie odczuwała niepokoju, bo Benn był blisko. Kiedy zostawił ją na warcie po raz pierwszy, poczuła, że ufał jej bezgranicznie. Sam zresztą mawiał, że niewiele jest osób, przy których można spokojnie spać.

Etain przekręcił się lekko i wymamrotał coś bardzo cicho i zupełnie niezrozumiale. Sheila poczuła, że mimowolnie jej głowa opadła do tyłu i zatrzymała się na pniu. Poddała się i oparła plecy. Poczuła ulgę, ale i przestrach, że uśnie.

Byli na skraju lasu, ale nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, żeby nie wystawić warty. Nie wiedziała, czy bardziej obawiała się dzikich zwierząt, czy ludzi, którzy mogli ich znaleźć. Następnego dnia mieli wyruszyć na północ. Musiała ufać, że znajdą schronienie, by przeczekać pogoń. A potem spokojnie będzie mogła wrócić w pobliże Orlej Przełęczy.

Nie pamiętała, co jeszcze pomyślała, zanim usnęła.

* * *

Benn szedł przed nią. Widziała jego plecy, kiedy z wysiłkiem próbowała za nim nadążyć. Zdawał się nie mieć problemu z pokonywaniem przeszkód, które stawiał przed nim las. Gęste krzaki i grube kłody przewalonych drzew wcale go nie spowalniały. Sheila natomiast dyszała, pospiesznie oraz trochę chaotycznie odsuwając sprzed twarzy gałęzie i potykając się o pnie.

– Zwolnij – sapnęła, ale Benn się nie odwrócił.

– To zwykła droga. Straciłaś kondycję – stwierdził, prąc naprzód.

– Nie znam tego szlaku Benn. Nie oddalaj się.

Była pewna, że jeśli zwolniłaby choć na chwilę, to dystans między nimi zwiększyłby się za bardzo.

– Dojdziesz do mnie.

– Pierwszy raz tu jestem – starała się dorównać mu kroku, ale było coraz trudniej. – Proszę, zatrzymaj się.

Benn stanął jak wryty.

– Chciałaś zapolować na niedźwiedzia – powiedział z wyrzutem, nie odwracając się do niej. – Musimy się pospieszyć.

– Na niedźwiedzia? – zdziwiła się. – Nigdy nie polowałeś na niedźwiedzie. Jesteś pewny, że damy radę?

Benn nie odpowiedział, tylko uciszył ją gestem.

– Czuję go. Muszę to zrobić sam.

Wyskoczył do przodu i po sekundzie zniknął w gęstwinie.

– Benn!

Otaczały ją drzewa. Była noc, ale widziała sporo szczegółów. Ktoś na nią patrzył, ale nie zlokalizowała obserwatora. Czuła na sobie jego wzrok. Obracała energicznie głową, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Ciężkie, twarde dłonie pojawiły się na jej ciele znikąd. Zacisnęła powieki i upadła na kolana. Zaczęła je odganiać na oślep, ale nic to nie dało. Poczuła ciepły oddech na szyi i przenikliwy szept.

– Tu jest dość intymnie? – zabrzmiał zimny głos. – Tak ci dobrze?

Chciała umrzeć. Krzyczała i machała rękami. Usłyszała szloch. To ona płakała? Odgłos był dojmujący i otaczał ją ze wszystkich stron. Pulsował w głowie. Łapczywe dłonie, las i zimny szept ulatywały w zawrotnym tempie. Szloch stawał się coraz głośniejszy. Wyciągał ją stamtąd. Był taki donośny... Taki bliski...

* * *

Sheila otworzyła oczy i zobaczyła tylko ciemność. Ciało dziewczyny było zlane potem. Rozejrzała się. Źrenice nie chciały przyzwyczaić się do braku światła. Energiczne mruganie niewiele pomogło.

Spojrzała na skuloną postać obok niej. Ledwo zauważała kontury, ale słyszała cichy szloch. Czy to możliwe, że obudził ją tak nieznaczny dźwięk? Wciąż pamiętała, że płacz w jej głowie był prawie ogłuszający. Odetchnęła kilka razy. Zaczynała odzyskiwać wzrok. Las nabierał ostrości.

Nie wiedziała, czy się odzywać. Czuła, że nadal jest w lekkim szoku po koszmarze, który ją nawiedził. Po minucie poczuła się lepiej. Szloch Etaina ustał, a ona zastanawiała się, czy chłopak zasnął, czy zorientował się, że był słyszany. Oparła się o drzewo i postanowiła, że da mu jeszcze chwilę, zanim nakaże się zmienić na warcie. Ale nie minęła kolejna minuta, kiedy Etain odezwał się miękko:

– Miałaś zły sen?

Westchnęła i mruknęła na potwierdzenie.

– Domyśliłem się, bo pojękiwałaś.

Powiedziawszy to, odwrócił się w jej stronę i usiadł. Oparł łokieć na ugiętym kolanie.

– Ktoś cię krzywdził?

Sheila uznała, że to nietaktowne z jego strony i już miała mu o tym powiedzieć, ale zobaczyła, że jego twarz lśniła od łez i postanowiła opanować irytację i wstyd.

– Ktoś próbował – odpowiedziała. – Ale mu się nie udało.

Etain pokiwał głową.

– To dobrze. Nie daj się skrzywdzić.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na niego ze współczuciem, ale odwrócił wzrok tak gwałtownie, jakby mogła odczytać z jego oczu wszystko, co chciał przed nią zataić. Lekki wiatr poruszył koronami drzew, odsłaniając księżyc. Sheila dokładniej zobaczyła twarz chłopaka. Była pokryta gojącymi się bliznami i zniekształcona kilkoma sińcami. W kąciku ust miał sporą bruzdę po niedawnym rozcięciu. Poczuła ucisk w klatce piersiowej. Zobaczyła to po raz pierwszy: jego prawdziwą twarz. Oddzieliła ją nagle od wszystkich ran, jakie ostatnio mu zadano. Jego twarz była bardzo młoda, chuda i taka... niepoważna.

Podniósł na nią duże, lśniące od łez oczy i spostrzegł, że mu się przyglądała. Uśmiechnął się lekko i Sheila wreszcie coś zobaczyła. Zrozumiała nagle, dlaczego jego uśmiech zawsze był brzydki i przypominał bardziej skrzywienie. Etain rzeczywiście się krzywił, ale z bólu. Za każdym razem, gdy próbował się uśmiechnąć, blizny napinały się i piekły.

– Nie żałuj mnie, Sheila. Jestem skazańcem, pamiętaj o tym.

Opuściła wzrok i przymknęła oczy.

– Prześpij się. Moja kolej – powiedział spokojnie i wstał, przeciągając się z syknięciem bólu.

Sheili nie trzeba było tego powtarzać. Ułożyła się na miejscu, które przed chwilą zajmował chłopak, i spojrzała na niego, kuląc się na ziemi.

Usiadł dalej od niej i patrzył w dół. Zastanawiała się, czy nie uśnie, ale postanowiła mu zaufać.

Poza współczuciem tliła się w niej jeszcze jedna myśl, ciepła i jasna. Etain dostał szansę. Tak powinno być.

* * *

Obudził ją dreszcz. Otworzyła oczy. Słońce jej nie oślepiło. Było pochmurno i dość chłodno. Pogoda musiała zmienić się przez noc. Świtało. Podnosząc się, poczuła, że pokryła ją gęsta rosa.

Wstała i otrzepała się. Noga ją bolała, ale trochę mniej niż poprzedniego dnia. Etaina nie było w zasięgu jej wzroku. Przez dzielenie specyfiku na rany obojga uciekinierów maść od Willa szybko się skończyła.

Trzeba będzie poprosić Etaina o więcej aloesu – pomyślała. Podejrzewała, że Etain zrobi to dla niej bez narzekania. Miała wrażenie, że nawiązała się między nimi nić porozumienia.

Zrobiła krok naprzód. Ból był do zniesienia.

Poczuła burczenie w brzuchu. Była pewna, że to samo uczucie wygnało jej towarzysza do lasu o tak wczesnej porze.

Obok jej nogi leżał nóż od adepta. Podniosła go i niespiesznie ruszyła w stronę opartego na pobliskim drzewie niedokończonego łuku.

Wtedy to zobaczyła. Najpierw kątem oka, ale jej reakcja była natychmiastowa i odruchowa. Odwróciła się. Nogi ugięły się pod nią, jednak nie z powodu rany. Najpierw opadła na kolana, a potem usiadła na stopach.

Patrzyła na zwisające z gałęzi ciało Etaina. Widziała sznur zaciśnięty na jego szyi, ale i tak nie docierało do niej, co się wydarzyło.

Nie wiedziała, jak długo siedziała tak, gapiąc się na niego tępo. Cały czas delikatnie chybotał na wietrze. Wyglądał jak szkielet ubrany w obwisły wór. Taki chudy i blady. Jego sińce i rany na twarzy stały się jeszcze bardziej widoczne.

Sheila patrzyła i nie była w stanie się ruszyć ani wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Czuła tylko nieprzyjemny chłód i dreszcze.

Została sama. Całkowicie sama. Tylko to kołatało jej się w myślach.

Nagle na głowie wisielca usiadł kruk. To ją oprzytomniło. Zerwała się i pobiegła do ciała, wymachując rękami i przepędzając ptaszysko.

Nie musiała się długo wysilać, bo ptak odleciał, zanim zbliżyła się na wyciągnięcie ręki.

Na sekundę zamarła, stojąc metr od Etaina. Zobaczyła z bliska jego twarz. Targnął nią potężny dreszcz i odwróciła się szybko. Opierając się ręką o drzewo, pochyliła się i zwymiotowała.

Podtrzymując się pnia, obeszła go i usiadła, oparłszy się o niego plecami. Nogi podkuliła pod brodę i objęła je ramionami.

Słabo się czuła. W uszach pojawiło się znajome ciepło, a przed oczami jej zamigotało. Zamknęła oczy i oparła głowę o drzewo. Powoli świat przestawał wirować, a żołądek zdawał się uspokajać.

– Jeszcze chwila... – mruczała do siebie. – Jeszcze tylko chwila i będę mogła zebrać myśli.

– Sheila?

Jej reakcja była natychmiastowa. Zerwała się, ale w głowie znowu jej się zakołowało i zanim na dobre wstała, upadła, potknąwszy się o korzeń. Dopiero wtedy usłyszała, że ktoś do niej podbiega.

Był szybki i zwinny. Zanim się podniosła, był już przy niej i przykucnął, zasłaniając sylwetką widok wisielca. Poczuła znajomy ziołowy zapach, którego nie umiała w tym momencie nazwać.

– Już w porządku. Jesteś bezpieczna.

Po raz pierwszy odkąd pojawiła się w Kazamatach, Sheila nie wyśmiała tego zapewnienia. Spojrzała na mężczyznę, który przyklęknął przy niej i zobaczyła dwoje niebieskich oczu przyglądających się jej z niepokojem.

– Leo? – powiedziała nieswoim głosem. Odchrząknęła i spróbowała zapytać głośniej: – Co tu robisz?

– Wszystko ci opowiem, tylko zabiorę cię stąd. Możesz wstać?

Przez moment zastanawiała się nad odpowiedzią, ale w końcu kiwnęła głową. Franck nie zwlekał. Wyprostował się energicznie, po czym podniósł ją jednym silnym ruchem.

– Nie patrz tam – powiedział stanowczo, kiedy Sheila ponad jego ramieniem chciała dojrzeć Etaina. – Chodźmy stąd.

Chciał pomóc dziewczynie, podtrzymując ją ramieniem, ale napotkał opór. Popatrzył na nią zaskoczony.

– Musimy go odciąć... i zakopać – wyszeptała, marszcząc brwi.

– To nie jest dobry pomysł.

Sheila spojrzała na niego z wyrzutem.

– Zjedzą go dzikie zwierzęta. – Jej głos brzmiał słabo i tak też się czuła. – Odetnij go, nie może tu zostać.

– Rozumiem, ale... nie mam czym wykopać dołu.

Na jego twarzy zobaczyła coś poza stanowczością. To chyba był niepokój.

– Odetnij go, proszę – jęknęła płaczliwie, a głos jej się załamał. Poczuła, że ramiona zaczęły jej drżeć, a oddech stał się urywany i przechodził w niekontrolowany szloch.

Leo też to zauważył i przeraził się jej dziwnym stanem. Spojrzał jej w oczy, a potem prawie niezauważalnie kiwnął głową.

– Pochowamy go, obiecuję. – Nie mówił głośno, ale i tak jego słowa brzmiały stanowczo. – Ale pozwól mi najpierw cię stąd zabrać. Lecisz z rąk.

Zawahała się. Mdliło ją i cały czas miała mroczki przed oczami. Pozycja pionowa nie podziałała na nią dobrze.

– Muszę usiąść – mruknęła i pozwoliła sobie pomóc w przybraniu wygodniejszej pozycji.

Przez chwilę oddychała głęboko z zamkniętymi oczami, a kiedy poczuła, że mdłości ją opuściły, uniosła powieki i spojrzała na mężczyznę.

– Co tu robisz? Jesteś sam?

Leo pokręcił głową i już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, ale w tym momencie powietrze przeszył świst. Siła, z jaką bełt niespodziewanie ugodził Francka w ramię, sprawiła, że mężczyzna o mało nie stracił równowagi. Zachwiał się i od razu chwycił za rękę, zaciskając zęby.

– Szlag! – warknął i podniósł się na równe nogi. – Uciekaj stąd! – nakazał.

Wyciągnął miecz i rozglądał się, ale nigdzie nie było widać napastnika.

– Co to...? – Sheila też rozglądała się nerwowo, ale po chwili skupiła wzrok na dowódcy buntowników, który zamaszystym ruchem wyszarpnął z kieszeni sporą fiolkę ze złotawym płynem i cisnął nią w najbliższe drzewo.

Przy kontakcie z korą szkło momentalnie się rozbiło, a znajdująca się w środku substancja eksplodowała z ogłuszającym hukiem.

Przez chwilę oślepił ich blask towarzyszący wybuchowi, ale oczy szybko powróciły do normalności. Sheila zakasłała, wdychając resztki opadającego pyłu.

– Sprytnie – usłyszała znajomy głos.

Nie widziała osoby, do której on należał, dopóki ta nie podeszła bliżej.

Major Danteil zatrzymał się wyprostowany, w rękach trzymając wycelowaną w Leo kuszę. Patrzył na niego chłodno.

Buntownik sprawnym ruchem wyciągnął pocisk z ramienia i odrzucił na ziemię.

– Jeden strzał to za mało, żeby mnie powalić – powiedział, patrząc na przeciwnika równie nieprzyjemnie.

– Jestem pewien, że wystarczy. – Danteil uśmiechnął się krzywo.

Sheila patrzyła to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, co powinna w tej sytuacji zrobić.

Nagle ręka Leo zadrżała i mężczyzna opuścił miecz niżej. Najwyraźniej był tym tak samo zaskoczony jak Sheila, bo zmarszczył brwi i spojrzał na swoje dłonie z niepokojem. Następnie zakasłał i zgiął się w pół, by po sekundzie opaść na kolana. Miecz spadł ciężko na ziemię, a dowódca buntowników podparł się ramionami, by nie upaść na twarz.

Na ten widok major schował kuszę i podszedł do Francka. Przykucnął i mocno odchylił głowę buntownika do tyłu.

– Mówiłem, że wystarczy. – Wzruszył ramionami.

– Zatruty bełt? Niezbyt to honorowe – wycedził Leo przez zaciśnięte zęby.

– Jesteś skazańcem, więc nie mam obowiązku traktować cię z honorami. Nie martw się. Nic ci nie będzie. To tylko mieszanka zwiotczająca mięśnie. Osłabi cię na kilka minut. Akurat tyle, żebym mógł cię porządnie związać.

Leo szarpnął się, ale ewidentnie nie zrobiło to wrażenia na majorze. Niski oficer bez najmniejszego problemu krępował ruchy znacznie potężniej zbudowanego przeciwnika.

– Zdążyłeś wezwać posiłki. – Danteil wskazał na resztki fiolki, które leżały niedaleko. – Ale twoi ludzie są za daleko, żeby dotrzeć tu na czas. – Nagle spojrzał prosto na Sheilę. – Ty możesz odejść. Verrad dotrzyma słowa. Nie będzie cię niepokoił.

Zainteresowanie, które okazał jej major sprawiło, że odzyskała głos.

– Zaplanowałeś to – powiedziała, marszcząc brwi. – Nie pomogłeś mi ze względu na sumienie, tylko po to, żeby dopaść jego.

Danteil nie wyglądał, jakby przejął się jej słowami.

– Mylisz się, sądząc, że to się wyklucza. – Wzruszył ramionami. – Zrobiłem to, co jest zgodne z moimi poglądami. Jestem wierny koronie, a Franck to wichrzyciel, którego należy osądzić i powiesić.

Leo zaśmiał się słabo.

– Szybki ten sąd, skoro już wydałeś wyrok.

Danteil odepchnął go i sięgnął po linę, którą miał przytroczoną do pasa.

– Obserwowałeś nas. – Sheila pokręciła głową z niedowierzaniem. – Czułam, że ktoś nam się przygląda.

Major sprawnie krępował ręce Leo, który oparł opadającą głowę o drzewo.

– Myślałem, że się wścieknę – powiedział oficer. – Siedziałaś tutaj, zamiast szukać Francka. Byłem już gotowy, żeby się ujawnić i opowiedzieć jakąś bajkę, która sprawi, że spanikujesz i pójdziesz na wschód. Ale na szczęście to nie było konieczne.

Sheila spojrzała na niego i wypełniła ją nowa fala złości. Poczuła, że oczy jej się zaszkliły. Były to łzy bezsilności.

– Byłeś tu cały czas? Widziałeś...? – Głos jej się załamał, ale szybko to opanowała. – Widziałeś jak Etain...? Nie powstrzymałeś go?

Major spojrzał na nią znacznie poważniej, przerywając na chwilę wiązanie nóg Francka.

– Zobaczyłem wszystko po fakcie – rzekł oschle. – Przykro mi, że tak się stało, ale... nie jestem zaskoczony. Jestem obyty z samobójstwami nowych. – Znów skupił się na zaciskaniu więzów. – Ostatecznie chyba wyszło mu to na dobre. Ciebie miałem puścić wolno, ale Etain był skazańcem, któremu zostały cztery lata odsiadki. Musiałbym go zabrać z powrotem do Twierdzy. Jeśli nie zabiłby się tutaj, to z całą pewnością zrobiłby to tam. Nie żałuj go, dziewczyno. Śmierć w jego przypadku była najlepszym, co mogło go tu spotkać...

Sheila nie mogła znieść dłużej słów oficera. Chwyciła zakrwawiony bełt, który Leo upuścił obok niej i rzuciła się na majora.

Był zaskoczony i nie uchylił się dostatecznie szybko. Sheila powaliła go na plecy i próbowała przystawić mu pocisk do szyi, by zmusić go do poddania się. Była to jednak bardzo naiwna próba. Danteil bez większych problemów odepchnął jej rękę i przekierował siłę tak, że po chwili szamotania to ona leżała na plecach, a on nad nią.

Usłyszała szybkie kroki. Ktoś nadbiegał. Oficer, który wykorzystał jej pomysł i przyłożył zimny metal pocisku do jej krtani, zorientował się za późno i otrzymał mocny cios w tył głowy.

Świadomość momentalnie odpłynęła z jego twarzy i runął nieprzytomnie na Sheilę, przygniatając ją swoim ciałem.

Nieco spanikowana dziewczyna zaczęła się niezgrabnie wygrzebywać spod mężczyzny. Kiedy wreszcie jej się to udało, szybko dorwała bełt, który wypadł majorowi z dłoni, gdy ten omdlewał, i wstała, wyciągając broń przed sobie.

Gregor, który był sprawcą całego zamieszania, uniósł ręce w obronnym geście, ale nie wyglądał na zbytnio zaniepokojonego. Raczej nie

wierzył, że Sheila mogła stanowić dla niego jakiekolwiek zagrożenie. Wiedziała, że niestety miał rację, ale i tak nie dawała za wygraną.

Opuścił ręce i przyjrzał się skrępowanemu Franckowi.

– Nóż kurwa, nie może być. – Pokręcił głową i uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Leonidas Franck pojmany – dodał patetycznie.

– Pierdol się – wycedził drugi mężczyzna, mierząc kapitana spojrzeniem spode łba.

– Reiven umrze ze śmiechu – nie przestawał go drażnić Gregor.

– Ty umrzesz, jeśli zaraz mnie nie rozwiążesz.

Ku zaskoczeniu Sheili, kapitan zaśmiał się krótko, a potem westchnął i schylił się do dowódcy buntowników, by rozciąć jego więzy. Otworzyła usta i zamknęła je od razu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Faktycznie donośne te wasze ładunki. – Skinął głową na resztki szkła przy drzewie. – Aż mnie poderwało. Rozdzieliliśmy się raptem kilkanaście minut temu, a ty już sobie beze mnie nie dałeś rady.

Leo odrzucił sznur, z którego wyswobodził ręce, i zajął się przecinaniem więzów na nogach.

– Osłabił mnie jakimś świństwem, które nałożył na bełt. Ale do dupy ta wasza mieszanka, bo już przestaje działać.

Gregor spoważniał i spojrzał na pocisk trzymany przez Sheilę.

– To nie nasz specyfik. Nie wiem, skąd go wziął, ale zapewne wystarczyło mu, żeby cię na chwilę powalić.

Leo kiwnął głową i wstał niepewnie, opierając się o drzewo. Dopiero wtedy uścisnęli sobie z Gregorem dłonie na przywitanie.

– Może mi ktoś wytłumaczyć, co się dzieje? – zapytała Sheila, nie opuszczając broni.

Oczy Gregora błysnęły i mężczyzna uśmiechnął się z politowaniem. Leo, wciąż słaby, ale usilnie trzymający się na nogach, mierzył ją swoim typowym ostrym spojrzeniem.

– A na co ci to wygląda? – prychnął kapitan. – Zaufałaś nie temu oficerowi, co trzeba. Przecież mówiłem, że nic ci nie zrobię.

Sheila zmarszczyła brwi i zrobiła gwałtowny krok w jego stronę.

– Nie zachęciłeś mnie do współpracy – wycedziła ze złością.

Irytowało ją, że wstyd nie pozwolił jej na powiedzenie wprost, że mężczyzna próbował ją zgwałcić. Wiedziała, że to nie ona powinna była czuć zażenowanie, ale nic nie mogła poradzić na to, że coś powstrzymywało jej słowa przy osobie trzeciej, jaką był dowódca buntowników.

Leo przerzucił badawcze spojrzenie na Gregora, ale nic nie powiedział.

Kapitan westchnął zniecierpliwiony i założył ręce na piersi.

– To chyba oczywiste, że musiałem grać przed resztą? Od lat nie robię niczego innego. – Wzruszył ramionami. – Nawet ty musiałaś się mnie bać. To właśnie sekret mojego sukcesu. Wszystko by się udało, gdyby nasz major nie wkroczył z własnym planem.

Spojrzeli na nieprzytomnego mężczyznę. Gregor kucnął i przewrócił Danteila na plecy, a potem dokładnie przyjrzał się jego twarzy.

– Byłeś bardzo przekonujący – mruknęła Sheila z przekąsem.

– Jakbym był nieprzekonujący, to już dawno by mnie wykryli – odparł sarkastycznie. – Słuchaj, przykro mi, że musiałem się pokazać z takiej strony, ale inaczej się nie dało. I tak nadstawiam karku. A z tobą nigdy nic nie wiadomo. Wolałem nie ryzykować, że mnie zdradzisz zbytnią sympatią. Kiedy wyskoczyłaś na mnie z tym śmiesznym kawałkiem szkła, wiedz, że przyszedłem, żeby cię uwolnić.

– Niby jak? – prychnęła.

Leo wyprostował się nieco, ale widać było, że wciąż z trudem kontrolował swoje ciało.

– Tak jak zaplanował z Reivenem – odezwał się. – Gregor przedstawił Verradowi pomysł nasłania cię na mnie – wyjaśnił. – Po drodze miało dojść do komplikacji. Powiedziałby, że uciekłaś i tak dalej. – Machnął ręką.

Kapitan podniósł się i pokiwał głową.

– Nikt by nie podejrzewał, że zdradziłem. Przez parę dni chodziłbym wkurwiony i bluzgał na Francka, który mnie przechytrzył.

– Planowaliście odbicie mnie? – zapytała nieco spokojniej.

Buntownik wzruszył ramionami.

– Reiven ustalił szczegóły. Taka jesteś zaskoczona?

Zmarszczyła brwi w zamyśleniu, a potem uniosła podbródek.

– Nie – odparła. – W zasadzie w ogóle nie powinnam się dziwić. Widać Reiven naprawdę potrzebuje dostaw od Benna.

– Tak, znam jego plany – przyznał Leo.

Prychnęła cicho.

– Domyśliłam się. Jesteś tu, więc tobie też musi zależeć na tej sprawie.

Leo nie odpowiedział, ale zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

– No dobra – zniecierpliwił się kapitan. – Walnąłem go porządnie, więc jeszcze długo będzie nieprzytomny. – Wskazał na majora u swoich stóp. – Ale i tak czas na was. Masz swoją dziewczynę. Pozdrów Reiva.

Leo pokiwał głową.

– Lepiej stąd chodźmy. Obmyję tylko ramię.

Sheila widziała, że wyglądał trochę lepiej, gdy podszedł do szałasu i tam zajął się bandażowaniem ramienia. Spojrzała na kapitana, który również jej się przyglądał, przywołując na twarz lekki uśmieszek.

– Naprawdę uwierzyłaś Danteilowi? – zapytał z wyraźną kpiną w głosie.

– Ty nie byłeś dostatecznie ujmujący – odpysknęła.

Zaśmiał się z politowaniem.

– Rozumiem, że w Twierdzy nie darzyłaś mnie sympatią, ale teraz widzisz, że jestem twoim sprzymierzeńcem. Próbowałem ci pomóc. I ostatecznie mi się udało. Gdyby nie ja, Leo trafiłby na szafot, a ty miałabyś przedziurawione bełtem gardło.

– Istny anioł z ciebie – rzuciła. – Dlaczego współpracujesz z Wolną Kompanią?

Gregor ostentacyjnie pogładził się po brodzie, udając zamyślenie.

– Nie mogę znieść niesprawiedliwości, jaka panuje w Twierdzy.

Spojrzała na niego krzywo, na co westchnął nieco znudzony.

– Pozwoliłem się zwerbować Reivenowi. Ma dar przekonywania.

Sheila prychnęła cicho i założyła ręce na piersi.

– Coś w tym jest – mruknęła cicho. – Czym cię przekonał? Co takiego mógł ci zaoferować, czego nie załatwiłbyś sobie sam na swoim stanowisku?

Kapitan zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Zawsze wypytujesz ludzi o ich prywatne sprawy tak ostentacyjnie i myślisz, że ci odpowiedzą? – zadrwił. – Reiv miał rację. Jesteś niemożliwa.

– Tak powiedział? – zainteresowała się. – A nie użył raczej słowa: walnięta, nienormalna albo naiwna?

Gregor popatrzył na nią badawczo.

– Pewnie właśnie to miał na myśli. – Wzruszył ramionami. – Dlaczego tak trudno jest ci po prostu zaakceptować fakt, że jestem twoim sprzymierzeńcem? Normalna osoba ucieszyłaby się, że ktoś pomógł jej w trudnej sytuacji. A ty musisz drążyć, czepiać się i doszukiwać nieistniejących problemów. Nie podoba mi się działanie Verrada i tyle. Ot, cała tajemnica.

– Ale to ty werbujesz do jego armii skazańców – rzuciła, starając się zrozumieć. – Przyczyniasz się do tego, że sytuacja w Twierdzy jest coraz gorsza.

Kapitan wymownie spojrzał w górę i wydawał się być coraz bardziej zniecierpliwiony tłumaczeniem jej oczywistych rzeczy.

– Już to mówiłem. Muszę grać skurwiela, bo dzięki temu jestem ostatnią osobą, którą ktokolwiek podejrzewałby o współpracę z Franckiem.

– To fakt – wtrąciła się. – Nadal trudno mi w to uwierzyć.

– No widzisz? Pomoc i możliwości, które otrzymuje ode mnie Wolna Kompania, są stokroć istotniejsze niż rzeczy, które robię dla zacho-

wania pozorów. Zamiast pytać, ilu skazańców udupiłem, zapytaj, ilu z nich znalazło dzięki mnie azyl u buntowników.

Sheila odwróciła głowę i zacisnęła usta. Bardziej interesowało ją to, ilu z tych, którym kapitan pomógł uciec, miało już odbyte wyroki, a ilu wyswobodzono zbyt wcześnie. Tego pytania jednak nie zadała. Kiedy po chwili znowu spojrzała na mężczyznę, zerkał na nią z zaciekawieniem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął papierosa.

– Tak sobie na ciebie patrzę – zaczął i wydmuchał szary dym. – I coś mi się widzi, że ty jednak jesteś trochę pieprznięta. Właśnie was uratowałem. Możesz wrócić do buntowników. A ty zamiast chociażby... no nie wiem... westchnąć z ulgą, tylko stoisz nastroszona i syczysz na mnie.

Odrzuciła bełt, który wciąż trzymała w dłoni, i podeszła bliżej do rozmówcy.

– W porządku. Współpracujesz z buntownikami. Rozumiem – zaczęła, patrząc mu w oczy. – Musisz udawać, niech będzie. Wierzę, że ryzykujesz dla sprawy. Co prawda, nie wiem, jaki masz w tym interes, ale widocznie uznałeś, że opłaca ci się podjąć to ryzyko. Wierzę, że faktycznie planowałeś wyswobodzenie mnie. – Nagle ściszyła głos. – Ale nie wierzę w jedną rzecz. Wtedy, w pokoju na piętrze, nie udawałeś.

Jego oczy błysnęły, gdy patrzył na nią intensywnie i uśmiechał się tajemniczo.

– Nie udawałem – przyznał, nie zmieniając wyrazu twarzy, i zaciągnął się papierosem, po czym bardzo powoli wydmuchał dym. – Pomyślałem, że skorzystam z okazji, zanim oddam cię buntownikom. Opłaciło się. Wszyscy myśleli, że faktycznie mam na ciebie ochotę i tylko to mną kieruje. Jakbym miał wtedy więcej czasu, przeleciałbym cię. Umowa z Reivenem nie zakładała, w jakimś stanie im cię zwrócę – dodał, a w Sheili zawrzała złość, kiedy mówił o niej jak o rzeczy, którą można było przekazywać sobie z rąk do rąk.

Pamiętała, że policzek, który wymierzyła Leo Franckowi podczas ich pierwszego spotkania był impulsem, który zrodził się nagle i niespo-

dziewanie. Z Gregorem było inaczej. Zamierzała go uderzyć od chwili, gdy zaczęła do niego podchodzić. Kiedy skończył mówić, zamachnęła się szybko i spoliczkowała go precyzyjnie, bez zawahania.

Leo spojrzał na nich zaskoczony, kończąc opatrywanie rany.

Kapitan odwrócił twarz pod wpływem uderzenia, ale jego mina prawie się nie zmieniła. Po sekundzie poszerzył nieco uśmiech i spojrzał na nią z lekkim zaciekawieniem. Pomasował czerwieniącą się skórę i ponownie przyłożył papierosa do ust.

– Więcej nie sięgnę bez pytania – powiedział cicho i zbliżył twarz do jej twarzy. – Ale nie pogardzę, jeśli sama zechcesz mi coś zaoferować.

Poczuła dym, który wydmuchał chwilę później, jednak nie z tego powodu się skrzywiła.

– Niedoczekanie – prychnęła. – Jesteś obleśny. Mógłbyś być moim ojcem.

Zmarszczył brwi w udawanym oburzeniu.

– Chyba bardzo młodym ojcem – żachnął się i zaśmiał, prostując plecy.

Rzucił wypalonego papierosa na ziemię i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Trzymaj, przyda ci się. – Wyciągnął w jej stronę dłoń ze średnich rozmiarów nożem myśliwskim, a kiedy zaskoczona po niego nie sięgnęła, westchnął zniecierpliwiony i wcisnął go jej do rąk. – Masz coś z głową? Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? – W końcu uspokoił ton. – Nie dąsaj się. To prezent ode mnie. Na dowód mojej dobrej woli.

Sheila opuściła wzrok na nóż. Był wykonany prosto, ale porządnie. Świetnie nadawał się do lasu. Nie miał bogatych zdobień, za to wygodnie wyprofilowany trzonek wyłożony skórą i jasne ostrze wykonane ze srebrnego żelaza.

Leo podszedł do nich, zerkając badawczo to na jedno, to na drugie. Gregor westchnął i zwrócił się do niego dziarsko:

– Zrobiłem swoje. Teraz wy się z nią użerajcie. Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, czy dodatkowe dostawy z zewnątrz są warte znoszenia tego

nieustannie krzywego spojrzenia i kwaśnego humoru. No nic. Zabieram majora do naszych.

Sheila odeszła kilka kroków, rozmyślając nad obecną sytuacją. Zanim jednak zdołała się skupić, Leo zostawił kapitana zajmującego się nieprzytomnym Danteilem i podszedł do niej.

– Czy walenie po mordzie to twój normalny sposób rozmowy? – zapytał z wyrzutem, ściszając głos.

Rzuciła mu ostre spojrzenie i pokręciła głową.

– „Walenie po mordzie" zostawiam sobie na specjalne okazje, tylko jeśli ktoś naprawdę zasłużył.

W jego jasnoniebieskich oczach pojawiły się znajome iskry irytacji.

– Chodzi ci o tamto nieporozumienie? – syknął jeszcze ciszej niż poprzednio. – Nie będę się kajał w nieskończoność.

Prychnęła.

– To się nie kajaj. – Wzruszyła ramionami. – Chodziło mi o to... że Gregor faktycznie sobie zasłużył.

Zacisnął zęby i wyglądało, że nieco się zmieszał.

– Można wiedzieć, czym?

– Nie – odparła tak szybko i ostro, że sama była tym zaskoczona. Westchnęła. – Sprawa załatwiona – dodała spokojniej i odwróciła wzrok.

Przez chwilę wydawało się, że Leo miał ochotę drążyć temat, ale, ku jej uldze, powstrzymał się. Pokiwał głową i zamknął oczy. Wyglądało, jakby odczuwał jeszcze resztki działania tajemniczej mieszanki majora.

– Czy możemy zawrzeć pakt na czas powrotu do obozu? – zapytał, siląc się, by jego głos nie brzmiał słabo. – Proponuję zawieszenie broni póki nie ochłoniemy. Wtedy porozmawiamy na spokojnie o tym, co dalej.

Potarł oczy, a w tym czasie Sheila zaczęła z zakłopotaniem przyglądać się swoim dłoniom.

Jego propozycja była sensowna i może doceniłaby staranie, gdyby nie to, że stanęła przed poważnym dylematem. Nie wiedziała, jak Leo zare-

aguje na wiadomość, że nie uśmiechało jej się wracać razem z nim. Być może uważał, że po uwięzieniu przez Verrada dziewczyna przejrzała na oczy i nie wzgardzi po raz drugi pomocą buntowników. Ale ona obawiała się, że zarówno dowódca, jak i Reiven nie zgodzą się drugi raz ryzykować wysłanie jej do myśliwych. Przyszło jej nawet do głowy, żeby wrócić do południowego lasu, nie wtajemniczając dowódców. Bała się, że dla bezpieczeństwa swojej sprawy, zechcą zatrzymać ją w obozie, choćby siłą. Z tego, co mogła wywnioskować po zaangażowaniu w jej ochronę, Wolnej Kompanii zależało na doprowadzeniu planu z listem do końca.

– Czy milczenie oznacza zgodę? – zniecierpliwił się. – Możemy już iść?

– Najpierw musimy pochować Etaina – powiedziała stanowczo. – Obiecałeś.

Otworzył usta i zamknął je szybko. Spojrzał na wiszące ciało i westchnął niezadowolony.

– Zdaje się, że faktycznie obiecałem.

* * *

Sheila dokończyła opowieść przy akompaniamencie przerzucanej ziemi. Siedziała w swojej ulubionej pozycji, opierając łokcie na kolanach, i patrzyła na Leo, który sprawnie radził sobie z porośniętą mchem i obsypaną liśćmi ściółką. Na jego czole połyskiwały maleńkie krople potu. Jak na tempo pracy, przejawiał godną podziwu kondycję.

– No a potem pojawiłeś się ty. Dalszy ciąg znasz – zakończyła, splatając dłonie.

Dowódca buntowników zamaszystym ruchem wbił łopatę w świeżo usypaną górę i westchnął krótko.

– Nieźle – skwitował, a Sheila lekko się uśmiechnęła.

– Miałam sporo szczęścia. Bez pomocy Williama no i mimo wszystko Danteila...

– Miałem na myśli moją robotę – rzucił.

Przez chwilę miała ochotę mu odpysknąć, ale zauważyła lekki uśmiech na jego twarzy, kiedy ocierał czoło, i postanowiła nie odbierać mu satysfakcji z udanego żartu.

– Oddasz to? – Wskazała na narzędzie pracy, ale po jego minie domyśliła się, że był zaskoczony jej naiwnością.

Łopatę zdobyli dzięki Gregorowi. Sheila nie pytała, w jaki sposób kapitan odebrał ją właścicielowi. Było oczywiste, że skazańcy byli bezradni wobec rozkazu oficera.

– A wracając do twojej ucieczki... też nie najgorzej. – Podszedł do niej i sięgnął po swój miecz, który bezwiednie gładziła po trzonku. – Czmychnęłaś Verradowi w biały dzień. To było ryzykowne. No i trochę bezczelne.

Sheila nie odpowiedziała. Okroiła mocno swoją historię, niewiele miejsca poświęcając poszczególnym postaciom i skupiając się raczej na ogólnej relacji. Ze znacznie większą dokładnością opisała Franckowi chodzenie po kanałach i głodówkę w celi, marginalizując takie sprawy jak dwie próby gwałtu czy to, że przez chwilę była gotowa faktycznie wystawić dowódcę strażnikom. O Etainie też wypowiedziała się szczątkowo. Nie chciała mówić o nim niczego nieprzychylnego, a kiedy wszystkie takie rzeczy odcedziła, niewiele już zostało do powiedzenia o jej towarzyszu.

– Zaczynam rozumieć – powiedział, kiedy chwilę później szli powoli po ciało, by przenieść je do rozkopanego dołu. – Chcesz mu oddać szacunek, którego nie zyskał za życia. To bardzo... szlachetne.

Wyczuwała w jego głosie, że nie były to słowa podziwu.

– Może i domyślasz się, o co mi chodzi, ale to nie znaczy, że mnie rozumiesz – powiedziała spokojnie, ale nieco chłodniej.

– Pewnie masz rację. – Wzruszył ramionami. – Nie rozumiem. Ten chłopak, z tego co mówisz, nie podjął walki o godność.

– Ja po prostu... – zawahała się Sheila, dorównując mu kroku mimo utykania. – Wszyscy pogardzili jego ciałem. Tłukli go do nieprzytomności dla zabawy, robili z nim, co chcieli dla własnej przyjemności. Odmó-

wili mu podstawowej godności. Nie chcę go zostawić, choć tak byłoby wygodniej. Bo to trochę tak, jakbym pogardziła nim jak tamci. Odebrano mu wszystkie prawa, ale prawa do pochówku mu nie zabiorą.

Leo milczał, a Sheila czuła, że tym razem przysłuchiwał jej się z większym zastanowieniem i powagą.

– No i ten sznurek – dodała, czując jak głos niebezpiecznie jej się łamał. Chciała jednak, żeby Leo choć trochę zrozumiał, co nią kierowało, dlatego wzięła się w garść i kontynuowała: – On nie mógł znaleźć go w lesie. Niby z czego by go ukręcił? On go miał przy sobie, odkąd uciekliśmy z Twierdzy. Od tej piwnicy... odkąd przeszkodziliśmy mu w samobójstwie.

Leo nadal milczał, a Sheila zaczęła mówić szybciej.

– Chciał się wtedy powiesić. Dlatego został w piwnicy, dlatego nie chciał z nami iść. – Wszystko układało się w całość w jej głowie. – Zarzekał się, że nie wyda majora. Pewnie, że by nie wydał, bo nie planował już dłużej żyć. Podjął decyzję już wtedy. Szansa, którą dostał, nie zmieniła tego postanowienia. Rozmawiałam z nim, a on wiedział, że się zabije. Miał ten sznurek w kieszeni i wiedział, że w końcu go użyje.

Urwała. Poznała miejsce, w którym byli.

– Zostań tutaj – powiedział Leo stanowczo, ale ona ruszyła naprzód.

Pomyślała, że powinno być dla niego oczywiste, że go nie posłucha. Leo nie był chyba przyzwyczajony do bagatelizowania jego rozkazów, bo po chwili przyspieszył kroku, a jego wyraz twarzy był znacznie bardziej hardy. Za chwilę mieli dotrzeć do miejsca, gdzie wisiał Etain. Sheila przygotowała się psychicznie do tego widoku, ale nie była pewna, czy to coś pomoże. Bardzo chciała zachować zimną krew.

Nie było jej dane przekonać się, na ile zdołała się uodpornić, bo zanim zobaczyli ciało, Sheila usłyszała w oddali wysoki skrzek. Leo zdawał się mieć mniej wyczulony słuch, więc chwyciła mężczyznę za ramię i zatrzymała. Spojrzał na nią i nasłuchiwał. Niedaleko dźwięczał urywany, cichy odgłos przypominający krótkie krakanie, ale znacznie cieniej i wyżej niż miały w zwyczaju odzywać się kruki. Sheili ten odgłos kojarzył

się z chmarami gęsi, które zbierały się na polach jesienią i planowały odlot w cieplejsze strony świata. Wiedziała, jakie zwierzę wydawało taki odgłos. Ewidentnie mieli do czynienia nie z jednym, a kilkoma przedstawicielami gatunku.

– Sępice – jęknęła i rzuciła się pędem w stronę, z której dobiegały ją popiskiwania.

Leo warknął, żeby zaczekała, ale nie oczekiwał, że posłucha i od razu pobiegł w tę samą stronę.

Po kilkunastu sekundach dotarli do wisielca. Sheila stanęła jak wryta, oglądając się dookoła za jakąś bronią. Jedyne, co się nadawało, to malutki nożyk od Willa, większe ostrze od Gregora i krucha, ale dość wygodna gałąź, która leżała niedaleko niej. Niedokończony łuk na jej plecach nie mógł jej się jakoś szczególnie przydać.

Trzy dorosłe sępice i jeden młodszy osobnik pierzchły od ciała i w ferworze poszybowały na Sheilę i Leo z krzykliwym skrzeczeniem. Dziewczyna dostrzegła, że z nóg Etaina obficie spływała krew. Z czegoś, co wcześniej było stopami, zwisały strzępy skóry i mięsa. Nie miała czasu się wzdrygnąć, bo dwa rozwścieczone ptaki już były przy niej. Kij, który trzymała w rękach, instynktownie rzuciła w jednego z nich. Trafiła, co nie było wyczynem. Tak jak podejrzewała, gałąź była bardzo krucha i nie wytrzymała starcia ze zwierzęciem, łamiąc się z trzaskiem. Udało jej się jednak obalić sępica, zyskując kilka sekund. Drugi był już przy niej. Sprawnie dobyła nożyka, który ewidentnie nie zrobił wrażenia na zwierzęciu. Spływająca mu z dzioba świeża krew Etaina za chwilę zmieszałaby się z jej własną, gdyby w porę nie nadszedł Leo ze swoim mieczem. Bez zadyszki rozprawił się kilkoma trafnymi cięciami z młodym osobnikiem i jego matką, niewiele dłużej zajęło mu zabicie pozostałych zwierząt.

Odrąbana głowa ostatniego sępica poszybowała w powietrzu, zataczając zgrabny łuk nad Sheilą i obryzgując ją krwią. Następnie opadła i wbiła się dziobem w miękką ściółkę obok uciętego skrzydła młodego ptaka.

Przez chwilę Sheila zastanawiała się, czy był sens ścierać z policzków czerwony płyn, bo tylko bardziej go rozmazywała. Leo patrzył na nią przez chwilę, a potem spokojnym ruchem wyciągnął zza pazuchy jakąś szmatkę, która z bliska okazała się prostą chusteczką ze skromnym zdobieniem w rogu. Podał ją Sheili.

– Dziękuję – powiedziała, biorąc do ręki miękki materiał, który wyraźnie zszarzał, ale niegdyś musiał być śnieżnobiały. – Za to... i za uratowanie życia – dodała, ocierając czoło. Po chwili chustka była cała w brudzie i pocie zmieszanym z krwią.

– Zatrzymaj ją – powiedział Leo, zanim skończyła wycieranie twarzy. – Zbierajmy się stąd.

Po raz pierwszy w zupełności się z nim zgadzała.

* * *

Sheila bardzo chciała wymazać z pamięci obraz wrzuconego do dołu Etaina. Trupio blada twarz była jeszcze chudsza i bardziej zapadnięta niż za życia. Sińce pod oczami przybrały wręcz karykaturalny odcień bordowego. Szyję przecinała ciemna pręga od sznura. Kościste ciało chłopaka tonęło w zbyt luźnym ubraniu. Jednak najbardziej koszmarnie wyglądały jego nogi. Pomyślała, że to co zostało ze stóp, kiedy dorwały się do niego sępice, będzie ją prześladować w snach do końca życia. Do gołych kości przytwierdzone były nieliczne kawałki mięsa, których ptaki nie zdążyły pożreć. Skóra wiła się w poszarpanych strzępach. Krew już nie płynęła, ale lśniła zakrzepnięta, wieńcząc ten makabryczny widok.

– Ja też tak skończę. – Sheila powiedziała to, o czym myślała od jakiegoś czasu.

Leo spojrzał na nią tym razem nie zniecierpliwiony, nawet nie zły. Był zwyczajnie zaskoczony. Bez słowa zaczął zamaszyście przysypywać ciało Etaina ziemią. Najpierw zniknęły im z oczu makabryczne nogi, po-

tem zapadnięta klatka piersiowa i wreszcie upiorna twarz. Sheila zdążyła zauważyć, że wyraz tej twarzy, choć brzydki, był spokojny.

– Nie był jedynym, który przeżywał piekło – odezwał się w końcu dowódca, nie przerywając zakopywania. – Był słaby i nie pogodził się z losem.

Sheili nie podobał się jego ton, ale po chwili pomyślała, że chyba mieli to samo na myśli. Ona po prostu była delikatniejsza w opisaniu tego.

– Tak, masz rację – przyznała. – Stracił nadzieję.

Leo prychnął cicho.

– Niektórzy nazywają to nadzieją. Ale to poetyckie i mało konkretne.

– A ty jak to nazywasz?

Nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Przeżyje ten, kto ma jakiś cel. Twój przyjaciel zginął, bo nie miał już o co walczyć.

Sheila przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Myślę, że mówimy o tym samym. Z tym że ja mu trochę współczuję.

– Nie dziwi mnie to. Jesteś wrażliwa i jest ci przykro z powodu tego, co go spotkało – mówił, wzruszając ramionami, jakby tłumaczył jej działanie jakiegoś rolniczego narzędzia. – Ale prawda jest taka, że albo sobie radzisz, albo gnijesz w ziemi.

– Mówisz tak, jakby to była jego wina. TYLKO jego.

Leo przerwał na chwilę pracę i spojrzał jej w oczy, oparłszy się na łopacie.

– Radzisz sobie albo giniesz – powtórzył dobitniej niż poprzednio.

– Wygodny sposób na wyzbycie się odpowiedzialności za jakiekolwiek działanie.

– Zamiast filozofować, pogódź się z tym, że ten chłopak i tak zabiłby się prędzej czy później. O ile zdążyłby, zanim ktoś inny by mu nie pomógł. Przynajmniej w tej kwestii zadecydował sam.

Sheila czuła coraz większe rozdrażnienie.

– To nie ja tu filozofuję. – Minimalnie podniosła głos. – Twierdzisz, że wolisz konkrety, ale chyba tylko kiedy są ci na rękę. Faktem jest, że Etain

był słaby i tchórzliwy. Nie przeczę temu. Ale to nie zdejmuje odpowiedzialności z Festera i jego kumpli za to, co mu zrobili. Nie wierzę, że przez tyle dni Etain nie miał szansy się powiesić. Na pewno miał, ale jakoś się na to nie zdecydował – mówiła coraz szybciej, a Leo patrzył na nią intensywnie. – Bili go cały czas, głodował, a mimo to jakoś dawał sobie radę. Aż w końcu go złamali. Zrobili coś, co sprawiło, że nie chciał żyć.

Przez chwilę milczeli, a potem dowódca powoli spuścił głowę i wrócił do zasypywania grobu.

– Skąd pewność, że wydarzyło się coś takiego? – zapytał niespodziewanie spokojnie, a Sheila wiedziała, że myślą o tym samym. – Może po prostu chciał przerwać te tortury?

– Nie – powiedziała stanowczo. – Nie sądzę. Przecież uwolnił się od bicia. Gdyby chodziło tylko o tę próbę w piwnicy, to uwierzyłabym. Ale on zyskał wolność. Nie musiał już uciekać przed Festerem. Zabrzmi to może filozoficznie, ale on... nie mógł siebie znieść, tak myślę. Tego, co mu zrobili.

Gdyby Leo widział Etaina żywego, gdyby z nim rozmawiał, na pewno też nie miałby wątpliwości. Ale mimo że opierał się tylko na słowach Sheili, zaczynał wierzyć i rozumieć, że dziewczyna zapewne miała rację. Dało się to odczytać w jego wyrazie twarzy.

– On miał ten sznurek przy sobie cały czas – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. – Jego sytuacja się zmieniła, ale on już zdecydował. Chodziło o coś, co odbiło na nim piętno... nie umiał sobie z tym poradzić.

Przez chwilę milczeli, a potem Leo znowu się odezwał, nie patrząc na nią, tylko przyklepując ziemię, którą usypał na grobie.

– Dlatego myślisz, że skończysz jak on? – zapytał. – Tak mi się wydaje, że nie obawiasz się swojej sytuacji, tylko tego, że... stracisz tę swoją nadzieję.

Nie od razu znalazła w głowie odpowiedź.

– Mówiąc konkretniej, on się nie przystosował. Nie zaakceptował swojego losu. Nie poradził sobie z tym – szepnęła.

– Ty też nie, prawda?

Nie wiedziała, dlaczego tak trudno było jej to wszystko ubrać w słowa. Nie była pewna czy Leo był osobą, której chciała się zwierzać, ale trafnie odczytywał jej myśli, więc upatrzyła w tej rozmowie okazję do uwolnienia się od tego, co ją dręczyło.

– Nie umiem się pogodzić z tym, że tu jestem – wyznała powoli, starając się odpowiednio dobrać słowa. – Nie umiem dostosować się do zasad, które tu panują. Przecież to widzisz. Te włosy... – Złapała w palce końcówkę warkocza i zaczęła ją niedbale miętosić w dłoni. – One mi to uświadamiają. Przecież to oczywiste, że pierwsze, co powinnam zrobić, to je obciąć i przebrać się za mężczyznę. Bieganie z długimi kudłami w okolicy Twierdzy to była co najmniej głupota. Dlaczego ich nie obcięłam? Bo... bo jestem idiotką! Bo łudziłam się, że za chwilę stąd odejdę i wszystko wróci do normy. Ale ja tu wciąż jestem i nie zapowiada się, żeby miało być inaczej, a włosów wciąż nie ścinam. Dlaczego?!

Leo wbił łopatę w ziemię i podszedł do niej. Położył jej twarde dłonie na ramionach i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Bo masz nadzieję? – zapytał. – To chcesz usłyszeć?

Kiwnęła głową z przekonaniem.

– Tak. Z jakiegoś powodu wciąż mam nadzieję. Ale czuję, jak szybko ona ze mnie uchodzi. Zaczyna to do mnie docierać. No wiesz... jeśli nawet skontaktuję się z Bennem, to nadal nie rozwiązuje problemu wydostania się stąd. Dopóki jestem w biegu i nie mam czasu się nad tym zastanowić, jeszcze mam siłę, ale w końcu się zatrzymam i boję się, że wtedy dotrze do mnie, że tu utknęłam. A ja... – ciągnęła ciszej. – Ja tu nie zostanę. Powoli mnie to wykończy. Albo ktoś mnie dorwie i zrobi coś takiego jak Etainowi, czym przyspieszy całą sprawę. Ileż razy uda mi się umknąć...?

Urwała, ale za późno. Leo spojrzał na nią badawczo i wiedziała, że coraz więcej się domyślał.

– Chyba czas trochę rozplątać te twoje zawiłe myśli – powiedział nieco lekceważącym tonem. – Dobrze jest być przewidującym, ale ty masz chyba tendencję do czarnowidztwa.

Skrzyżował ręce na piersi i patrzył na nią z góry.

– Dzięki. To mi pomogło. Od razu jest mi lżej na sercu i mam chęć do działania – rzuciła z sarkazmem i również skrzyżowała ręce.

– Nie jestem od tego, żeby cię pocieszać. Posłuchaj... Cholera jasna, choć raz posłuchaj, co się do ciebie mówi – warknął, bo już otwierała usta, żeby mu przerwać. W jego oczach jednak nie było złości. – Masz szansę nauczyć się na cudzych błędach. To trudna sztuka i tylko najmądrzejsi ludzie to potrafią, więc nie liczę na cuda, ale możesz udowodnić, że się mylę – prowokował. – Widzisz teraz, że kto się nie przystosuje, ten ginie. No to się przystosuj.

Brzmiało to banalnie prosto i Sheila gdzieś głęboko w środku wiedziała, że miał rację.

– Jedyną szansą na opuszczenie Kazamatów jest dożycie do dnia, w którym klątwa upadnie. Po prostu przetrwać... za wszelką cenę. To jest jedyna zasada, jaka rządzi tym miejscem.

– Tak... ale... – Zawahała się, a potem spojrzała na świeży grób Etaina. – Czy nie rozumiesz, że to właśnie jest problem? Czasami nie chcemy już... trwać. Nie chcemy znosić ani jednego dnia dłużej.

Milczeli jakiś czas, a potem Sheila zapytała:

– Leo... powiesz coś? – Nie była pewna, ale zdawało się, że po raz pierwszy zwróciła się do niego bezpośrednio imieniem.

Dowódca buntowników przez chwilę wyglądał, jakby chciał odmówić, ale potem niechętnie wyprostował się i wyciągnął zza pazuchy butelkę. Odkorkował ją i w powietrzu od razu rozniósł się zapach alkoholu. Mężczyzna podszedł bliżej małego kopca ziemi i pokropił go obficie. Sheila wiedziała, że zrobił to, aby zmylić węch padlinożerców. W innym wypadku ciało wygrzebałyby sępice albo inne zwierzęta.

– Oddajemy ziemi ciało Etaina – zaczął Leo, gdy ponownie stanął obok Sheili i razem patrzyli na grób. – A świętemu heroldowi oddajemy jego duszę. Niech zaniesie ją przed oblicze Stwórcy. Fairze, wyrwij go z ciemności ziemi. Niczyim już nie jest dłużnikiem. Niech spoczywa w pokoju.

Leo zakończył tę krótką mowę, która była najprostszą formą typowego przemówienia, jakie Sheila słyszała na niejednym pogrzebie. Pozostało jeszcze umieszczenie kamienia na sztorc. Kiedy mężczyzna się tym zajmował, Sheila wyciągnęła z kieszeni kilka stokrotek zerwanych po drodze wraz z korzeniami. Zakopała je w miękkiej ziemi. Leo zauważył ten gest, ale postanowił go nie komentować.

Stanęli nad grobem po raz ostatni, wiedząc, że muszą się zbierać do drogi.

– Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? – zaczęła. – To, że trochę go rozumiem. Chciał chociaż w tej kwestii zadecydować. No i się stąd uwolnił.

– Tak myślisz? Że się uwolnił? – zapytał Leo szczerze zaskoczony. – A ja widzę przed sobą grób chłopaka, który zostanie w Kazamatach już na zawsze.

* * *

Nie mieliby zbyt dużych szans, nawet gdyby zauważyli go od razu. Potwór wyskoczył na nich nagle. Nie zdążyli jeszcze na dobre wyruszyć spod grobu Etaina, kiedy zza krzaków doszedł ich odgłos głębokiego warczenia. Usłyszeli bydlę na sekundę przed tym jak je zobaczyli. Sheila nie wiedziała co to za zwierzę, ale Leo ją uświadomił.

– Goniec – warknął ze złością.

Dobył broni w ostatniej chwili. Goniec był niewiarygodnie szybki. Na pierwszy rzut oka przywodził na myśl nienaturalnie wyrośniętego psa, ale miał bardziej umięśnione ciało, pokryte szaroczarnym, sztywnym futrem. Jego wielka paszcza, gęsto wypełniona kłami, szczekała zajadle. Żółte ślepia świdrowały wściekle.

– Uciekaj stąd! – ryknął Leo do dziewczyny, nie odrywając oczu od bestii.

Goniec zaatakował błyskawicznym doskokiem. Sheila wiedziała, że nawet uzbrojona po szyję nie miała szansy się bronić. Jednak wiedziała też, że ucieczka niewiele pomoże, bo jeśli zwierzę zechce, to dogoni ją w

kilka sekund. Nie chciała zostawiać Leo, ale stanie w miejscu nie mogło przynieść nic dobrego. Paraliżował ją nieco widok bestii, nieprzeciętnie zajadłej w swoich atakach. Wreszcie miała okazję przekonać się, ile prawdy było w opowieściach o dzikości północnych lasów w Kazamatach.

Leo rzucił się z impetem na gońca, który uskoczył przed ciosem z głośnym szczeknięciem. Mężczyzna wykonał półpiruet, by uniknąć silnej łapy opancerzonej w ostre pazury, która wystrzeliła w jego stronę. Leo umiejętnie balansował na stopach, szukając okazji do ataku. Sheila zauważyła, że jego ruchy były przemyślane i profesjonalne. Ciągnący się taniec uników i ataków robił wrażenie. Niestety zwierz był rozjuszony i napierał prawie bez wytchnienia, nie dając Leo zbyt dużego pola manewru. Gdyby coś rozproszyło bestię, można byłoby zadać wystarczająco silny cios. Sheila pomyślała o czymś okropnie głupim.

– Leo się wścieknie – mruknęła pod nosem, ale bez dłuższego zastanowienia zaczęła szukać w mchu kamieni. Nie było trudno znaleźć to, czego potrzebowała.

Nie chciała się rozmyślić, dlatego wycelowała i od razu cisnęła niewielkim odłamkiem skały. Na szczęście celności nikt nie mógł jej odmówić. Zwierzę dostało prosto w łeb i zawyło głucho. Otrzepując się z chwilowego zaćmienia, stwór spojrzał na Sheilę.

Przeszedł ją dreszcz. Zobaczyła w jego oczach czystą żądzę mordu.

Leo nie zawahał się. Bezbłędnie wymierzył cios, wykorzystując nieuwagę przeciwnika i chlasnął go w miejscu, gdzie szyja łączyła się z korpusem. Bryzgnęła krew, rozległo się przeciągłe, donośne wycie i goniec zachwiał się na nogach. Leo nie chciał czekać, aż zwierzę upadnie, bo jego zgon nastąpiłby dopiero po chwili. Wycelował ostatni cios, który miał zabić od razu, ale stało się coś, co pokrzyżowało jego plany. Bestia warknęła wściekle i ostatkiem sił, które ulatywały z niej jak woda ze splecionych rąk, zaatakowała. Leo, który przeniósł już ciężar ciała na przednią nogę, nie miał szans uniknąć ostrych zębów.

Przez chwilę zamarli, a powietrze wypełnił połączony jęk bólu człowieka i zwierzęcia. Sheila na ten widok zasłoniła usta dłońmi. Kły psowatego potwora wbiły się głęboko w przedramię mężczyzny, natomiast miecz dowódcy utkwił w plecach bestii, roztrzaskując jej kręgosłup.

Upadli obaj, dysząc ciężko. Sheila podbiegła do nich. Serce przestało na chwilę tłuc się w jej piersi, kiedy rzuciła się na kolana przy ciele Leo. Załomotało znowu, kiedy zorientowała się, że dowódca syczał i dyszał, więc poza raną w przedramieniu nie miał innych obrażeń. Za plecami słyszała gasnący oddech bestii. Zanim cokolwiek powiedziała, z oddali rozległo się wycie. Wymieniła przestraszone spojrzenie z dowódcą.

– Zbliżają się kolejne – jęknęła.

Nie tracąc ani chwili, oboje podnieśli się. Leo sięgnął po swoją broń i z głośnym syknięciem bólu wyciągnął ją z cielska wielkiego psa. Prawa ręka krwawiła obficie.

– Nie dam rady walczyć – powiedział i z trudem schował miecz do pochwy.

– Musimy uciekać – zarządziła Sheila i pociągnęła go za zdrowe ramię w północnym kierunku. Byle dalej od narastającego szczekania gończów.

Leo nie opierał się, tylko ruszył za nią biegiem, przyciskając ranną rękę do piersi.

– Pieprzone mutanty – wycedził z pogardą.

– To klątwa zadziałała na drapieżniki? – zapytała w biegu, dysząc lekko.

Leo kiwnął głową, omijając drzewa.

– Zdaje się, że naturalnie przez izolację różniły się od swoich odpowiedników poza doliną – wyjaśnił niechętnie. – Ale klątwa zaostrzyła ich zdziczenie i cechy anatomiczne. Są cholernie zawzięte.

– Musimy się schować – powiedziała Sheila po chwili.

– Gońce nas wytropią. Zostawiam ślady krwi – warknął dowódca ze złością.

Dziewczyna nagle się zatrzymała. Starała się nie myśleć o tym, że do jej nadwyrężonej łydki powrócił rwący ból.

– Musimy przejść na drugą stronę rzeki.

Leo spojrzał na nią zaskoczony.

– To zgubi trop – przyznał. – Ale Zarzecze to zupełnie dziki teren, cały pokryty mgłą, bo nikt nie kontroluje zmór – wytłumaczył. – Wpadniemy z deszczu pod rynnę.

Szczekanie odezwało się niepokojąco blisko. Dowódca zaklął cicho i chwycił dziewczynę za rękę, ciągnąc ją dalej.

Oboje zaciskali zęby z bólu, który towarzyszył ich ucieczce. Sheila spostrzegła, że las szybko stawał się coraz ciemniejszy i bardziej zarośnięty. Teren był nierówny i przez chwilę musieli biec pod górę. Niewielkie wzniesienie zamieszkane było jednak przez inne drapieżniki. Okazało się, że północna puszcza faktycznie wypełniona była bestiami znacznie gęściej niż południowe lasy, w których koczowali myśliwi. Kiedy Leo i Sheila poruszyli krzakami, które mijali, spod liści wyłoniły się trzy ogromne pająki wielkości kół wozu. Sheila wydała zduszony okrzyk i odskoczyła. Wolała nie myśleć, ile takich brunatnych stworów chowało się w okolicy.

– Nie możemy biec głębiej w las – powiedziała, czując narastającą panikę. – Chyba już trafiliśmy z deszczu pod rynnę.

– Wiem – rzucił stanowczo dowódca i rozejrzał się. – Szczekanie jest cichsze – zauważył.

Sheila nie zdążyła się ucieszyć na tę wieść, bo największy z pająków nagle ruszył w jej kierunku. Odruchowo odskoczyła do tyłu. Ranna noga zadrżała z bólu i ugięła się pod nią lekko. Pająk cofnął się, ale było już za późno. Sheila straciła równowagę i upadła do tyłu. Turlała się po miękkiej ściółce. Instynktownie osłoniła głowę, ale gruby i mięsisty mech zaskakująco dobrze amortyzował obicia.

Zatrzymała się na drzewie, już na wypłaszczeniu, więc uderzenie nie było zbyt bolesne. Coś się do niej zbliżało. Od razu przyszedł jej do głowy zmutowany magią pająk, dlatego zerwała się z jękiem, chcąc wstać. Jednak kiedy otworzyła oczy, zastała Leo, który zbiegł zaraz za nią.

– Nic ci nie jest? – zapytał, przykucając przy niej w biegu.

– Nie. Chyba nie – wysapała, siadając i ściskając bolącą łydkę. – Cholera, ale się władowaliśmy. Wolałam już stado gończów.

Leo nie odpowiedział na te słowa, tylko ze zmarszczonymi w zamyśleniu brwiami rozejrzał się dookoła.

– Dziwne – mruknął. – Nie powinniśmy jeszcze dotrzeć do granicy Kazamatów.

Sheila powędrowała za jego wzrokiem i również ze zdziwieniem spojrzała na zielonkawą mgłę, która ich otaczała. Im dalej patrzyła, tym znajoma poświata stawała się mocniejsza i gęściejsza.

– A jednak wygląda na to, że dotarliśmy do pierścienia. Niedaleko musi być granica.

Leo pokręcił głową.

– Niemożliwe. Przebiegliśmy góra kilometr. Granica powinna biec znacznie, znacznie dalej.

Sheila spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Przecież widzisz to na własne oczy. Zawsze ignorujesz fakty, uparcie trwając przy swoich przekonaniach?

Leo spojrzał jej w oczy i wzruszył ramionami.

– W takim wypadku wreszcie znaleźlibyśmy coś, co nas łączy – powiedział, a Sheila poczuła, że policzki jej się lekko zaczerwieniły. – Ale to nie tak. Nie neguję tego, co widzę. Ale wiem, że to nie może być granica Kazamatów.

– Więc co oznacza mgła w tym miejscu?

Leo ponownie przyjrzał się tajemniczemu zjawisku.

– Może... – zastanowił się. – Pamiętasz, co mówiłem o terenie za rzeką? Klątwa pochłonęła cały tamtejszy las. Może tu dzieje się to samo. Ale jeśli tak, to znaczy, że raczej nie spotkamy tu ludzi. Trzeba się wynosić...

Sheila poczuła, że coś wchodzi po jej ramieniu. Wciąż miała w pamięci obrzydliwe brunatne pająki i instynktownie zerwała się na równe nogi. W panice zaczęła strzepywać z siebie małe zwierzę, którym okaza-

ła się jaszczurka. Ale jeszcze przez chwilę miała wrażenie, że łażą po niej olbrzymie insekty.

– Zabierz to ze mnie – jęknęła, drapiąc się po żebrach.

Leo przez chwilę przyglądał się jej z niepokojem, po czym chwycił ją stanowczo za ramiona i unieruchomił.

– Już nic nie ma – powiedział twardo.

Sheila wzdrygnęła się i spojrzała na drzewo, pod którym stali.

– Wszędzie tu łażą jakieś paskudne stwory. Etain miał rację, że nie chciał wchodzić głębiej w las. Na skraju, przy rzece, ich nie było.

Leo zwolnił nieco uścisk i ponownie złapał się za ranne przedramię.

– Chodźmy stąd. Muszę zatamować krwawienie w ręce, ale nie w tej mgle.

Sheila kiwnęła głową i ruszyli w stronę, z której spadła.

– Nie idźmy na górę.

Leo spojrzał na nią zaskoczony.

– Boisz się pająków?

Prychnęła.

– Nie – powiedziała ze złością. – Ale obrzydzają mnie gigantyczne, owłosione monstra z kilkoma parami oczu i ośmioma niebywale szybkimi odnóżami. Co z tobą? Chyba nie powiesz mi, że tobie się podobają?

Leo wzruszył ramionami.

– W porządku – burknął. – Tylko zapytałem.

Nagle oboje przystanęli, bo usłyszeli ten sam dźwięk. Sheila nie od razu skojarzyła, skąd znała charakterystyczne wysokie warczenie. Leo szybciej zorientował się, z czym mieli do czynienia, ale niewiele mu to pomogło.

Zmory zbliżyły się do nich prawie bezszelestnie. Dwie trupioblade, całkowicie łyse bestie rzuciły się w ich stronę. Leo zrobił unik, jednocześnie odpychając Sheilę na bok. Nie czekał ani sekundy. Od razu podniósł się i sięgnął po miecz.

– Uciekaj stąd! – rozkazał Sheili. – Będę zaraz za tobą!

Próbowała się podnieść, obserwując jak niezwykle szybkie i jakby większe zmory od tych, które zapamiętała z południowej strony Kaza-

matów, z powrotem rzuciły się na dowódcę. Trzymając miecz w lewej ręce, mniej efektownie odparł atak.

Sheila wstała i starała się ostrożnie ominąć zamieszanie, by wykonać polecenie Francka. Nie było to jednak proste, bo stworzenia szybko odbiegały na kilka metrów, by od razu rzucić się na dowódcę z kolejnym atakiem.

Jedna z pokracznych istot znalazła wreszcie lukę w obronie dowódcy i przygwoździła go do pnia. Tylko miecz przytrzymywany w dwóch miejscach chronił jego szyję od wściekle ujadających szczęk potwora. Ranna ręka stawiała coraz mniejszy opór, przez co krtań mężczyzny dzieliło od ostrych kłów jedynie kilka centymetrów.

W tym czasie druga zmora potrząsnęła łbem tuż obok Sheili, dochodząc do siebie po zręcznym uderzeniu miecza. Spojrzała na dziewczynę i przez chwilę wlepiała w nią pozbawione tęczówek oczy. Następnie zupełnie zignorowała jej obecność i rzuciła się na dowódcę.

Nadal mnie nie atakują – pomyślała Sheila i po sekundzie ruszyła biegiem za bestią.

Leo, zajęty ochroną szyi, odsłonił nieco korpus. Drugie stworzenie bezlitośnie to wykorzystało. Długie na kilkanaście centymetrów pazury weszły w brzuch buntownika zaskakująco gładko. Przypływ bólu i towarzyszący mu wybuch adrenaliny sprawił, że mężczyzna zdobył się na paniczny wysiłek i odepchnął od siebie oba stwory. Sheila nie zatrzymała się ani na chwilę i biegiem dopadła Francka, który zsunął się po pniu i usiadł, wypuszczając z ręki miecz.

Zmory natychmiast, jak poprzednio, ponowiły atak. Chciały doskoczyć z rozpędu do krwawiącego Leo, żeby dopełnić dzieła. Sheila instynktownie przylgnęła do mężczyzny. Zacisnęła powieki i zęby, ale gdzieś w środku czuła, że cios nie nadejdzie.

Faktycznie, nic się nie wydarzyło. Zmory krążyły wokół niej, nie podejmując walki. Powarkiwały cicho, szukając nieosłoniętego przez nią miejsca, ale nie zdecydowały się zaatakować.

Sheila spojrzała na nie. Czuła, że całe jej ciało drżało, ale nie walczyła z tym. Trupioblade stworzenia zatrzymały się i patrzyły na nią z wyczekiwaniem. Nie ruszyła się z miejsca i nie przerywała kontaktu wzrokowego z przeciwnikami.

Nagle obie zmory zwolniły dotąd napięte mięśnie i zaczęły się powoli wycofywać. Oddaliły się tyłem na odległość kilku metrów, a potem niespiesznie odwróciły się i poszły przed siebie. Sheila obserwowała je, dopóki nie zniknęły między drzewami.

A potem się rozpłakała.

Nie mogła powstrzymać szlochu, czując, że cały strach, wszystkie dreszcze i szaleństwo ostatnich dni domagały się ujścia. Opadła bezsilnie na ciało Leo i płakała, widząc przez łzy, jak czerwona plama na jego rozdartej pazurami koszuli szybko się powiększała.

Znowu ogarnęło ją to samo uczucie beznadziei, jak wtedy, gdy zobaczyła martwego Etaina.

Zaszlochała mocniej na to wspomnienie.

Była sama w dzikiej puszczy pełnej okropieństw. Nie mogła znieść tej myśli. Chwyciła koszulę Leo i ścisnęła ją mocno. Musiała wyładować to wszystko, co tak długo w sobie tłumiła. Zmory, pająki, sępice, cela i głód, łapska Gregora, łapska Festera...

– Sheila? – usłyszała cichy głos Leo.

Była tak zaskoczona, że odsunęła się od niego na odległość dwóch kroków. Musiała otrzeć łzy, żeby dojrzeć szczegóły jego twarzy. Patrzył na nią dosyć przytomnie i zrozumiała, że cały czas był świadomy. To znaczyło, że widział jej wybuch. Nie chciała poczuć zawstydzenia, ale ogarnęło ją ono gwałtownie i bezlitośnie.

– Leo? – Niepewnie zbliżyła się do niego. – Skoro żyjesz... dlaczego zmory odeszły?

Rozejrzała się w obawie, czy nie czaiły się między drzewami, ale niczego nie dostrzegła. Las spowity rzadką, zielonkawą mgłą wydawał się nienaturalnie spokojny, kiedy odeszły blade potwory.

– Bardziej mnie zastanawia, dlaczego się na ciebie nie rzuciły – wysapał, łapiąc się za brzuch. Pod jego prawym żebrem zionęła głęboka rana. – Ale pomyślisz o tym później – syknął i zakaszlał. – Posłuchaj mnie teraz. Za chwilę...

– Najpierw się stąd wynieśmy – powiedziała i zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. – Możesz wstać? Wyjdźmy z tej mgły i cię opatrzę.

Jego wzrok przez chwilę jakby odpłynął, ale Leo zmusił się do pozostania z nią.

– Zamknij się, do cholery – sapnął. – Błagam, zrób jeden raz to, co ci powiem – warknął resztkami sił. – Zaraz zemdleję – powiedział słabo i spojrzał w dół, na swoją ranę. Ogromna plama nadal się powiększała. – Zemdleję, a potem się wykrwawię. Z tyłu przy pasie mam wódkę... Polej mnie nią. Wylej wszystko... I powiedz buntownikom, gdzie jest moje ciało. Przy odrobinie szczęścia zdążą je zabrać, zanim doszczętnie zeżrą mnie sępice albo inne ścierwa. Albo chociaż zbiorą resztki.

Ostatnie zdanie powiedział bardzo niewyraźnie. Sheila uniosła jego opadającą głowę.

– Pochowałem Etaina – wykrztusił. – Jesteś mi to winna.

Po tych słowach zemdlał.

To jedynie fragment powieści.
Całość znajdziesz, klikając **TUTAJ**
lub na stronie sklepu strefa-cichosza.pl